

TRYLOGIA PROFANUM



MARCIN
DUDZIŃSKI

PRZECIWKO BRATU

SĄ TAKIE HISTORIE,
W KTÓRYCH KAŻDY JEST WINNY

MARCIN
DUDZIŃSKI

PRZECIWKO
BRATU

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Redakcja: Marta Banaszek
Korekta: Monika Łobodzińska-Pietrus, Aleksandra Dąbala
Projekt okładki: Kav Studio Pola Rusiłowicz
Ilustracja na okładce: Patila / Shutterstock
Redaktor prowadzący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © by Marcin Dudziński, 2019
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wydanie I

ISBN: 9788381432368

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

PROLOG. Teraz

Rozdział 1. Stanisław

CZESC 1. Wcześniej

Rozdział 2. Jerzy

Rozdział 3. Alicja

Rozdział 4. Stanisław

Rozdział 5. Profanum

Rozdział 6. Alicja 1989

Rozdział 7. Jerzy

Rozdział 8. Juliusz

Rozdział 9. Jerzy 1981

Rozdział 10. Stanisław

Rozdział 11. Profanum

Rozdział 12. Alicja

Rozdział 13. Jakub 1992

Rozdział 14. Jerzy

Rozdział 15. Henrik

Rozdział 16. Alicja

Rozdział 17. Jerzy

Rozdział 18. Stanisław

Rozdział 19. Jakub 2001

Rozdział 20. Jerzy

Rozdział 21. Alicja

Rozdział 22. Henrik

Rozdział 23. Jerzy

Rozdział 24. Profanum

Rozdział 25. Alicja

Rozdział 26. Stanisław

Rozdział 27. Julian

Rozdział 28. Jerzy

CZESC 2. Teraz

[Rozdział 1. Alicja](#)
[Rozdział 2. Julian](#)
[Rozdział 3. Stanisław](#)
[Rozdział 4. Jerzy](#)
[Rozdział 5. Henrik](#)
[Rozdział 6. Alicja](#)
[Rozdział 7. Jerzy](#)
[Rozdział 8. Julian](#)
[Rozdział 9. Stanisław](#)
[Rozdział 10. Alicja](#)
[Rozdział 11. Jerzy](#)
[Rozdział 12. Stanisław](#)
[Rozdział 13. Alicja](#)
[Rozdział 14. Jerzy](#)
[Rozdział 15. Alicja](#)
[Rozdział 16. Profanum](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

Ta książka jest fikcją literacką.
Ewentualne podobieństwo postaci,
zdarzeń, okoliczności nie jest zamierzone
i może być jedynie przypadkowe.

„Tak, bracie, płomień spęda się płomieniem,
Ból dawny nowym leczy się cierpieniem”.

W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, akt I, scena I
(w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego)

PROLOG

Teraz

Sobota, 8 listopada 2014

Kula jest przecież niewiele większa od kropli – pomyślała irracjonalnie Alicja Drylska, wyskakując z rozbitego samochodu. Widok, który ujrzała przed sobą, był mętny, zupełnie rozmazany. Nie różnił się niczym od ociekającej strugami wody szyby w drzwiach auta.

Pomyślała, że mimo zmroku wcale nie jest aż tak ciemno. Było szaro. Rzęsista ulewa, światła nielicznych neonów i lamp tworzyły w Częstochowie szczególnie ziemisty mariaż. Deszcz rozjaśniał każdą noc i zaciemniał każdy dzień. A ona tak bardzo pragnęła, żeby było odwrotnie. Akurat teraz potrzebowała pozostać niezauważona. Chciała, żeby właśnie w tej chwili zrobiło się zupełnie ciemno. Wszystko dookoła wciąż jednak pozostawało sine. Sine było niebo, sine ulice, posiniaczeni ludzie, poobijani przez fatalną aurę. Gama kolorów w mieście była bardzo uboga, rozmyta lejącym deszczem.

Alicja szukała ucieczki przed czymś innym niż szarość. Przed czymś o wiele bardziej namacalnym i o wiele groźniejszym.

Wybiegając z samochodu przy ulicy Zana, uciekała przed śmiercią.

Od minuty i dwudziestu sześciu sekund wszystko w jej życiu działa się szybko. Gwałtowność wydarzeń doprowadziła do tego, że biegła środkiem ulicy ubrana jedynie w dresową tunikę i botki. Pomyślała, że nałoży na głowę kaptur, ale sekundę później stwierdziła, że przecież nie przed deszczem pragnie się teraz uchronić. Że przecież kaptur nie zatrzyma pędzącego naboju.

Alicja się bała. Bała się, tak jak boi się wrażliwe dziecko wepchnięte w wesołym miasteczku do tunelu strachu. Chciała krzyczeć, wrzeszczeć, wołać o pomoc. Ale wiedziała, że to nic nie da. Że jej krzyk nie przebije się przez szum lejącej się z nieba wody. Bo gdyby była na to szansa, to ktoś, ktokolwiek, usłyszałby wcześniej wytłumione strzały, huk pękającej opony i trzask giętej karoserii. Ale żaden z tych dźwięków nie zdołał przedrzeć się przez melodię deszczu. Ta ulewa, która tak mocno upodobała sobie Częstochowę, dudniła jednostajnie, złowieszczo, mrocznie. Od ponad miesiąca brzmiała niezmiennie tak samo.

Minutę i dwadzieścia sześć sekund wcześniej Alicja ujrzała Juliana. W swoim mieszkaniu na drugim piętrze niewielkiego bloku zobaczyła twarz, której nie znosiła i której się obawiała. A gdy dostrzegła całą sylwetkę mężczyzny i wycelowaną w siebie lufę pistoletu, rzuciła się do ucieczki. Wybiegła tak jak stała, tylko z telefonem schowanym w kieszeni tuniki. Chwilę wcześniej zdążyła postawić na kuchennym blacie zakupy. Przez oparcie krzesła przewiesiła jesienny płaszcz.

Wyskakując z mieszkania na korytarz, uchyliła się przed pierwszym pociskiem. Kula stłukła lustro w przedpokoju. Drugi

strzał, oddany już na klatce schodowej, niemal sięgnął jej pleców. Ale Julian chybił o milimetry. Bała się, ale jednocześnie jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Sunąc schodami w dół, starała trzymać się jak najbliżej ściany. Miała przewagę jednego piętra nad napastnikiem. Wiedziała, że poruszając się przy murze, zniknie mu z pola widzenia.

Zanim pchnęła drzwi wyjściowe, zdążyła rozważyć dwa warianty dalszej ucieczki. Mogła skręcić w lewo, kierując się na podwórko, ale bała się, że tam, na placu zabaw, przy tej pogodzie, nikogo nie spotka. A teraz najbardziej chciała się na kogoś natknąć. Na kogokolwiek. Dlatego skierowała się w prawo, w stronę parkingu. Tam ktoś musiał być.

I rzeczywiście, nagle znikąd pojawił się samochód. Wjechał na chodnik i z piskiem opon zatrzymał się tuż przy niej, zagradzając jej drogę. *Czarna skoda octavia, znam ten samochód* – zdążyła pomyśleć. Drzwi od strony pasażera były otwarte. Zatrzymała się tuż przy nich. Były niczym zaproszenie. Ktoś chciał, żeby wsiadła do tego auta. Nagle ze środka wychylił się mężczyzna, złapał ją mocno za rękę i silnym ruchem wciągnął do środka.

Wtedy zrozumiała, czemu ten samochód wydał się jej znajomy.

Jerzy Walter, komendant miejski Policji, dodał gazu, trzymając ją wciąż mocno za przedramię. Drzwi auta zatrzasnęły się pod wpływem nagłego przyspieszenia. Była uwięziona. Ale trzydzieści dwie sekundy później odzyskała wolność, o ile wolnością można nazwać dalszą ucieczkę przed zabójcą.

Julian tym razem nie chybił. Jeden ze strzałów przebił oponę hatchbacka. Samochód gwałtownie skręcił. Jerzy Walter stracił

zupełnie panowanie nad pojazdem. Szybkim ruchem kierownicy próbował kontrować, ale niczym sternik małego kutra podczas sztormu, bardziej walczył z samym sterem niż z całym pojazdem. Kiedy było już pewne, że uderzą w drzewo, Alicja zamknęła oczy. W przeciwieństwie do pozostałych częstochowian słyszała ten rozdzierający huk w momencie zderzenia.

Sekundę później podniosła powieki. Głowa Jerzego Waltera oparta była o szybę. Komendant majaczył. Jakaś mała częśćka jego świadomości wiedziała, po co tu jest, ale nie potrafiła jeszcze przekonać do swoich racji całej reszty. Mężczyzna wbił w Alicję mętny wzrok i nieskładnie sylabizował. Musiał uderzyć głową w drzwi.

Alicja błyskawicznie wyskoczyła z auta i pobiegła w stronę ulicy Pułaskiego. *Tam, do cholery, muszą być jacyś ludzie!* – pomyślała spanikowana.

Patrzyła, jak przy każdym kroku spod jej stóp wytryskują krople. Obserwowała je. Jej umysł rejestrował ruch niemal każdej z nich. Każda miała swoją indywidualność. Niepowtarzalną przejrzystość. W tym momencie deszcz padał na nią nie tylko z góry, ale i z dołu. Patrzyła na każdą z tych kropel z osobna, by nie widzieć szarości, którą wspólnie tworzyły.

Julian wystrzelił jeszcze dwukrotnie.

Gonił ją. Czuła to. Nie odwróciła się ani razu, ale była pewna, że się zbliża. Nie wiedziała, ile strzałów już oddał, nie była w stanie ich policzyć, bała się, że zaraz padnie kolejny.

Dobiegła do Pułaskiego i dwa kadry ułożyły się jej w kolejną pełną scenę. W sekwencję wydarzeń, którą bardzo chciała

ureczywistnić. Po drugiej stronie ulicy nadjeżdżał autobus, a jej brakowało tylko kilkudziesięciu metrów do przystanku. Żeby zdążyć, musiała przebiec przez cztery pasy jezdni i pas zieleni. Zbliżał się stary ikarus. Machnęła ręką, by mieć pewność, że kierowca dojrzy ją w tej ołowianej matni. Trawa na pasie dzielącym jezdnie była grząska i bardzo śliska. Pokonała ją dwoma susami, bojąc się, że będą to jej ostatnie kroki. Cudem jednak utrzymała równowagę. Przebiegła na drugą stronę. Ulica była pusta. Światła najbliższego samochodu były daleko, gdzieś przy skwerze Sokołów.

Autobus się zatrzymał. Kierowca otworzył tylko przednie drzwi.

Wskoczyła do środka. Ruszyli niemal od razu. Nikt nie wysiadał. A wąła sylwetka Juliana nie zdążyła wyodrębnić się z szarości na tyle wyraźnie, by kierowca go zauważył.

Opadła na fotel po prawej stronie. Zerknęła przed siebie. Spojrzenia jej i zdumionego kierowcy spotkały się w lusterku. Czowała, że patrzy na nią jak na szaloną. Była przemoczona do suchej nitki, zdyszana, makijaż spływał jej cieniutkimi strużkami po twarzy. Mokre, przylegające ściśle do głowy, ciemne włosy sprawiły, że wyglądała o wiele młodziej. Przypominała nastolatkę na gigancie.

Owszem, uciekała. By chronić siebie. Ale nie tylko.

Położyła prawą dłoń na brzuchu, tuż pod pępkiem. Delikatnie pogładziła kciukiem to miejsce. Uciekała, żeby chronić swoje dziecko, żeby doprowadzić do końca to, co zaczęła dzień wcześniej.

Jeśli jeszcze kiedyś będziesz się mścić, zaplanuj to o wiele lepiej, dziewczyno! – wrzasnęła w myślach i przez chwilę zdawało się jej,

że ten krzyk był głośniejszy niż terkot ciężko pracującego silnika.

ROZDZIAŁ 1

Stanisław

Czwartek, 23 października 2014

W archikatedrze Świętej Rodziny panował półmrok. To, co było widoczne, wysuwało się na pierwszy plan, a to, co pozostawało w cieniu, kryło się w nim od długiego czasu, lecz miało go niebawem opuścić.

Dokładnie pośrodku szerokiego przejścia po prawej stronie ław stało porysowane, niebieskie, blaszane wiadro. Nie było jedynym kiczowatym przedmiotem we wnętrzu katedry, ale jego obecność w tym akurat miejscu wydawała się zupełnie przypadkowa i niepotrzebna; jakby sprzątaczką zostawiła je przez nieuwagę. Jednak spełniało niezwykle ważną funkcję we wnętrzu monumentalnej budowli. Kto wie, czy w tych dniach nie najważniejszą.

Krople spadające z łukowego sklepienia dachu trafiały dokładnie w sam środek wiadra. Kapiąc w odstępach kilkunastu sekund, wypełniały jego wnętrze. Kropla za kroplą. Ich zetknięcie z taflą wody za każdym razem skutkowało dźwiękiem, który w wielkim i pustym gmachu nabierał kilkukrotnie większej siły.

Mocny, metaliczny pogłos odbijał się od murów w przeróżnych konfiguracjach, wypełniając całą świątynię.

Biskup pomocniczy Stanisław Walter siedział pośrodku

trzeciego rzędu ław. Był jedyną osobą, która wsłuchiwała się w te dźwięki i jedyną, która w ogóle znajdowała się w katedrze.

Od jakiegoś czasu samotne przesiadywanie w tym właśnie miejscu stało się w jego życiu normą. Normą, do której jeszcze nie przywykł.

Do diabła, jakie radości tym razem mi przyniesiesz – pomyślał w duchu. Odliczył kolejne dziewiętnaście sekund od ostatniego plusku i lekko stuknął palcem wskazującym w kolano dokładnie w momencie, kiedy odgłos kolejnej spadającej kropli wypełnił wnętrze budowli.

– Jakie uciechy, do diabła... – wyszeptał niemal bezgłośnie, powtarzając swe myśli.

Siedząc o pierwszej w nocy w cywilnym ubraniu, przodem do ołtarza, mimo wszystko czuł się nieswojo.

Nie znalazł się tutaj przypadkiem ani nawet mimowolnie. Biskup Stanisław Walter rzadko zdawał się na zrządzenia losu. Każde działanie wpisywał w metodycznie wypracowany, większy plan. Z jednej strony dlatego, że musiał, a z drugiej – bo tego właśnie chciał.

Mimo to, patrząc na ambonę z tej perspektywy, czuł się dziwnie. Nie potrafił pozbyć się tego uczucia od miesięcy. Te minuty oczekiwania spędzone twarzą w twarz z przyglądającym mu się z krzyża i, jak mu się zawsze zdawało, przenikającym jego myśli Zbawicielem, były najpewniej jedynymi, w których czuł, że powinien spuścić głowę i odwrócić wzrok, by przypadkiem nie dojrzeć swojego odbicia.

Jednak biskup nigdy nie odwracał spojrzenia. Widział i chciał

widzieć wszystko. W każdej sytuacji. Cokolwiek to było i jakiegokolwiek by nie było, patrzył zawsze do końca, do momentu, aż poznał wszystko dogłębnie i zapamiętał w każdym szczególe.

Stuknął ponownie palcem w kolano i westchnął. Nie był do końca zadowolony z krótkiej rozmowy telefonicznej z kanclerzem kurii, Sławomirem Majem, którą odbył kilka godzin wcześniej. Chciał porozmawiać z nim osobiście. To na niego właśnie czekał.

Usłyszał kroki. Od strony głównego wejścia zbliżał się powoli ksiądz prałat. W mieszaninie odgłosów spadających kropel i stukotu butów swojego gościa biskup próbował odnaleźć jakiś rytm, ale pogłos był zbyt mocny, by dało się wykryć jakąkolwiek miarowość.

Kanclerz uklęknął, przeżegnał się, rozpiął mokry płaszcz i usiadł obok biskupa.

– Chrystus się rozgniewał i wylewa chyba wszystkie niebiańskie zapasy wody na ziemię. – Kanclerz Maj strzepnął krople z okrycia.

– Myślisz, że to na nas się rozgniewał, księżu prałacie?

– Trzeba przyznać, że powody znalazłby bez trudu – odrzekł Maj.

– Pada jednak pewnie na wszystkich w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

– Tak, pada na wszystkich bez wyjątku. Tak to zwykle bywa. Pada na wszystkich... – Walter zamyślił się i zawiesił głos.

Przeniósł wzrok wprost na twarz kanclerza i zapytał:

– Jakie nowiny, mój drogi?

– Pierwsza transza wpłynęła – odparł bez zwłoki Maj.

Kanclerz wyciągnął kartkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał ją Walterowi.

– Tutaj mam dowód wpłaty.

Biskup spojrział na dokument. Przelew z jednego z banków w Dolnej Saksonii nie pozostawiał wątpliwości.

– Doskonale – powiedział.

– Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać – ochoczo kontynuował Maj.

– Nam? – zapytał biskup tonem, który błyskawicznie przywołał kanclerza do porządku.

Maj spuścił wzrok. Walter wręcz przeciwnie – wpatrywał się w niego jeszcze intensywniej.

– Oczywiście... Ja... Oczywiście miałem na myśli jedynie księdza biskupa. – Kanclerz był wyraźnie zdeprimowany.

Stanisław Walter po raz kolejny sprawił, że Maj zaczął się zachowywać jak zbity pies. Ile to trwało tym razem? Dwie minuty? Trzy? Niewiele czasu potrzebował, by go znów zdominować. Mimo że głową częstochowskiej kurii był arcybiskup Jan Makowski, kanclerz dobrze wiedział, że nie ma w tej archidiecezji ważniejszej osoby niż biskup pomocniczy Stanisław Walter. To on pociągał tutaj za sznurki. Mistrzowsko sterował wszystkim z drugiego rzędu.

Po chwili ciszy i jednej spadającej kropli Walter zapytał:

– A ta kobieta jeszcze żyje?

– Żyje. Dziewięćdziesiąt trzy lata – odpowiedział Maj. Dokładnie wiedział, o kogo chodzi.

Biskup kiwnął głową.

– Coś się jej nie spieszy.

– Cóż poradzić...

– Poradzić... Zawsze można coś poradzić – powiedział jakby do

siebie biskup, po czym dodał: – Świetnie. To wszystko.

Kanclerz nie potrzebował dodatkowego sygnału, by wiedzieć, że spotkanie się zakończyło i powinien się zbierać. Wstał, zapiął płaszcz, spojrzął w stronę Waltera.

– Księżę biskupie – powiedział, oddając lekki pokłon.

– Księżę pałacie – odparł od niechcienia Walter.

Kanclerz udał się w stronę wyjścia, ale po kilku krokach zawrócił, jakby go coś zastanowiło, podszedł do trzeciego rzędu ław i zapytał:

– Księżę biskupie, proszę wybaczyć śmiałość – zaczął z wahaniem. – Męczy mnie ta kwestia. Dlaczego spotykamy się w tym miejscu, o tej porze? Rozumiem, że ksiądz biskup nie chciał rozmawiać przez telefon – kontynuował. – Ale są chyba okazje i miejsca w ciągu dnia... Dlaczego tutaj, tak późnym wieczorem? – dokończył niemal na jednym wdechu.

Stanisław Walter wstał niespiesznie, wyszedł na środek głównego przejścia i stanął tuż obok Maja. Nawet na chwilę nie odwrócił od niego wzroku.

– Bo tak chciałem. Bo tak mi wygodnie – odpowiedział bardzo spokojnie, a kąciki jego ust uniosły się lekko, tworząc ten rodzaj uśmiechu, który bardziej trwoży, niż uspokaja.

Kanclerz opuścił głowę, przyklęknął, przeżegnał się i bez słowa opuścił katedrę. Po chwili biskup znowu został sam.

Krople zdawały się spadać z nieco większą częstotliwością. *Trzeba uszczelnić ten dach, dziecińo* – pomyślał Walter.

Rozejrzał się dookoła. Kiedy przez jaskrawe witraże nie wpadało do środka światło słoneczne, właściwie nie było w katedrze nic

szczególnego. A jednak coś sprawiało, że biskup poczuł, jak narasta w nim energia. Krew już od kilku sekund płynęła w jego żyłach nieco szybciej.

Otarł kąciki ust i udał się w stronę zakrystii. Minał ołtarz, nawet na niego nie patrząc i nie pochylając głowy.

W korytarzu zakrystii paliło się światło. Tuż przy lawaterzu czekał na niego Julian.

– Witaj, dziecino – radośnie przywitał go Walter.

– Witam, księże biskupie. – Julian jak zwykle patrzył w podłogę.

– Gdzie ona jest?

– Tam – wskazał jedno z dwojga drzwi.

– Zaczynamy więc – powiedział Walter, ocierając ponownie usta.

Kobieta, która znajdowała się w pomieszczeniu, dobrze wiedziała, co ją czeka. Godziła się na to. Nie była tutaj po raz pierwszy. Bała się. Ale przyszła kolejny raz. Wiedziała, że musi być posłuszna.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wcześniej

ROZDZIAŁ 2

Jerzy

Piątek, 24 października 2014

Pamiętał. Pamiętał zawsze. Na zawsze. Nie mógł i nie umiał o niej zapomnieć. Tych wspomnień nie dało się wymazać. Były jak stara farba i grzyb na ścianie jednocześnie. Nieusuwalne. Żeby się ich pozbyć, musiałby zburzyć ją całkowicie, robiąc sobie przy tym krzywdę. Każda ingerencja w tę część pamięci zabrałaby mu nieodzownie część siebie.

Siedział przy biurku i bezmyślnie patrzył w okno; wciąż lał deszcz. Wszedł w te wspomnienia jak w gęsty las tuż przed zachodem słońca. Wszedł i od razu nastał mrok, zostawiając wszystko w tym samym porządku, a jednak zmienione. Każde drzewo, które mijał, było jakąś jej cechą, jakimś wspólnym wspomnieniem, jakimś jej gestem, jakimś słowem. Każde doskonale pamiętał, mógł poustawiać je w czasie na właściwym miejscu dokładnie tak, jak drzewa stoją w lesie. W myślach podchodził do nich i mimo że doskonale wiedział, co jest wyryte na każdym pniu, czytał to po wielokroć. Pamiętał.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy. Sekretarka odczekała

kilka stosownych sekund i nieśmiało zajrzała do gabinetu komendanta.

– Pięć minut – powiedział Jerzy stanowczo i niedbałym ruchem ręki pokazał, że jeszcze nie czas na jakichkolwiek gości.

Potrzebował kilku chwil, by odpędzić wspomnienia. Przywoływał je często i najczęściej przeklinał w myślach. Za każdym razem widział i rozumiał wszystko wyraźniej. Na przemian śmiał się i drwił z siebie, rozmyślając o tym, jak wypuścił z rąk coś, co było jego, coś, czego tak bardzo pragnął.

Ona była jego, chciała być jego, chciała należeć do niego.

Czuł się jak uczestnik rozmowy kwalifikacyjnej na wymarzone stanowisko. Bezbłędnie odpowiedział na wszystkie pytania, oczarował rekrutującego, dostał pozytywną odpowiedź, po czym odparł: „Dziękuję, ale jednak nie przyjmę tej oferty”. Był jak piłkarz, który spudłował do pustej bramki.

W życiu Jerzego zawsze było coś, co było w stanie ostatecznie go pokonać. Nie inny człowiek, nie zrzędzanie losu. To coś tkwiło w nim samym. Jakaś cecha, jakaś pieprzona zadra, stygmat wypalony w mózgu, zastarzała substancja we krwi, gen autodestrukcji. Coś nieusuwalnego, co zawsze miało nim sterować, coś, co wyniósł z domu rodzinnego, czym nasiąknął za młodu. A przecież wiedział, doskonale wiedział.

Ona nie była taka jak jego matka.

Ona nie była taka jak jego matka.

Jego matka była kurwą.

Ona była inna.

Ona go kochała.

Ona nigdy nawet jej nie przypominała, nie miała w sobie choćby ułamka cech jego matki. Jego matki kurwy. Ona przyjęła go takim, jakim był, i dała sobie taką, jakiej pragnął.

Ona była zupełnie inna niż jego matka.

Przez ponad trzydzieści lat Jerzy powtarzał w myślach te właśnie słowa, wracając wspomnieniami do swojego największego życiowego błędu. Kiedyś robił to nieustannie; od pewnego czasu znów były częstym gościem w jego głowie.

Ocknął się na moment. Wstał i domknął uchylone okno. Deszcz w ciągu ostatnich kilkunastu minut przybrał na sile i zaczął zacinać pod takim kątem, że kilka kropel momentalnie spadło na parapet i stos niepotrzebnych już dokumentów. Jerzy pomyślał, że w taką pogodę świeżo odnowiona elewacja budynku Trójkąta, jak potocznie nazywana była Komenda Miejska Policji w Częstochowie, nie przyciągnie niczyjego wzroku. Wyjrzał przez okno; wszyscy pośpiesznie mijali posterunek, uciekając przed narastającą ulewą. Trójramienny budynek chował się w deszczu jak każdy inny.

Jerzy właściwie niczego już sobie nie wyrzucał. Nie biczował się, nie karał, nie topił w wódce pretensji do samego siebie i całego świata. Żal i szukanie przyczyn zostawił za sobą. Wiedział już wszystko dokładnie. Stracił ją na własne życzenie, chciał i musiał ją stracić. Tak widocznie miało być.

Ale niespodziewanie ta sprawa nabrała dla niego nowego sensu. Wydarzenia ostatnich tygodni i informacje, które zebrał, sprawiły, że historia zatoczyła przedziwny krąg. I teraz znów musiał podjąć decyzję, co może i musi się stać.

Wyjął z kieszeni pomietą kartkę, która otrzymał kilka tygodni wcześniej. Serce stanęło mu, kiedy wyciągnął ją z koperty i przeczytał. Pomyślał, że to żart. Wiadomość znał już na pamięć. Była krótka, ale jednoznaczna. Na kopercie nie było nadawcy. Kartkę, która była w środku, dokładnie sprawdził, jednak nie znalazł odcisków palców. Zachował ją tylko dla siebie. Ktoś dawał mu znać o czymś, co nie powinno się nigdy wydarzyć. Prosił go o pomoc w imieniu Aldony – dziewczyny, która nie umie się uwolnić. Tak brzmiało jedno ze zdań listu. Przez tydzień bił się z myślami. Nie mógł uwierzyć. Zmieniał decyzję niemal codziennie. W końcu postanowił, że musi coś z tym zrobić.

Sekretarka ponownie zajrzała do gabinetu. Jerzy nie kontrolował czasu. Mogło minąć pięć minut, ale podejrzewał, że dała mu dłuższą chwilę na zebranie myśli.

– Panie komendantcie, naczelnik Marczuk czeka. Mam go zaprosić? – zapytała spokojnie.

– Oczywiście, pani Aniu, proszę go wpuścić – odpowiedział szybko.

Lubił ją, była taktowna i kompetentna, a przy tym dzielnie znosiła jego dziwactwa. Czasem ciekawiło go, co myśli, kiedy widzi go nieobecnego i zadumanego jak dziś, ale wiedział, że nigdy nie poruszy z nią tego tematu.

Marczuk, wchodząc, jak zwykle poprawił włosy. Komendant Walter znał go wiele lat, ale za każdym razem się zastanawiał, czy ten gość nie mógłby zrobić tego wcześniej. Ruch ręką zaczesujący włosy na bok i wyrównujący przedziałek zawsze wydawał mu się nieco nerwowy. Marek Marczuk robił tak za każdym razem,

gdziekolwiek by nie był. Walter miał okazję obserwować ten gest zarówno na służbowych zebraniach, jak i podczas licznych prywatnych spotkań poza komendą. Notoryczne sprawdzenie stanu grzywki było znakiem firmowym naczelnika i nic się nie zmieniło od wielu lat, w trakcie których Jerzy konsekwentnie budował zaufanie do swojego przyjaciela.

Jerzy nie zdążył schować kartki i wciąż trzymał ją w dłoni, jak przyklejoną.

– Co czytasz? – zapytał Marczuk bez namysłu. Komendant przez chwilę poczuł się jak dziecko złapane na gorącym uczynku podczas podjadania jeszcze gorącego ciasta. Chciał ukryć nie tylko ten liścik, ale i samego siebie. Wiedział, że Marczuk zauważył jego zakłopotanie.

– Jurek, ja w sprawie tego podsłuchu. – Policjant zręcznie zmienił temat, zamykając za sobą drzwi.

– No jak tam? – spytał Jerzy, dając jednocześnie ręką znak, by naczelnik Wydziału Kryminalnego kontynuował. Po chwilowej konfuzji nie został już żaden ślad.

– Zerknij na ten dokument. Myślę, że tak może zostać. Ci z WTO nie powinni mieć dodatkowych pytań.

Jerzy przeczytał notatkę służbową naczelnika. Zgodnie z jej treścią anonimowy informator przekazał wiadomość o możliwości popełnienia przestępstwa. Marczuk wnioskuje o podsłuch telefoniczny do Wydziału Techniki Operacyjnej.

– Masz rację, jest ok. Dziękuję.

– Robimy to więc?

– Tak, wysyłaj to w takiej formie – odpowiedział Jerzy bez

zastanowienia.

I właśnie ten brak wahania kazał Marczukowi jeszcze raz się upewnić, czy komendant jest świadom konsekwencji swojej decyzji.

– Jurek, rozumiem, że jesteś tego pewny? Wiesz, że jak cała machina ruszy, nie będzie już odwrotu...

Walter uśmiechnął się i przejechał palcami po wąsach. Nie był pewien i wiedział, że nigdy nie będzie, ale czuł, że tym razem właśnie tak musi postąpić. Pomyślał, że bardzo chciałby umieć powiedzieć coś innego, ale po raz kolejny krótko potwierdził Marczukowi swoje postanowienie.

– Tak, jestem pewny.

To prawda, teraz nie będzie już odwrotu.

– Marek, jeszcze jedno – powiedział komendant, podając Marczukowi małą kartkę. – Dodaj jeszcze ten numer.

Naczelnik spojrział na imię, nazwisko i numer telefonu zapisane na niechlujnie wyrwanym kawałku papieru.

– Rzeczywiście, to może się przydać – odparł.

– Też tak myślę. Zresztą szybko się przekonamy – zakończył Jerzy.

Teraz nie będzie już odwrotu. I właśnie to powinno zaprzętać jego myśli. Jednak tuż po tym, jak Marczuk wyszedł, Jerzy jeszcze raz spojrział przez okno i ponownie zanurzył się we wspomnieniach.

Wszedł w nie tak, jak wchodzi się w las tuż przed zachodem słońca. Wszedł i od razu zapadł mrok. Wszystko było niedokończone. Mimo że tak dokładnie pamiętał każdy jej gest, mimo że kochał ją naprawdę, to miał również świadomość, że

zamknął jej drogę, jeszcze zanim stracił ją na zawsze. Stracił ją dwukrotnie. Najpierw, bo tak zdecydował, potem, bo los zdecydował za niego. Stracił ją, ale pamiętał.

Ona nie była taka jak jego matka.

Ona nie była taka jak jego matka.

Teraz nie miał zamiaru stchórzyć tak jak wtedy.

ROZDZIAŁ 3

Alicja

Piątek, 24 października 2014

Nie znosiła tutaj przyjeżdżać. Zawsze, gdy była w kurii, czuła, że coś pcha ją w stronę wyjścia. Została skierowana przez kancelarię do obsługi prawnej archidiecezji właściwie z dnia na dzień. Alicja przyjęła tego klienta jak każdego innego. Nie przyszło jej do głowy, by dociekać przyczyn tak nagłego przetasowania. Kiedy poprzednik przekazywał jej detale wszystkich spraw, nawet o to nie spytała. Minęło sześć miesięcy, a ona nie znalazła ani czasu, ani okazji, by pogadać o tym z szefem. Zresztą właściwie nigdy nie miała żadnych problemów z obsługą prawną kurii. Męczyło ją tylko ogólne i niewytłumaczalne poczucie, że nie chce tu być. Tak jakby ktoś szeptał jej do ucha, że tutaj coś się jeszcze zadzieje. To było jak uporczywe swędzenie, zawsze w tym samym miejscu. Niby niegroźne. Niby przemijające. Nie wiedziała, czym wywołane. Niemal zawsze ustępowało. Było jednak wyjątkowo dokuczliwe. Świdrujące. Męczące.

Tego dnia jeszcze bardziej niż zwykle nie chciała tu przyjeżdżać. Podskórnie czuła, że ta wizyta będzie wyjątkowo ciężka.

Może to przez tę pogodę.

Od wielu dni w mieście panowała ulewa. Panowała niepodzielnie i dzień po dniu coraz mocniej zakorzeniała się w świadomości częstochowian jako coś oczywistego. Była niczym przeciągające się obleżenie, któremu nie można się skutecznie przeciwstawić.

Alicja dużo by dała, by nie musieć wysiadać teraz z samochodu. Pomyślała przez chwilę, że nie wyjdzie ze swojej Kawuni, dopóki deszcz nie ustąpi. Wiedziała, że szybki marsz od jej ukochanego ciemnobrązowego opla mokki do wejścia zajmie nie więcej niż dwadzieścia sekund. Była niemal pewna, że cienka puchowa kurtka kompletnie nie zda egzaminu i przesiąknie. Bliżej nie mogła już jednak zaparkować. Drogę z kancelarii do siedziby częstochowskiej kurii zwykle pokonywała pieszo, ale dziś było to niemożliwe. Oba miejsca dzieliło co prawda niecałe osiemset metrów, lecz przejście tego dystansu w taką ulewę równałoby się przepłynięciu Warty w jej najszerszym odcinku.

Usłyszała dźwięk przychodzącego esemesa. Spojrzała na wyświetlacz i w ułamku sekundy zapomniała o swoim rozdrażnieniu. Wiadomość ją ucieszyła, zwłaszcza że miała jeszcze kilka minut, by odpisać.

„Kochanie, jest 11.23 i nie mam żadnego dobrego wytłumaczenia, dlaczego daję znak życia tak późno. Jak mogę Ci to wynagrodzić?” – odczytała napisaną po angielsku wiadomość od Henrika.

„Mógłbyś na przykład być tu teraz ze mną, a nie w Sztokholmie. Umiesz to zrobić?” – odpowiedziała w kilka sekund.

Znali się od dwóch lat i przez cały czas Alicja była Henrikiem nieustannie zafascynowana. Podobnie zauroczony Alicją był Henrik. A ich związek, któremu na początku nie dawała większych szans, wchodził obecnie w fazę poważnej, dojrzałej relacji. Wtedy w samolocie Henrik trafił na odpowiedni moment. Chciała być po prostu miłą, ale jednocześnie nieznaną ją zaintrygował. Kiedy podczas lotu tak szybko i tak bezpośrednio zaprosił ją na kolację, była zaskoczona, ale zgodziła się, trochę z ciekawości. Dziwnie zestresowała ją ich pierwsza randka, jednak gdy przyjechał dla niej do Częstochowy na kilka dni, poczuła, że zaczyna jej na Henriku zależeć. Kiedy widzieli się niecałe dwa tygodnie temu, Alicja zrobiła wszystko, by było im dobrze, by było jak najlepiej. Chociaż nie musiała się szczególnie starać, bo przecież zawsze było idealnie. Było tak podręcznikowo, że zaczęli się zastanawiać, czy Henrik nie powinien przerzucić się z pisania kryminałów na pisanie romansów i stworzyć pierwszy w oparciu o ich wspólną historię.

„Odłożyłem chwilowo pracę nad teleportacją i od rana siedziałem nad książką. Chyba straciłem rachubę czasu. Mogę teraz zadzwonić?” – odpisał Henrik.

Pisali po angielsku. Ani jego polski, chociaż robił szybkie postępy, ani tym bardziej jej szwedzki nie pozwalały jeszcze na swobodną komunikację. Szczególnie kiedy pisali esemesy na czas.

„Teraz nie bardzo. Idę na spotkanie. Zadzwonię potem, OK?” – pobila rekord świata w szybkości ruchu kciukiem.

„Powodzenia! Kocham Cię” – ostatnie dwa słowa napisał już po polsku.

Zawsze potrafił wywołać uśmiech na jej twarzy. Nawet w takim

dniu.

„*Jag älskar dig, Panie Lund*” – odpowiedziała mieszaniną szwedzkiego i angielskiego.

Schowała telefon i uchyliła drzwi Kawuni. Cofnęła się jednak i odwróciła, raz jeszcze próbując znaleźć na tylnym siedzeniu parasol. *Debilka!* – rzuciła w myślach. Musiał zostać w bagażniku, a wyjmowanie go w tym deszczu mijало się z celem. Lepiej od razu gnać do drzwi wejściowych.

Wiadomości Henrika poprawiły jej humor, ale dobry nastrój szlag trafił, gdy wyszła z samochodu. Po trzech sekundach miała wrażenie, że deszcz leje już nie tylko na nią, ale i z niej samej. Kapało na powieki, kapało z powiek, z rzęs, z nosa, warg. Cała była jedną wielką kroplą.

Idąc w stronę wejścia do kurii, pospiesznie rozejrzała się po okolicy. Wszystko wyglądało, jakby było umieszczone w worku foliowym. W jednorazowej reklamówce, którą w tych stronach nazywano zrywka. Tego dnia wszystko było w zrywce. Ulice były w zrywce. Budyńki były w zrywce. Nieliczni przechodnie dusili się w niej. Kątem oka spojrzała na Jasną Górę. Cały klasztor zmieścił się w wielkiej, zacierającej kształty zrywce. W Alejach Najświętszej Marii Panny wszystko było bez wyrazu. Lejąca się z nieba woda zmyła zupełnie koloryt miasta.

Naciągnęła głębiej kaptur na czoło, opuściła głowę i praktycznie wpadła na młodego mężczyznę. Szedł szybkim krokiem, pochylony, ze wzrokiem wbitym w chodnik. W tym deszczu ledwie go rozpoznała.

– Agüero?! Ty tutaj? O tej porze? – odezwała się szczerze

zaskoczona widokiem dobrego przyjaciela; do Kamila Adamusa chyba nikt nie zwracał się już po imieniu.

– Weź mi nawet nie mów, maleńka! – Uśmiechnęła się, słysząc to określenie, bo tylko jemu pozwalała się tak nazywać – Taksiarz powiedział, że nie może podjechać pod budynek i musi mnie tutaj wysadzić.

– Gdzie idziesz?

– Tutaj, zaraz za Cepelią, mam code review u kumpla.

– Code, co?!

– Przegląd kodu. W twoim świecie, byłoby to pewnie ostateczne czytanie umowy, czy coś w tym stylu.

– Aha, rozumiem, ale... ty przecież zawsze pracujesz sam!

– No jak widzisz, nie zawsze się da, ale nie każ mi tego komentować, bo mam ochotę powiedzieć to samo, co o taksówkarzu...

– Spoko. Aguero, musimy koniecznie się spotkać. Dawno się nie widzieliśmy.

– Święta racja! Tylko nie tutaj i nie w takich okolicznościach. Zadzwoń do ciebie. A tymczasem spadam, bo zaraz mnie szlag trafi w tym deszczu. Pewnie nawet majtki mam mokre.

– Miałyś. Gdybyś nosił – rzuciła zaczepnie. Znali się tak dobrze, że wiedziała o nim właściwie wszystko. Przez moment pożałowała, że kontakty między nimi ostatnio się rozluźniły. Aguero roześmiał się, cmoknął powietrze tuż obok policzka Alicji, i odchodząc, odparł:

– Wybacz, ale leje tak, że nawet twoja piękna buźka mnie nie zatrzyma.

– Nie jest tak piękna jak buźki twoich chłopaków – wbiła mu standardową szpilkę.

– Nawet nie wiesz, jak mi brakuje twoich ciętych ripost, kochana! – odparł z uśmiechem.

Przesłali sobie buziaki w powietrzu. Pod drzwiami kurii Alicja stanęła niemal zupełnie przemoczona.

Wszystko, co zobaczyła później, widywała już wiele razy, tyle że w innych miejscach. Nigdzie nie wydawało się jej to tak nieadekwatne jak tutaj, w tym budynku. Wydarzenia, których stała się świadkiem tuż po przekroczeniu progu, nie tylko sprawiły, że przestała zwracać uwagę na krople wciąż spływające z jej rzęs, ale zadała sobie również pytanie, czy na pewno weszła do kurii. Aurę spokoju i dostojności mąciły głośne, ostre słowa wykrzykiwane przez niespodziewanych gości.

– Złodzieje! Oszuści! Jesteście zwykłymi złodziejami!

Alicja usłyszała je, zanim otworzyła drzwi i zobaczyła dwoje gwałtownie gestykułujących ludzi. Siostra Teresa, pracownica kancelarii i ksiądz prałat z wydziału ekonomicznego próbowali uspokoić zarówno mężczyznę w średnim wieku, jak i nieco młodszą kobietę.

– Spowiadać ją niby przyjeżdżał, modlić się wspólnie z umierającą! Złodziej i kłamca!

Alicja dobrze wiedziała, że w każdym polskim miasteczku, w każdej wsi znajdują się osoby, które są w stanie oddać na rzecz Kościoła cały swój majątek. Tak jak Chrystus oddał wszystko za ich zbawienie.

Sytuacja, którą zastała w głównym holu kurii, niezaprzeczalnie

musiała być związana z jednym z takich przypadków. Słowa „oszuści”, „złodzieje”, „wyzyskiwacze” oraz „oddajcie, co podstępem zabraliście” były najbardziej przyzwoitymi ze wszystkich epitetów, które tam padły. Alicja doskonale wiedziała, że są w Częstochowie rodziny i niedoszli spadkobiercy, którzy z powodu zapisów w testamentach swoich rodziców zostali bez majątków. Bez spadków, na które czekali latami.

Po kilkunastu sekundach obserwowania niespodziewanej utarczki Alicja była niemal pewna, że państwo Czeladnik również zbierali zgniłe owoce takiej decyzji własnej matki. Wiesława Czeladnik zmarła dwa dni wcześniej, w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat. Przy okazji ostatniej spowiedzi, gdy jeszcze była władna ruszać ręką na tyle, by się podpisać, złożyła sygnaturę pod aktem ostatniej woli.

Testament nie pozostawiał wątpliwości: pani Wiesława bez wahania i z radością w sercu przekazywała działkę, dom i wszystkie znajdujące się w nim ruchomości na rzecz archidiecezji. Dzieciom, Józefowi i Anieli pozostawiając jedynie skromne oszczędności. Prawniczka dobrze znała sprawę, gdyż osobiście uczestniczyła w przygotowaniu tego dokumentu. Wiedziała również, że sam arcybiskup Jan Makowski pojawiał się u pani Wiesławy, tak jak teraz bywa u dziewięćdziesięcioletniej pani Marii. Testament pani Czeladnik został podpisany w obecności notariusza przy łóżku umierającej kobiety. Według relacji kapłanów, obie staruszki miały nie utrzymywać, bądź nie chciały utrzymywać kontaktu z rodziną. Kościół otoczył więc biedaczki opieką, bo – jak twierdził zarówno kanclerz kurii, jak i sam biskup pomocniczy Stanisław Walter –

rodziny tych kobiet miały lata temu o nich zapomnieć.

Alicja nie chciała łączyć wizyt biskupów z treścią wspomnianego testamentu. Nie chciała tego w ogóle, a już na pewno nie w tej chwili.

Sytuacja została szybko opanowana. Musiała trafić na końcówkę przedstawienia, ale w powietrzu wyczuwało się, że emocje narastały od dłuższego czasu.

Wszystkie te wydarzenia obserwował człowiek siedzący na krześle pod ścianą. Miał około czterdziestu lat i niezwykle wyraziste rysy twarzy, jakby narysowane grubym kawałkiem węgla. Alicja spojrzała na niego przelotnie, tuż po wejściu, ale po chwili przyjrzała się dokładnie. Pomyślała, że gość wygląda, jakby ktoś mu w miejscu głowy najpierw naszkicował niemal idealnie odmierzony kwadrat, a potem na środku odrysował nos, oczy i usta. Następnie namazał czarne gęste włosy przykrywające uszy. Poza tym na twarzy gościa była jedynie biała przestrzeń. Pustka.

Ten człowiek patrzył na nią i kiedy ich spojrzenia się spotkały, nieznacznie skinął głową. Alicja domyśliła się, że to właśnie ten mężczyzna poprosił ją o niezwłoczne spotkanie.

Podeszła, przedstawiła się i upewniła się, że czeka na nią. Ponownie kiwnął głową.

Weszli do niewielkiej salki konferencyjnej, którą Alicja zajmowała w trakcie wizyt w kurii. Wybrała miejsce u szczytu solidnego dębowego stołu. Mężczyzna usiadł dość daleko od niej. Dzielili ich trzy wolne krzesła. Nie uszło to jej uwadze. Podobnie jak bijąca od niego nieśmiałość. Poruszał się niepewnie, jakby wszystko, co widział dookoła, było dla niego zagadką. Kiedy

zapraszającym gestem skierowała go w stronę tego pomieszczenia, po drodze spojrział na nią jeszcze dwukrotnie, jakby upewniając się, że idąc w tym kierunku, nie sprawia jej jakiegoś problemu.

Minęła dłuższa chwila, zanim zapytany o powód wizyty mężczyzna przemówił.

– *Mienia za...* Nazywam się Wiktor Maleńkow. – W każdym jego słowie słychać było wyraźny wschodni akcent i wybrzmiewało dziwne zakłopotanie. Spojrział na Alicję wzrokiem, w którym kryło się zapytanie, czy to wystarczy, czy powinien mówić dalej.

– W czym mogę pomóc? – zachęciła go, aby kontynuował.

– Ja prije... prijechałem z Wierszyny. Eto takaja wieś na Syberii, niedaleko Irkucka – odpowiedział, niemal natychmiast sięgając do teczki. Alicja dopiero teraz zwróciła uwagę na strój swojego rozmówcy. Wszystko, co miał na sobie, zdawało się pochodzić z innej epoki. Wyglądał jakby założył garnitur swojego pradziadka. Taki, który znalazł po latach na zakurzonej strychu. Tak też pachniał. Biała koszula dawno pożółkła; teraz miała kolor przypominający kogel-mogel. Maleńkow przetarł stół rękawem czarnego, spranego garnituru, ostrożnie wyjął dokumenty z postrzępionej aktówki i położył na blacie.

W głowie Alicji zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza. Świeciła dość mocno, ale na razie nie pobierała zbyt wiele energii.

Tajemniczy gość rozłożył kilka papierów przed prawniczką, układając je w taki sposób, by nagłówek każdego kolejnego wystawał spod poprzedniego.

– Ja prawnuk Sobińskich – powiedział, przenosząc ponownie wzrok na prawniczkę i wtedy w głowie Alicji pobór mocy skoczył

do niebotycznych wartości. Wypowiadając te trzy słowa, Maleńkow zapalił wszystkie światła Galerii Jurajskiej, dodając do tego pracujące na pełnych obrotach czajniki elektryczne wszystkich mieszkańców jej bloku. Nie potrzebowała właściwie już żadnych innych informacji, by w pełni zrozumieć, jaki jest cel wizyty tego mężczyzny.

Tylko sprawa nieruchomości przy ulicy Zbierskiego w ostatnim czasie naprawdę obchodziła biskupa pomocniczego Stanisława Waltera. Odkąd podczas kontroli rzeczoznawcy odkryli w rozsypującym się dworku testament przedwojennych właścicieli, Alicja uczyniła wszystko, do czego obligowało ją prawo. Testament sporządzony przez Józefa Sobińskiego był krótki, ale nie dawał możliwości alternatywnych interpretacji. W przypadku nieodnalezienia prawowitego spadkobiercy, działka oraz stojący na niej dworek miały przejść w ręce Kościoła rzymskokatolickiego i stać się częścią majątku archidiecezji częstochowskiej.

I oto Maleńkow zjawia się cztery dni przed upływem terminu uprawomocnienia się decyzji sądu i wyklada na stół dokumenty unieważniające stwierdzenie nabycia spadku. Alicja zdała sobie sprawę, że właśnie w tej chwili nieśmiały przybysz niweczy jej pracę. A przede wszystkim burzy plany Stanisława Waltera.

– Ja prijechał w sprawie domu rodziny. Ojciec Karol Nowacki z naszego kościoła skazał mienia o dokumentach... że się znalazły... – dodał.

– Ma pan jakieś dowody na swoje pochodzenie? – zebrała się w sobie Alicja i zadała jedyne w tym momencie stosowne pytanie.

Maleńkow powoli wstał, podniósł leżące przed nim papiery i bez

pośpiechu podał je prawniczcze. Każdy jego ruch był ospały. Każdy jakby nieco spóźniony, jakby dokonany w ostatniej możliwej chwili. Nic dziwnego, że o przysługujący mu majątek upomniał się tak późno – pomyślała Alicja, obserwując swojego gościa.

Kiedy podszedł bliżej, Alicja zauważyła, że przybysz ze Wschodu jest nie tylko nieśmiały. Przede wszystkim był przestraszony. Tak jakby zjawiał się pod przymusem w studiu telewizyjnym i na oczach milionów musiał odpowiadać na trudne pytania. Spojrzała na pierwszy dokument. Akt urodzenia. Pobieżna znajomość cyrylicy pomogła jej w zrozumieniu treści. Maleńkow wyglądał na młodszego; w rzeczywistości urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku w Irkucku. Był synem Władysława Maleńkowa i Ludmiły Bobrin.

Alicja poprosiła go, by mówił dalej. Zaczął pewniej niż poprzednio i mimo że zastanawiał się nad niemal każdą głóską, jego opowieść i fakty zawarte w kolejnych pismach potwierdzały wcześniejsze słowa.

Jego rodzice już nie żyli, co poświadczały akty zgonu. Akt urodzenia jego ojca był najważniejszym dowodem. Władysław Maleńkow był synem Lidii Maleńkow, wcześniej Sobińskiej, która wyszła za Dymitra Maleńkowa po rychłej śmierci swojego ukochanego Józefa. Mocowanie się z surowym i ciężkim klimatem Syberii i wszechogarniającą tęsknotą za krajem było ponad siły wątłego pana Józefa, który nigdy nie odnalazł swojego miejsca na zesłaniu. Jako taki spokój znalazł dopiero kilka metrów pod ziemią, zmarł niecałe półtora roku po przymusowym wysiedleniu.

Pani Lidia była silniejsza od swojego męża i postanowiła

przetrwąć w tym dziwnym, nieprzyjaznym otoczeniu. Podczas dostarczania posiłków robotnikom pracującym przy wyrębie lasów poznała miejscowego kierowcę o imieniu Dymitr. Krzepki Rosjanin otwarcie przejawiał ogromny żal z powodu losu pani Lidii. Pomstował na tę część świata, w której przyszło mu się urodzić, a której nie umiał opuścić. Dymitr, podobnie jak pani Lidia, był silny i dzielnie znosił trudy życia na Syberii. Był miły dla pani Lidii; dzięki niemu zaczęła powoli akceptować miejsce, w którym przyszło jej się znaleźć. A ponieważ nie chciała przeżyć reszty swojego życia w samotności, postanowiła, że spędzi ją z Dymitrem Maleńkowem.

Po kilku latach małżeństwa wydała na świat syna Władysława, któremu opowiadała o Polsce i Polakach, o rodzinnej Częstochowie, o Jurze, ruinach zamków i o pięknych lasach. Opowiadała mu o Przenajświętszej Paniencie. Uczyła go języka polskiego i robiła bigos, żeby poznał smaki, które i ona poznawała, kiedy była w jego wieku. Nigdy jednak nie powiedziała o testamencie swojego pierwszego męża Józefa, bo albo nic o nim nie wiedziała, albo uznała, że tych ziem już nie ma i nie ma po co tam wracać.

Władysław dorósł i szybko poznał Ludmiłę, córkę wytwórcy cegieł, i jeszcze szybciej się zakochał. Miłość rozkwitła. Ludmiła wkrótce zaszła w ciążę, a stało się to tuż po tym, jak Władysław osiągnął pełnoletność. A tak naprawdę nawet wcześniej, do czego nie chciał się przyznać ani mamie Lidii, ani wcale dlań nie surowemu ojcu Dymitrowi.

Wiktor odziedziczył więc w znikomej części syberyjskie rysy

Ludmiły, Dymitra, a po trosze i Władysława, który przecież jedynie w połowie nosił w sobie polskość. Odziedziczył polskie smaki, mrozy tajgi i tundry, wytrzymałość Buriatów, Jakutów, Tatarów i tęsknotę Sybiraków.

Alicja zrozumiała, jak wielkim stresem musiała być dla Wiktora wizyta w Polsce. On nie znał świata. Podróż do kraju dziadków była dla niego wyprawą życia, nieśmiałą próbą sięgnięcia po lepsze życie. Droga z Wierszyny do Częstochowy musiała być dla niego niemal tak ciężka jak droga jego przodków w przeciwnym kierunku.

– To bolszoj trud, żeby tu przyjechać. U nas teraz charoszaja pogoda. Jeszcze nie zima. Droga do Wierszyny dobra dla aut. Ojciec Nowacki i dobrzy ludzie mienia pomogli – zakończył swoją opowieść Maleńkow.

Alicja musiała przetrwać uzyskaną właśnie wiedzę. Odłożyła plik dokumentów i zamyśliła się. Zastanawiała ją właściwie już tylko jedna rzecz. Jeśli ma kompleksowo przedstawić biskupowi Walterowi całą tę historię, potrzebowała wyjaśnienia jeszcze jednego szczegółu.

– W jaki sposób dowiedział się pan o testamencie pradziadka, panie Maleńkow?

– Ach tak, ja zabył eto skazać – zaczął. – Ojcu Nowackiemu skazał ksiądz Ryszard z parafii tu w mieście. Trzy tygodnie temu. Oni druzja. Ten ksiądz skazał o testamencie. Ojciec Nowacki od razu do mnie przszoł. Pomógł wszystko zorganizować. Często rozmawiamy z ojcem Karolem. To taki dobry człowiek. Bardzo pomaga – dokończył. W jego głosie słychać było wdzięczność.

Zastanowiło ją tempo przepływu informacji i pomocy ze strony księży. W głowie kłębiły się jej pytania. Czy takie rzeczy mogą być jedynie dziełem przypadku i dobrej woli? W czyim interesie było przekazanie aż na Syberię informacji o testamencie?

Alicja pojęła też, że pustka, którą dojrzała na twarzy swojego gościa, nie wynikała ze specyficznych rysów, ale była przejawem prostoty Maleńkowa. Zrozumiała, że Wiktor, niemal dosłownie, całą swą łatwowierność spakował do wytartej aktówki i zabrał ze sobą do Polski.

– Ma pan szczęście panie Wiktorze – powiedziała prawniczka. – Nie wiem, czy zdaje sobie pan z tego sprawę, ale zjawił się pan w ostatniej chwili. Ta ziemia za kilka dni należałaby już do Kościoła. Pomogę panu. Dzisiaj jest piątek i niewiele już załatwimy, spotkajmy się ponownie w poniedziałek. Ma się pan gdzie zatrzymać?

– Tak, ja prijechał do księdza Ryszarda. Ja przyjdę w poniedziałek. Dziękuję bardzo – odpowiedział, a na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Dobrze. Widzimy się więc o dziewiątej rano. Proszę przyjść tutaj – odparła Alicja.

Maleńkow przed wyjściem zostawił jej wszystkie dokumenty. Wszystkie, co do jednego, w oryginale. Była tak oszołomiona, że nie zaprotestowała. W zasadzie już wtedy myślała o tym, co czeka ją za chwilę, kiedy będzie przekazywała te rewelacje Stanisławowi Walterowi. W swojej krótkiej, ale intensywniej karierze pracowała z politykami, przedsiębiorcami, sportowcami i drobnymi przestępcami. Tylko na swoich pierwszych zawodowych

spotkaniach czuła niewielką treść. Wkrótce jednak wszyscy jej współpracownicy i znajomi zaczęli w żartach powtarzać, że idzie jak przecinak. Zawsze przygotowana i pewna siebie. Wiedziała, co chce powiedzieć, potrafiła dobrać słowa i doskonale czuła, jakich tematów unikać. Zawsze odważna i przebojowa. Czasem zbyt odważna. W kancelarii Waryński i Partnerzy koledzy czasem mówili na nią Xena, porównując do wojowniczej księżniczki z serialu. Nawet jej się to podobało. Mimo że dobrze wiedziała, że w ich ustach oznaczało to bardziej uszczypliwość niż podziw.

Jednak przed spotkaniem z biskupem zawsze czuła się niekomfortowo. Nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, ale Alicja bała się spotkań ze Stanisławem Walterem. W jakiś zagadkowy, właściwy tylko dla niego sposób, obezwładniał ją. Czuła, jakby podczas każdej wizyty zakładał jej kaftan bezpieczeństwa i nakazywał się z niego wydostać.

Sprawdziła w sekretariacie; Walter akurat miał przerwę w spotkaniach, więc powołując się na sprawę niecierpiącą zwłoki, weszła do jego gabinetu.

Już w pierwszej chwili zdeprymował ją jeden fakt. W wystroju tego miejsca nic co prawda nie przyciągało wzroku – na szarosinej ścianie wisiała panorama Częstochowy, w pokoju stało ciężkie biurko i kilka krzeseł w tym samym stylu. Jednak był w nim obecny człowiek, którego Alicja się nie spodziewała, który zawsze przyprawiał ją o dreszcze. Kiedy zobaczyła Juliana, na sekundę stanęła jak wryta. Ten krótki moment nie mógł uciec uwadze Waltera. On błyskawicznie wyłapywał takie chwile. Wychwytywał je. Rozkoszował się nimi.

Obecność Juliana mocno zbiła prawniczkę z tropu, jednak już w pierwszym zdaniu przeszła do rzeczy.

– Księżę biskupie, chyba mamy problem. Właśnie odbyłam rozmowę ze spadkobiercą nieruchomości po państwie Sobińskich – powiedziała na jednym wdechu.

Dostrzegła grymas niezadowolenia na twarzy biskupa. Nie spuścił z niej wzroku, ale jego oczy zwięzły się na chwilę, a na policzkach napięły się mięśnie. Zacisnął zęby, tylko na moment. A potem zapadła gęsta cisza, przerywana jedynie przyspieszonym biciem serca Alicji.

– Co to za człowiek? – odezwał się po chwili Walter z pewnym zaciekawieniem.

W skrócie zrelacjonowała mu niedawne spotkanie.

– I mówisz, moja droga, że przedstawił ci wszystkie dowody – powiedział, kiedy skończyła. – Czy to może te papiery, które trzymasz w dłoni?

– Tak, to te. – Podeszła bliżej i podała mu plik dokumentów.

Pobieżnie je przewertował. Następnie wstał z fotela i natychmiast schował wszystkie do sejf. Odwrócił się do osłupiałej Alicji i zadał jeszcze jedno pytanie:

– I mówisz również, że ta informacja została przekazana na Syberię przez naszego drogiego proboszcza Ryszarda?

– Tak, tak... – wydukała, wciąż nie do końca rozumiejąc, co się właśnie wydarzyło.

Biskup rozsiadł się swobodnie za biurkiem. Łypnął na Juliana, ale ten jak zawsze patrzył w jeden wybrany punkt w podłodze. Wiedział jednak doskonale, że Julian słuchał i usłyszał już

wszystko, co miało znaczenie. Z pewnością dużo bardziej niż prawniczka spodziewał się puenty Waltera.

– Nie będziemy się przejmować panem Maleńkowem – powiedział biskup.

Właśnie znowu założył Alicji kaftan bezpieczeństwa. Zdołała jedynie wydukać cztery słowa:

– Ale, tak nie można...

– Moja droga, nie będziemy przejmować się panem Maleńkowem – powtórzył o wiele bardziej stanowczo.

Mimo że siedział przed nią, Alicja poczuła, jak zawiązuje jej z tyłu rękawy kaftana i zaciska je. Zaciska je mocno.

ROZDZIAŁ 4

Stanisław

Piątek, 24 października 2014

Wieczorem w końcu został sam. Z wiekiem coraz bardziej tego potrzebował. Mimo pięćdziesięciu ośmiu lat był we wzorowej kondycji; jednak wraz z upływem czasu gromadziło się coraz więcej spraw, które musiał przemyśleć. Chwilami osaczały go problemy z dalekiej przeszłości, te powszechnie znane i takie, o których wiedzieli nieliczni. Były jednak z nim na tyle długo, że szybka reakcja w przypadku ich nagłego powrotu nie stanowiła dla niego problemu. Te historie tkwiły w nim i szły z nim przez życie, ręka w rękę, już od dziesięcioleci. Przyzwyczyił się do ich towarzystwa.

Dawne sprawy zostały przyćmione przez fakty z przeszłości nieco bliższej. Takie, które żyły i świeciły mocnym światłem. Wymagały koncentracji i uwagi na co dzień. Przypominały o sobie często. Zajmowały czas. Domagały się analizy. Każdy wniosek z nich płynący miał wpływ na to, co wysuwało się na pierwszy plan.

Priorytetowe dla Stanisława były właśnie sprawy bieżące. To

one miały obecnie największe znaczenie i kiedy o nich myślał, raz po raz czuł w głowie uderzenia ciepła, jakby każdy z tych faktów był oddzielnym, rozżarzoną węglem, który przepalał mu czaszkę od środka.

Wszystkie te warstwy były połączone. Wszystko, co działo się kiedyś, miało wpływ na to, co dzieje się dzisiaj. Wszystko, czego dokonał w przeszłości, wracało do niego teraz. Każda obecna decyzja miała swoje podłoże w tym, czego doświadczył wcześniej.

Dlatego potrzebował chwil sam na sam z sobą. Potrzebował ciszy, bo w niej znajdował odpowiedzi i decydował, co stanie się dalej.

Stanisław często myślał o sobie jak o pracowniku dużej firmy, która zatrudniała ponad siedmiuset pracowników, posiadała ponad pięćset działek, więcej niż dwieście dwadzieścia hektarów terenu i zarządzała dziesiątkami tysięcy dusz. Panował nad nimi i rządził słowem, w które od dawna wierzył mniej niż one.

Niewiele było w Częstochowie zdarzeń, nad którymi nie miałyby kontroli. Jego firma miała siedzibę w Alejach, jego brat Jerzy urzędował w komendzie na Popiełuszki. To absolutnie wystarczało, by w tym mieście rzeczy ważne nie działały się bez ich wiedzy, oficjalnej bądź cichej aprobaty. Co prawda ostatnio ich kontakty uległy znacznemu rozluźnieniu, co zwróciło uwagę Stanisława. Był jednak zbyt zaabsorbowany bieżącymi sprawami, aby głębiej się zastanowić nad przyczynami takiego stanu rzeczy.

Wypił łyk herbaty i spojrzął na zegarek. Dwudziesta pierwsza czterdzieści dziewięć. Pół godziny temu skończył konwersację z Robertem Kuleszą. Ciągle o niej myślał.

Radny był w ostatnich tygodniach jego najczęstszym rozmówcą. Niecierpliwił się, podobnie jak wiceprzewodniczący rady miasta, Zdzisław Franczak.

– Tak jak mówiłem wcześniej... na tę chwilę mamy jedną z trzech działek – powiedział Stanisław, kiedy radny poprosił go o potwierdzenie aktualnego statusu.

– A ten największy teren? Ten z dworkiem? Czekamy do środy i przyklepany, tak? – zapytał Kulesza. W słuchawce słyhać było płacz dziecka. Drugi syn Kuleszy urodził się niecałe dwa miesiące temu. Maluch nie dawał rodzicom spać. Stanisław wziął na to poprawkę i po raz setny w ciągu ostatnich dni potwierdził radnemu, że się nie myli.

– Tak, w środę będzie oficjalnie we władaniu Kościoła – odpowiedział, skrzętnie ukrywając fakt niespodziewanego pojawienia się spadkobiercy. Sprawę Maleńkowa chciał rozwiązać bez konsultacji z radnymi i bez wiedzy brata. Jerzy oddalił się ostatnio od niego, pewnie był zapracowany i miał mnóstwo własnych problemów. Stanisław postanowił, że nie będzie go angażował, że tym razem poradzi sobie bez jego pomocy. Już w trakcie spotkania z Alicją w głowie pojawił się mu plan, który początkowo przeraził nawet jego samego. W końcu jeszcze nigdy nie posunął się tak daleko. Ale im dłużej o nim myślał, tym bardziej przekonywał się do tego pomysłu, tym wyraźniej czuł, że to rozwiązanie najlepsze z możliwych. Jedyna opcja.

Tylko ta granica, którą musiał przekroczyć... Nie było jednak innego wyjścia. Przecież nie będzie się przejmował jakimś Maleńkowem. Miał świadomość, że prawdziwa konfrontacja

z prawniczką została jedynie odroczone. Wiedział, że Drylska wróci w poniedziałek i będzie walczyć o uczciwość. Ale cudownie odnaleziony spadkobierca niestety bardzo przeszkadzał im wszystkim w dopięciu planu. Za bardzo. Lepiej dla Drylskiej, żeby do niego nie dołączała, pomyślał Stanisław, jednak za dobrze znał życie, by uwierzyć, że Alicja odpuści.

Zbyt długo wraz z radnymi pracował nad tą sprawą, żeby teraz miała się rozbić o potomka Sybiraków. Maleńkow nawet nie miałyby pojęcia, co dokładnie począć z tą własnością. Oni za to wiedzieli doskonale.

– Musimy być cierpliwi, panie Robercie – dodał biskup. – W środę większość terenu będzie w naszych rękach. Na ostatnią część musimy jeszcze trochę poczekać, ale jestem optymistą i zakładam, że nie dłużej niż miesiąc – dopowiedział, myśląc z niechęcią o umierającej dziewięćdziesięcioletniej Marii. Mogłaby się pospieszyć. W końcu jej testament był już sporządzony i podpisany.

Z Kuleszą i Franczakiem pół roku wcześniej spotkał się Dariusz Grott. Grott sam już nie wiedział, czy był jeszcze Polakiem, czy już Niemcem. Operował przedziwną mieszaniną polskiego i niemieckiego, a najosobliwiej brzmiał wtedy, gdy próbował wypowiadać się pełnymi zdaniami. Mimo że Stanisław rozmawiał z nim tylko parokrotnie i do tego w przelocie, zawsze miał wrażenie, że słucha spowiadającego się, który nie potrafi nazwać swoich grzechów.

Dariusz Grott był królem plastiku; częstochowianinem, który to miasto i ten kraj opuścił jeszcze przed transformacją. Los gnał go

w różne miejsca na zachód od Odry, aż w końcu na stałe osiadł aż pod holenderską granicą, gdzie w Dolnej Saksonii, w miejscowości Gildehaus otworzył swój pierwszy zakład. Gospodarka rozwijała się w szalonym tempie, powstawały nowe dobra, nowe produkty, nowe zabawki, nowe urządzenia. Każdy Niemiec chciał mieć to, co nowe. Wszystkie te rzeczy trzeba było wyprodukować i... spakować. I Dariusz Grott wszystkie te rzeczy pakował.

A kiedy wyprodukował już opakowania w każdym możliwym kształcie i rozmiarze, zaczął sprzedawać tworzywa do produkcji tego, co nowe. W krótkim czasie wielu Niemców, Francuzów, Duńczyków, Holendrów, Belgów, a nawet Polaków mogło zakupić produkty wykonane w jednej z licznych wytwórni tworzyw sztucznych Dariusza Grotta. Biznes kwitł. Przedsiębiorca poradził sobie po drodze z wysokimi kosztami produkcji, protestami wpływowych ruchów ekologicznych i konkurencją.

Pewnego dnia wsiadł do jednego ze swoich ogromnych SUV-ów i pojawił się w Częstochowie z planem budowy zakładów produkcji tworzyw sztucznych na terenie miasta. Radni, z którymi spotkał się podczas pierwszej wizyty, zapamiętali przede wszystkim dwie rzeczy. Po pierwsze, komiczny widok mężczyzny przypominającego wyglądem Danny'ego DeVito, kiedy wysiadał ze swojego czarnego range rovera. Grott był niski, krępy i łyśiał. Nigdy nie stanowiło to dla niego problemu. Był przynajmniej charakterystyczny. Drugim faktem, który zwrócił uwagę miejskich urzędników, było dążenie Grotta, by zakłady stanęły gdzieś w obrębie miasta, a nie poza jego granicami. Tłumaczył to sentymentem do stron rodzinnych. Nie przekonywały go nawet

korzyści płynące ze zlokalizowania fabryki w specjalnej strefie ekonomicznej.

Wtedy Kulesza i Franczak przyszli do Stanisława Waltera. Wspólnie znaleźli możliwości i uzgodnili dogodne warunki. Ich realizacja była jedynie kwestią czasu. Niech i Częstochowa ma swój plastikowy epizod! – postanowili.

Po tym spotkaniu Stanisław pomyślał, że już nic w nim nie zostało z tego człowieka, który kiedyś planował uczynić Częstochowę miastem książek. Chciał, by była jedynym takim miejscem na świecie, w którym księgarni i antykwariatów jest więcej niż aptek, kawiarni i restauracji razem wziętych. Pragnął uczynić z Częstochowy miasto słowa, którego mieszkańcy mogliby dumnie mówić: „Przyjedź do nas, a znajdziesz tu każde kiedykolwiek napisane zdanie”. Tak naprawdę nigdy nie wykonał nawet jednego kroku, by do tego doprowadzić. Zresztą czy byłoby to w rzeczywistości zgodne z jego prawdziwą naturą? Nawet on sam w to nie wierzył. W Częstochowie miała więc powstać wytwórnia tworzyw sztucznych, a wszystkie zaangażowane w ten proces strony, łącznie z nim samym, miały dostać za to hojną zapłatę.

O dwudziestej drugiej trzydzięci położył się do łóżka. Wrażenia z poprzedniej nocy w katedrze i fakt, że zasnął właściwie dopiero nad ranem, sprawiły, że był bardzo zmęczony. Dlatego też cieszył się, że dziś jest sam i już niczego nie musi robić, o niczym myśleć. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Mimo wszystko sięgnął jeszcze po telefon i kolejny raz zadzwonił do brata. Jerzy ponownie nie odebrał.

Nawet jego zaskakiwał postępujący rozpad ich relacji. Pomyślał, że naprawdę blisko byli ze sobą dobre kilkanaście lat temu. Wtedy jeszcze żyli jak prawdziwe rodzeństwo, które interesuje się sobą nawzajem, pomaga sobie i stanowi choćby kontur prawdziwej rodziny. Jednak wszystko zaczęło się zmieniać, gdy ich wspólny przyjaciel z dzieciństwa, ich trzeci brat – jak zwykli go nazywać – trafił do więzienia. Obecnie braci łączyły już tylko więzy krwi i interesy. Jerzy odsuwał się od Stanisława stopniowo, ale konsekwentnie. Biskup wiedział, że powodem był wstyd i strach, które męczyły jego brata od lat. Sprawa Eryka nigdy nie została zamknięta i wisiała w powietrzu, gęstniejąc jak chmury na częstochowskim niebie. Stanisław był jednak zbyt dumny, by przyznać się do tęsknoty i samotności. Zbyt uparty, by zrobić w tej sprawie coś więcej niż wykonanie kilku telefonów. Do niedawna jeszcze rozmawiali, Jerzy co prawda rzadko odbierał, ale udawało im się zamienić kilka słów. Od jakiegoś czasu przestał i to najbardziej niepokoiło biskupa. A ich ostatnie, przelotne spotkanie w kurii zasiało jeszcze większy niepokój w jego głowie. Jerzy przyszedł z niespodziewaną wizytą, ale Stanisław czuł, że celem odwiedzin nie było braterskie spotkanie, tylko coś więcej. Coś, czego nie potrafił ani odgadnąć, ani zrozumieć.

Przyłożył głowę do poduszki, zamknął oczy i przed zapadnięciem w sen próbował przywołać w wyobraźni wydarzenia z zeszłej nocy. Nie mógł jednak tego zrobić. Obrazy z dalekiej przeszłości, które przychodziły do niego dziesiątki tysięcy razy przez kilkadziesiąt lat, także i teraz go dopadły. Stanisław nie zdołał zobaczyć siebie z wczoraj, kiedy był władczy, silny, dominujący.

Jedynę, co widział, to siebie, kiedy miał osiem lat. Siebie, kiedy miał lat trzynaście. Siebie chudego, wątłego, nijakiego. Siebie przestraszonego. Siebie zatykającego uszy, żeby nie słyszeć. Zatykającego uszy brata. Swojego ojca w brudnym białym podkoszulku i w zafajdanych majtkach. Ojca siedzącego na fotelu, ojca, który nie rozumie już w ogóle, co się dzieje, do którego nie docierają żadne słowa, nawet te, które jeszcze próbuje wyartykułować. Ojca, który wódkę pił już nie z kieliszków, ale wprost z butelki. Widzi ojca uderzającego matkę i mówiącego słowa, których mały Staszek miał nigdy nie wypowiadać. Takie słowa, których nie wolno im było zapamiętywać. Ani jemu, ani Jurkowi. A ojciec używał tych słów wobec ich matki. I mówił, że ich kocha nad życie, ale ich matki nie. Ich matki, która jest zwykłą kurwą i może ją mieć każdy. I że każdy ją miał, i teraz, i wcześniej, i zawsze, i on, ich ojciec, już dobrze o tym wie, aż za dobrze. I Stanisław widzi swoją matkę, która milczy. Nie patrzy na swoje dzieci. A potem Stanisław ma przed oczami siebie w wieku jedenastu lat. Chłopca, który nic nie widzi, bo ma zamknięte oczy i jest ciemno. W jego pokoju jest ciemno, ale w pomieszczeniu obok pali się światło. I w tym pokoju jego matka jest z mężczyzną. Ale to nie jest jego ojciec. Staszek nie wie, kim jest ten mężczyzna i nigdy się nie dowie. To inny mężczyzna niż ten, który był tu ostatnio. Ale matka lubi go tak samo jak tego poprzedniego. Ojca nie ma w domu, bo przecież gdyby ojciec był, to matka nie mogłaby robić tych rzeczy z tym mężczyzną. W domu jest jeszcze tylko jego brat Jurek. On też ma zamknięte oczy. Stanisław nie patrzy, ale wszystko słyszy. Mimo że zatyka uszy najmocniej, jak

może, to słyszy. Każdy jęk swojej matki, każdy jej stłumiony, gardłowy krzyk. I on też wrzeszczy za każdym razem, gdy słyszy jej głos. W środku. Tylko do siebie. Krzyczy tak, że nikt jego ryku nie słyszy. Ale on odpowiada na każdy jęk swojej matki. Jęk. Słyszę! Jęk. Słyszę!

Krzyk.

Słyszę!

Jęk, jęk, jęk.

Słyszę, słyszę, słyszę!

I Staszek krzyczy do momentu, aż mama i ten mężczyzna nie przestaną. I Staszek nienawidzi matki za to, co słyszy. Nienawidzi ojca za to, że go nie ma.

Zaczyna myśleć, że pewnie wszystkie kobiety są takie jak jego matka. I Staszek nie rozumie, dlaczego kobiety takie są. Chce, żeby jego matka przytuliła go naprawdę. Ale ona nigdy tego nie robi. Staszek rozumie coraz więcej i powoli traci cały szacunek do matki, choć tak bardzo chciałby ją kochać. Do matki, która powinna wiedzieć, że on słyszy.

Stanisław przewraca się z boku na bok i próbuje wyrzucić te obrazy z głowy. Siada na łóżku i wydaje z siebie krzyk, żeby przegonić te demony. Taki sam, jaki wydawał pięćdziesiąt lat temu. Tylko że tym razem głośny. Ten ryk rozpruwa ciszę w jego sypialni, ale obrazy nie znikają. I Stanisław tak jak nienawidził kobiet pięćdziesiąt lat temu, tak nienawidzi ich teraz. Boi się ich i gardzi nimi.

Mimo że boi się tego jeszcze bardziej, robi to samo, co robił kilkadziesiąt lat temu, żeby zapomnieć – zwraca się do Boga. Do

Boga, którego boi się jeszcze bardziej niż matki i ojca. Boga, który wie dokładnie, jaki Stanisław jest naprawdę. Boga, który widzi, kim Stanisław się stał. Boga, który słyszy każdy krzyk Stanisława z teraz i z wcześniej. Ma cichą nadzieję, że Bóg rozumie, dlaczego Stanisław jest właśnie taki, że wie, czemu Stanisław nie umie spojrzeć Bogu w oczy. Zwraca się do Boga i boi się. I tak jak za każdym razem, przed niemal każdym snem cicho płacze. Stanisław już doskonale wie, że przez dziesięciolecia Bóg nie uratował go przed samym sobą. I wie, że już nic się nie zmieni. Że jutro, kiedy się obudzi, znowu będzie silny i stłumi każdy krzyk. A potem historia się powtórzy.

Stanisław zasypia. Zasypia i o niczym nie śni.

Biskup śpi, a Częstochowa przygotowuje się na wszystko, co nadejdzie i musi nadejść.

ROZDZIAŁ 5

Profanum

Środa, 1 października 2014

Chciałabym nauczyć się grać na skrzypcach. Widzę siebie w roli skrzypaczki, prezentującej swoje solo na scenie naszej filharmonii. Albo Filharmonii Narodowej, w której wprawdzie nigdy nie byłam, a przecież tyle razy prosiłam męża, żeby mnie tam zabrał. Albo jakiegokolwiek innej filharmonii świata. Świata, który znam tylko z książek. Nigdy nie było mi dane namacalnie doświadczyć tego, co oglądam w albumach, muskając palcem lśniące strony wypełnione zdjęciami tego, co ta ziemia ma do zaoferowania.

Byłabym w tym dobra, wiem to. Mogłabym sprawić, żeby zgromadzeni w sali koncertowej czuli, że każdy dźwięk wydawany przez moje skrzypce jest dokładnie tym, który oni chcieliby usłyszeć. Byłby dokładnie tak subtelny, długi i przekonujący, jak by chcieli. Ten dźwięk rodziłby się nie w miejscu styku smyczka ze struną, ale w samym środku ich duszy. A ja zamknęłabym oczy i wyobrażałabym sobie postacie Mozarta, Beethovena, Chopina i Moniuszki. Kiedyś czytałam, że przed wojną ich rzeźby zdobiły

fasadę pierwotnego budynku Filharmonii Narodowej. Zamknęłabym oczy i wyobrażałabym sobie, że ci wirtuozi też mnie słuchają.

Moje mieszkanie ma niecałe sześćdziesiąt metrów. Jest otoczone dziesiątkami takich samych ponurych lokali. Tutaj nie mogłabym grać, nie mogłabym ćwiczyć. Bardziej niż jakość dźwięku, ludzie cenią tu ciszę. Dźwięk moich skrzypiec niósłby się wszelkimi szczelinami dokładnie tam, skąd nieraz czuję zapach obiadu przygotowanego przez sąsiadów. Ten dźwięk ostentacyjnie i bez pukania zjawiałby się w ich życiu i rujnował przekonanie, że w swoich czterech ścianach mają jakąkolwiek kontrolę nad swym losem.

A co najgorsze, te dźwięki denerwowałyby mojego męża.

Wróciłam dziś z pracy przed szesnastą. Na dworze było już zupełnie ciemno. Ciśnienie spadło tak nisko, że miałam wrażenie, iż wbiło się głęboko w nasiąknięty deszczem trotuar. Irek siedział na kanapie przed telewizorem, a ja wiedziałam, że cały dzień upłynął mu na przerzucaniu tych samych siedmiu kanałów, które mamy. Na satelitę przecież nas nie stać, a o dociągnięcie kabłówki spółdzielnia jeszcze nie zadbała. Dlatego siedzi całe dni z pilotem w dłoni i wciska dwa klawisze, błędząc po kanałach w poszukiwaniu sportu, którego na tych stacjach jest jak na lekarstwo. Irek wie, że go tam nie znajdzie, ale nieustannie szuka, zmienia kanały tak często, że starły się symbole strzałek na przyciskach.

Mam wrażenie, że od momentu, w którym pożar strawił nasz (jego!) sklep z dewocjonaliami, Irek nie wie, po co jeszcze znajduje się na tym świecie. Od dawna go o to nie pytałam, ale sądzę, że

gdyby miał określić swój cel w życiu, to powiedziałby, że jest nim śmierć. Kiedy widzę go każdego poranka, mam dojmujące wrażenie, że wolałby raczej umrzeć niż jeszcze trochę pożyć i martwi się, że znowu obudził się żywy. Od pożaru minęły już ponad dwa lata, a z nim jest coraz gorzej. Zachowuje się tak, jakby do tej pory tylko ten sklep miał dla niego jakąś wartość. Tuż po utracie większości naszego (jego!) dobytku, kiedy zrozumiałam, co się dzieje z moim mężem, starałam się pomóc mu na tyle, na ile potrafiłam. Sądziłam, że sama moja obecność będzie swoistą dotacją wspierającą dalszą część jego życia. Nie mogłam być w większym błędzie. Po kilku miesiącach dotarło do mnie, że gdyby nie ten sklep, nasze małżeństwo zawsze wyglądałoby tak, jak od dwóch lat. To właśnie w tych tandetnych figurkach, a nie we mnie, Irek ulokował wszystkie swoje uczucia. Szkoda tylko, że nie pomyślał, iż warto swoją miłość ubezpieczyć.

I co mu teraz zostało? Jedna, dosłownie jedna, w części zwęglona figurka anioła walczącego z człowiekiem owładniętym szatańską siłą węża. Anioł dominuje nad leżącym u jego stóp mężczyzną, oburącz trzyma włócznię, próbuje ugodzić nią bestię, nie robiąc przy tym krzywdy mężczyźnie. Obie postacie wtłoczone są w plastikową podstawkę, na której froncie znajdują się dwa słowa opisujące akt, który ma miejsce powyżej. Gdy figurka była nowa, napis głosił SACRUM/PROFANUM, ale płomienie stopiły dwie pierwsze litery sacrum, podobnie jak jedno ze skrzydeł anioła, dodając siły drugiemu ze słów i podkreślając to wszystko, co nam (jemu!) się przydarzyło.

Postawił tę figurkę tuż obok telewizora i patrzy na nią dzień

w dzień. PROFANUM wygrywa zarówno w tej scenie, jak i w nim, czyniąc z figurki żalostną kukłę, a przede wszystkim podkreślając zenującą świętoszkowatość mojego męża. Mojego męża – silnego, wierzącego, pożał się Boże, mężczyzny.

– Jesteś już w domu?! – woła, kiedy słyszy jak otwieram drzwi. A ja wtedy odpowiadam, że jestem, chociaż to, czy jestem, czy mnie nie ma, nie robi ani jemu, ani mnie już żadnej różnicy. Ale odpowiadam.

– Dobrze – mówi już ciszej, bo przecież chciał tylko potwierdzenia, że ja to ja. Nie pytał, czy wszystko u mnie w porządku, czy mam się dobrze, bo przecież wiadomo, że ja zawsze mam się dobrze. To on ma się źle.

Potem robię coś do jedzenia, skromnie, zważywszy na to, że mamy jedną pensję. Skromnie, ale ze smakiem, choć nie wiem, czy jemu smakowało, bo jemy osobno – ja w kuchni, a on przed telewizorem.

Mija kilkadziesiąt minut, a ja przygotowuję się do tego, co zaplanowałam sobie na wieczór. Nie, nie będę grała na skrzypcach, ale znalazłam swój cel. Zamykam się w małym pokoju i siadam przy biurku, kupionym jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Irek w tym czasie obejrzy turecki serial. Potem mi opowie. Uzna, że dobrze spędził ten czas. Czas, z którym już dawno stracił łączność i którego ma zbyt dużo.

Zanim dotknę czegokolwiek, zakładam gumowe rękawiczki. Potem wyrywam z zeszytu jedną kartkę. Dla pewności przecieram ją jeszcze chusteczką, choć nie wiem, czy to coś da. Powinnam poczytać o tym, jak nie zostawić odcisków palców. Mimo wszystko

mam nadzieję, że będzie dobrze.

Chwytam długopis i piszę odręcznie, mam raczej pospolity charakter pisma. Może jedynie długi i falowany ogonek przy „ą” i „ę” mogłyby zdradzić, że to moje. Wątpię jednak, by komendant Walter kiedykolwiek dotarł do tego, że to ja jestem autorką tych listów. A nawet jeśli, to co z tego? Nie robię przecież nic złego, wprost przeciwnie. Jestem superbohaterką. Przynajmniej w swoim mniemaniu.

Piszę powoli i z namysłem. Tekstu jest niewiele, ale każde słowo ma znaczenie. To będzie pierwszy z kilku listów. Zaczynam od Aldony.

„Aldona, lat 21, mieszkanka Kiedrzyna. Twój brat poznał ją półtora roku temu. Podobno płacił jej za seks; wciąż wymaga od niej posłuszeństwa. Ona nie umie się uwolnić. Twój brat jest złym człowiekiem. Sprawdź to.

Takich kobiet jest więcej. Spodziewaj się kolejnych informacji.

Tym kobietom trzeba pomóc”.

Składałam kartkę na pół i wkładałam do koperty, którą później wsuwam pomiędzy strony zeszytu. Dopiero kiedy mam pewność, że nie dotknę kartki, zdejmuję rękawiczki. Zadbam, żeby ten list dotarł do komendanta jak najszybciej.

Fakty, o których wiem, burzą świętość tego miasta. Stanowią jego prawdziwe i szokujące profanum. O wiele bardziej wstrząsające niż niezwęglony napis na figurce mojego męża.

ROZDZIAŁ 6

Alicja 1989

Sobota, 20 maja 1989

Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty. Jest maj. Dzień był słoneczny, teraz jednak już zmierzcha i panuje półmrok. Powietrze jest nadal przyjemne, choć już rześkie. Aura daje znaki nie tylko trwającej wiosny, ale i zbliżającego się wczesnego lata.

Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty i w Polsce poza nadejściem lata czuć już nadejście zmian. Zmian gwałtownych i trwałych. Zmian, które odmienią kraj, miasta, wsie i ludzi. Częstochowa czuje, że te zmiany nadchodzą. Częstochowa czeka na nie. Częstochowa czeka spokojnie i wytrwale. W Częstochowie jednak ciągle dzieje się niewiele.

Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty i sześćioletnia Alicja Drylska siedzi na tylnej, niezwykle szerokiej wówczas dla niej kanapie dacji 1310. Raz po raz wychyla się do przodu, wciskając głowę między przednie fotele, chcąc przyjrzeć się dokładnie, co też dziwnego z drążkiem zmiany biegów wyczynia jej ojciec. Kilkanaście minut wcześniej Paweł Drylski wkłada do odtwarzacza kasetę magnetofonową, mówiąc, że teraz

posłuchają zespołu, o którym niedługo będzie głośno w całej Polsce. Alicja przysłuchuje się, jak ojciec mówi do mamy, że cudem udało mu się załatwić to nagranie od kolegi. Nie rozumie słów o fladze, godle i wychowaniu, ale melodia wpada jej w ucho i Alicja słucha w milczeniu.

Siedząca z tyłu obok córki Zuzanna Drylska, podaje jej kanapkę zapakowaną w biały papier śniadaniowy. Alicja wraca na swoje miejsce, lekko uderzając plecami o oparcie kanapy i spogląda na swojego trzyletniego brata Jakuba, który niezdarnie gramoli się na kolana mamy. Ta wycieczka była dla niego męcząca, ma jednak jeszcze siłę i nie śpi.

Alicja w tym momencie nie wie jeszcze, że nie zdoła zjeść kanapki do końca, a to, co stanie się za kilka minut, wywróci jej młode życie do góry nogami i odciśnie na nim swe piętno. Nie tylko piosenka gwałtownie się urwie.

Alicja spędzi kolejne lata życia u babci, ale wtedy jeszcze tego nie wie. Gdy odpakuje kanapkę z serem, zastanawia się, czemu jest taka głodna. Zjadła tego dnia przecież ogromny obiad, dwa kawałki szarlotki na deser, a przed wyjazdem z Krakowa jeszcze trochę pasztetu domowej roboty i oczywiście kolejny kawałek szarlotki. Wypieki babci Jadzi smakowały jej bardziej niż ciasta mamy czy łakocie przygotowywane przez częstochowską babcię Zosię. Alicja ma tylko jednego dziadka. Dziadek Olek uwielbia patrzeć, jak mała Ala pałaszuje babciną szarlotkę. Jest szczęśliwy i dumny z syna, który nie dość, że z powodzeniem skończył trudne studia medyczne i znalazł dobrą pracę, to jeszcze zbudował tak przykłądną rodzinę. Dziadek Olek jest dumny z syna Pawła, ale

obecnie całą swą miłość przelewa na wnuki.

Alicja ma dwie babcie, lecz wydarzenia, które za chwilę nastąpią, sprawią, że ta krakowska zmieni się bardzo szybko i nigdy już nie będzie tą samą babcią Jadzią, która jeszcze niecałe trzy godziny temu serwowała jej ciasto na talerzyku w kwiatki. Okaże się, że układ nerwowy babci Jadzi nie wytrzyma próby, z którą za chwilę skonfrontuje ją los. Babcia Jadzia od tego momentu będzie już tylko smutna i chora. I jeśli Alicja miałaby to wówczas nazwać własnymi słowami, powiedziałyby, że babcia zrobiła się dziwna. Kobieta w istocie zatrzyma się i zamknie już do końca swojego życia właśnie w tej sobocie. Już zawsze będzie mówić do swojego syna Pawła, synowej Zuzanny i wnuka Jakuba. I widzieć ich tam, gdzie nie widzi ich nikt. A zanim dziewczynka przekroczy dziesiąty rok życia, nie będzie na świecie już ani babci Jadzi, ani dziadka Olka, który nie będzie potrafił pogodzić się z bolesnym końcem życia swojej długoletniej miłości i po roku dołączy do niej w Królestwie Niebieskim. A pomoże mu w tym dający o sobie nagle znać nowotwór. Alicji zostanie tylko babcia Zosia, bo częstochowskiego dziadka nigdy nawet nie zdążyła poznać.

Ale kiedy dziewczynka wgryza się po raz kolejny w babciną kanapkę, te fakty jeszcze nie nastąpiły. Uśmiecha się do mamy i patrzy na wzorki malutkich różyczek na jej lekkiej kremowej sukience i myśli, że bardzo śmieszy ją, że mama ma takie czerwone paznokcie u stóp. Choć w sumie to sama chciałaby takie mieć.

Alicja bardzo lubi te wycieczki do Krakowa, do babci, którą przecież widuje tak rzadko, dużo rzadziej niż babcię Zosię.

Są już coraz bliżej domu i Paweł Drylski skręca w prawo z drogi

krajowej numer jeden w aleję Pokoju. Tutaj wieczorami nigdy nie było zbyt bezpiecznie. Mimo że w Częstochowie mieszka dopiero od trzech lat, to zna opowieści Zuzanny o tej okolicy, więc na wysokości skweru Junaków podświadomie dodaje gazu. Stąd już i tak mają bardzo blisko do swego domu, położonego z dala od patologii starego Rakowa. Paweł zjeżdża z wiaduktu nad torami kolejowymi i niedaleko przed sobą widzi skrzyżowanie z ulicą Gilową, gdzie zamierza skręcić w lewo. Są jakieś pięćset metrów od domu. Jest już zupełnie ciemno, nie działa żadna z przydrożnych lamp na tym odcinku alei Pokoju.

Jakieś piętnaście sekund przed uderzeniem Paweł dostrzega zarys czegoś ciemnego na drodze. Taki szary prostokąt przypominający samochód jadący w ich kierunku. Wtedy jeszcze bagatelizuje ten fakt, traktując go jak zwidy, wynikające ze zmęczenia tygodniem pracy i intensywną sobotą. Ale już dziesięć sekund później ciemny kształt zamieni się w wyraźnie widoczny samochód, w jadącą bez świateł i z ogromną prędkością nysę 521-C. Paweł od tego momentu nie spuszcza z niej oka. Nysa gwałtownie skręca i niespodziewanie zmienia kierunek ruchu, przekraczając podwójną linię ciągłą zjeżdża na przeciwległy pas ruchu. Nie wiedzieć czemu, kieruje się na czołowe zderzenie z dacją.

Paweł, jak obliczyli później policyjni technicy, ma jedynie zero koma dziewięć dziesiątych sekundy na reakcję. Próbując uniknąć czołowego zderzenia, szarpie z całej siły kierownicę w prawą stronę. To wszystko, co może w tej sytuacji zrobić. Lekki skręt dacji w prawo powoduje, że największe siły zderzenia z nysą

skupiają się na lewej stronie samochodu. Na tej stronie, po której siedzą Paweł i Zuzanna. Mały Kuba w momencie uderzenia zainteresowany jest bardziej tym, co robi jego siostra; zastanawia się, czemu kręci korbką. Alicja akurat otwiera szybę. Paweł przed wypadkiem wie, że w tym samochodzie jest jedyną osobą, która w pełni zdaje sobie sprawę, co się za chwilę stanie. Ale nie zdąży nawet wydać z siebie głosu. Usłyszy jedynie śmiech Kuby i pomyśli przed śmiercią, że jeżeli to ostatni dźwięk, jaki słyszy w życiu, to jest to bardzo dobry dźwięk.

W ułamku sekundy po uderzeniu szyja Pawła nienaturalnie wygina się do tyłu. Potem szybko wraca, pchając głowę w stronę klatki piersiowej. W tym samym momencie wtłaczana przez silnik do wewnątrz kierownica wbija się w jego pierś. Paweł ginie na miejscu.

Gdyby te zdarzenia nie dotyczyły jego samego, mógłby fachowo i ze szczegółami stwierdzić, że złamany kręgosłup, przerwany rdzeń kręgowy, zgniecenie klatki piersiowej, ucisk naczyń krwionośnych i odcięcie dopływu krwi do mózgu spowodują natychmiastową śmierć. Jako młody chirurg urazowy wiedziałby również, że obrażenia wewnętrzne, jakich doznaje w tym samym czasie Zuzanna, a przede wszystkim szkło, które przecina jej tętnicę szyjną, skutkuje jej zgonem.

Paweł Drylski nie zdąży więc już nawiązać do tradycji częstochowskich nauk medycznych i nie zostanie drugim Władysławem Biegańskim. A kiedy wspólnie z Zuzanną zdecydowali, że po studiach przyjmie pracę właśnie w Częstochowie i to z tego miasta uczynią swoje miejsce do życia,

śmiali się, że będzie właśnie Biegańskim tutejszej urazówki. Decydowali również wówczas, że Zuzanna przez pierwsze lata zajmie się dziećmi i domem, a swą prawniczą praktykę rozpocznie po prostu kilka lat później.

Jak się okaże, pijany kierowca nysy i kilku rozprasających go kolegów zrujnują te plany już niemal na samym ich początku. Goryczy tej sytuacji nie złagodzi ani śmierć prowadzącego auto, który również zginie na miejscu, ani ciężkie obrażenia pozostałych trzech mężczyzn podróżujących bladoszarym samochodem dostawczym.

Alicja zdoła odsunąć szybę do końca, co, jak się momentalnie okaże, będzie miało zbawienne skutki. Chociaż z drugiej strony może właśnie wręcz przeciwnie. Uderzenie sprawi, że Alicja złamie rękę w nadgarstku i zrani się w przedramię. Blizny po tych zdarzeniach będą widoczne długo, ale znikną, zanim dziewczyna osiągnie pełnoletność. Uderzając głową w przedni fotel pasażera, Alicja dozna silnego wstrząśnienia mózgu, wybiję jeden zęb i straci przytomność.

Otwarta szyba pozwoli małemu Jakubowi wyjść z tego wypadku niemal bez szwanku. Siła odśrodkowa wyrzuci trzylatka, który niczym pocisk wyleci na zewnątrz, zaliczając jedynie liczne siniaki i otarcia podczas kontaktu z asfaltem. Minie dłuższa chwila, zanim zdezorientowany, przestraszony, ale przytomny Kuba zacznie płakać. Jego płacz będzie mocny i głośny. Jego płacz przetnie ciszę, która nastąpi, gdy tylko przelatująca nad dacią nysa grzmotnie o szosę, przewróci się na lewą stronę i sunąc ze zgrzytem po asfalcie, uderzy w barierkę. Spowoduje to dotkliwe obrażenia

głowy i twarzy pasażerów furgonetki. Dwóch z nich nie pozna się w lustrze, kiedy kilka dni później po raz pierwszy spojrzą w nie na szpitalnym łóżku.

Wypadek z odległości stu metrów widzi mężczyzna. Mężczyzna wraca właśnie z odwiedzin u znajomego. Często zagląda na Limanowskiego. Zapuszcza się w rejony, które Paweł i Zuzanna zawsze omijali szerokim łukiem. Jednak on bywa tam często. Szczególnie lubi odwiedzać te strony w sobotę, kiedy jego koledzy piją razem w barze, wymieniając smutne spostrzeżenia na temat swych nic niewartych i brzydkich wybranek. On nie ma żadnej kobiety i jest całkiem sam, ale bardzo chętnie słucha opowieści kolegów. To karmi jego nienawiść i pozwala zapomnieć o tych kilku kobietach, na których kiedyś mu zależało. To pozwala mu złagodzić bolesne poczucie odrzucenia i zapomnieć o narastającej, przytłaczającej samotności, o podświadomej tęsknocie za rodziną i dziećmi.

Tego wieczoru idzie wzdłuż alei Pokoju po przeciwnej stronie niż tory tramwajowe. Chodnik jest dość wąski, ale mężczyzna umie utrzymać się w jego obrębie. Tego dnia nieco oszukiwał i co drugi kieliszek wylewał pod stół. A kiedy koledzy byli już mocno wstawieni, przestał pić w ogóle.

Widzi więc dokładnie, kto jest sprawcą tego wypadku. Kiedy wszystko cichnie i nie słyhać jeszcze płaczu Kuby, mężczyzna nie zwalnia kroku. Idzie szybko, miarowo. Rozgląda się dookoła, ale nie dostrzega nikogo. Wygląda na to, że jest jedynym świadkiem zdarzenia. Jest tak ciemno, że nie może być tego jednak pewien. Właściwie nigdy nie będzie, a przestanie o tym myśleć dopiero po

kilku latach. Mężczyzna znajduje się na wysokości dacji w momencie, w którym Jakub rozpoczyna swój lament. Mimo że obrzydza go widok zakrwawionej Zuzanny, którą dostrzega kątem oka, mężczyzna podchodzi do Jakuba. Bierze go na ręce. Ostrożnie. Na tyle delikatnie, że chłopiec przestaje płakać. Powodem tego może wcale nie być sposób, w jaki trzyma go mężczyzna, a zdziwienie Jakuba. W okolicy znowu zapada zupełna cisza. Kuba pierwszy raz w życiu patrzy w oczy tego mężczyzny. Boi się, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Prawie się nie rusza.

Mężczyzna jeszcze raz rozgląda się i ponieważ dalej jest sam, a z żadnego z aut nie dobiegają znaki życia, rusza przed siebie. I kiedy skręca w prawo w ulicę Gilową, mówi cicho do malca:

– Zabiorę cię do siebie, mały chłopczyku i będzie ci dobrze, zobaczysz – mówi na tyle cicho, że słyszy go tylko trzyletni Jakub Drylski.

Ale echo tych słów przyswaja Częstochowa i zapisuje na swych kartach, by w przyszłości uczynić z nich jeszcze użytek.

ROZDZIAŁ 7

Jerzy

Piątek, 24 października 2014

Dochodziła północ i Jerzy powoli kończył przesłuchiwanie nagrań. Przez dwa tygodnie zebrał materiały, które mogłyby dać podstawę do aresztowania i skazania bez żadnych wątpliwości. Podłuch na tylnej ścianie oprawy obrazu przedstawiającego panoramę Częstochowy założył podczas niby przypadkowej wizyty w kurii. Stanisław wyszedł wówczas na chwilę do gabinetu sekretarza. Jerzemu wystarczyło dwadzieścia sekund. Z tego pięć sekund pochłonęły ostatnie wątpliwości. Stanisław niczego nie zauważył, ale dłuższą chwilę patrzył na brata nieufnie. Komendant wiedział, że sam fakt jego wizyty jest dla biskupa podejrzany. Ich spotkanie trwało jedynie kilka minut, a rozmowa, którą wówczas odbyli, nie wymagała niespodziewanej wizyty.

– Z Grottem wszystko uzgodnione? – spytał Jerzy.

– Tak – odpowiedział brat, skanując go swym przenikliwym spojrzeniem.

– Rozumiem, że masz wszystko pod kontrolą? – dopytał retorycznie, uciekając wzrokiem w stronę okna.

– Tak.

Atmosfera spotkania gęstniała z każdą chwilą i Jerzy czym prędzej wyszedł, zostawiając Stanisława ze stosem domysłów.

O tym podsłuchu wiedział jednak tylko on. I tylko on był świadomy, co się z tym wiąże. Słowa, które później padały w gabinecie jego brata, nie tylko zbiegły się z jego przypuszczeniami, ale nawet je przerosły.

Jerzy wyłączył komputer i spojrzął na figurki żużlowców stojące na biurku. Było ich kilkanaście, a każda wiązała się z innym ważnym dla niego rokiem. Stali tam zawodnicy z lat odległych i tych bardzo współczesnych. Wziął do ręki pierwszą z lewej i uśmiechnął się do siebie.

Ten, który zrobił wiele dobrego – pomyślał i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Jerzy miał osiem lat, kiedy starszy o pięć lat Staszek zabrał go na stadion przy ulicy Olsztyńskiej. Wymknęli się wówczas z domu, zabierając ze sobą przyjaciela z podwórka. Wtedy Eryk był dla nich jak trzeci brat. Wspólnie kolekcjonowali wspomnienia i blizny na kolanach.

– Zobaczycie, ten chłopak robi dla Włókniarza jeszcze wiele dobrego – mówił Staszek o osiemnastoletnim Marku Cieślaku. – Mówię wam, widziałem, jak jeździ na treningach. Obserwujcie go, zobaczycie, że on nie ma w sobie strachu!

Jerzy wówczas jeszcze nie słyszał o młodym żużlowcu, ale wiedział za to, że na żużel chodzi się, by patrzeć na popisy Stanisława Rurarza. Jego jazdą zachwycał się wtedy każdy kibic. Tylko że Rurarz był już wtedy u schyłku kariery, a Cieślak miał

w przyszłości decydować o sile częstochowskich Lwów. Staszek wiedział więcej od Jurka i nie mylił się co do Cieślaka. Staszek wówczas rzadko się mylił. W zasadzie nigdy nie zachowywał się niewłaściwie. Potrafił ochronić młodszego brata przed każdym złem. Pocieszał go, kiedy rok później mały Jurek płakał z powodu spadku ukochanego klubu do drugiej ligi.

– Spadli tylko po to, żeby znowu awansować. Daję im rok, dwa i znowu będą w pierwszej lidze. Zobaczysz, mały! – mówił wtedy Staszek i miał rację. Po dwóch latach świętowali powrót Włókniarza do pierwszej ligi.

Był z nim, kiedy dwunastoletni Jurek nie mógł się uporać z informacją o tragicznej śmierci Marka Czernego na torze w Rzeszowie.

– Mały, nic na to nie poradzimy. Taka była decyzja Pana. Możemy tylko pogodzić się z jego wolą – uspokajał łkającego brata.

Stanisław odnalazł wtedy już własną ochronę. Znalazł ją w modlitwie. Jurek obserwował, jak niewidzialna moc wypełnia jego brata i każe mu kroczyć przez życie bez wstydu i z przebaczeniem. Ta siła była dla Stanisława tym, czym dla Jurka były ręce brata zakrywające mu uszy, by ten nie słyszał tego, co dzieje się w pokoju obok. Była dla Stanisława tym, czym dla Jurka były wypowiedane przez starszego brata słowa pocieszenia. Ta siła dawała Stanisławowi poczucie, że nie jest sam.

I co się, kurwa, stało, że ty, bracie, przestałeś robić tyle dobrego, do cholery! – ta myśl ponownie dała o sobie znać. Pulsowała mocno i Jerzy czuł, że ból głowy niemal rozsadza mu czaszkę.

Stanisław zachowywał się właściwie bez zarzutu wiele lat. Jerzy pamiętał, że było tak bardzo długo. Aż nadszedł czas, kiedy Stanisław kompletnie się zmienił. Tak jakby te wszystkie głosy z przeszłości przedarły się przez palce, którymi zakrywał uszy i dotarły przewodem słuchowym do błony bębenkowej. Wszystkie naraz. Jakby jego brat Staszek nie znalazł w sobie dość siły, by po raz kolejny się temu przeciwstawić.

Jerzy był gliną prawie trzydzieści lat i miał przecucie. Miał nosa. I choć wiedział, że się nie myli, musiał zyskać stuprocentową pewność.

Informacje zdobyte na podstawie podsłuchu w gabinecie Stanisława zostawił dla siebie. Mimo że wahał się kilkakrotnie, nie podzielił się tymi faktami z Marczukiem. Jerzy nie miał nikogo, komu mógłby bardziej zaufać niż naczelnikowi. Ale ta sprawa była zbyt duża. Te fakty były zbyt mocne, zbyt bolesne, by tak po prostu o nich opowiedzieć. Nie dotyczyły sprawy związanej z dworkiem i działką po Józefie Sobińskim. Tę sprawę Jerzy dobrze znał. Znał ją też Marczuk. Nawet oni nie mogli i nie zamierzali odrzucić szansy na kilka nowych radiowozów i remont paru pomieszczeń na Trójkącie. Zresztą ta sprawa i tak nie ujrzy światła dziennego, tego był pewien. W tym mieście takie rzeczy nie wypływają na powierzchnię, dbał o to osobiście.

Jeśli podejrzenia Jerzego jednak się sprawdzą, wszyscy dowiedzą się, jakie głosy słyszy w głowie Stanisław, poznają żądze, które nim zawładnęły.

Jerzy nie odezwał się słowem do Marczuka, kiedy naczelnik kryminalnego spytał, dlaczego komendant chce objąć numer

telefonu brata podsłuchem telekomunikacyjnym. Doskonale wiedział, że te powody pozna niedługo każdy. Nie tylko Marczuk, ale też wszyscy z miejskiej i wojewódzkiej. Wkrótce ten podsłuch będzie już oficjalnym źródłem dowodowym.

– Widocznie taka jest decyzja Pana. Możemy tylko pogodzić się z jego wolą – szepnął do siebie komendant Jerzy Walter. – Przykro mi, Staszek. Bardzo mi przykro.

Czuł się jak w obustronnym szachu. Wiedział, ile w swym życiu zawdzięcza bratu. Z drugiej strony nie umiał pozostać obojętny na zło, którego dokonywał Stanisław. Nie umiał uciec od swej policyjnej natury i przyzwyczajień.

Odłożył figurkę Marka Cieślaka na miejsce i skierował się w stronę łóżka. Zanim zasnął, jeszcze raz przywołał w myślach treść jednej z wiadomości, która kilka tygodni wcześniej dała początek temu wszystkiemu...

Pamiętał każde słowo i każde z nich bolało go tak samo. Podczas tej nocy, jak i podczas wielu kolejnych, nie mógł zasnąć. Mimo że przecież w pokoju obok światło było zgaszone i było cicho.

ROZDZIAŁ 8

Juliusz

Sobota, 25 października 2014

Deszcz nie przestawał padać ani na chwilę. Zdawał się po zachodzie słońca przybierać coraz bardziej basową nutę, która stała się tłem dla wszystkich pozostałych odgłosów miasta. To zza tej drażniącej osnowy raz po raz, głośniejsz bądź ciszej, przedostawały się do uszu mieszkańców inne dźwięki. Tylko że odgłosy kościelnych dzwonów, ruchu ulicznego czy tramwajów wydających swój charakterystyczny stukot na łączeniu szyn były dwukrotnie cichsze niż zwykle. Dwukrotnie odleglejsze niż zwykle. Dwukrotnie mniej istotne. A poza tymi dźwiękami nie było w Częstochowie właściwie już żadnych innych dźwięków. Nie było tupotu tysięcy butów w Alejach. Nie było płaczu dziecka, któremu inne dziecko zajęło huśtawkę albo zabrało ulubione wiaderko. Nie było żywiołowych rozmów przyjaciół idących bez większego celu przez miasto. Te wszystkie odgłosy pozostały w zamknięciu. We wnętrzach mieszkań, domów i pubów. Nikt nawet się nie kwapił, by uchylić okno i przemycić nieco tych brzmień do reszty miasta. Zaszyci w cichych i suchych wnętrzach mieszkańcy nie chcieli już

nawet słyszeć zewnętrznego szumu.

Taki stan bardzo odpowiadał Julianowi. Mógł niezauważony obserwować teren kościoła pod wezwaniem Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa. Od ponad dwóch godzin przemieszczał się w trójkącie pomiędzy ulicami Jana Pawła II, Dąbrowskiego i Chłopickiego. W sobotę wieczorem w kościele nie było żadnej mszy świętej, a większość wiernych w taką pogodę wolała pomodlić się w swoim domu, niż udać się do Domu Bożego.

Julian nie zwracał uwagi na lejącą się z nieba wodę. Biskup kupił mu nieprzemakalne ubranie. Odpowiednie do aury i zadania, jakie miał wykonać. Turystyczne spodnie z kieszeniami na bokach, ziemiste buty, kurtka w szarobrązowe moro sprawiały, że wyglądał jak myśliwy, którym tego dnia był. Julian czekał na swoją zwierzynę.

Biskup nie pytał, jaki sposób wybierze. Nie obchodziło go to, bo przecież oficjalnie nie wiedział, co robi Julian.

„Znajdź Maleńkowa. Pozbądź się go” – biskup nakazał tylko tyle. Reszta należała już do Juliana.

Wierny sługa Stanisława Waltera udał się do parafii księdza Ryszarda i zaczął cierpliwie czekać na dogodny moment.

Ksiądz Ryszard nie jest dobry. Ksiądz Ryszard zapomniał. Jest niewdzięczny. Musi być ukarany. Julian musi go ukarać. Ale nie teraz. Jeszcze nie teraz. Julian nie robi tego teraz. Zresztą i tak zajmie się nim biskup. Dzisiaj Julian musi pozbyć się Maleńkowa. Bo Maleńkow jest teraz problemem. Julian pomoże biskupowi. Każda z tych fraz pojawiała się w jego głowie w prześwitach czarnej pustki. Pojedyncze zdania wybrzmiewały po kolei,

wychodząc z czerni i chowając się w niej ponownie. Julian myślał krótkimi, urywanymi zdaniami. Mówił tylko sylabami. Julian dobrze zapamiętywał. Kodował. Realizował. Nigdy nie wychodził poza ramy swoich zadań. Jego umysł był tak zaprogramowany, by zawsze być wiernym sługą. Teraz był wiernym sługą Kościoła i Stanisława. Chciał mu pomóc w sprawie, w której tak mocno zawinił ksiądz Ryszard.

Niedobry ksiądz Ryszard. On jest winny. Jest winny.

Proboszcz Ryszard Kozera był dłużnikiem Stanisława Waltera. To właśnie biskup zapewnił mu tak rozległą i bogatą parafię. Ksiądz Ryszard walczył o jak największy teren w tej majętnej części miasta. Zawsze mu się wydawało, że jego obszar jest zbyt mały, a proboszcz z parafii przy ulicy Zajęczka zabiera mu zbyt duży kawałek tortu. I właśnie Walter doprowadził do zmiany, dzięki której parafia Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa objęła swym zasięgiem wszystkie znaczące posesje przy ulicach Kilińskiego, Dąbrowskiego i ich najważniejszych przecznicach.

W tym obszarze znalazł się również opuszczony dworek Sobińskich. O cudownym zrządzeniu losu, jakim było odkrycie przedwojennego testamentu w niszczejących murach dworku, księdza Ryszarda poinformowała jedna z parafianek. On z kolei przekazał tę wiadomość ojcu Karolowi Nowackiemu, swojemu staremu przyjacielowi z seminarium, który obecnie świadczył posługę misyjną na dalekiej Syberii. Powiedział mu o tym w jednej z rozmów telefonicznych, które odbywali raz czy dwa w miesiącu. Wspomniał o tym jak o ciekawostce, nie przypuszczając, że nada tym samym dalszy bieg historii sprzed lat i doprowadzi do

odnalezienia spadkobiercy przedwojennych właścicieli. Nie miał pojęcia, że nieświadomie wyda w ten sposób na niego wyrok i ześle na siebie gniew wpływowego biskupa.

Julian ukrył się za jednym z zaparkowanych aut i bacznie obserwował otoczenie kościoła. Mógł tak stać niezauważony przez wiele godzin. W Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w sobotę nie było nikogo, a do okien najbliższego bloku było więcej niż pięćdziesiąt metrów i w tej ciemności bez noktowizora nie dało się go dostrzec.

Brama terenu kościelnego była otwarta. Wąskie okna znajdujące się na tyłach kościoła zdradzały, że wewnątrz świątyni skryte jest w półcieniu światła świec i nielicznych palących się żarówek. Budynek plebanii był niemal niewidoczny w tej szarudze. Można go było dostrzec jedynie dzięki światłu zapalonemu na pierwszym piętrze. Właśnie tam godzinę wcześniej Julian pierwszy raz zobaczył Maleńkowa, który pojawił się w oknie na kilka sekund i zniknął.

Julian nie był jeszcze wtedy do końca pewien, czy to właśnie ten człowiek jest jego dzisiejszym celem. Nigdy przedtem go nie widział, a prawniczka nie opisała go zbyt szczegółowo. Kojarzył twarze większości osób, które o tej porze mogłyby kręcić się po plebanii. Swoje przypuszczenia potwierdził kilka minut później, kiedy Maleńkow wraz z jedną z sióstr przeszedł z plebanii do kościoła. Julian bezszelestnie przybliżył się wówczas do bramy i wychwycił kilka słów wypowiedzianych przez tego człowieka do zakonniczki. Mężczyzna musiał mówić podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć hałas rzęsistego deszczu. Każde z tych słów dotarło

wtedy również do uszu Juliana. Usłyszał również specyficzny wschodni akcent tego mężczyzny. Narzekał na pogodę, a Julian pomyślał, że deszcz jest jego sprzymierzeńcem i ułatwi mu zadanie.

Maleńkow wyjdzie. Maleńkow będzie wracał. Zaraz. Wtedy Julian to zrobi. Julian wymierzy mu karę. Maleńkowa nie powinno tu być. Julian się go pozbędzie. Pomoże biskupowi.

Chłopak włożył prawą rękę do kieszeni, sprawdzając, czy jest tam nóż. Wiedział, że go tam znajdzie, ale lubił go dotykać. Każdy kontakt z tą rękojeścią powodował u niego przyjemny dreszcz. Chwycił ją mocniej i zaczął myśleć nad tym, co robi za kilka chwil. Wiedział, że Maleńkow będzie miał do przejścia jakieś dwadzieścia metrów. Zamierzał do niego doskoczyć. Chciał, żeby trwało to bardzo krótko. Przecież nikt nie mógł zauważyć, co się dzieje. Jeśli Maleńkow wyjdzie sam, Julian chciał od razu wypełnić swą misję. Jeśli nie będzie sam – poczekać i zrobić to w nocy, kiedy wszyscy zasną.

Cztery minuty później w drzwiach pojawił się Maleńkow. Okrążył łukiem filar po lewej stronie i prędko skierował się w stronę plebanii. Szedł bardzo szybko, niemal podbiegał. Julian błyskawicznie znalazł się przy bramie wjazdowej i stanął za drzewem rosnącym tuż za nią. W tym miejscu był prawie niewidoczny, chociaż i tak jego sylwetka w tym stroju i z nałożonym kapturem przypominała bardziej cień niż faktyczną postać.

Przed atakiem sprawdził jeszcze tylko dwie rzeczy. Czy nikt niespodziewany nie wychodzi akurat z plebanii oraz czy dostatecznie mocno ściska swój nóż. Wszystko się zgadzało. Rzucił

się biegiem na mijającego go w odległości paru metrów Maleńkowa.

Jego ruchy były płynne, był niczym zwierzę w swym naturalnym środowisku. *To jest twój moment, dziecińco. To jest twoja chwila.* W takich momentach w jego głowie zawsze grał *Rok 1812* Czajkowskiego. Każdy krok stawiał w rytm uderzeń bębnow w tym utworze. Bum, bum, bum. Dotarł do Maleńkowa właśnie wtedy, kiedy w jego głowie rozbrzmiał wystrzał armatni. Julian cały był tą muzyką. Cały był uwerturą. W uniesieniu chciał, by jego akt był niezapomniany. Niepowtarzalny. Dlatego w trakcie ostatniego kroku uniósł wysoko rękę trzymającą nóż. Bum! Wyglądał jak baletmistrz. Jak tancerz w maskaradzie. Mimo że nie zatrzymał się ani na chwilę, mogło się wydawać, że w ostatnim momencie przed zadaniem ciosu zastygł w bezruchu w pozycji niemal idealnej. Akurat wtedy, kiedy w uwerturze, którą słyszał w głowie, nastął niemal niemożliwy do wychwycenia ślad ciszy. Maleńkow w ostatniej milisekundzie przed uderzeniem odwrócił się. Tak jakby wyczuł, że tuż za nim rozgrywa się ekstatyczny akt. Tak jakby usłyszał, że tuż za nim gra muzyka. Ten nagły ruch pozwolił mu uniknąć śmiertelnego ciosu. Julian, zamiast wbić nóż w szyję ofiary, zgruchotać jej drogi oddechowe i przeciąć tętnicę, trafił nim w bark tuż za obojczykiem.

Maleńkow zawył z bólu i przewrócił się, pociągając za sobą zdeorientowanego napastnika. Po upadku przeturlał się przez prawe zranione ramię i wylądował na plecach. Julian szybko przygniótł swą ofiarę do ziemi, chcąc zadać ponowny cios. Nie spodziewał się, że Maleńkow w ogóle będzie się bronił. A tym

bardziej nie przypuszczał, że zaskoczony mężczyzna będzie tak silny i tylko lewą ręką powstrzyma kolejny zamach Juliana. Był silniejszy, niż na to wyglądał. Julian dalej słyszał rytm uwertury i miał wrażenie, że jego rywal również porusza się w takt muzyki, która rozbrzmiewała w jego głowie. Maleńkow odpychał go nawet prawą, okaleczoną ręką. Żaden z nich nie zdobywał przewagi i na kilka sekund zastygli w bezruchu, wkładając całą swoją energię w przepchnięcie noża.

Byli już u kresu sił, kiedy usłyszeli donośny krzyk, który przedarł się przez szum padającego deszczu. Przedarł się przez odgłosy bębnów grających w głowie Juliana.

– Pomocy! Morderca! Pomocy! – wołała przerażona siostra, która właśnie wyszła z kościoła.

Julian w ułamku sekundy ocenił sytuację. Poluzował nacisk i odskoczył od Maleńkowa. Jego ofiara dyszała ciężko, ale żyła.

Jesteś szatanem, demonem zła, Maleńkow.

Julian zerwał się do ucieczki i po chwili zniknął między blokami. Lejący deszcz sprawił, że przestał być widoczny już wtedy, gdy minął bramę kościoła.

Biegł szybko, ile tylko miał sił w nogach. Dopiero gdy przekroczył ulicę Jana Pawła II, schował nóż. Do tej pory miał go cały czas w ręce. Nikt tego jednak nie widział. W jego głowie przestała grać muzyka. Żaden jego krok nie był już uderzeniem bębna. Nie słychać było wybuchów armatnich ani dźwięków orkiestry dętej.

Julian zawiódł. Julian zepsuł wszystko. Będzie musiał to naprawić. Spróbuje jeszcze raz. Pozbędzie się Maleńkowa. Ale teraz

musi się ukarać.

Biegł ulicą Dąbrowskiego. Minął budynek sądu okręgowego, kancelarie prawne; zostawił za sobą szyldy z nazwiskami prokuratorów i adwokatów. Potem skręcił w lewo w Jasnogórską, a następnie przy teatrze w prawo, w Kilińskiego. Minął stację pogotowia ratunkowego i nawet nie pomyślał wówczas o Maleńkowie. Pobiegł Alejami Najświętszej Marii Panny aż do ulicy Piłsudskiego. Do tej pory spotkał jedynie pięć osób, jednak żadna z nich nie widziała jego twarzy. Był nierozpoznawalny niczym cień. Z Piłsudskiego skręcił w Katedralną i u jej szczytu po prawej stronie jego oczom ukazały się strzeliste wieże bazyliki Świętej Rodziny.

Ale Julian pobiegł ulicą Ogrodową i niezauważalnie przemknął do zabytkowego browaru. Pracownik ochrony był zbyt zajęty rozwiązywaniem krzyżówek, by go zauważyć. W pustym browarze minął zrujnowane budynki, wieżę ciśnień i skierował się w stronę słodowni. Tam za jednym z omszałych murów się zatrzymał. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Był nieuchwytny dla oczu i kamer. Tutaj nikt go nie dosięgnie.

Tutaj Julian może się ukarać.

Uklęknął i dotknął dłonią ziemi. Była mokra, a pod palcami wyczuwał mnóstwo drobnych kamieni.

Tym lepiej. Kara będzie surowsza. Julian zawiódł. Julian musi ponieść karę.

Wepchnął palce w glebę i zagarnął ziemię. Podniósł się i rozpiął rozporek. Zaczął intensywnie wcierać szorstki grunt w przyrodzenie. Wcierał je w prącie i worek mosznowy, zadając

sobie ból. Kiedy stwierdzał, że ziemia przestaje być dostatecznie szorstka, klękał ponownie, nabierał kolejną garść i znowu rozcierał na genitaliach. Delikatna skóra momentalnie zaczęła krwawić. Jego krew mieszała się z glebą. Była na jego rękach, przyrodzeniu i na gruncie. Julian nie czuł bólu. Czuł jedność z ziemią i z Panem. Czuł jedność z najczystsza substancją, która widzi i wie wszystko. Z tą, która była tu, zanim on tu był i zanim był ktokolwiek. Z tą, która go przyjmie, gdy wezwie go Pan. Julian czuł, jak zmywa z siebie grzechy i błędy. Czuł, że ściera błąd sprzed kilkunastu minut.

Wiedział, że pokuta musi być szybka i dotkliwa. Zadawał sobie taką od dawna.

Julian odbędzie pokutę. A potem wróci i przeprosi biskupa. Julian chciał dobrze.

Mniej więcej w tym samym czasie karetka dowiozła Wiktora Maleńkova do szpitala na Tysiącleciu. Deszcz nie przestawał padać ani na chwilę.

ROZDZIAŁ 9

Jerzy 1981

Sobota, 16 maja 1981

Przecinają aleję Henryka Sienkiewicza, przechodząc z parku 3 Maja do parku Staszica. Jerzy zatrzymuje się na chwilę i przypomina sobie atmosferę, która towarzyszyła ich spacerowi w tym samym miejscu w poprzednim roku.

– Zobacz, jak to śmiesznie wygląda! – mówiła Zuzanna, ciesząc się przy tym jak dziecko. – Z jednej strony Jasna Góra, z drugiej komin! Komin, po prostu komin! Zawsze mnie to bawiło.

– No bo to jest zabawne! Patrzysz w jedną stronę i widzisz piękną wieżę klasztorną. Patrzysz w drugą, widzisz obskurny komin, który zresztą z daleka wygląda jak wafłowa rurka. – Jerzy zaśmiał się z własnego porównania.

– To raczej wygląda jak jakieś dwie wieże strzegące tego, co dzieje się w Alejach – dodała jeszcze bardziej rozbawiona Zuza.

– Żyjemy w mieście dwóch wież – skwitował Jerzy. Żadne z nich nie czytało jeszcze wówczas znanej trylogii i nie mogło oprzeć swych rozważań na wydarzeniach drugiego tomu. Jerzy nie wiedział, że obejrzy kiedyś w kinie Wolność ekranizację tej książki,

a tym bardziej nie przypuszczał, że sam niejednokrotnie użyje tego zwrotu w odniesieniu do swojego miasta. Nie łącząc go nigdy z tą rozmową, a właśnie z filmem. Jak się okaże, Częstochowa będzie miastem dwóch wież jeszcze przez długie lata.

– Jakbym miała porównać nas do tych wież, to ty byłbyś kominem – powiedziała Zuzanna.

– A dlaczego ja mam nim być, co? – zawadiacko zapytał Jerzy.

– Mój drogi, ponieważ jesteś o wiele brzydszy ode mnie! Ja jestem tą drugą wieżą! – wykrzyczała i roześmiała się w głos. Jerzy nigdy nie czuł się tak szczęśliwy jak wtedy. Jeszcze tego nie wiedział, ale te krótkie lata spędzone blisko Zuzy były najlepszymi chwilami jego życia.

Tego dnia Zuzanna miała na sobie jedną z sukienek, które nie tylko mu się podobały, ale w połączeniu z zapachem jej skóry sprawiały, że czuł ekscytację. Ona w tych lekkich, zwiewnych kieckach wyglądała po prostu seksownie. Gdyby stała w tej sukience na wystawie, udając manekina, ukradłby ją bez zastanowienia. Gdyby zobaczył ją przypadkiem na ulicy, nie znając jej w ogóle, bez wątpienia porwałby ją, nie bacząc na konsekwencje.

Zawsze, kiedy je wkładała, to tak jakby dawała mu sygnał, że chce się z nim kochać. Wiedziała przecież, że prędzej czy później tak to się skończy. Jerzy nie potrafił się opanować, gdy widział ją w tym stroju, a ona przecież wcale nie protestowała. Czekał na nią, aż wróci z Krakowa i miał nadzieję, że jeśli pogoda na to pozwoli, będzie ubrana właśnie w jedną ze swoich zwiewnych sukienek. I kiedy wracała, zawsze miała ją na sobie. A ponieważ piątki

zawsze miała wolne, przyjeżdżała do Częstochowy czasem nawet w czwartek wieczorem. Najpóźniej w piątek rano. I byli razem do niedzieli. I Jerzy zdejmował te sukienki wielokrotnie. A potem znów czekał tydzień, by zrobić to po raz kolejny.

– No z tym akurat mogę się zgodzić. Ale przyznaj, proszę, że jestem choć trochę przystojniejszy niż ten komin – odpowiedział, kiedy przestała się śmiać.

– Jesteś, jesteś. Ale niewiele! – odparła i znowu parsknęła śmiechem. Kiedy się śmiała, robiła to całą sobą. Pochylała się w przód i w tył, uderzając ręką po udach. W takich momentach cała była śmiechem. Cała była szczęściem. Jerzy najbardziej lubił obserwować wówczas jej twarz. A przede wszystkim jej oczy. To było niesamowite, ale zawsze wyglądało tak, jakby jej lewe oko śmiało się o wiele bardziej niż prawe. W chwilach radości zieleń jej tęczywki wypełniały pomarańczowe promienie, które rozbłyskiwały mocniej właśnie w lewym oku. To mogło być jedynie złudzenie, ale Jerzy widział to za każdym razem. Lewa strona jej twarzy, a przede wszystkim brew, unosiła się nieco bardziej do góry. To było takie osobliwe i niezwykle piękne. Takie prawdziwe i szczerze. Kiedy się tą obserwacją z nią podzielił, odrzekła zaskoczona, że jest pierwszą osobą, która kiedykolwiek jej o tym powiedziała. Pierwszą, która to zauważyła.

Jerzy obraca głowę w stronę podjasnogórskich błoni i przypomina sobie, że rok wcześniej pachniało wiosną dużo intensywniej. Pachniało mocno każdym rozkwitającym pakiem. Przypomina sobie, jak siedzieli i upajali się tym zapachem. Tak było, jeszcze zanim Jerzy zaczął powoli psuć ich związek. Kiedy

przyszła jesień, a Zuzanna zaczęła drugi rok studiów, Jerzy przestał radzić sobie z czekaniem. Wypominał jej zmęczenie. Zarzucał kłamstwa, których się nie dopuściła. Zuzanna przestała przyjeżdżać w czwartki. Przyjeżdżała zwykle w piątki, a często nawet dopiero w soboty.

Tego dnia Jerzy zdaje sobie sprawę, że nie pachnie wiosną, tak jak przed rokiem. Kiedy wchodzi do parku Staszica, nie czuje jej tak wyraźnie, jak by chciał.

Coś każe mu być złym. Coś każe mu nie ufać. Coś każe mu nic nie czuć.

Rok wcześniej rozmawiali bez przerwy. Teraz nie mówią prawie nic. Szukają ławki, na której będą mogli usiąść i porozmawiać. Kiedy ją znajdują, nie wybierają tej w najładniejszym zakątku parku. Nie siadają koło altany. Nie szukają miejsca koło fontanny czy urokliwych wierzb. Mimo że są tam wolne ławki, oni siadają w innym miejscu. Bliżej styku ulic Popiełuszki i Siedmiu Kamienic. W miejscu nijakim i z powodu bliskości szosy o wiele głośniejszym niż tamte.

– Jakoś nam ostatnio nie wychodzi, Jurek – mówi Zuzanna tak, jakby każde słowo sprawiało jej ból. Jakby w gardle ten dźwięk przechodził przez tkwiącą tam ość i sprawiał, że porusza się, raniąc jej przełyk.

Jerzy milczy i patrzy przed siebie. Po chwili jednak jego głos przerywa ciszę.

– A jak ma nam wychodzić, skoro diabeł jeden wie, co robisz w tym Krakowie... – mówi półgłosem.

– Co powiedziałaś? – Nie dosłyszała jego słów. A może właśnie

słyszała je bardzo dobrze, tylko nie była pewna, czy padły naprawdę.

– Mówię, że nie może nam wychodzić, skoro wiadomo, co robisz na tych swoich studiach! – mówi Jerzy. Teraz już podniesionym głosem. Teraz już patrzy na nią. Patrzy, ale nie widzi, że ma na sobie jedną z jego ulubionych sukienek.

– A co niby tam robię?!

– Dobra, dobra, nie udawaj.

– Ale co?! No powiedz! Powiedz! Chcę usłyszeć, co sobie ubzdurałeś. – Zuzanna nie jest zaskoczona. Spodziewała się takiej rozmowy. Ich spotkania przez kilka ostatnich weekendów wyglądają podobnie. Ale Zuzanna czuje, że dziś będzie kumulacja. A ona tak bardzo się jej obawia. Chce, żeby Jerzy był taki jak wcześniej, bardzo dużo z siebie daje, żeby mu w tym pomóc. Ale czuje, jakby Jerzy od dłuższego czasu już tego nie przyjmował.

– Ja nic sobie nie ubzdurałem. Ja wiem, jak jest.

– Ale co wiesz?! No powiedz! – podnosi głos Zuza.

Jerzy wzdycha.

– Nie, to nie ma sensu. To spotkanie nie ma sensu. Lepiej się rozejdźmy. Idź do swojej mamy.

– Nie, Jerzy! Ja chcę rozmawiać. No powiedz mi, co robię na studiach!?

– Co robisz, co robisz... Puszczasz się, przecież wiem! – wydziera się Jerzy.

Zuzannę zatyka. Łapie powietrze, chcąc od razu odpowiedzieć, ale w momencie, kiedy zaczyna rozumieć, co właśnie usłyszała, nabiera jedynie powietrza do płuc i zastyga.

– Ja... ja się puszczam? Jurek, co ty wygadujesz?... – mówi cicho.

– A co? Niby nie?! Myślisz, że jestem głupi? Myślisz, że nie wiem, co się dzieje?! – kontynuuje Jerzy. – Przyjeżdżasz coraz później. Wyjeżdżasz coraz szybciej. Widać, że cię tam ciągnie!

– Jurek, mam mnóstwo nauki. To ciężki rok. Będą takie tygodnie, w których w ogóle nie będę mogła przyjechać...

– A w to to nie wątpię. Tego to się nawet spodziewam! – Jerzy traci panowanie nad sobą.

– Mówiłam ci, żebyś przyjechał do mnie, to nie chcesz! – odparowuje Zuzanna.

– Nie chcę, bo nie chcę patrzeć, jak garniesz się do jakiegoś studenciaka! Myślisz, że ja nie wiem, jaka jesteś?! Wszystkie takie jesteście!

Powietrze, które tym razem połyka Zuza, wpada głęboko do środka. Powoduje ucisk. Tak jakby ktoś niewidzialny włożył jej dłoń do środka i zgniatał wszystkie organy. To boli. Boli ją na tyle, że zaczyna płakać.

– Co ty mówisz, Jurek?...

On się jednak nakręca. Nakręca się i w ogóle tego nie kontroluje. Kiedy uspokoi się godzinę po tym, jak Zuzanna odejdzie, pomyśli, że wcale nie chciał powiedzieć tych słów. Że naprawdę wcale tak nie myśli. Że kocha swoją Zużę. I wtedy przypomni mu się, że miała na sobie tę jasnoniebieską sukienkę w takie malutkie białe kropeczki.

Tylko że Jerzy chyba nie umie już kochać Zuzy tak jak wcześniej. Odkąd pierwszy raz dopadł go ten obraz, nie potrafi

wyrzucić go z myśli. Ciągłe widzi ją z innym. Mimo że nie wie nawet, jak ten inny wygląda i kto mógłby nim być. Ale przecież może nim być każdy. Kurwy tak mają. Dają każdemu. Przecież to nie ma znaczenia, jak się wygląda. Kurwę można mieć tak po prostu.

Jest mu źle, że jego Zuza stała się taka i każdy może ją mieć. Jest tego absolutnie pewien. Już od dłuższego czasu to przewidywał. Ona nie mogła tak po prostu wytrzymać w tym Krakowie. Co będzie sobie odmawiać od niedzieli do czwartku. Tak czekając, można się pochlastać. A on przecież i tak się nie dowie.

Ale co to, to nie! Jurek nie ma żadnych wątpliwości, widzi to po niej. Że niby padnięta, że niby niewyspana. No pewnie, że tak. Jak się ktoś pieprzy całą noc, to musi być zmęczony.

– Mówię, że się pierdolisz ze wszystkimi! I lepiej wracaj do tego Krakowa, bo już tam pewnie na ciebie czekają!

Zuzanna będzie pamiętać te słowa jeszcze długo po tym spotkaniu. Będą z nią, kiedy wróci do mamy i przytuli się do niej mocno. Będą z nią, kiedy pojedzie do Krakowa i będzie się uczyć po nocach przez kolejne ciężkie semestry. Kiedy po sześciu miesiącach od tej rozmowy ulegnie w końcu namowom Pawła Drylskiego i pójdzie z nim na spacer, w jej głowie kołatać się będą te dwa zdania wypowiedziane przez jej ukochanego Jurka. Znikną dopiero wtedy, gdy na świecie pojawi się jej córka Alicja.

– Jurek, masz rację, to nie ma sensu – mówi Zuzanna, nie wiedząc, jak nazwać stan, w którym się teraz znajduje. – Ja wracam do domu.

Wychodzi z parku i idzie w stronę ulicy Kopernika. Teraz zdaje

sobie sprawę, że w parku śpiewały ptaki, ale nie słyszała ich głosów. Idąc chodnikiem wzdłuż ulicy, czuje jednak wyraźną różnicę. Tutaj odgłosy są inne, bardziej surowe. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy to miało kiedykolwiek jakieś znaczenie?

Weszła w relację z Jerzym, oddając mu całą siebie. Weszła w nią każdą swoją sukienką, każdym uśmiechem, każdym pomarańczowym promykiem w oku, każdym słowem, każdym rozstaniem i każdym powrotem.

Idąc do domu, ma nadzieję, że Jerzy pobiegnie za nią i zaraz to wszystko okaże się po prostu złym snem. Tak jak w książkach czy filmach. Jadąc do Krakowa, będzie liczyć na to samo. Będzie na to czekać, nawet wtedy kiedy Paweł Drylski po raz pierwszy ją pocałuje, a stanie się to dokładnie osiem miesięcy po tej rozmowie w parku.

Po tym pocałunku wszystko w jej życiu potoczy się szybko, tak jakby weszła na boisko po długim pobycie na ławce rezerwowych. Być może Jerzy jednak nie był dla mnie – pomyśli wówczas. Być może właśnie tak będzie lepiej. I Zuzanna zacznie się cieszyć na nowo i nie będzie w niej żalu ani pretensji.

Żal i pretensje będą za to gnębić Jerzego każdego dnia.

Wszystko tak dokładnie pamiętał. Kochał ją. Kochał ją naprawdę.

Wszedł w nią, tak jak wchodzi się w las tuż przed zachodem słońca. Wszedł i od razu zapadł mrok. Wszystko miało być od tej pory dla niego niedokończone.

Tą rozmową w parku zamknął drogę do ich wspólnej przyszłości

i stracił ją na zawsze.

Wiedział, dlaczego musiało się tak stać. Potem, kiedy umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, co nim steruje, wiedział, że musiało się tak stać.

Stracił ją, ale pamiętał.

Ona nie była taka jak jego matka.

Ona nie była taka jak jego matka.

Ona była inna.

Jerzy dochodzi do siebie po godzinie. Uspokaja się. Widzi inaczej, szerzej. Ale postanawia, że nic nie robi. Nie robi, bo nie potrafi. Nie robi, bo ma świadomość, że to, co stało się dzisiaj, powtórzy się. Wie, że mógłby próbować prosić o wybaczenie i wie, że gdyby to zrobił, Zuzanna wróciłaby do niego. Ale wie też, że jest w nim coś złego i to coś zawsze będzie robić jej krzywdę. Będzie deptać ją kawałek po kawałku i hańbić ich uczucie. Jerzy pozwala Zuzannie odejść, ale postanawia, że kiedyś odkupi swe winy. Jeszcze nie wie, w jaki sposób i kiedy, ale postanawia, że zrobi to.

Wtedy jeszcze nie ma pojęcia, że Zuzanna będzie miała dwójkę dzieci z kimś innym. Nie wie, że zginie w wypadku i nie będzie mógł jej pomóc. Nie wie, że najbliższa okazja, żeby ostatecznie zmyć z siebie tę rozmowę, nadarzy się ponad trzydzieści lat później.

Jerzy zostaje w parku sam, ukrywa twarz w dłoniach i płacze. Płacze tak mocno jak kiedyś w przeszłości, ale tak, jak nie zdarzy się to już nigdy potem.

ROZDZIAŁ 10

Stanisław

Sobota, 25 października 2014

Grafika przedstawiająca wizerunek papieża Jana Pawła II nie przykuwała uwagi Stanisława Waltera. Podobnie jak zdjęcie Prymasa Tysiąclecia, które wisiało na ścianie tuż obok okna. Tylko momentami biskup czuł się niekomfortowo, mając na sobie spojrzenia tych duchownych. Zamiast zdjęć gwiazd rocka albo sław sportu ściany jego gabinetu zdobiły gwiazdy Kościoła katolickiego. W tym przypadku miało to nie tylko oczywiste uzasadnienie, ale również przypominało mu, że w tej branży byli i są lepsi niż on. Akceptował to jednak. Od dawna przestał bowiem mieć już większe ambicje. Doszedł dokładnie tam, gdzie chciał. W seminarium, kiedy był jeszcze młody, nie śnił nawet o pozycji, którą ma obecnie. Wtedy nie miał właściwie żadnego planu. Wtedy chciał jedynie uciec od koszmaru rodzinnego domu.

Przymiotnik „pomocniczy” w oficjalnej nazwie jego pozycji w kościelnej hierarchii dokuczał mu bardzo. Nie brzmiało to dobrze. W jego odczuciu umniejszało to jego rangę. Ale zarazem akceptował to, wiedząc, że nie ma na to żadnego wpływu. Miał

jednak przede wszystkim świadomość, że jest szyją sterującą głową i że nie ma w jego otoczeniu spraw, o których by nie wiedział. Wyjście z drugiego planu wcale nie było mu na rękę. Blichtr pozostawiał arcybiskupowi Makowskiemu. Stanisław sądził, że to jedyne, w czym ten dziadyga był dobry. Odwiedzić diecezję, zgarnąć kopertkę z kilkunastoma tysiącami złotych, pobłogosławić, pouśmiechać się, odbębnić rutynową gadkę. I tyle. Szefem operacji w tej kurii był przecież on. On, biskup pomocniczy.

Na ścianie jego sypialni wisiały dwie tablice, na które spoglądał często i chętnie. Jedna z nich przedstawiała nieistniejące już województwo częstochowskie z zaznaczonym podziałem na gminy i urzędy rejonowe. Niemalże przy każdym spojrzeniu łapał się na tym, że charakterystyczny kształt, jaki miało być województwo, budzi w nim coraz to nowe skojarzenia. Na pierwszy rzut oka dostrzegał zwykle podobieństwo do łodzi podwodnej. Słyszał, że dopatrywano się w tym kształcie również analogii do psiego pyska, a nawet do granic Stanów Zjednoczonych, tylko bez Florydy i z dziwną wypustką na górze. On jednak najbardziej lubił porównywać ten kształt do innych rzeczy. Bawiło go to bardzo, ale najczęściej widział w tej formie podobieństwo do małej rybki. *Amphiprion ocellaris*. Błazenek plamisty. Podobieństwo nie było uderzające, ale to skojarzenie biskup lubił najbardziej. W końcu wystarczyło porozmawiać z mieszkańcami Częstochowy, by odnieść nieodparte wrażenie, że większość z nich czuje, że zrobiono z nich błaznów.

Od kilkunastu lat jedną z cech mieszkańców tego miasta było zakompleksienie. Trauma po likwidacji województwa nie mijała.

Wręcz przeciwnie, rosła, karmiona niechęcią do wszystkiego, co katowickie. Prywatne i zawodowe rauty, spokojne rozmowy przy kawie, przypadkowe pogawędki w sklepie, wszystkie błahe i ważne rozmowy zawsze, ale to zawsze musiały otrzeć się o zgniłą i gnębiącą tęsknotę za tym, co utracone. Za tym, co tak podstępnie i niesłusznie Częstochowie zostało odebrane. Każdy mieszkaniec wiedział, że święte miasto zostało okradzione. Ci, którzy pamiętali, jak było, mówili, że kiedyś było lepiej. Kiedyś był przemysł, była huta, która zatrudniała pół miasta. Była jak folwark, który nie dość, że zapewniał ludziom chleb, to jeszcze tworzył nowe miasto, dając obywatelom zajęcie i rozrywkę także po pracy. W Częstochowie działał kiedyś tak dobrze rozwinięty przemysł włókienniczy, że dawał mieszkańcom podstawy do chęlenia się tym, że są małą Łodzią. Stradom, Warta, Częstochowianka, Peltzer i Syn pracowały pełną parą. A teraz co z tego zostało? Teraz tylko Stradom goni resztkami sił. Częstochowa miała takie zapalki, jakich nie miała cała Europa i nawet Anglicy próbowali nieudolnie zabrać jej symbol czarnego kota. Każdy, kto wówczas palił, a palili przecież niemal wszyscy, z dumą odpalał swojego carmena zapalką z pudełeczka ozdobionego etykietą z czarnym kotem. Każdy Polak wiedział, dzięki jakiemu miastu ma ten ogień. Ogień z każdej zapalki rozpalał serca częstochowian i ich wiarę w siłę tego miasta.

Ale przecież ktoś chciał to zniszczyć, ktoś musiał to zniszczyć i dlatego włączył to piękne miasto do województwa śląskiego. I w oczach częstochowian Śląsk rozwijał się dlatego, że okradał Częstochowę ze wszystkiego, co miało sens i szanse na powodzenie. Brak inwestycji wiązał się w mniemaniu tutejszych

ludzi właściwie głównie z brakiem województwa.

Trwanie w tym przekonaniu sprawiało, że sąsiad nieufnie patrzył już nie tylko na sukces innych miast, ale zaczął patrzeć tak na sukces sąsiada.

Błazny! – pomyślał biskup Walter. *Błazny, błazny!*

Czasy się zmieniły nie tylko w Częstochowie. Zmieniły się wszędzie i Walter dobrze to wiedział. I wiedział też, że w tym mieście byli ludzie, którzy te zmiany umieli wykorzystać.

Częstochowa nie musiała już być miastem rudy żelaza, stali i włóczki. Mogła radzić sobie równie dobrze jako miasto szkła, przemysłu części samochodowych i wózków dziecięcych. To w tym mieście wyrabiano się kufle na Oktoberfest. To tutaj produkowano najlepsze mrożonki. Któż nie znał słynnej częstochowskiej bombki!

Ale tęsknota za czasem minionym była tutaj mimo wszystko wszechobecna.

Jedno jednak pozostawało niezmiennie i z tego Walter bardzo się cieszył. Częstochowa zawsze była miastem Czarnej Madonny. Kochali ją tutaj niemal wszyscy, choć każdy pod innym względem. Niezależnie od tego, czy o tej miłości decydowała wiara, strach czy motywacja finansowa – wszystkie powody były biskupowi na rękę. Wszystkie tak samo kochał, każdy z nich przynosił mu korzyści. Czarna Madonna zawsze była mu przychylna. A on był mózgiem jej operacji w tym mieście.

Właśnie to porównanie lubił najbardziej. Kiedy odwracał grafikę województwa do góry nogami, widział uderzające podobieństwo do ludzkiego mózgu. Tego województwa już nie było. Ale była przecież rozległa archidiecezja, którą tak naprawdę on sterował.

Spojrzał na drugą ze swoich ulubionych grafik. Przedstawiała obszar, który swym zasięgiem obejmowała jurysdykcja kurii metropolitalnej. Ten teren był tak samo szeroki jak zapomniane województwo. On nic nie utracił, jedynie zyskał. Zagubieni, stęsknieni za czasem minionym ludzie zwracali się teraz już tylko do Czarnej Madonny. Zwracali się więc do niego. A młodzi, zdolni, chcący zaistnieć nie mogli tego zrobić bez Królowej Polski. Nie mogli zaistnieć bez niego. Ponad osiemset tysięcy dusz nie istniało bez niego.

Błazny!

Stanisław spojrzął na dokumenty leżące na biurku. Ostatnio nie wszystko w sprawie inwestycji przy ulicy Zbierskiego szło tak, jak planował. Już wcześniej czuł, że w tym przypadku może tak być.

Ale tak naprawdę nie przejmował się tym. Biskup najbardziej cenił sobie walkę. Wielbił sam proces. Taki, jaki jest. Sam w sobie. Często nawet zapominał o celu, do jakiego prowadzi. Walter czerpał przyjemność z tych małych wojenek, które napotykał na drodze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stanisław nie spodziewał się żadnych wizyt. O tej porze w sobotę zwykle nikogo już nie przyjmował. Szczególnie poza gabinetem. Podniósł się z łóżka, wsunął stopy w kapcie i niespiesznie podszedł do drzwi.

Skrzywił się mimowolnie na myśl, że po drugiej stronie może stać kanclerz Maj. Młodszy od niego o kilkanaście lat ksiądz prałat irytował go swoją przesadną troską o powodzenie spraw. Zdarzało mu się już wcześniej wpadać do biskupa w amoku z kwestiami, które według niego nie cierpiały zwłoki, a tak naprawdę spokojnie

mogły poczekać. Maj nie umiał czekać. Walter wiedział, że odkąd poznał tajemnicę kanclerza, ten stał się jego dłużnikiem. Był spokojny o jego działania, a przede wszystkim o umiejętność trzymania języka za zębami. Nie lubił jednak, gdy ten z powodu swoich głupich obaw niepotrzebnie zawracał mu głowę. Biskup mógłby postawić duże pieniądze na to, że Maj odchodzi od zmysłów z powodu awantury państwa Czeladnik, którą urządzili w kurii dzień wcześniej.

Stanisław otworzył drzwi i po drugiej stronie zobaczył Juliana. Ten wyglądał jakby właśnie wyszedł z jeziora. Mimo że miał na głowie kaptur, widać było, że jego lekko kręcone włosy są teraz zupełnie proste i przyklejają się do czoła i uszu.

Biskup wpuścił go do środka. W korytarzu budynku światło było wygaszone i Stanisław nie mógł tego zauważyć, jednak od razu po zamknięciu drzwi coś przykuło jego uwagę. Dłonie Juliana były prawie czarne. Pomiędzy palcami i pod paznokciami wciąż tkwiła mokra ziemia.

Coś poszło nie tak. Ten chłopak pewnie właśnie sam się ukarał. Biedna dziecina.

Julian musiał przyjść do niego od razu po powrocie od Maleńkowa. Nie wszedł nawet do swojego pokoju, który przeznaczył dla niego Walter, kiedy wprowadził się do domu katedralnego.

Julian zrobił trzy kroki i stanął na końcu krótkiego przedpokoju. Nie ruszał się. Nie zdjął kaptura. Walter podszedł do niego i ostrożnie mu go ściągnął.

Ten chłopak wyglądał zawsze tak, jakby patrzenie na świat

sprawiało mu przykrość. Tym razem jednak czuć było, że każde spojrzenie sprawia mu ból. Tak jakby drobinki lodu uderzały w jego rogówki.

Nie jest dobrze – pomyślał Stanisław i potarł kąciki ust.

– Co się stało, dziecino? Co cię sprowadza? – zapytał spokojnym głosem. Starał się włożyć w te kilka słów tyle ciepła, ile był w stanie z siebie wykrzesać.

Julian wahał się przez chwilę. Potem podniósł głowę i spojrzał na biskupa. Walter był jedyną osobą, przy której Julian podnosił głowę. Jedyną, której potrafił spojrzeć w twarz.

– Nie udało się – powiedział od razu, spuszczać głowę.

– Co się nie udało? Czy chodzi o sprawę tego człowieka, którym miałeś się zająć? – naprowadził go biskup.

Chłopak zaczerpnął powietrza i wydusił kilka słów, przedzielając je równymi pauzami. Zabrzmiało to tak, jakby człowiek, który to mówi, był całkowicie zmechanizowany. Zabrzmiało to nienaturalnie, ale wiadomość była jasna.

– On żyje. Jest ranny. Musiałem uciec. Nie udało się.

Biskup westchnął, wyciągnął prawą dłoń i pogładził nią lekko Juliana po policzku. Patrzył na tego chłopaka i nie umiał być na niego zły. Nie potrafił, ale tak naprawdę nie mógł. Nie było na świecie osoby, która lepiej znałaby biskupa Stanisława Waltera. Nie było takiej, która byłaby z nim w momentach najbardziej haniebnych czynów.

Pierwszy raz zobaczył Juliana przed trzynastoma laty. Od tamtego czasu ten nigdy go nie zawiódł. Nawet teraz, kiedy chłopak nie wypełnił zadania, biskup nie był zły.

Pewnego styczniowego dnia, kiedy Walter był jeszcze proboszczem w parafii Świętego Jakuba, zobaczył go klęczącego na schodach prowadzących do kościoła. Julian nie wyglądał, jakby się modlił. Nie było też widać, żeby odbywał jakąkolwiek pokutę. Słaniał się z wyczerpania. Nawet nie wiedział, gdzie się znajduje. Mimo silnego mrozu miał na sobie jedynie cienki sweterek i podarte sztruksy. Jego buty wyglądały tak, jakby właśnie wrócił w nich z frontu wojennego.

Kiedy Walter pierwszy raz zobaczył Juliana, ten był obrazem nędzy i rozpacz. Biskup pamiętał, że do dziwnego przybysza zawołała go wówczas siostra zakonna. Chłopak nie odpowiadał na żadne jej pytania, a co więcej, wydawało jej się, że może być niebezpieczny. Miał takie nieobecne spojrzenie. Jakby się czegoś nałykał.

Walter podszedł do niego i powtórzył właściwie te same pytania, jakie uprzednio zadawała zdeorientowana zakonnica. Coś jednak sprawiło, że chłopak wydał z siebie głos.

– Julian – powiedział, trzęsąc się z zimna.

– Julian? Masz na imię Julian? To bardzo ładne imię. Wejź do środka. Tutaj jest zimno. Przeziębisz się – odparł Walter.

– Julian. Jestem Julian – sylabizował chłopak. Po chwili podniósł się i wspólnie weszli do środka.

Weszli do środka i tak już zostało. Żaden dom dziecka, żaden przytułek dla bezdomnych nie słyszał nigdy o Julianie. Nie zgłosiła się po niego żadna rodzina. Wyglądało to tak, jakby przywędrował z kosmosu, jakby został Stanisławowi zesłany.

Po pewnym czasie okazało się, że Julian wszystko rozumie.

Mówi niewiele, ale mówić potrafi. Chłopak musiał przeżyć jakiś ogromny koszmar. Być może uciekł z patologicznej rodziny, gdzieś w podczęstochowskiej wsi. Taką wersję przyjmowały siostry zakonne, modląc się o lepsze życie dla dobrej, zagubionej dziewczyny.

Walter szybko zorientował się, że Julian ma też drugą twarz. Nie zawsze jest pokornym i cichym chłopakiem, który chętnie pomaga, wykonuje polecenia i nie sprawia problemów.

W Julianie tkwiło coś mrocznego. Często bywał ponury. Właściwie przez cały czas był skryty i pochmurny. Walter odkrył, że chłopak wcale nie jest taki dlatego, że jest smutny. Jest taki, bo w głębi duszy jest zły. W Julianie siedziało takie licho, które umiało kryć się wtedy, gdy było to konieczne, a ujawniać, kiedy zaszła potrzeba. Umiał trzymać tę bestię na smyczy, ale musiała ona mieć jakieś ujście. Czasem potrzebowała choćby odrobiny wolności, by nie dać o sobie znać w nieodpowiednim czasie.

Dwa lata po tym, jak Julian się pojawił, Walter zabrał go ze sobą na wieś. Jechał z wizytą do jednego z wiernych. Działo się to latem. Słońce świeciło mocno, stojąc akurat w swym najwyższym punkcie. Weekendowy dzień toczył się niespiesznie, a każdy, kogo tego dnia napotykał Walter, był pogodny i w dobrym nastroju. Ale Julian od samego rana był rozdrażniony. Ksiądz skojarzył później, że chłopak zachowywał się w ten sposób już kilka dni wcześniej. Biskup bezbłędnie nauczył się potem te stany rozpoznawać. Nauczył się je wykorzystywać. Sterować nimi. A przede wszystkim zaspokajać targające Julianem żądze.

Gospodarz zaprosił wówczas Stanisława do środka na orzeźwiająca wodę z cytryną. Julian wolał zostać na świeżym

powietrzu. Nie było ich siedem minut. Nie dłużej.

Kiedy wyszli, chłopak stał nad ciałami dwóch martwych gęsi. Zabił je gołymi rękami, ukręcając, a właściwie urywając im łby. Jedna z nich leżała na ziemi. Szyja drugiej przerwana dokładnie w połowie długości, tkwiła wciąż w dłoni chłopaka. Julian wydawał się nieobecny. Patrzył gdzieś przed siebie w punkt, który tylko on widział. W jego zielonych oczach nie było wtedy zła ani mroku. Była niewinność. Był strach.

– Ja muszę ponieść karę – powiedział, kiedy podeszli do niego zszokowani.

Wtedy właśnie Walter zrozumiał, co tak naprawdę tkwi w Julianie.

Gospodarzowi zostawił sowitą sumę, prosząc, by to, co się tam stało, zachował dla siebie. Wieść się nie rozniosła. Walter nie ukarał Juliana. Wprost przeciwnie. Zdecydował, że wykorzysta siły sterujące chłopakiem. Ukierunkuje je, dając im nową pożywkę.

Walter odgarnął włosy z czoła Juliana i wskazał ręką miejsce tuż za niedużym, kwadratowym stołem. Gość usiadł i spojrzał na swoją dłoń. Cały lekko drżał, jakby fotel, na którym siedział, podłączony był do niewielkiego źródła prądu, systematycznie wysyłając słabe impulsy.

– Ktoś cię widział? – zapytał Walter.

– Nie. Nikt. Nikt nie wie, że to ja.

Biskup się uśmiechnął. Wiedział dokładnie, jaka będzie odpowiedź.

– Nic się nie stało, dziecino – powiedział. – Nic się nie stało. Poradzimy sobie z tym, przecież dobrze o tym wiesz, prawda?

Julian skinął głową.

– Poradzimy sobie z tym, tak jak ze wszystkim wcześniej – kontynuował biskup. – Pamiętasz, co było przedwczoraj w nocy? Pamiętasz? Podobało ci się, prawda? Tak, wiem, że ci się podobało. Wiesz, że o tym, co robimy, nikt nie wie. I nikt się nie dowie. Bo my sobie z tym radzimy. Te kobiety, z którymi się czasem spotykamy, one, jak widzisz, nic nie mówią. Trzymają nasz mały sekret. Wiemy o nim tylko ty i ja. I tak już zostanie. Tak samo będzie z panem Maleńkowem. On niczego nie wie, dziecino. Z tym sobie też poradzimy. Spróbujemy jeszcze raz i będzie po wszystkim, prawda?

Julian słuchał uważnie, co chwila potwierdzając te fakty ruchem głowy. Walter mówił dalej.

– Ukaraleś się już, prawda? Ja to wiem. Widzę, że to zrobiłeś. Nie musiałeś, dziecino. Tym razem nie było to potrzebne, ale ja wiem, że bardzo chciałeś. Wiem, że uważasz, że musisz. Szkoda ciebie, dziecino. Szkoda, żebyś wyrządził sobie taką krzywdę. Teraz się uspokój, wszystko już będzie dobrze. Idź do siebie i odpocznij. Umyj się. Zmyj z siebie swoją karę. Masz tam wszystkie maści prawda? Masz maści i lekarstwa. Użyj ich. Jutro pomyślimy, co zrobić dalej. Nie przejmuj się Maleńkowem, poradzimy sobie z nim. A w przyszłym tygodniu znowu spotkamy się z kobietą. Tym razem z inną. Taką zupełnie nową. Nie znasz jej jeszcze, spodoba ci się. Idź, dziecino, idź i nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Walter cały czas mówił półszepem. Pochylił się nad Julianem i wyglądało to tak, jakby go spowiadał. Na jego pomarszczonym

czole widoczna była troska i koncentracja. Biskup wkładał w swoje słowa cały zapas empatii, jaki pozostał mu tego dnia. Julian był właściwie jedyną osobą, której biskup potrafił naprawdę okazać to uczucie. We wszystkich innych przypadkach symulował je, wydobywał je na siłę.

Julian wyszedł po chwili, a Walter kontynuował swój monolog. Tym razem prowadził go w myślach. Jeszcze raz poczuł, jak ogromną przyjemność sprawia mu ta ciągła walka i że ani przez chwilę nie przejął się dzisiejszym nieudanym czynem Juliana. Tak bardzo ekscytowała go myśl, że walka nadal trwa.

Pomyślał, jak biedni są ci, których interesuje jedynie efekt. Jak biedni są radni Kulesza i Franczak, którzy wszystkie swoje siły skupiają na oczekiwaniu finału. Nie umieją cieszyć się drogą do celu. Pomyślał, jak uwielbia te momenty, gdy w oczach kanclerza Maja widzi trwogę. Kiedy dostrzega w nich ciągłe pytanie, czy wiedzę o kompromitujących go faktach zachowa dla siebie. A to pytanie jest w oczach Maja zawsze. Czy biskup powie, że Maj był z kobietą? Czy biskup powie, że kanclerz też wykorzystał swoją pozycję do czerpania rozkoszy? Czy może już powiedział? Jaki użytek z tej wiedzy zrobi Walter? Każde z tych pytań regularnie rysuje się na twarzy Maja i ciśnie mu się zawsze na usta. Ale nigdy nie wybrzmiewa. Bo Maj boi się je zadać. Walter uwielbia ten proces. Uwielbia to poczucie, że jest bardziej cierpliwy niż krewcy radni i bardziej przebiegły niż kanclerz Maj. I wcale nie czeka na cel, bo kocha samą drogę ku niemu.

Walter nie potrafi wyrazić, jak wdzięczny jest losowi, że w jego życiu pojawił się Julian. Losowi, niebiosom, Bogu, przeznaczeniu,

czemukolwiek.

Stanisław czuje podniecenie. Wszystko jest walką. Wszystko jest konfliktem. Wszystko trwa i będzie trwało. I tak jak dzień wcześniej czuł się słaby i płakał, tak dziś czuje się znów silny. Jeszcze nie czas na sen. Jeszcze nie czas na demony i łzy. Stanisław czuje narastające podniecenie i czuje, że znowu ma ochotę na kobietę. Wie, że musi poczekać jeszcze kilka dni. Że wszystko jest już umówione. Ale chciałby, żeby odbyło się to już teraz. Właśnie dzisiaj.

Nie przejmuj się, Julian. Nie przejmuj się. Ja cię rozumiem. Ja wiem, co ty czujesz. Bo ty jesteś taki jak ja. Taki podobny. Jesteśmy w tym razem. Robimy to wszystko razem. Nikt się nie dowie. Nic się nie stało. Nic się nam nigdy nie stanie. To jest proces. Taki piękny proces. Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

Stanisław Walter uspokaja się chwilę później. Wie, że wszystko, co zacznie się w kolejnym tygodniu, rozpocznie się od prawniczki. To właśnie od Alicji Drylskiej trzeba będzie zacząć, postanowił. Nie po to zażyczył sobie, by pracowała dla kurii, żeby działała na jego szkodę. Pomyślał, że trzeba się będzie szybko przekonać się, czy Drylska na pewno dobrze rozumie, co to dokładnie znaczy. Pomyślał, że to wszystko jest takie przyjemne.

Zanim położył się do łóżka, zdążył jeszcze pomyśleć, że Julian nie mógł mu sprawić większej radości. Że proces wciąż trwa i zawsze będzie trwać. A nazajutrz będzie niedziela. Nazajutrz będzie święto. Częstochowa znowu stawi się u Czarnej Madonny.

Błazny!

ROZDZIAŁ 11

Profanum

Piątek, 3 października 2014

Chodzę do kościoła regularnie, co niedzielę. Spacerujemy wtedy z Irkiem, to nasz jedyny wspólny czas poza domem w tygodniu. Mam wrażenie, że mój mąż robi to tylko po to, aby wszyscy, którzy nas widzą razem, mogli upewnić się, że u nas jak zwykle wszystko dobrze.

Trzy miesiące temu, kiedy jeszcze było słonecznie, w drodze do kościoła Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa spotkaliśmy znajomych. Nie widzieliśmy ich od ponad dwóch lat. Przestaliśmy się kontaktować od momentu pożaru. Dopiero, kiedy w jednym z pierwszych zdań Karol spytał Irka, jak idzie interes, zorientowałam się, że nawet nie wiedzieli o tym, co się stało. Widziałam, że Irkiem targała złość i poczucie wstydu jednocześnie. Odpowiedziałam za niego. Miałam wrażenie, że gdyby nie poczucie obowiązku wobec Najwyższego, Irek zrezygnowałby z uczestnictwa w mszy i czym prędzej zawrócił. Chwyciłam jego dłoń i niemal ciągnęłam go za sobą, próbując nie zdradzić, że wkładam w to nieco siły.

– Radzimy sobie – zakończyłam wypowiedź.

– Czytaliśmy o tym w gazetach. Nie wiedzieliśmy, że to wasza – powiedziała Grażyna pod nosem. Obserwowałam ją i mogłabym postawić resztkę naszych pieniędzy na to, że jednak dobrze wiedziała.

– Nic nie zostało? – spytała.

– Jedna figurka – odpowiedziałam, siląc się na uśmiech. – Niejako na pamiątkę – poczułam, jak Irek próbuje wyrwać swą dłoń. Wzmocniłam chwyt.

Zbliżaliśmy się do kościoła. Ostatni odcinek pokonaliśmy już bez słów. Nasi znajomi nie sprawiali wrażenia przejętych. Raczej kodowali pozyskane właśnie informacje i zamieniali je z plotek w fakty, myśląc już, kiedy i z kim się nimi podzielą. Miałam to gdzieś. Po paru minutach upewniłam się, że Irek również.

Weszliśmy do kościoła, zegnając się tak, jak uczyli nas na katechezach. Wiedziałam, że na wysokości połowy łydki mam małe oczko w rajstopach, dlatego klękałam w taki sposób, żeby cienka spódnica zakryła ten mankament.

Wszystkie miejsca siedzące były już zajęte. Ustawiliśmy się za ostatnim rzędem ław. Tak jakoś wyszło, że panowie stanęli obok siebie, a Grażyna okrążyła mnie, sprawiając, że nieco odsunęliśmy się od, pozal się Boże, mężczyzn naszego życia. Po chwili zorientowałam się, dlaczego to zrobiła.

– Widzisz tę dziewczynę w czerwonej bluzce? – spytała przybliżając się do mnie, tak że czułam jej oddech na szyi.

Obejrzałam się w złą stronę, bo chwyciła mnie za ramię, kierując mnie w odpowiednim kierunku. Dostrzegłam młodą brunetkę

w bluzce kupionej na targowisku na szczycie Promenady Niemena. Wiem, bo sama miałam taką samą, choć w bardziej uniwersalnych kolorach – czarnym i granatowym.

– Widzę, co z nią? – zapytałam.

– Nie słyszałaś?! – odparła szczerze zdzwiona.

– Nie, a co miałam słyszeć?

– Mówią, że biskup się do niej przystawia – powiedziała to w sposób tak oczywisty, jakby mówiła, że Jezus umarł na krzyżu.

– Przystawia?

– No wiesz... – zaczęła szeptać mi niemalże wprost do ucha. – Opłaca ją... a ona... ona... się nie sprzeciwia...

– Boże, skąd to wiesz?! – zapytałam nieco zbyt głośno, od razu przepraszając w duchu za przywoływanie Boga nadaremno, w dodatku w jego domu.

– Pan z Wami – z głośników rozległ się głos księdza. Rozpoczęła się eucharystia.

– Opowiem ci, jak się skończy – rzuciła. Potem zauważyłam, jak uśmiecha się do innej kobiety stojącej kilka metrów od nas i wiedziałam, że po zakończeniu mszy poznam całą historię z ust ich obu.

W istocie tak było. Poznałam Halinę i od ich dowiedziałam się wszystkiego o Aldonie, dziewczynie w czerwonej bluzce. Wszystkiego, czym Aldona z pewnością nie chciałaby się dzielić. Panowie oddalili się od nas na odległość kilkunastu kroków, a one wzięły mnie pod ręce z obu stron i zaczęły swą opowieść.

Dowiedziałam się, że Halina zna matkę Aldony i że jej matka nie umie trzymać języka za zębami. Wygadała się Halinie, która

oczywiście przyrzekła, że zachowa informacje dla siebie.

Trzy miesiące temu, podczas powrotnego spaceru po słonecznym Tysiącleciu stałam się siódmą osobą, która poznała sekret Aldony i na moje oko dwusetną, która wie o sprawie. Zostałam oczywiście poproszona o dyskrecję. Informacje zostały mi przekazane w zaufaniu.

Trzy miesiące temu poznałam prawdziwą twarz Stanisława Waltera. W ciągu kolejnych tygodni dotarły do mnie opowieści o innych dziewczynach pokrzywdzonych przez biskupa. Jak się okazało, temat krążył po parafii od jakiegoś czasu. Byłam tym zdziwiona i jednocześnie zła na siebie, że zaprzestałam regularnych wizyt u siostry Miriam. Postanowiłam więc spotkać się z życzliwą zakonnica. Nie myliłam się, zakładając, że od niej dowiem się najwięcej.

Postanowiłam być głosem tych kobiet. Ich tajnym adwokatem, bohaterką w przebraniu. W jakiś przedziwny sposób zmieniło to moje nastawienie do życia, od którego wcześniej chciałam uciec jak najdalej. Byłam czterdziestopięcioletnią kobietą, pozbawioną skrzydeł podobnie jak anioł, który stał obok naszego telewizora. Ale mimo wszystko było mi przecież lepiej niż przerażonym dziewczynom, przypartym do muru przez potężną siłę reprezentanta episkopatu.

Mogłam coś zmienić. Miałam na to wpływ. Miałam możliwości.

Dlatego kiedy dziś siadłam do pisania drugiego listu, kreślenie kolejnych słów sprawiło mi ogromną przyjemność.

„Katarzyna, lat 24, mieszkanka Kamyka. Gwałcona od pół roku. Spotkania odbywają się w zakrystii archikatedry na Krakowskiej.

Twój brat...” – pisałam, obnażając prawdziwe zepsucie jednego z głównych reprezentantów sacrum w naszym mieście. Miałam nadzieję, że może właśnie dzięki tym słowom ktoś położy temu kres. Wiedziałam, że u Przenajświętszej Panienci zdołam jedynie wybłagać zbawienie dla tych biednych kobiet. Ważniejsze było, by tutaj na ziemi pomóc im już teraz.

Czułam, że w tym mieście tylko Jerzy Walter mógł się na to odważyć.

ROZDZIAŁ 12

Alicja

Poniedziałek, 27 października 2014

To był dobry weekend. Były takie dni, które mogłyby trwać wiecznie. Alicja nie miała jakiegoś szczególnie negatywnego stosunku do poniedziałków, ale tego ranka ledwo zwlekła się z łóżka. Poprzednie dwa dni miała tylko dla siebie. Wcześniej bardzo często już od niedzielnego popołudnia jej myśli krążyły wokół kwestii związanych z pracą. Owszem, i tym razem w jej głowie pojawiły się zawodowe rozważania, przez chwilę sprawiły nawet, że nie mogła się skupić na fabule książki, którą czytała tego wieczoru. Ale trwało to krótko. Już w piątek wieczorem zdecydowała, że nie będzie zaprzętać sobie głowy żalosnym zachowaniem biskupa Waltera, Maleńkowem, rozjuszonymi spadkobiercami czy innymi sprawami, które prowadziła dla kancelarii Waryński i Partnerzy. Koledzy z pracy zdziwiliby się, że ich Xena, wojownicza księżniczka, jak ją od dłuższego czasu nazywali, w weekend po prostu odpoczywa.

Takich dni, sama ze sobą, bez tych wszystkich drażniących klientów, bez żądań, pretensji i skarg, bez telewizji, bez reklam,

a nawet bez długich rozmów telefonicznych z Henrikiem nie miała już dawno. Alicja spała długo, śniadanie jadła przed jedenastą, słuchała muzyki, czytała książki i po prostu dbała o siebie. W gruncie rzeczy przez dwa dni nie miała na sobie nic innego poza ulubioną piżamą. Szurała po podłodze za długimi nogawkami już i tak podwiniętych spodni, kręciła supły na przydługich rękawkach i miała to wszystko gdzieś. Do tego stopnia, że właśnie w takim stroju dwukrotnie otworzyła drzwi dostawcom posiłków, które z lenistwa zamówiła przez internet. O ile za pierwszym razem kurierem była kobieta, o tyle w drugim przypadku szybko zdała sobie sprawę, że widoczny brak stanika pod cienką koszulką z Minionkiem przyciągnął uwagę młodego chłopaka o wiele bardziej niż to, czy suma do zapłaty się zgadza. Dotarło to do niej jednak dopiero wtedy, gdy zamknęła drzwi i spojrzała na wizerunek kreskówkowej postaci na swojej klatce piersiowej. Zarówno ona teraz, jak i dostawca pizzy, mieli wypisane na twarzy to samo – coooo ja widzę?!

Aura pomogła Alicji podjąć decyzję, aby właśnie tak spędzić weekend.

Częstochowa też przecież jest kobietą – pomyślała Alicja – ma teraz ciężki czas i musi przyjmować na siebie te hektolitry wody spadającej z nieba. A my, kobiety, solidaryzujemy się i wspieramy nawzajem. Więc zrobię to, na co Częstochowa nie ma czasu. Zrobię coś tylko dla siebie. I będę to robiła bezwstydnie przez całe dwa dni.

Swój plan skutecznie wdrożyła w życie i kiedy w poniedziałkowy rano wyszła spod prysznic, pomyślała, że

szkoda, że sielanka się skończyła. Pomyślała też, że wycieranie się do sucha nie ma żadnego sensu, bo samo przejście od klatki schodowej do Kawuni stojącej na osiedlowym parkingu będzie jak kolejny prysznic. Spięła swoje długie kasztanowe włosy w niedbały kucyk i nałożyła lekki makijaż. Szare materiałowe spodnie z podwyższonym stanem, w połączeniu z czarnymi kozakami i obcisłą ciemnozieloną bluzką sprawiały, że wyglądała, jakby miała za chwilę jeździć konno. Taki strój najbardziej spodobałby się Henrikowi, który uważał, że tak ubrana wygląda najbardziej podniecająco. Nazywał to gustowną, seksowną elegancją i zawsze twierdził, że ten zestaw jest idealny na każdą okazję. Nadaje się na oficjalne spotkania, na niezobowiązujące wypadki na kawę i do tego, by mógł go zdjąć.

O ósmej trzydzieści ruszyła spod bloku, kierując się prosto do kurii. Bez dokumentów, które zabrał jej biskup, umówione na dziewiątą spotkanie z Maleńkowem nieco traciło sens, ale zdecydowała, że załatwi to w inny sposób.

Chciała pójść do Waltera razem z Wiktorem i postawić duchownego pod ścianą. Zamierzała rozegrać sprawę przy użyciu mocnych środków i przypomnieć o regułach i możliwych krokach prawnych. Obowiązywała ją wprawdzie troska o dobro klienta, którym przecież była kuria, ale bez przesady. Sądziła, że w tym przypadku granice dobrego smaku i etyki zostałyby zdecydowanie przekroczone.

Zaskakująco duże korki na Pułaskiego i przy skrócie w trzecią aleję sprawiły, że pokonanie krótkiego odcinka z ulicy Zana zajęło jej niemal kwadrans. Kiedy weszła do kurii, Maleńkowa jeszcze nie

było. Czekala na nią za to wiadomość, która już na starcie pokrzyżowała jej plany.

– Biskupa dziś już raczej nie będzie – powiedziała pracująca w sekretariacie pani Helenka, kiedy prawniczka zapytała, czy biskup ma tego dnia wolną chwilę. – Wyjechał wcześniej rano i z tego, co widzę, ma dziś bardzo napięty grafik. Wróci pewnie dopiero późnym wieczorem.

Pani Helenka była wdową w średnim wieku i jedną z niewielu świeckich pracowników kurii. Kobieta wypełniała swoje obowiązki z zaangażowaniem, traktując pracę u biskupa jako rodzaj misji. Paradoksalnie była też właściwie jedyną osobą w tym miejscu, z którą Alicja nawiązała dziwne, nienaturalne porozumienie. Często wymieniały wiele mówiące spojrzenia, bezgłośnie komentując różne sytuacje.

Postanowienie o stwierdzeniu nabycia spadku uprawomocniło się dwa dni później, więc miała jeszcze trochę czasu na ruchy prawne w tej sprawie. Zdecydowała, że poczeka na Wiktora, krótko naświetli mu sprawę, a w międzyczasie będzie próbowała telefonicznie skontaktować się ze Stanisławem Walterem. Tak czy siak, o dwunastej musiała stawić się w kancelarii na spotkanie w innej sprawie. Weszła do małej salki i w oczekiwaniu na Maleńkowa zaczęła przeglądać dokumenty dotyczące tamtego postępowania.

Pani Helenka przerwała jej kilka minut później i poinformowała, że do kurii dzwoni jakiś człowiek, mówiący z dziwnym akcentem i chce z nią rozmawiać. Alicja pomyślała, że Wiktor pewnie się spóźni i dzwoni, by ją o tym poinformować. Dobrze, że chwytając

za słuchawkę, oparła się o wysoki blat frontu recepcyjnego, gdyż już pierwsze słowa Maleńkowa sprawiły, że lekko ugięły się pod nią nogi.

– Pani Alicjo, ja siewodnia nie przyjdę. Ja w szpitalu.

– Panie Wiktorze, co się stało?

– Napadli mienia. Ja ranny.

– Jak to?

– Ubić mienia chcieli. Zabić.

O ile informacja o pobycie Wiktora w szpitalu mogła być dla niej jeszcze racjonalnie wytłumaczalna, o tyle sam powód był szokiem. Ciężko jej było przyjąć to do wiadomości.

– Nie no, żartuje pan. O co tak naprawdę chodzi?

– Ja mówię prawdę. Naprawdę ktoś chciał mienia zabić. Ja w szpitalu na ulicy PCK. Naprawdę nie mogę przyjść. Ja tu do piątku. Miałem wczoraj operację.

– Matko Boska! – krzyknęła Alicja do słuchawki i rozejrzała się mimowolnie dookoła – Coś poważnego się stało?

– Lekarz skazał, że ja miał szczęście. Ja budu ruszał ręką.

– Kto to zrobił? – odruchowa zapytała prawniczka.

– Ja nie wiem. Ja nie widziałem. Było ciemno i padał deszcz. On miał taki kaptur.

– Powiadomił pan policję?

– Ksiądz Ryszard powiadomił. Będą szukać.

Dziwny zbieg okoliczności, pomyślała Alicja. A jeżeli zbieg okoliczności jest dziwny, to jest także podejrzany. Wiktor przyjeżdża kilka dni wcześniej, zjawia się niespodziewanie, przedstawia konkretne dokumenty i zostaje napadnięty. Tak jakby

komuś przyjazd Maleńkova był zupełnie nie na rękę. Na przykład temu, który zamknął w sejfie dowody, które przywiózł ze sobą Wiktor.

Wszystkie fakty, które połączyła szybko w swojej głowie, stanowiły jedynie poszlaki. Poważnie zaniepokoiła ją jednak sama myśl o takim ciągu zdarzeń. A jeszcze bardziej wystraszyło ją błyskawiczne tempo wypadków.

W trakcie rozmowy poczuła, że w kieszeni wibruje jej telefon. Wyjęła go i zobaczyła, że dzwoni biskup Walter. Mógł to być najwyżej trzeci raz, kiedy biskup do niej osobiście telefonował. Zresztą z tego, co pamiętała, wcześniejsze dwa telefony od niego miały miejsce tuż po przydzieleniu jej do obsługi prawnej kurii i miały one charakter czysto kurtuazyjny. Szczerze wątpiła, by i tym razem też miało tak być. Dokończyła rozmowę z Maleńkowem, zapewniając, że pozostanie w kontakcie i postara się go jak najszybciej odwiedzić.

Wróciła do salki i przesunęła palcem po ekranie telefonu, oddzwaniając do biskupa.

– Witam, moja droga – zgłosił się Walter po trzech sygnałach. W jego głosie brzmiała radość. Alicja nie była jeszcze w stanie stwierdzić, czy jest udawana, czy szczerą.

– Witam, księżę biskupie. Przepraszam, nie mogłam odebrać, właśnie rozmawiałam z panem Maleńkowem i...

– Oj, fatalne nowiny moja droga, właśnie miałem ci je przekazać – przerwał jej w pół zdania.

– Czyli ksiądz biskup już wie, co się stało z Wiktorem? – odparła, próbując ukryć zaskoczenie.

– Mój brat Jerzy dzwonił do mnie dziś rano i powiedział o tym nieszczęśliwym zdarzeniu. Ponoć dostał tę informację na porannej odprawie od swoich podwładnych. Wiktor wspominał, że był u nas w kurii, stąd mój brat uznał za słuszne poinformować mnie o tym. Pytał jednocześnie, czy wiem coś o sprawie dokumentów, o których mówił ten uroczy człowiek, ale wszystko mu wyjaśniłem. Powiedziałem, że nie musi się niczym martwić i niech skupi się na odnalezieniu sprawcy tego niecnego czynu – ciągnął Walter, nie przerywając ani na chwilę. – To jest teraz najważniejsze. Trzeba znaleźć winnego. Straszny wypadek, naprawdę straszny, moja droga. Ksiądz Ryszard pewnie odchodzi od zmysłów!

– Zgadzam się, okropna wiadomość. – Alicja odniosła się krótko do ostatnich słów biskupa i szybko przeszła do najważniejszej dla niej kwestii. – No właśnie. A jeśli chodzi o dowody, które przywiózł Małeńkow, księżu biskupie...

Znowu nie pozwolił jej dokończyć zdania.

– Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię! – wykrzyknął z entuzjazmem i Alicji przebiegło przez myśl, że tym razem ta radość na pewno była udawana. – Jak już zapewne wiesz, nie ma mnie dziś w kurii. Mam spotkania z wiernymi i kilka oficjalnych wizyt. Między innymi jadę dziś do przedszkola. Już się szykuję na najtrudniejsze pytania! – kontynuował. – Nikt nie potrafi zaskoczyć tak jak najmłodszy, nie sądzisz? Ach zaraz, ty, moja droga, chyba nie masz dzieci, jeśli się nie mylę?

Alicją targały przeciwstawne uczucia. Z jednej strony poczuła ciepło na myśl, że pytanie jest trafione w punkt. Przecież wspólnie z Henrikiem zdecydowali, że jeśli teraz przytrafi im się dziecko, to

nie będą mieli nic przeciwko. W ostatnim czasie zrezygnowała ze stosowania antykoncepcji i pomyślała, że akurat ten ruch bardzo spodobałby się kościelnym władzom. Na razie nie rozmawiali z Henrikiem o konkretach, ale oboje wiedzieli, że chcą być rodzicami. Jej weekend był taki beztroski również z tego powodu – wspólnie podjęli jedną z najważniejszych decyzji w życiu.

Z drugiej jednak strony poczuła, że wcale nie chce odpowiadać na to pytanie i że takie sprawy nie powinny obchodzić biskupa. Mimo lekkiej irytacji zdobyła się na przyjazny ton.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedziała.

– No tak, no tak. W każdym razie chcę powiedzieć, że bardzo chciałbym się z tobą, moja droga, spotkać jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dziś. Będę jednak wolny dopiero około godziny dwudziestej. Czy mogłabyś podjechać do archikatedry? Byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli spotkać się w zakrystii. O tej porze będziemy mogli tam już spokojnie porozmawiać. Chciałbym cię uspokoić; w sprawie Maleńkowa wszystko będzie załatwione jednak po twojej myśli. Czy możemy się wobec tego tak umówić? Bardzo bym cię o to prosił.

Alicja pomyślała, że jeżeli zaraz nie znajdzie sposobu na włamanie się do sejfu biskupa, to właściwie nie ma wyjścia i musi zgodzić się na to spotkanie. Jej plany dotyczące załatwienia sprawy nabycia spadku przesuną się o jeden dzień, ale wciąż będzie czas na działanie.

– Dobrze, umówmy się tak. Dwudziesta, na Katedralnej. Mam wejść bezpośrednio do zakrystii, tak?

– Tak jest, byłbym ci bardzo wdzięczny, moja droga.

Kiedy się rozłączyli, poczuła, że ma zupełny mętlik w głowie. Spróbowała to wszystko ułożyć w jakąś sensowną całość. Maleńkow był w szpitalu, został napadnięty. Jak się właśnie dowiedziała, wie o tym nie tylko policja, lecz także sam biskup pomocniczy. Skoro wiedzą o tym funkcjonariusze, to znaczy że szukają sprawców. Fakt, że szefem policji w tym mieście był brat biskupa, oznaczał, że kuria i Trójkąt będą w tej sprawie współpracować. Współpraca zapewne będzie miała zarówno charakter urzędowy, oparty na normalnym trybie postępowania, jak i mniej oficjalny, bazujący na kontakcie obu braci. Zaproszenie na spotkanie do biskupa, a w szczególności informacja, że sprawa będzie załatwiona po jej myśli, mogłyby wskazywać na to, że bracia przeanalizowali sytuację. Chcąc uniknąć niepotrzebnych domysłów, biskup mógł zgodzić się na odpuśczenie sprawy dworku Sobińskich. To wszystko jednak wydawało się zbyt oczywiste i Alicja odnosiła wrażenie, że sprawy jednak nie potoczą się gładko.

W takich momentach czuła, że uleganie namowom Henrika, żeby przeprowadziła się do Szwecji, staje się coraz bardziej uzasadnione. Uwolni się od razu od wszystkich śliskich spraw tego miasta. Miasta, które tak wiele zabrało jej w przeszłości. Z głodu tam nie umrą, bo wpływy z kolejnych książek Henrika przekraczały sumy, które potrafiła ogarnąć wyobraźnią. Sama z czasem również zaczepi się gdzieś w swoim zawodzie, a w pierwszych latach skupi się na dziecku. A może nawet na dzieciach. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie wyobrażała sobie, by mogła ot tak zostawić wszystko, na co pracowała całe życie, ale z czasem jej stosunek do tych spraw

zmienił się, a pragnienie bycia matką stawało się coraz silniejsze. Henrik to był właściwy facet. To był właśnie ten gość, który zdołał ujarzmić wojowniczą księżniczkę. Jego ostatnia wizyta i ten samotny sielsko-anielski weekend tylko to potwierdziły.

Alicja opuściła kurię chwilę później i udała się do kancelarii. Cały dzień upłynął jej na analizowaniu sprawy przedsiębiorcy zaangażowanego w konflikt z bankiem. Spotkania i omawianie dokumentów ciągnęły się na tyle długo, że zdążyła coś zjeść dopiero o osiemnastej. Dziwiła się sama sobie, ale wpadła na szybkie jedzenie do knajpy w pierwszej alei. W ostatnich kilku dniach miała wręcz wilczy apetyt. Przypomniła sobie czasy, gdy na kurczaka BBQ i burgery chodziła do Alamo, jeszcze jako licealistka, potem jako studentka. Ostatnio zaliczyła kilkuletnią przerwę od bywania w tym miejscu, ale jak stwierdziła z uciechą, smak dań się zupełnie nie zmienił. Kiedy wgryzła się w cheeseburgera, przeniosła się do czasów, w których zostawiała tu połowę kieszonkowego od babci. Stwierdziła, że musi tu jeszcze wpaść ze znajomymi. Na pewno z Ewą, którą ostatnio zaniedbywała, ale przede wszystkim z szalonym Agüero, który bez dwóch zdań doceni smak tutejszych burgerów. Ten weekend miała tylko dla siebie, ale kolejny planowała spędzić z nimi. Przypadkowe spotkanie pod kurią jedynie utwierdziło ją w przekonaniu, że bardzo zaniedbała relacje z przyjaciółmi.

Na Katedralnej pojawiła się już o dziewiętnastej trzydzieści i niemal pół godziny przesiadła w samochodzie, słuchając radia. Co kilka minut przekręcała kluczyki w stacyjce tylko po to, by uruchomić wycieraczki i sprawdzić, czy świat, który był na

zewnątrz, jeszcze nie zniknął. Zastanawiała się, gdzie i kiedy ostatni raz słyszała o takich opadach i doszła do wniosku, że musiało to być na kanałach meteo, informujących o monsunowych deszczach w wilgotnym klimacie zwrotnikowym. Czuła się jak w łodzi podwodnej, która utknęła w zatopionym mieście.

Dokładnie o dwudziestej weszła do zakrystii bocznymi drzwiami od strony ulicy Ogrodowej.

Nie mogła powiedzieć, by w środku czuła się komfortowo, ale tutaj przynajmniej nie padało. W korytarzu paliło się słabe światło, przywołujące na myśl łunę średniowiecznych pochodni. Alicja odniosła wrażenie, że przeniosła się do świata Wilhelma z Baskerville. Doszła do głównego holu i nadal nie spotkała nikogo na swojej drodze. Stała przy lawaterzu. Postanowiła, że nie będzie pukać do kolejnych drzwi na chybił trafił, tylko zadzwoni do biskupa.

– Ach, jesteś już moja droga – powiedział jeszcze przez telefon, po czym uchylił drzwi od jednego z pomieszczeń i wyszedł do niej.
– Zapraszam. Zapraszam tutaj – dodał, chowając komórkę i otworzył szerzej drzwi, wpuszczając ją do środka.

W pokoju pewna rzecz zwróciła jej uwagę już od pierwszej chwili. Nie było tu okna, a oprócz lampki stojącej na biurku światło dawały jedynie dwie lampy ścienne i kilka świec. Po prawej stronie znajdowały się jeszcze jedne drzwi do kolejnego pomieszczenia. Teraz były lekko uchylone, ale widać było, że jest tam zupełnie ciemno.

Ubrany w szare spodnie i jasnoniebieską koszulę biskup stał obok biurka. Jego krótko ostrzyżone włosy dawno posiwiwały,

a gęste zmarszczki na czole kończyły się niemal na czubku głowy. Uwydatniało to monstrualne zakola zajmujące pokaźną część jego czaszki.

Wyraz twarzy Stanisława Waltera zupełnie nie przystawał do tonu jego głosu, który słyszała jeszcze przed chwilą. Jego oblicze zdradzało emocje inne niż radość i otwartość, jakimi starał się emanować na spotkaniach z wiernymi czy w dzisiejszej rozmowie telefonicznej.

Alicja poczuła, że wcale nie chce tu być i że przyście do tego miejsca nie było dobrym pomysłem. Mimowolnie przełknęła ślinę, jeszcze zanim w pomieszczeniu padły jakiegokolwiek słowa.

Biskup przetarł palcami kąciki ust i przeszedł od razu do rzeczy.

– Zostawisz sprawę Maleńkowa i nie będziesz już więcej pytać mnie o dokumenty, które przywiózł ze sobą – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Właściwie w sposobie, w jaki to oznajmił, było coś więcej. Groźba. Przestroga. Niby ukryta, ale ukryta tak niedbale, że przebijała się na pierwszy plan.

Alicja powoli oswajała się z tak dobrze jej znanym kaftanem bezpieczeństwa.

– Co ksiądz biskup chce przez to powiedzieć? – zadała najgłupsze możliwe pytanie, ale jedyne, jakie przyszło jej do głowy.

– Dokładnie to, co przed chwilą usłyszałaś. Zostawisz tę sprawę i zajmiesz się innymi. Za dwa dni, kiedy uprawomocni się postanowienie sądu, zapomnisz o niej i nie będziesz do tego wracać – wyjaśnił Walter.

Alicja nagle poczuła przyływ odwagi.

– A, co jeśli tego nie zrobię? – zapytała mocnym głosem.

Biskup spojrział prosto w jej piwne oczy i od tego momentu nie odrywał od nich wzroku.

– Jeśli tego nie zrobisz, to ja dowiodę, że nie okazałaś mi żadnych dokumentów pana Małeńkova. Co więcej, wykazę, że to ty je zniszczyłaś, a wcześniej osobiście zaproponowałaś mi przemilczenie sprawy jego wizyty. Zrobię tak, żeby na jaw wyszła twoja nieetyczna propozycja rozwiązania tej sprawy. Zrobię tak, żeby tę wersję potwierdzili urzędnicy, policja i prokuratura. A jeśli będziesz próbowała się bronić, to jak myślisz, komu dadzą wiarę? Mnie czy początkującej prawniczce?

Alicja zbladła. Odcień jej skóry przybrał kolor kremowego materiału więzów, które czuła na sobie.

– Ale jak to? – zapytała cicho.

– Normalnie. Czy dobrze rozumiemy się w wiadomej sprawie?

Alicja nie dawała za wygraną. Podeszła bliżej do biskupa. Skrzywiła się, czując jego perfumy. Po raz pierwszy poczuła tak mocny zapach od duchownego.

– Biskup chyba sobie żartuje! – krzyknęła.

– Moja droga, nie tym tonem – odpowiedział Walter i było widać, że emocje również w nim gwałtownie rosną.

– A jakim?! Pan myśli, że kim jest? – powiedziała, nie bacząc już na żadne formy ani słowa. – Jakimś cholernym możnowładcą?!

– Alicja nie poznawała samej siebie. Tak jakby każde z jej słów było wcześniej nagrane przez kogoś innego. I ten ktoś wcisnął właśnie odpowiedni przycisk i odtwarzał te zdania wprost z jej ust.

– Proszę odpowiedzieć! O co tu chodzi?!

Echo jej ostatnich słów nie zdążyło jeszcze do końca wybrzmieć,

kiedy usłyszała za plecami dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Spojrzała do tyłu, przez prawe ramię i zobaczyła Juliana. Ten zdążył już zamknąć drzwi i kierował się ku niej. Drzwi do pomieszczenia obok były otwarte na oścież. Musiał wyjść właśnie stamtąd. Musiał tam być przez cały czas.

Alicja obróciła się ku niemu, nie do końca kontrolując sytuację. Kolejna sekwencja ruchów wyglądała tak, jakby się umówili. Alicja otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. Cokolwiek. Ale nic nie przyszło jej na myśl. A jej mózg nie pracował na tyle skutecznie, by podpowiedzieć jej jakiejkolwiek składne zdanie. Julian w tym samym czasie wyjął z kieszeni zwitek materiału i gwałtownym ruchem wepchnął jej go do ust. Drugą ręką uderzył ją w twarz. Uderzył ją otwartą dłonią, ale mocno. Na tyle mocno, że lekko się zachwiała. Kiedy się wyprostowała, było już za późno, by cokolwiek zrobić. Biskup wraz z Julianem wykręcili i skrępowali jej ręce. Następnie brutalnie odwrócili ją i ustawili przodem do biurka. Silny uścisk dłoni Juliana na jej szyi sprawił, że schyliła się i położyła klatkę piersiową na biurku.

W to, co nastąpiło później, nie mogła uwierzyć. Wszystko, co działo się przez kilka kolejnych minut, było zbyt nieprawdopodobne, by mogła uznać, że stało się naprawdę.

Pamiętała jedynie, jak ściągnęli jej spodnie. Jak rozerwali majtki. Jak rozchylili jej nogi. Jak poczuła coś, czego nie powinna nigdy poczuć.

Pamiętała słowa, które wypowiadał biskup Stanisław Walter.

– Znam cię. Znam cię bardzo dobrze. I nie po to dokonałem takiej małej zamiany, żebyś teraz sprawiała mi problemy. Nie

dlatego zabiegałem o to, żeby kancelaria wyznaczyła właśnie ciebie do obsługi kurii. Znam cię bardzo dobrze. I bardzo zależało mi na tej zmianie. To taka moja mała rozszada.

Słyszała, jak biskup ocierał ślinę kapiącą z warg. Pamiętała, jak mocno chwycił ją w biodrach. Wiedziała, że do końca życia zostanie z nią ten zapach perfum. Pamiętała, że biskup nie przestał, dopóki nie skończył. Kątem oka widziała Juliana, który przez cały ten czas stał i patrzył.

Pamiętała, że myślała wtedy tylko o jednym. Że oddałaby wszystko, żeby mieć umiejętność przenoszenia się w czasie i cofnięcia się do momentu, w którym siedziała w samochodzie i słuchała muzyki. Do chwili, kiedy obserwowała w aucie, jak padał deszcz. Niczego nie pragnęła teraz bardziej niż tego, żeby wyjść prosto w tę ulewę i moknąć. Moknąć i tańczyć. I wystawiać język, łapać kolejne krople. Pragnęła tylko tego.

A potem wszystko zamieniło się w czerń. Zlało się w mazistą czarną substancję, w której poruszała się Alicja. Nie pamiętała, by widziała cokolwiek poza czernią, kiedy szła w stronę wyjścia korytarzem, który nieco wcześniej wydał jej się na swój sposób magiczny. Nie widziała niczego poza czarną otchłanią, kiedy szła w deszczu do samochodu. Ani wtedy, gdy dojechała do domu i położyła się na łóżku. Nie zwróciła uwagi, że zamknęła w końcu oczy zasypiając, bo wówczas jedynie przeszła z ciemności w ciemność. Tak, jakby wszystko, co robiła wcześniej, robiła już z zamkniętymi oczami. Czerń miała przesłonić jej wszystko i zapanować nad jej światem na wiele dni. Czerń miała stać się jej przyjaciółką. Alicja uciekła w ciemność, w której nie było nic

widać. W ciemność, w której nie mogła zobaczyć samej siebie.

Kiedy wychodziła z zakrystii, przeszła obok czarnej skody octavii. Jej mózg nie zarejestrował tego. Przeszła koło niej tak, że gdyby skoda stała dokładnie na jej drodze, pewnie przeszłaby po jej masce i dachu. Minęła ten samochód i skierowała się do swojego opla.

Jerzy Walter opuścił szybę i spojrzał na prawniczkę. W tym momencie zastanawiał się tylko nad dwiema rzeczami. Kilka godzin wcześniej odsłuchał pierwsze nagrania z podsłuchu założonego na numerze telefonu brata. Zastanawiał się, czemu jego brat skłamał, mówiąc Drylskiej, że rozmawiał z Jerzym o Maleńkowie. Zastanawiał się też, co mogło się stać przed chwilą w archikatedrze. I nie chciał, by stało się tam to, czego najbardziej się obawiał.

ROZDZIAŁ 13

Jakub 1992

Czwartek, 21 maja 1992

Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi. Jest maj i Jakub Drylski ma sześć lat. Minęły trzy lata, odkąd tu trafił. Minęły trzy lata od jego zniknięcia i nikt nie wie, gdzie jest. Nikt zresztą nawet nie wie, że Jakub Drylski w ogóle jeszcze istnieje.

Ale Jakub istnieje. Od trzech lat poznaje świat w inny sposób. Jego świat jest mały, ciasny i ograniczony czterema ścianami. Jego świat jest niczym. Nikt nie chciałby tak żyć.

Świata, w którym żył wcześniej, chłopiec nie pamięta. A jeśli pamięta, to nawet nie rozumie, że była to kiedyś jego rzeczywistość. Był zbyt mały, by pojąć, że otoczenie, w którym żyje, zmieniło się aż tak drastycznie. Początkowo Jakub był zdziwiony. Był smutny. Tęsknił za mamą i tatą. Wołał ich. Ale tak było na samym początku. Po jakimś czasie chłopiec przyzwyczał się do nowego taty i zapomniał, że kiedyś w jego życiu była także mama.

Trzy lata wcześniej na miejsce wypadku przyjechała milicja i stwierdziła obecność trzech trupów oraz czwórki rannych. Trzech

mężczyzn i jednej dziewczynki. Nie stwierdziła obecności Jakuba. Na dobrą sprawę nie stwierdziła również jego nieobecności. Zasadniczo do momentu, w którym zrozpaczeni dziadkowie nie potwierdzili tego, co mówiła mała Alicja, nikt nawet nie wiedział, że w tym wypadku uczestniczył ktoś taki jak Jakub i że może wypadałoby go poszukać.

Alicja zamieszka i dorastać będzie u babci Zosi. Babcia wychowa ją i zadba o to, by wyrosła na szczęśliwą i zdrową panienkę, jednak nigdy nie pogodzi się z umorzeniem śledztwa w sprawie zaginięcia Jakuba. Latami będzie walczyć o odnalezienie wnuka i nie przestanie wierzyć w jego istnienie, nawet kiedy przestanie walczyć.

Funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, a nieco później funkcjonariusze policji, poszukując Jakuba Drylskiego, sprawdzą każdy możliwy trop. A ponieważ tak naprawdę na miejscu wypadku nie znajdą żadnych śladów, to przeszukają cały okoliczny teren trzykrotnie, ostatni raz czyniąc to półtora roku po wypadku na alei Pokoju. Szeroko zakrojone poszukiwania nie dadzą żadnego efektu. Funkcjonariusze zapukają więc do wszystkich pobliskich gospodarstw, pytając, czy żaden z mieszkańców nie widział Jakuba, bądź nie słyszał czegoś o zaginionym chłopcu. W trakcie takich wizyt funkcjonariusze dopuszczają się nawet przekroczenia uprawnień i bezprawnego przeszukania kilku nieruchomości. W jednym przypadku skończy się to pobiciem funkcjonariusza, skutkującym złamaniem nosa, rozcięciem łuku brwiowego oraz utratą dwóch zębów. Efektem tego zajścia będzie krótka, ale dotkliwa kara pozbawienia wolności dla rozjuszonego właściciela.

Funkcjonariusze przeprowadzą liczne przesłuchania i sporządzą mnóstwo notatek. Będą rozmawiać z tymi, którzy rzeczywiście mogli coś o sprawie wiedzieć, jak i z tymi, którzy nie mieli prawa wiedzieć niczego, bo nigdy nawet nie byli w okolicy, ale ktoś inny zeznał, że byli i mogli coś wiedzieć. Będą rozmawiać z Alicją; na szczęście w obecności psychologa. Będą rozmawiać z pasażerami nysy. Zarówno z tym, który po wypadku zachował swój wygląd, jak i z tymi, których twarze po kontakcie z odłamkami szkła nieco się zdeformowały.

Żadna z podjętych czynności nie przyniesie spodziewanego efektu, żadna nie pozwoli dokonać najmniejszego postępu w śledztwie. Jedyne, co będzie postępować w szybkim tempie, to wzrost frustracji funkcjonariuszy oraz zniechęcenia prokuratora. Zaangażowane w sprawę organy, jak również pojedyncze jednostki oraz wszelkie życzliwe osoby stwierdzą w końcu, że nie wiadomo, co stało się z Jakubem, i że nic nie wskazuje na to, by nagle cokolwiek miało się stać się w tej sprawie jasne. Niecałe dwa lata po wypadku podjęta zostanie decyzja o zakończeniu śledztwa i uznaniu, że Jakub w istocie zapadł się pod ziemię. A ponieważ w wersji oficjalnej żaden człowiek nie może tak po prostu zniknąć, zostanie więc zapisane, że najprawdopodobniej Jakub Drylski swój krótki żywot zakończył w pobliskiej rzece Warcie. Uznano za niemal pewne, że chłopiec dotarł do rzeki i wpadł do niej, a jej silny nurt musiał porwać jego lekkie ciało i zabrać ze sobą daleko poza święte miasto. Była to koncepcja nie tyle niedopracowana, co w zasadzie pozbawiona sensu, ale z braku innej, właśnie taką wersję przyjęto i sprawa poszukiwań została zamknięta.

Paradoksalnie, gdyby prowadzący śledztwo trzymali się teorii, że Jakub naprawdę zapadł się pod ziemię, byłoby bliżej prawdy, niż sami mogli podejrzewać.

W rzeczy samej ten wypadek sprawił, że mały Jakub faktycznie znalazł się pod ziemią. A dokładnie w piwnicy jednego z domów przy ulicy Gilowej.

Pomieszczenie, w którym chłopiec spędził kolejne lata życia, tak naprawdę nie było piwnicą, lecz pokojem, o którym wiedział tylko on i mężczyzna, który go w nim zamknął. Gdyby Jakub przebywał w piwnicy, zostałby szybko odnaleziony. Ta bowiem znajdowała się nad pomieszczeniem, w którym został zamknięty. Oba miejsca dzieliła jedynie kłapa w podłodze. Niewidoczna na pierwszy rzut oka, trudna do zauważenia nawet przy dokładniejszym sprawdzeniu całego pomieszczenia. Pod nią znajdowały się krótkie drewniane schodki prowadzące do ukrytego pokoju. Tam właśnie, pod ziemią, na głębokości około czterech metrów, dorastał Jakub Drylski.

Posiadłość, w której przebywał chłopiec, stała się w toku śledztwa przedmiotem nieuprawnionego przeszukania. Gospodarstwo i dom samotnie mieszkającego mężczyzny trafiły na listę funkcjonariuszy. Byli oni i w domu, i na strychu, i w zagrodzie, gdzie przebywały kury i gęsi, i w szopie, i w piwnicy. Kłapy w podłodze piwnicy nikt jednak nie zauważył. Kłapy w podłodze nikt nie podniósł. Jakuba nikt nie usłyszał.

A Jakub istniał wtedy i istnieje teraz. Ale jego istnienie przybrało zupełnie inną formę niż ta, którą planowała dla niego mama Zuzanna. Inną niż ta, którą wymarzył dla niego tata Paweł.

Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi i cały świat

Jakuba zamknięty jest w dziewięciu metrach kwadratowych. W pomieszczeniu o kształcie prostokąta. W pokoju, który opuszcza dwa razy w tygodniu na dokładnie dziesięć minut. Mężczyzna nazywa to „doznaniem światła”, a w jego trakcie chłopiec musi być cicho i patrzeć tylko przed siebie. Jakub leży wówczas w środku drewnianej przyczepy na ogromnych kołach i patrzy w niebo. Patrzy w górę, obserwuje niebo, chmury i słońce. Słońce daje czasem takie światło, które razi Jakuba w oczy i wtedy chłopiec je zamyka. Ale tak dzieje się nieczęsto. Jakub nigdy nie patrzy w bok, ale gdyby tam spojrzął, to po jednej i po drugiej stronie zobaczyłby drewniane ściany przyczepy. Jakub leży na samym jej środku, jest sam. Mógłby przeczołgać się do jednej ze ścian. Mógłby wstać. Mógłby spróbować zeskoczyć z przyczepy. Ale nie robi tego. Nie robi tego, bo wie, że spotkałaby go za to kara. Wie, że mężczyzna, którego nazywa Tata, stoi tuż obok i również doznaje światła.

W trakcie tej osobliwej ceremonii Jakub słyszy dźwięki, które pamięta z przeszłości, ale nie do końca potrafi przypisać je do konkretnych rzeczy i zdarzeń. Słyszy odgłosy przejeżdżających samochodów i nie wie, jak wiele nowych modeli jeździ teraz po częstochowskich ulicach. Słyszy szczekanie psów z pobliskiego schroniska. Słyszy przejeżdżające tramwaje, jak zamykają się z trzaskiem ich drzwi, zanim ruszą z przystanku. Bardzo rzadko udaje mu się wyłowić ludzkie głosy spośród szumu wiatru. Są odległe i niewyraźne i Jakub nigdy na nie nie czeka. Jeszcze odleglejszy jest ryk silników ze stadionu na Olsztyńskiej, który czasem, jak przez mgłę, dociera do uszu chłopca. Nie wie, co to za dziwny dźwięk i ponieważ nigdy w swym życiu nie zobaczy

zawodów żuźlowych, nie dowie się również, że dźwięk, który do niego wtedy docierał, to odgłosy motocykli pędzących po sjenitowej nawierzchni podczas jednego z treningów.

Jakub widzi ptaki fruujące na tle błękitu. Tylko one wiedzą, że Jakub tam jest. Ale nie zaniosą dalej wieści o jego istnieniu. Nie przekażą tego, co widziały, nie poinformują nikogo, że Jakub jest. I tylko one będą świadkami dorastania chłopca. Tylko one i ten mężczyzna.

Jest maj i jest czwartek. Jest czwartek, ale Jakub czeka już na sobotę. W sobotę będzie jajecznica. W sobotę zawsze jest jajecznica. Jakub bardzo lubi jajecznicę i jest to jego ulubiony posiłek na śniadanie. W inne dni zwykle jest twaróg. We wtorki są parówki. Ale Jakub najbardziej lubi jajecznicę. Ona jest zawsze w sobotę. Tylko w sobotę. Dziś był biały ser, kawałek pomidora i kromka chleba.

W swoim pokoju Jakub ma drewniane klocki, z których układa ciągle to samo. Najbardziej lubi układać dom. Jego dom ma zawsze czerwony dach i zawsze wygląda identycznie, bo tylko taki dom da się ułożyć z tych klocków. Jakub układa go niemal codziennie. Mężczyzna, którego Jakub nazywa Tata, sprawdza, czy dom jest ułożony.

Jakub ma także bączka. Energicznie rusza tłokiem w górę i w dół, sprawiając, że zabawka kręci się wokół własnej osi. Pewnego razu, gdy Tata czytał mu bajkę, Jakub wprawił bączka w ruch i to przeszkodziło Tacie w czytaniu. Tata się zdenerwował i mocno rzucił bąkiem o ścianę. Dlatego teraz zabawka ma widoczne wgniecenie z jednej strony. Dalej jednak kręci się bez

przeszkód. Tata wówczas za karę wcisnął mocno palce pomiędzy żebra Jakuba. Bolało go to, więc rozumiał, że brzydko się zachował i należy mu się kara. Jakub nie płakał. Bolało go i nawet krzyknął, ale nie płakał.

Jakub lubi patrzeć na swojego bączka i zapamiętywać w kolejności kolory, jakimi jest ozdobiony. Umie już wyliczyć je z pamięci, nie zerkając na niego. Od góry czerwony, niebieski, żółty, niebieski, zielony. Potem czerwony, zielony, czerwony, zielony, żółty i jeszcze raz zielony. Jakub najmniej lubi czerwony pas w samym środku. On jest najgrubszy i kiedy zakręci się bączkiem, dalej jest dobrze widoczny. Jakub lubi pozostałe paski, bo są cieńsze i kiedy bączek wiruje, zlewają się w taką fajną mieszankę barw.

Chłopiec ma też misia, którego miał jeszcze przed wypadkiem. Miś ubrany jest w niebieskie ogrodniczki; kiedyś był żółty. Teraz jest już bardziej brunatny. Wypadł razem z nim przez okno dacji, które uchyliła w odpowiednim momencie Alicja. Siostra, którą Jakub pamięta, ale już nie wie, kim ona jest. Wie za to, że Tata uratował misia. Uratował go tak, jak uratował samego Jakuba. I za to jest Tacie bardzo wdzięczny. Dlatego dba o misia i nie robi mu nic złego.

Tylko raz się z niego śmiał, kiedy Tata udawał, że miś jest kobietą. Tata wtedy musiał napić się trochę alkoholu, był bardzo wesoły i mówił śmieszne rzeczy. Śmiał się, że miś jest kobietą i że jest taki głupiutki. Tata mówił wówczas, że miś chodzi po zakupy i że gotuje. I tak śmiesznie pokazywał, że bije misia w pupę, kiedy ten źle coś ugotował. I mówił, że miś poza zakupami i gotowaniem

to akurat do niczego się nie nadaje. Jakub pamięta, jak Tata mówił: „A masz! A masz, ty wstrętna misiowa kobieto!”, kiedy tak śmiesznie bił misia w pupę. Jakub to zapamiętał i czasem sam odtwarza tę scenkę. Ale kiedy robi to sam, to się nie śmieje.

Niewiele dzieje się w życiu Jakuba. Chłopiec bardzo często się nudzi. Czasem z tych nudów staje się zły. Ostatnio coraz częściej zdarza się mu być bardzo złym.

Lubi biegać po swoim pokoju zupełnie bez celu. Biegać dookoła. Najpierw, kiedy tak biega, to śmieje się i bezładnie macha rękami. Ale po kilku minutach biega i krzyczy. I póki ma siłę, to właśnie tak biega i wrzeszczy. Wtedy czuje, jak coś dziwnego rozpiera go od środka i nie wie, że to rosnące ciśnienie krwi każe mu krzyczeć i wydobywać ten krzyk z samego środka brzucha. Tak, żeby czuł go już pod mostkiem, zanim wydostanie się przez usta na zewnątrz. Czuje pulsowanie w głowie. Słyszy bicie swojego serca tak, jakby nagle znalazło się ono w jego uszach. Jego złość narasta i zawsze przeradza się w krzyk. Zamienia się w chrapliwe, wściekłe ryczenie, które jest ilustracją złości Jakuba.

Jakub dba o misia, ale raz cisnął nim o ścianę. Rzucił nim, bo ten leżał akurat na podłodze w miejscu, po którym chciał przebiec Jakub. A bardzo nie lubi, kiedy coś staje mu na drodze. Ciasna przestrzeń coraz bardziej go ogranicza i drażni.

Jakub przez kilka dni miał też piłkę. Taką w białe i czarne łaty. Ale Tata zabrał mu tę piłkę, bo Jakub bardzo mocno kopał nią o ścianę. Tata ukarał Jakuba i objął go z tyłu dłonią za szyję i mocno ścisnął. Tata zabrał mu piłkę, ale powiedział, że kiedyś jeszcze mu ją da. Jakub nie płakał.

I tylko kiedy śpi, Jakub widzi czasem we śnie swoją prawdziwą rodzinę: mamę, tatę i siostrę. Traktuje ich jak anioły, które przychodzą do niego w nocy. Nie umie wyobrazić sobie, co może z nimi robić, więc widzi ich wszystkich zawsze w tej samej sytuacji. Śni, że są na podwórku, Alicja siedzi na huśtawce i buja się tak mocno, że tata prosi, żeby uważała. Ale mówi to zupełnie spokojnie. Z troską. Mama trzyma Jakuba na rękach, a on z bliska widzi jej uśmiechniętą twarz. W jej oczach maluje się coś, co mógłby nazwać szczęściem, gdyby tylko znał ten stan i to słowo. Gdyby tylko je pamiętał.

Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi i jest czwartek. Jakub budzi się i widzi te same cztery ściany. Bez farby. Bez koloru. Cztery betonowe ściany.

Budzi się zły na obraz, który pojawił się w jego śnie. Chce go wymazać i zapomnieć, bo przecież ten widok nie jest prawdziwy. A ta kobieta, którą dostrzega we śnie, tak naprawdę jest zła, ona musi być zła, bo nie istnieje. Pojawia się we śnie, tylko po to, żeby go dręczyć.

I zanim Tata przyniesie mu biały ser, pomidora i chleb, Jakub bierze misia do ręki i drugi raz w życiu mocno rzuca nim o ścianę.

ROZDZIAŁ 14

Jerzy

Poniedziałek, 27 października 2014

Jerzy Walter wiedział o tym, co spotkało Maleńkova już wcześniej rano. Jeszcze zanim Alicja Drylska dotarła do kurii i odebrała telefon od leżącego w szpitalu Wiktora.

Atak nożownika był najciekawszym punktem porannej odprawy w komendzie. Był na swój sposób szczególny, gdyż zdarzenie nie miało znamion charakterystycznych dla dotychczasowych ataków z użyciem ostrego narzędzia, do których niejednokrotnie dochodziło w Częstochowie. Nie zdarzyło się to na Ostatnim Groszu czy w okolicach ulicy Krakowskiej, nie było wynikiem sprzeczki kilku rozjuszonych degeneratów. Nie było też finałem kłótni małżeńskiej w jednym z bogatych domów Lisińca czy Grabówki. W tym przypadku sprawca musiał planować swój czyn i o wiele wcześniej obrać swój cel.

Na głównej odprawie z udziałem przedstawicieli średniego szczebla kierowania nie było czasu na szczegółowe omawianie tej sprawy. Walter musiał wysłuchać wszystkich naczelników, z których jak zwykle najdłużej mówił ten z wydziału drogowego.

Przy takiej pogodzie Dzień Wszystkich Świętych będzie nie lada wyzwaniem dla drogówki. Jakby tego było mało, w zalewanym deszczem mieście zawsze znaleźli się tacy, którzy nie mogli się powstrzymać od kursowania po piwo do Biedronki albo na stację benzynową. Kilkunastu z nich zakończyło swoją weekendową przejażdżkę w szponach drogówki. A dwóch w szpitalu, po spowodowaniu kolizji z innym pojazdem. Jerzego od dawna to już nie dziwiło. Żałował jedynie, że wielu częstochowianom słowo „Kmicic” kojarzyło się wyłącznie z marką produkowanego tu kiedyś piwa. Sam bowiem chciałby, żeby zamiast złocistego trunku powrócił prawdziwy szlachecki bohater i pomógł mu obronić to miasto przed głupotą niektórych mieszkańców.

Po odprawie w komendzie Jerzego czekała jeszcze krótka rozmowa z panią Anią, podczas której potwierdził plan dnia, a przede wszystkim wyznaczył godzinę na wspólne przeglądanie i podpisywanie korespondencji.

Kilka minut przed dziewiątą spotkał się z Marczukiem.

– Powiedz mi wszystko raz jeszcze, po kolei – powiedział do naczelnika, gdy usiedli sami w jego gabinecie.

– Zgłoszenie przyjęła jedyńka w sobotę tuż przed dwudziestą pierwszą – zaczął Marczuk. – To stało się właściwie pod naszym nosem. Możesz chyba nawet dostrzec ten kościół, gdy wyjrzysz przez okno. O zdarzeniu powiadomił proboszcz Ryszard Kozera – kontynuował naczelnik, odczytując nazwisko zapisane w dokumentach.

Walter słuchał z uwagą.

– Nasi dotarli na miejsce kilka minut później. Ze wstępnych

zeznań wynika, że facet rzucił się na tego całego Maleńkowa, kiedy ten wracał z kościoła do plebanii. Do przejścia jest tam jakieś pięćdziesiąt metrów. Wszystko w obrębie terenu należącego do parafii. Wątpliwe, by cel był przypadkowy – mówił dalej Marczuk.

– Ktoś w ogóle widział, jak to wyglądało?

– Właściwie jedynie zakonnica. Siostra Miriam, a tak naprawdę Eliza Świdorska. Zaczęła tak głośno wrzeszczeć, że spłoszyła chujka i tyle go widziano. Kiedy wyszła na dwór, szarpali się i wszystko wskazuje na to, że uratowała Ruskowi życie. Poza nią nie ma żadnych świadków. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Jak zwykle, kurwa, nikt nic nie wie.

– A ten cały Maleńkow? Skąd on się w ogóle wziął? – zapytał Walter.

– I właśnie tutaj zaczyna się najciekawsze! – odpowiedział Marek Marczuk, wychylając się do przodu i opierając łokcie na stole. Zanim zaczął mówić dalej, prawą ręką przejechał po włosach i sprawdził, czy ma przedziałek we właściwym miejscu. Jerzy pomyślał, że naprawdę lubi swojego przyjaciela, ale za ten gest ma ochotę urwać mu jaja.

– Chujkowi udało się nieco uszkodzić Maleńkowa, no wiesz, dziabnął go. Rusek miał operację, jakoś w nocy czy wczoraj nad ranem. Ale jak już nieco wydobrzał, to nasi ucieli sobie z nim bardzo ciekawą pogawędkę. – Marczuk zrobił krótką pauzę. – Okazało się, że zaledwie trzy dni wcześniej przyjechał do Polski. A wiesz skąd? Z Syberii! – powiedział i przerwał, by po chwili zadać kolejne pytanie. – A wiesz po co?!

– Marek, a jak ci się wydaje? – zapytał Jerzy z przekąsem.

– No że, kurwa, nie wiesz.

– Ano, kurwa, nie wiem. Ale może mnie oświecisz?!

– Po to, żeby jak gdyby nigdy nic zabrać sobie dworek Sobińskich i zrobić sobie z nim, co mu się tylko podoba! – powiedział Marczuk, przy każdym słowie uderzając palcem wskazującym o stół. – Gość ma wszystkie papiery i jak się okazuje, nie jest tylko ofiarą napadu, ale również prawowitym spadkobiercą tej nieruchomości – dokończył.

Spojrzeni na siebie i zapadła cisza. Przez kilkanaście sekund słychać było jedynie krople deszczu odbijające się od okien.

– Ale to nie koniec – ciągnął naczelnik. – Maleńkow zeznał, że dzień wcześniej był w kurii i spotkał się tam z prawniczką. Przekazał jej oryginały wszystkich dokumentów. Akty urodzenia i akty zgonów jego rodziców, dziadków, pradziadków i nie wiadomo, kogo jeszcze. – Marczuk wziął oddech i wypuszczając powietrze, dodał: – Jurek, nie wiem, o co tu chodzi, ale ta sprawa śmierdzi jak żul na peronie.

Znowu zrobiło się cicho. Przez moment Jerzy nie wiedział, co zrobić z rękami i wykonał nimi szereg dziwnych ruchów, najpierw próbując skrzyżować ramiona na wysokości klatki piersiowej, a potem spleść ręce za głową. W końcu położył obie dłonie na oparciu fotela.

– Myślisz, że Franczak albo Kulesza mogli mieć z tym coś wspólnego? – zapytał spokojnie Walter.

– Nie wiem, Jurek. Nie wydaje mi się. To nie byłoby w ich stylu. Prędzej posraliby się w gacie, niż mieliby zlecić coś takiego jakiemuś oprychowi. Zresztą skąd mieliby go znać? Poza tym to

wszystko stało się zbyt szybko – odparł Marczuk.

– Też tak sędzę. Chociaż wypadałoby kontrolnie wy badać sprawę. Odezwę się do nich, ale nie w pierwszej kolejności. Jeśli więc nie oni, to kto?

– Może przypadek? Jakiś zbieg okoliczności?

Jerzy zaśmiał się.

– Marek, wiesz dobrze, jaki mam stosunek do przypadków. Zresztą z tego, co wiem, ty masz podobny – powiedział. – Mówisz więc, że Maleńkow był u mojego brata?

– Tego nie wiem. Raczej się z nim nie widział. Mówił tylko o prawnicze. – Naczelnik znowu zajrzał do dokumentów. – Jeszcze z nią nie gadaliśmy.

Jerzy oparł łokcie na fotelu i splótł dłonie przed sobą.

– Podśluch działa od dzisiaj tak?

– Tak, od północy.

– Ten drugi numer, który ci dałem w piątek... dorzuciłeś go?

– Jasne! Drylska jest na liście.

– To może mieć kluczowe znaczenie – powiedział Jerzy, patrząc na naczelnika.

Marczuk pokiwał głową.

– Rozumiem – odparł cicho. – Podejrzewasz ją o coś?

– Wprost przeciwnie. Podejrzewam, że może nas do czegoś doprowadzić. Nie uderzajcie do niej jeszcze. Jeszcze poczekajmy.

Zamilkli ponownie. Po chwili Jerzy się odezwał.

– Jak myślisz, komu najbardziej zależy na przejęciu dworku?

Marczukowi odpowiedź od razu cisnęła się na usta, ale się powstrzymał. Spojrzał na komendanta wzrokiem, w którym kryło

się pytanie, czy ten rzeczywiście chce to usłyszeć.

– Nam? – kontynuował Walter. – Nie, nie powiedziałbym. Dwa nowe radiowozy i tak stoją już pod budynkiem. Bez kasy na remont damy sobie radę. No więc skoro nie nam, to komu? Radnym? No tak, im prawdopodobnie najbardziej. Grott ich roznieś, jeśli nie postawi tych swoich zakładów. Ale zgodziliśmy się przed chwilą, że oni prędzej zrobiliby pod siebie ze strachu, niż mieliby kogokolwiek ponakłuć. Zresztą i tak pewnie najpierw zadzwoniliby do mnie. A więc skoro nie nam i nie naszym kochanym radnym, to jak myślisz, komu?

– Twojemu bratu – odpowiedział Marcuk tym razem bez wahania.

– Właśnie. Mojemu bratu.

– Jurek to wszystko jest pojebane... – Naczelnik westchnął. – My sobie to układamy w głowie, a to może być gównem prawda. Nie mamy żadnych dowodów. Poza tym jak ty się musisz czuć... – Marcuk na chwilę zawiesił głos. – Nie wiem, kurwa, Jurek. Nie wiem, o co tu chodzi. O co chodzi z tymi podsłuchami, z twoim bratem i całym tym bajzlem. Nie pytam cię, ale jeśli jest coś, co powinienem wiedzieć.

– Powiem ci – przerwał mu komendant. – Powiem ci, ale jeszcze nie teraz. Być może jeszcze dziś, ale nie w tej chwili. Najpierw zobaczymy, o czym i z kim mój brat rozmawia przez telefon. A tymczasem odpowiedz mi na jedno pytanie. O której Maleńkow był w piątek w kurii?

Marcuk zaczął pospiesznie wertować kartki.

– Zeznał, że widział się z Drylską o jedenastej trzydzieści,

a spotkanie trwało jakieś czterdzieści minut.

– To by się zgadzało – powiedział Walter jakby do siebie, nie wyjaśniając naczelnikowi, o co chodzi. – Myślisz, że dadzą radę z pierwszymi stenogramami do szesnastej?

– Myślę, że tak. Zaraz zadzwonię, gdzie trzeba – odpowiedział Marczuk. – Nie chcesz poczekać z tym chociaż do jutra? Byłoby więcej materiału.

– Nie. W tej sytuacji zdecydowanie chcę mieć te zapisy jak najszybciej.

Marczuk wyszedł dwie minuty później. Umówili się, że o szesnastej spotkają się ponownie. Naczelnik miał przynieść pierwsze stenogramy z rozmów telefonicznych biskupa i prawniczki.

Walter został sam w swoim gabinecie. Miał jeszcze pół godziny do kolejnego spotkania. Włączył prywatnego laptopa i sprawdził ostatnie nagrania. Kliknął w zapisy z piątkowego przedpołudnia. Znał je, ale chciał się upewnić. Przesunął wskaźnik w okolice godziny dwunastej i po chwili znalazł interesujący go fragment. Moja droga, nie będziemy przejmować się panem Maleńkowem – głos jego brata był wyraźnie słyszalny. A w połączeniu z faktami, które właśnie poznał, słowa Stanisława Waltera nabrały nowego sensu. Jerzy przestawał mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Przez ostatnie kilka tygodni dowiedział się o swoim bracie więcej, niż mógł się spodziewać. Więcej, niż chciał się dowiedzieć. Czyżby do tego wszystkiego miał teraz dorzucić nieuprawnioną konfiskatę dokumentów i zlecenie zabójstwa?

Przestałeś robić cokolwiek dobrego, Staszek – pomyślał Jerzy,

zanim udał się na kolejne spotkanie.

Jerzy nie zapamiętał wiele z kolejnych spotkań w tym dniu. Czekał na to, czego dowie się od naczelnika. Czuł, że już pierwsze nagrania rozmów telefonicznych jego brata przyniosą nowe informacje. Teraz nie było już odwrotu. Wszystko, co powie biskup Stanisław Walter, rozmawiając przez telefon, usłyszy nie tylko on, ale też kilku chłopaków z Trójkąta, a poza tym Wydział Techniki Operacyjnej Komendy Wojewódzkiej.

Marczuk przyszedł pięć minut przed czasem. Mimo że jak zawsze wyglądał nienagannie, na jego twarzy było widać zmęczenie. Naczelnik był przystojnym mężczyzną, któremu uroku w ostatnich latach dodała siwizna. Jerzy łączył przesadną troskę podwładnego o stan fryzury właśnie z pojawieniem się na jego głowie nowego koloru włosów. Te wszystkie niekontrolowane gesty i ruchy, które wykonywał, dbając o jej kondycję, nasiliły się w ostatnim czasie.

– Przyniosłem dwie kopie – rzekł, podając Jerzemu kilka kartek.

– Nie jest tego dużo.

– Czytałeś to już?

– Coś ty! Dostałem przed chwilą. A nawet jakbym dostał to wcześniej, miałem taki zapierdół, że łeb mi pęka. A poza tym to ci powiem, że jeśli jutro nie przestanie padać i nie zobaczę choćby odrobiny słońca, to oficjalnie składam rezygnację i emigruję. Wyjadę sobie na taką Teneryfę albo jakąś inną, kurwa, wysepkę, będę sobie patrzył na te wszystkie młode cipki w bikini, będę sobie sącył, proszę cię, drineczki i przesyłał ci miłe esemeski. I tak sobie będę tam żył – rozmarzył się Marczuk.

– Świetnie. A co na to twoja żona?

– Widzisz, kochany, i tego właśnie ci zazdroścę. Jesteś sobie sam i może czasem cię mocno zaswędzi, ale przynajmniej nikogo nie musisz się pytać, czy aby wyraża zgodę na twój wyjazd na Teneryfkę, Lanzarotkę czy Azorki. Możesz sobie, proszę ciebie, pojechać i wypiąć swoją owłosioną dupkę na wszystkich – westchnął naczelnik.

– Starzejesz się, Marczku. I to w zastraszającym tempie!

– Jeszcze raz mi to powiesz, to kolejny raz ci przypomnę, że w tych wąsach wyglądasz jak seryjny morderca z Kansas. No może włosów masz troszkę więcej. I naprawdę wywieszę na komendzie twoje zdjęcia wraz z listem gończym!

Zaśmiali się obaj.

– No dobra. Zobaczmy, co tutaj mamy – powiedział Jerzy, spoglądając na stenogramy. Usiedli przy stole konferencyjnym. W pokoju paliły się wszystkie światła. Przez moment Jerzy poczuł się dziwnie. Mimo że od ponad dwóch tygodni inwigilował brata, wciąż czuł mieszaninę winy i smutku, że to robi. Tamtych informacji nie mógł jednak w żaden sposób wykorzystać. Teraz miał przeczytać coś, co prawdopodobnie będzie mogło stanowić dowód w sprawie. Będzie mogło zostać wykorzystane przeciwko jego bratu.

Zagłębili się w lekturze. Po przeczytaniu całości Jerzy pomyślał, że Marczuk na pewno już dawno znalazł w tych dokumentach coś, co wydało mu się podejrzane. Wystarczyło odczytać zapis rozmowy jego brata z prawniczką, by stwierdzić, że coś tu nie gra. To była trzecia konwersacja biskupa tego dnia.

Jerzy wiedział, że przyjaciel nie odzywa się, bo nie wie, jak zacząć. Poza tym były tam stenogramy rozmowy z szoferem duchownego, kilku konwersacji z sekretariatem kurii i jednej z kanclerzem Majem. Wszystkie skupiały się na bieżących sprawach bądź były czysto kurtuazyjne. Ale rozmowa z Alicją Drylską zawierała jeden istotny szczegół, którego nie dało się nie zauważyć. Jerzy wiedział, że w tym momencie myślą z Marczukiem dokładnie o tym samym. Kiedy podniósł wzrok znad kartek i spojrzał na przyjaciela, jedynie potwierdził swoje domysły.

– On ją okłamał – powiedział Walter.

– Kurwa, Jurek, dokładnie! Przecież nie dzwoniłeś do niego dzisiaj. Tu nie ma takiej rozmowy.

– Nie ma. Bo rzeczywiście nie dzwoniłem.

– To skąd on wie o Maleńkowie?

– Może wiedzieć od tego księdza z parafii.

– Może. Ale czemu wobec tego kłamię, mówiąc, że wie o tym od ciebie?! – Marczuk mówił coraz głośniejsze. – W dodatku wspomina o tych papierach. Myślisz, że zabrał je Drylskiej?!

Jerzy nie odpowiedział od razu. Ale ta krótka pauza dodała tylko wagi jego słowom.

– Myślę, że tak.

Naczelnik kiwnął głową.

– Jurek, przykro mi...

– Trzymajmy media z dala od tej sprawy. Na pewno zaraz będą węszyć. Mówimy im jak najmniej i jak najogólniej. Lipska jeszcze jest? – zapytał Walter, mając na myśli Joannę Lipską, rzeczniczkę częstochowskiej komendy.

– Widziałem, jak wychodziła.

– Ok. Zadzwoń do niej jeszcze dziś. A ty powiedz swoim, że ani mru-mru!

– Oczywiście.

Jerzy wstał i podszedł do okna. Zielone neony stacji benzynowej za taflą leżącej się z nieba rzeki sprawiały wrażenie nieokreślonych miraży.

– Masz trochę czasu wieczorem? – spytał Jerzy, stojąc wciąż tyłem do Marczuka.

– A co, zapraszasz mnie na kolację?

– Może nie na kolację. Ale do kościoła – odparł Jerzy. – Co ty na to, żebyśmy się przejechali o ósmej do archikatedry? Może nie będziemy przeszkadzać mojemu bratu w spotkaniu z prawniczką, ale coś mi mówi, że powinniśmy się tam pojawić.

– Chcesz niby bez powodu pojawić się nagle w katedrze wraz z naczelnikiem Wydziału Kryminalnego? No bez jaj!

– A kto mówi, że chcę wchodzić do środka? Nie zamierzam wysiadać z samochodu. Czasem z daleka można zobaczyć więcej – powiedział Jerzy.

– Dobrze, pojedę z tobą. Ale ty wozisz mi dupę! Jadę do domu, zjem coś i powiem żonie, że mam z tobą randkę.

– Jeśli chodzi o randkę, to jak najbardziej wszystko się zgadza. Ale pojedziemy twoim wozem. Mój jest... jakby to powiedzieć... zbyt rozpoznawalny.

– A wiesz, że cholera, przyznam ci nawet rację – powiedział Marczuk z nadmiernym podziwem w głosie. – Daleko nie mam. Podjadę po ciebie.

– Dzięki, Marek. – Uśmiechnął się.

Ale kiedy Marczuk wyszedł, Jerzy pomyślał, że wcale nie jest mu do śmiechu. Że wcale, kurwa, nie chce mu się śmiać. Tak naprawdę chciał wejść na spotkanie swojego brata z Alicją. Chciał tam być i wiedzieć, co będzie się tam działo. Pomyślał, że jeśli tak dalej pójdzie, założy podsłuchy we wszystkich miejscach, w których może przebywać jego brat. Pomyślał, że być może powinien teraz właśnie zadzwonić do Stanisława i powiedzieć mu, że o wszystkim wie. Być może powinien spotkać się z nim i po prostu dać mu w ryj. I bić go, aż ten nie zacznie prosić, żeby Jerzy przestał. Pomyślał, że właśnie to należy się jego bratu, a decyzja, że nie będzie go chronił, była bardzo dobrą decyzją. Nawet jeśli kiedyś to Staszek chronił jego. To były stare czasy.

Teraz najbardziej chciał chronić Alicję. Chciał w jakiś sposób nad nią czuwać. Mimo że ona nie miała pojęcia, że ją zna i tyle o niej wie. Nie miała pojęcia, że kochał jej matkę. Nie miała pojęcia, że Jerzy coraz bardziej się o nią boi, bo wie, że Stanisław ją okłamał.

Tego popołudnia Jerzy nie wyszedł z komendy. Opuścił ją dopiero po dziewiętnastej trzydzieści i wyszedł do Marczuka. Naczelnik czekał na niego na małym parkingu od strony ulicy Popiełuszki, komendant miał więc niewielki dystans do przebycia, ale kiedy dotarł do samochodu, był już cały mokry. Pomyślał, że czeka ich naprawdę niezłe święto zmarłych.

– Przyniosłem ci snikersika – powiedział Marczuk, podając mu batona. – To od żony. Mówi, że nie wypada przyjść na randkę z pustymi rękami.

– Ja nic dla ciebie nie mam, kochanie – odparł Jerzy, udając zawstydzenie.

– Nie ma sprawy. Mam swojego. – Marczuk wyjął takiego samego batona i zaczął go rozpakowywać. – Teraz możemy jechać na akcję, jak amerykańskie gliny. Ci to zawsze, kurwa, coś żrą.

O dziewiętnastej czterdzieści podjechali pod katedrę. Zatrzymali się na obszernym parkingu przed schodami do świątyni.

Jerzy od razu zobaczył samochód Alicji. Widział, że to jej auto, wiedział zaskakująco dużo o życiu młodej prawniczki.

– Drylska już jest – powiedział.

– Skąd wiesz?

Jerzy wskazał na ciemnego opla.

– To jej fura? Przyjaźnicie się czy coś więcej?

– Nic z tych rzeczy. Po prostu wiem.

– Ty znasz jej auto, ona wie, czym ty jeździsz. To już głęboka relacja.

– Lepiej się martw o to, żeby ona nie kojarzyła twojego samochodu.

– A niby jakim cudem?

– Podwiozłeś mnie kiedyś do kurii. Minęliśmy ją wtedy.

– I myślisz, że to pamięta?

Jerzy wzruszył ramionami.

Marczuk nie dopytywał. Kilkanaście minut później prawniczka wyszła z auta i energicznym krokiem poszła w stronę zakrystii. Lekko podbiegała i kuliła się tak, jakby miało ją to ochronić przed deszczem. Przeszła niecałe trzy metry od ich samochodu. Mimo że widzieli niewiele, to Marczuk stwierdził, że dziewczyna jest

w formie i generalnie to z chęcią by ją przesłuchał.

Po chwili zniknęła za rogiem.

Piętnaście minut później Marczuk nie wytrzymał i zdecydował, że musi zapalić.

– No cholera, nie wytrzymam. Naprawdę nie dasz mi zajarać w wozie?

– Nie ma szans. Zasmrodzisz wszystko i się uwędzimy. Wysiadaj.

– Ej, to moja bryka. Sam wysiadaj.

– A potem niby co? Wsiądę z powrotem do tej wędzarni? Nie ma szans.

– Dałem ci batonika – odpowiedział Marczuk po chwili zastanowienia.

– Niestety, Marczechu. Nie ma szans – powtórzył komendant.

– Pies to jebał. Wychodzę. Kurwa, nawet kundla się nie wygania na zewnątrz w taką pogodę.

Marczuk założył kaptur na głowę, wyszedł i stanął jakieś dwa metry od samochodu. Pałac, przestępował z nogi na nogę. Tak jakby zdecydował, że w danej chwili będzie zanurzał tylko jeden but w wodzie, która zebrała się na parkingu.

Alicja pojawiła się chwilę później. Tylko że to już była inna Alicja. Szła wolno. Wyglądała tak, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Nie założyła kaptura i było dokładnie widać jej twarz. Jerzy opuścił szybę po swojej stronie i przyglądał się jej natarczywie. Marczuk zastygł bez ruchu, otworzył usta, a papieros jakimś cudem trzymał mu się na wardze. Kiedy ich minęła, Jerzy wysiadł z auta.

Alicja nie zwróciła na nich żadnej uwagi. Nie zauważyła, że

w ogóle coś dookoła niej istniało. Gdyby tuż obok stała gadająca żyrafa i spytała ją o drogę na Kraków, przeszłaby obok niej obojętnie. Alicja szła niezdarnie, tak jakoś pokracznie. Tak jakby każdy krok był dla niej czymś nowym. Czymś, czego dopiero się uczyła. Nie zważała na kałuże, potykała się o wystające spomiędzy betonu kępki trawy. Alicja była inną osobą niż ta, która kilkanaście minut wcześniej weszła do kurii.

Wsiadła do samochodu i odjechała. Jerzy w skupieniu obserwował ją do końca. Dałby teraz wszystko za pewność, że się nie spóźnił. Wszystko za informację, że jeszcze zdąży ją ochronić. Że nie czekał o kilka dni za długo.

– Co tam się, kurwa, stało?! – usłyszał głos zdumionego Marczuka.

Odpowiedział szybko, a słysząc swoje słowa, stwierdził, że jest niemal pewny, że się spóźnił.

– On mógł jej zrobić coś bardzo złego, Marek.

– Co ty, kurwa, pierdolisz?! – Marczuk pytał tak, jakby dostał ataku paniki. – Co ty pierdolisz, Jurek?!

– Mówię, że mój brat mógł zrobić jej krzywdę, rozumiesz?! Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Każde z jego słów utkwilo w kroplach spadających na częstochowską ziemię i wraz z nimi wbiło się w nią głęboko. To, co pozostawało w cieniu, w jednej chwili stało się widoczne. Ktoś w Częstochowie w końcu powiedział to na głos po raz pierwszy. Jerzy powiedział to na głos po raz pierwszy i nie czuł bólu, czuł, że tak musiało być. Wszystko, co miało stać się później, było również efektem tych słów. Częstochowa ujawniła swoją najskrytszą

tajemnicę. Właśnie tutaj, pod archikatedrą. Nie było już odwrotu.

ROZDZIAŁ 15

Henrik

Wtorek, 28 października 2014

Odczekał sześć sygnałów, ale wciąż nie odbierała. Tym razem się rozłączył, zanim włączyła się poczta głosowa. Jej wiadomość powitalną poznał właściwie dopiero teraz. Wcześniej nagrał się jej bodajże raz i to przypadkiem. Alicja miała telefon zawsze przy sobie i albo bardzo szybko odbierała, albo wysyłała automatyczne wiadomości, w stylu „nie mogę teraz rozmawiać” lub „zadzwoń później”. I jeśli tylko miała możliwość, pisała potem coś od siebie, żeby sprawić mu przyjemność.

A teraz nauczył się tych kilku słów po polsku na pamięć i mógł je recytować. „Witam. Tu Alicja Drylska. Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę, zostaw wiadomość”.

Henrik dzwonił na dwa numery. Zarówno na prywatny, jak i na ten firmowy. Musiał naprawdę dobrze przeszperać swoją skrzynkę kontaktów, żeby go znaleźć, bo nawet nie pamiętał, pod jakim hasłem go zapisał. Nigdy nie używali go do swoich rozmów. Jednak i tutaj nagrane przez nią powitanie brzmiało dokładnie tak samo.

Ostatni raz słyszeli się wczoraj rano i w sumie nie byłoby w tym nic niepokojącego, gdyby nie kilka faktów, które miały miejsce później.

Tradycją ich związku stały się wieczorne rozmowy. Nie odbywali ich właściwie tylko wtedy, kiedy jedno z nich nie miało czasu z powodu oficjalnego spotkania lub towarzyskiego wyjścia i nie było szans wyrwania się na dłuższą rozmowę. Wówczas poprzestawali na krótkich esemesach na dobranoc.

Po pierwsze, takie wypadki częściej zdarzały się Henrikowi. Jego pisarstwo było cenione nie tylko w Szwecji, ale i w całej Skandynawii, więc kilka razy w miesiącu dostawał zaproszenia na gale i rauty, na których po prostu wypadało się pokazać. Popularność, jaką zyskała jego ostatnia powieść w Europie i tłumaczenia jego książek na kolejne języki, przyprawiły go jednak o zawrót głowy. Nie miał zamiaru spędzać całego życia na imprezach, bankietach i wieczorkach literackich. Nie planował stać się celebrytą.

Po drugie, zawsze, kiedy nie mogli wieczorem porozmawiać, informowali się o tym wcześniej. Zwykle robili to z dużym wyprzedzeniem.

Tym razem taka tradycyjna rozmowa nie odbyła się bez żadnego wyraźnego powodu. Wczoraj Alicja po prostu zniknęła i nie odezwała się aż do północy. Wysłała jedynie zdawkową wiadomość, w kilku słowach pisząc, że jest zmęczona i nie ma ochoty na rozmowę.

Zdarzyło się to po raz pierwszy od kiedy się znali, więc Henrik potraktował to jako wypadek przy pracy. Wszystko zmieniło się

jednak następnego dnia, kiedy Alicja nie odebrała żadnego z jego kilkunastu telefonów i nie odpisała na żaden z kilkunastu esemesów. Jak kamień w wodę. Cisza.

I tym Henrik zaczął się naprawdę przejmować. Od samego początku łączyła ich jakaś niewytłumaczalna więź, która kazała dzwonić im do siebie dokładnie w tej samej sekundzie. Albo myśleć o tej samej rzeczy w tym samym czasie. Jednym z głównych objawów ich szczególnej zażyłości było nadmiernie częste upewnianie się, czy u drugiej strony wszystko gra. Zazwyczaj w formie krótkiego esemesa. Zdecydowali, że póki żyją w związku na odległość, będą tak robić, nawet jeśli komuś z zewnątrz mogło się to wydawać zbyteczne. Obowiązkiem drugiej strony było zawsze jak najszybciej potwierdzić, że wszystko jest ok. A przynajmniej dać znak życia na szybko. A tym razem Alicja takiego nie dawała. Henrik zaczął się zastanawiać, czy opisał już taki przypadek w którejś ze swoich powieści i co wówczas zrobiliby jego bohaterowie. Stwierdził, że zdecydowanie łatwiej umieścić w takiej sytuacji wymyślone postacie, niż samemu się w niej znaleźć. Było już późne popołudnie. Dochodziła siedemnasta. Stwierdził, że jeszcze poczeka, że może niepotrzebnie dramatyzuje.

Wytrzymał godzinę i postanowił zadzwonić do kancelarii. Pierwsza próba była nieudana, ale po czwartym sygnale drugiego połączenia ktoś podniósł słuchawkę.

– Kancelaria Waryńscy i Partnerzy – powiedział męski głos.

Mimo że Henrik nie znał dobrze języka polskiego, już w tych trzech słowach wyłapał wyraźną irytację.

– Dobry wieczór, Henrik Lund. Czy mógłbym rozmawiać z Alicją Drylską? – powiedział po angielsku, co błyskawicznie zmieniło nastawienie rozmówcy.

– Dobry wieczór, niestety nie ma jej w pracy – odpowiedział mężczyzna, ledwo radząc sobie z obcym językiem.

– Rozumiem. Bardzo dziękuję. Zadzwoń jutro – powiedział Henrik i już miał się rozłączyć, kiedy mężczyzna powiedział coś jeszcze. Nie było to ani trochę gramatycznie poprawne, ale Henrik wyłapał sens wypowiedzi.

– Dzisiaj w ogóle nie było jej w pracy – rozmówca bardzo się starał. Telefon odebrał przypadkowy stażysta, który po godzinach odwalał papierkową robotę.

– Mówi pan, że w ogóle nie pojawiła się w kancelarii?

– Nie. Zadzwoń rano i powiedziała, że źle się czuje.

Henrik poczuł, jak zaczyna walić mu serce. Wszystkie jego przecucia się potwierdziły. Coś było nie tak.

– Bardzo panu dziękuję. Spróbuję jutro.

– Jutro też jej nie będzie. Wzięła wolne do końca tygodnia.

Henrik nie miał na twarzy żadnych zmarszczek, ale kiedy usłyszał to zdanie, wydawało mu się, że właśnie dorobił się pierwszych i to od razu kilkunastu.

– Coś jej przekazać? – ciągnął stażysta.

– Nie. Nie trzeba. Miłego wieczoru – odpowiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał normalnie.

W ich związku nigdy nie było takiej sytuacji. Henrik miał ochotę wsiąść do pierwszego samolotu do Polski. Sprawdził nawet połączenia, ale na żaden z lotów tego wieczoru nie miał już szans

zdążyć.

Przypomnił sobie, kiedy pierwszy raz ją zobaczył. To było dwa lata wcześniej, właśnie w samolocie. Los przydzielił im miejsca obok siebie. Henrik do dziś nie wiedział, co go wtedy trafiło i nie umiałby tego opisać, nawet jeśli bardzo by chciał. Nie znajdował słów odzwierciedlających, co się z nim wtedy stało. Pamiętał, że usilnie starał się, by nie wyjść na szaleńca i już po piętnastu minutach rozmowy nie powiedzieć, że Alicja będzie jego żoną, tylko jeszcze o tym nie wie. Przecież wtedy nawet nie chciał mieć żony. W ogóle o tym nie myślał. Przez cały krótki lot ze Sztokholmu do Warszawy myślał o zupełnie zaskakujących dla siebie sprawach. Na przykład o tym, jak Alicja zareagowałaby, gdyby zobaczyła, jaki nieład panuje u niego w mieszkaniu. Albo o tym, czy umiałaby żyć z pisarzem, który zawsze jest w kilku światach naraz. Jak zniosłaby jego dziwactwa. Pisanie po nocach, chodzenie w tych samych ciuchach. Myślał o tym, czy potrafiłby to zmienić i czuł, że chciałby zmienić to dla niej. Znał ją od piętnastu minut i wiedział, że mógłby zrobić dla niej wszystko. A przede wszystkim, że bardzo chce się postarać. Okazało się wówczas, że jest siedem lat starszy od niej. Był trzydziestoosmiolatkiem i od pięciu lat był sam. Od dziesięciu lat pisał. Miał pięć powieści na koncie, w tym trzy bestsellerowe. Nie pamiętał już, jakie to uczucie, kiedy jest się z kimś związanym, a swoich poprzednich relacji nawet nie wspominał. Miał kilku dobrych kolegów, jak każdy. Chciałby nazywać ich swoimi przyjaciółmi, ale trochę się tego bał. Gdzieś w kościach czuł, że te znajomości nie są aż tak trwałe. Wiedział, że sporo w tym także jego winy. O przyjaźń trzeba dbać.

Trzeba ją choć trochę pielęgnować. Nie można tylko mieć przyjaciela, trzeba też nim być. A pisanie Henrika przełożyło się w dużej mierze na jego niedostępność. Coraz częściej był nieobecny tam, gdzie byli obecni jego przyjaciele. Był za to obecny w gazetach, studiach radiowych i telewizyjnych. Przyjaciele częściej widywali jego twarz w mediach niż na wspólnych spotkaniach. Więź nigdy się nie zerwała, ale zamiast przyjaciół zostali mu dobrzy koledzy i wcale nie mógł mieć o to do nikogo pretensji. Zainwestował więc w siebie. Zakupił eleganckie ubrania. Kilka gustownych zestawów, które wykorzystywał podczas licznych skandynawskich podróży do wydawców i czytelników. Kupił mieszkanie w Östermalm, w którym czuł się swobodnie i codziennie mógł nosić to samo. Przed każdym wyjazdem zamieniał się z domowego pisarza w literackiego celebrytę. Pamiętał, że kiedy pierwszy raz usiadł koło Alicji, miał na sobie białą koszulę z dość okazałym kołnierzykiem, grubą ciemnoniebieską marynarkę w wyraźnie widoczną żółtawą kratę, dżinsy i tenisówki. Do tego pewnie pachniał zbyt mocno i cały czas myślał, że ta piękna kobieta musi go mieć za jakiegoś żigolaka z telewizji. Przez cały półtoragodzinny lot bardzo starał się być po prostu sobą. I był sobą, kiedy bez większej wiary, ale z ogromną nadzieją zaprosił ją na kolację. Zgodziła się. Akurat została w Warszawie na jeden dzień. Spotkali się w eleganckim bistro na placu Konstytucji. Henrik pamiętał, że muzyka grała zbyt głośno i nie dało się spokojnie rozmawiać. Opowiadał jej wtedy, jak bardzo go to denerwuje i jak bardzo ceni sobie ciszę. Jak często do niej ucieka. Podobało jej się to. Potem wyszli na spacer i okazało

się, że przeszli aż do Ogrodu Saskiego, nie zauważając niczego dookoła. To było tak jakby mówili jakimś własnym językiem. Nie angielskim, nie polskim czy szwedzkim. Własnym.

Trwało to niezmiennie przez wszystkie ich kolejne wspólne dni. Aż do wczoraj. Tego dnia po raz pierwszy Alicja wysłała mu wiadomość napisaną po prostu w języku angielskim. Nie było tam ani jednego słowa w ich wspólnym języku. Esemes był oschły i beznamiętny. A potem kontakt z jej strony urwał się zupełnie. Po telefonie do kancelarii Henrik wiedział, że coś musiało się stać.

Pomyślał o ich ostatnim wspólnym weekendzie i jego głowę na kilka chwil zaprzątnęła myśl, którą od razu jednak wyrzucił. Przyszło mu do głowy, że Alicja być może jest w ciąży. Ostatnio przecież kochali się tak, jakby naprawdę chcieli mieć dziecko. O tym też nie musieli właściwie rozmawiać. Po prostu myśleli podobnie i w tym przypadku osiągnęli porozumienie, którego nie trzeba było w żaden sposób werbalizować. Od jakiegoś czasu nie zabezpieczali się w ogóle. Oboje wiedzieli, do czego to prowadzi, ale rozmawiali o tym bez słów, jedynie patrząc sobie w oczy, kiedy się kochali. W ich spojrzeniach było wszystko, co chcieli powiedzieć.

Pomyślał, że być może Alicja jest w ciąży i dlatego źle się czuje. Dlatego nie przyszła do pracy. Ale potem stwierdził, że na pewno powiedziałyby mu o tym od razu. W pierwszej sekundzie po zrobieniu testu zadzwoniłyby do niego. A jeśli nawet nie zrobiłyby tego, to na pewno nie zniknęłyby na tak długo. Na pewno nie napisałyby tak obojętnej wiadomości. To nie mogło być to.

Spojrzał na wiszący na ścianie kuchni kalendarz. Ostatni raz

widzieli się w pierwszy weekend października. Kolejne spotkanie zaplanowali na początku listopada, również w Częstochowie.

Wcześniejsza wizyta nie wchodziła w grę. Przez cały następny tydzień Henrik musiał być w Norwegii. Wspólnie z tamtejszym pisarzem mieli pracować nad scenariuszem serialu kryminalnego. Nie dałoby się tego odwołać.

Jeśli ma się z nią zobaczyć wcześniej, może to zrobić jedynie do soboty. Najwyżej zmieni rezerwację i do Oslo poleci bezpośrednio z Polski.

Te wszystkie rozważania przerwał mu dźwięk przychodzącego połączenia. Spojrzał na wyświetlacz swojego telefonu i głęboko odetchnął, kiedy zobaczył jej imię.

– Ala, kochanie, co się dzieje?

– Nic, nic, wszystko dobrze – odpowiedziała.

Od razu wyczuł zmianę w jej głosie, ale postanowił się jeszcze na tym nie skupiać.

– Dlaczego nie odbierałaś moich telefonów? Coś się stało?

– Przepraszam, chyba potrzebowałam chwili dla siebie. Naprawdę nic mi nie jest. Dzwonię, żebyś się nie martwił.

– Ale jak mogę się nie martwić?! Kilka minut temu dzwoniłem do twojej pracy. Dowiedziałem się, że wzięłaś wolne do końca tygodnia. Powiedz mi, o co chodzi?

Czuł, że ta informacja nieco ją zaskoczyła. Zrobiła krótką pauzę, ale odpowiedziała dość pewnie.

– Dopadła mnie jakaś grypa, czy coś. Wczoraj wieczorem po prostu zważyło mnie z nóg. Dziś ledwo się ruszam. Spałam niemal cały dzień.

– Masz leki? Bierzesz coś?

– Tak, wszystko mam, nie martw się.

– Ala, mogłaś po prostu odpisać na któryś z esemesów. Ja tu odchodzę od zmysłów!

– Przepraszam, naprawdę dużo spałam. Nie zwracałam uwagi na komórkę.

– Ok, rozumiem – odpowiedział. Cały czas czuł, że to wszystko nie jest do końca naturalne. Że przecież właśnie do niego pisałyby najpierw, gdyby źle się czuła. Wcześniej, w trakcie ich związku, była już kilkakrotnie przeziębiona i Henrik wiedział o jej kiepskim samopoczuciu, o wszystkich objawach jeszcze zanim choroba zmogła ją na dobre.

– Ala, kochanie, czy jest coś, co powinienem wiedzieć? – zadał pytanie, przypominając sobie o swych rozmyślaniach dotyczących ciąży. Ale tak naprawdę chciał usłyszeć cokolwiek, co by go uspokoiło i pozwoliło naprawdę wierzyć w to, co mówi Alicja.

Słyszał, że wzięła głęboki oddech, zanim odpowiedziała.

– Nie. Wszystko jest dobrze. Tylko trochę źle się czuję.

Zrobili krótką pauzę. Zanim Henrik zdążył coś powiedzieć, Alicja dodała:

– Henrik, bardzo cię kocham, wiesz? Naprawdę bardzo cię kocham. Nie martw się. Niedługo się zobaczymy.

Gula stanęła mu w gardle. Mimo że często mówili do siebie te słowa, w tej sytuacji czuł narastające wzruszenie. Alicja powiedziała to takim tonem, jakby mówiła mu to po raz pierwszy. Jakby za tymi słowami ukryte były inne słowa, mówiące: przyjeżdż do mnie, chcę cię zobaczyć, teraz właśnie cię potrzebuję

najbardziej. Coś w tonie jej głosu kazało mu usłyszeć właśnie te słowa.

– Ja ciebie też kocham. Chcesz, żebym jutro przyleciał? – odpowiedział.

– Nie. Naprawdę nie trzeba. Zobaczymy się zgodnie z planem. Zresztą byłabym bezużyteczna, a ty masz przed sobą ważne dni. Jeszcze byś się zaraził i tyle by z tego było.

– Dobrze, ale obiecaj mi jedno. Będziesz dzwonić, pisać i odbierać moje telefony.

– Obiecuję. Tylko nie dziw się, jeśli przez kilka dni będę nieco ospała. Naprawdę fatalnie się czuję.

Ta rozmowa była krótka. Ale dla Henrika liczyło się przede wszystkim to, że się odbyła. Alicja zadzwoniła w samą porę. Jeszcze chwila i zamierzał uruchamiać wszystkie swoje kontakty, obdzwonić wszystkich ich wspólnych częstochowskich znajomych, żeby ustalili, co się z nią dzieje. Wprawili by ich takim telefonem w niezły popłoch. Cieszył się, że jednak nie musiał tego robić.

Sam nie czuł się jednak jakoś specjalnie uspokojony tym, co usłyszał. Nie miał powodu, żeby jej nie wierzyć, ale każde jej słowo i każde zdanie brzmiały tak, jakby wcześniej je sobie przygotowała. Mówiła tak, jakby nie chciała powiedzieć ani więcej, ani mniej. On za to nie chciał naciskać, ale czuł, że gdyby drążył i zadawał dodatkowe pytania, mogłaby się zirytować. To było dla niego coś nowego. Coś, czego nie doświadczył wcześniej w ich związku. Nigdy nie musiał interpretować jej słów i zastanawiać się, czy nie kryło się za nimi coś jeszcze.

Tego wieczoru przysłała mu jeszcze dwa esemesy. Czuł, że

zrobiła to bardziej dlatego, że mu to obiecała, niż dlatego, że rzeczywiście miała coś do powiedzenia.

To wszystko wydawało mu się bardzo dziwne. Tego dnia, kiedy zasypiał, pomyślał, że chciałby posiadać umiejętność przerzucenia kilku stron i zobaczenia dalszych losów tego wątku. Czego dowie się z kolejnych stron tej historii.

Henrik nie miał pojęcia, co się wydarzyło. O tym, co się stało i się nie odstanie. O tym, co się wydarzyło i miało mieć wpływ na jego życie w najbliższej przyszłości. Henrik nie wiedział wtedy jeszcze, jaka rola w tym wątku będzie mu teraz przypisana.

Nie wiedział, że Częstochowa czeka już na Henrika, odczytując jego przyszłe losy z każdej kropli spadającej na jej ziemię.

ROZDZIAŁ 16

Alicja

Środa, 29 października 2014

Przyśniła się jej babcia. Ostatni raz Alicja widziała ją trzy lata temu. Ten czas minął bardzo szybko i tak wiele się przez ten okres wydarzyło. Odkąd staruszka odeszła, śniła się jej tylko raz, a teraz przyszła do niej ponownie. Była zdrowa, w pełni sił, zaś Alicja studiowała w Krakowie, tam gdzie wówczas mieszkali jej rodzice. We śnie przyjechała do babci w odwiedziny podczas jednego z weekendów. Alicja dobrze pamiętała, że w takie ciepłe dni jak ten ze snu, babcia lubiła nosić cienkie, kolorowe szmizjerki. Takie, które teraz wracały do łask; każda młoda dziewczyna chciała i musiała mieć taką sukienkę. Tego dnia babcia miała jednak na sobie lekką plisowaną spódnicę i kremową bluzkę z kolorowym haftem, włosy upięte w kok, a na twarzy – promienny uśmiech. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętała Alicja. Prawie zawsze, kiedy była z wnuczką, babcia się uśmiechała. Alicja wiedziała jednak, że na co dzień nie była taka radosna, to widok wnuczki pozwalał jej zapomnieć o stracie, jaką poniosła. Babcia Zosia uśmiechała się do niej, bo Alicja była jedyną bliską osobą, która jej

pozostała. Jedyłą, do której miała siłę się uśmiechnąć. Jedyłą, której mogła oddać całą swą miłość.

Babcia weszła do pokoju, dumnie stawiając porcelanową wazę na stole. Alicja nie przestawała opowiadać o Krakowie. Kiedy babcia nalewała jej zupę, Alicja spostrzegła, że wszystkie sztuczce i wszystkie talerze są wyjęte z kredensu specjalnie na jej wizytę. To była ozdobna zastawa, której babcia używała tylko na specjalne okazje. Jej przyjazd musiał być właśnie takim świętem. W całym domu pachniało ciastem; czekało już w kuchni na swoją kolej. Jego zapach był tak silny, że Alicja czuła go wciąż nawet, kiedy się obudziła. Ten słodki aromat niezmiennie unosił się w mieszkaniu babci. U niej zawsze pod ręką było coś słodkiego. Ta woń tworzyła niepowtarzalny klimat domu, który babcia Zosia próbowała stworzyć dla wnuczki. Starła się zastąpić Alicji mamę, tatę i brata. Chciała, żeby dziewczynka czuła, że ma rodzinę. I Alicja to czuła, mimo że jednocześnie miała świadomość, jak bardzo różni się od swoich rówieśników, jak wielu ich rozmów nie rozumie. Czasem tak bardzo chciałyby sobie przypomnieć, co to znaczy mieć mamę. Mimo wszystko Alicja miała szczęśliwe dzieciństwo. Teraz, we śnie, widząc uśmiech babci, także była szczęśliwa.

Babcia Zosia odeszła bardzo szybko. Nie minął nawet rok od postawienia diagnozy. Z silnej kobiety stała się nagle słabą, niezdarną staruszką. Kiedy leżała w szpitalu i powoli umierała, kilkakrotnie nazwała ją swoją córeczką. Córeczką, którą tak naprawdę wnuczka zawsze dla niej była. We śnie babcia także nazywała ją swoją córeczką i być może właśnie dzięki temu Alicja spała bardzo spokojnie.

Po przebudzeniu przez moment nie wiedziała, gdzie jest. Obrazy ze snu i jawy nałożyły się na siebie. Ciasto pachniało i Alicja mogłaby przysiąc, że wciąż śni. A jednocześnie wokół unosił się zapach ciała i perfum biskupa Waltera i wiedziała, że sen się skończył, bolesne wspomnienia wróciły z niespotykaną siłą. Dopadły ją głód i pragnienie. Od kilkudziesięciu godzin niczego nie jadła. Prawie w ogóle nie piła. Jej ciało domagało się paliwa, wciąż chciało żyć. Lecz Alicji zdawało się, że jednocześnie jest zniszczone i naznaczone. Że jest plugawe i złe. Że nigdy nie będzie się już do niczego nadawało.

Alicja nie czuła jeszcze siły, którą miała poczuć kilka dni później, nie umiała znaleźć w sobie jakiegokolwiek woli życia. Poprzedniej nocy spadła w bezkresną czarną toń. Nie widziała żadnego powodu, żeby się poruszać. Nie widziała powodu, by myśleć. Otaczał ją bezmiar goryczy. Nie widziała sensu, by wyteńczyć wzrok, bo gdziekolwiek spojrziała, widziała to samo. Czerń. Duszną czerń. Czerń wypełnioną kłującą rezygnacją. Wypełnioną jadowitym oddechem zła, które ją spotkało. Nie potrafiła zasnąć. Jedyne, co udało się jej zrobić, to wykonanie dwóch telefonów. Nie kontrolowała tego, co mówi. Dzwoniąc do kancelarii i do Henrika czuła się tak, jakby przez moment grała kogoś innego. Zdawało się jej, że w trakcie tych rozmów patrzyła na siebie z boku, że przypadkowo znalazła drugą taką samą Alicję i poprosiła ją o wykonanie tych telefonów. Ta druga Alicja zrobiła wszystko to, o co ją prosiła. Powiedziała trochę prawdy i trochę łgarstw. Alicja czuła się źle i to nie było kłamstwo. Zmyślone były tylko powody tego samopoczucia. Potwornie bała się, że już do

końca życia będzie musiała udawać. Że do końca życia będzie skrywała tajemnicę.

Udało jej się zasnąć późno w nocy, po wielu bezsennych godzinach. Zapadła w sen, a w nim uciekła w ramiona babci. Tylko jej się nie wstydziła. Tylko przy niej, chociaż na chwilę, przebiła się przez otaczającą ją czerń.

Obudziła się po dziewiętej. Spała prawie osiem godzin. Zmusiła się do wstania z łóżka i pójścia do kuchni. Napiła się wody. Zjadła kanapki z dżemem. Chleb musiał być jeszcze z piątku. Na szczęście częstochowskie piekarnie wypiekały naprawdę przyzwoite pieczywo. Po kilku dniach miało wciąż taki sam smak. A może tylko jej się tak wydawało. Może było jej wszystko jedno, co je. Otworzyła lodówkę i znalazła jeszcze jeden kawałek pizzy z weekendu. O dziwo, również bardzo jej smakowała. Po chwili dojadła również resztki ciasta drożdżowego i popiła wodą prosto z plastikowej butelki. Nie oderwała się od niej, dopóki nie wypila połowy.

Wtedy pierwszy raz od kilkadziesiątu godzin zaczęła myśleć w miarę sensownie. Przyszło jej do głowy kilka rzeczy na raz. Przede wszystkim to, że jest Henrik i wypada się do niego odezwać. A właściwie, że naprawdę chce to zrobić. Pomyślała, że bardzo się cieszy, że ma taki apetyt. Że gdyby mogła, to zjadłaby teraz całą pizzę i że chyba nie będzie się powstrzymywać, tylko znowu ją sobie zamówi. Pomyślała, że musi w końcu zajrzeć do łazienki i spojrzeć na siebie. Wcześniej weszła tam jedynie po to, by zmyć z siebie brud i odór tamtych chwil. Teraz poczuła, że musi stanąć przed lustrem i sprawdzić, że niczego nie straciła. Musi się

przekonać, że nic się nie zmieniło.

Zadzwoiła do Henrika. Tym razem nie poprosiła drugiej Alicji o pomoc. Rozmawiała z nim sama, mając pełną kontrolę nad tym, co robi i co mówi. To była naprawdę dobra rozmowa. Alicja przypomniła sobie, że ta, którą odbyła dzień wcześniej, też była tak samo dobra. Mimo że prowadziła ją przez swoje wymaginowane alter ego, tamta krótka wymiana zdań dała jej naprawdę dużo. Tak samo jak ta dzisiejsza. Alicja wciąż jednak kłamała. Kłamała i nie wiedziała, jak przestać. Czowała, coraz wyraźniej, że tak naprawdę nie chce przestać, bo dzięki temu nie wstydziła się rozmawiać z Henrikiem. Mówienie nieprawdy i półprawdy pozwalało się jej nie wstydzić. Potrzebowała Henrika. Potrzebowała go, ale na razie tylko przez telefon.

Kiedy się rozłączyli, wokół niej zrobiło się nieco jaśniej. Rozejrzała się dookoła po raz pierwszy od wielu godzin. Czern miała jeszcze powrócić. Jeszcze nieraz miała przesłonić jej jakikolwiek widok. Ale po tej rozmowie na moment zniknęła. I Alicja zdecydowała się wejść do łazienki.

Spojrzała w lustro. Zobaczyła siebie z teraz i z przedtem. W jednej sekundzie przywołała myśli i plany, które miała kiedyś, i te, które miała teraz. Skrzyknęła wszystkie naraz i złożyła je w całość. W kilka sekund odtworzyła całe swoje życie aż do przedwczoraj. Przypomniła sobie, jak wyglądała ta łazienka jeszcze przed remontem, który zrobiła po śmierci babci. Przypomniła sobie, jak pozbywała się dekoru ze ścian i jak montowała większe lustro. Przypomniła sobie podróż, którą zawsze chciała odbyć, a w którą pojechała w końcu za pieniądze

pozostawione jej przez babcię Zosię. Przypomniała sobie Rejkiawik, Tromso i Rovaniemi. I moment, w którym zobaczyła w samolocie Henrika, kiedy wracała do Warszawy. Wspominała, co czuła, kiedy wyjeżdżała Kawunią prosto z salonu. Spojrzała na siebie i poczuła, że nie ma znaczenia, jak teraz wygląda. Nie mają znaczenia jej tłuste i rozczochrane włosy. Nie mają znaczenia zapuchnięte i szczypiące oczy ani rozmazany makijaż. Nie myślała o dworku Sobińskich i Maleńkowie. Nie obchodziły ją inne sprawy, jakie prowadziła w kancelarii. Poczuła, że takie rzeczy nie mają znaczenia. Że teraz liczy się tylko to, czy będzie miała jakąś przyszłość. Wszystko inne będzie zależne od tego, czy będzie ją miała.

Schyliła się i otworzyła szafkę pod umywalką. Wyjęła test ciążowy, który kupiła tydzień wcześniej i rozpakowała go. Po chwili napełniła niewielką nakrętkę. Położyła ją przy umywalce. Podniosła pipetkę i pobrała do niej mocz. Wprowadziła kilka kropel na płytkę na teście. I wstrzymała oddech.

Po niecałych pięciu minutach odetchnęła głęboko.

Test pokazał dwie kreski. Alicja była w ciąży.

Pomyślała, że wszystko będzie jeszcze miało znaczenie. I będzie miała jakąś przyszłość. Mimo wszystko.

A potem znowu ogarnęła ją czerń.

ROZDZIAŁ 17

Jerzy

Środa, 29 października 2014

Ze wszystkich obrazów, jakie jego oczy zarejestrowały w ciągu ostatnich dwóch dni, najbardziej utkwił mu w pamięci wyraz twarzy Marczuka. Kiedy Jerzy mówił mu o podejrzeniach w stosunku do swojego brata, naczelnik miał taką minę, jakby właśnie się dowiedział, że od jutra pracuje w charakterze maskotki na meczach Włókniarza.

– Pytałeś, po co te podsłuchy i o co w tym wszystkim chodzi – powiedział Jerzy do przyjaciela jeszcze w poniedziałek pod katedrą, tuż po tym, jak Alicja odjechała, a oni z powrotem wsiedli do samochodu. – No to posłuchaj.

Marczuk spojrzał na niego z uwagą.

– Nie wiem, co się właśnie stało w zakrystii, ale myślę, że mogę mieć uzasadnione podejrzenia, do czego mogło dojść – mówił dalej Jerzy. – I chyba przyszedł czas, byś o wszystkim się dowiedział.

– Czuję, że nie będzie mi się to podobało – odparł naczelnik.

– Nie będzie. I uwierz, że mnie nie podoba się to jeszcze bardziej. – Komendantowi lekko zadrżał głos. Marczuk dostrzegł to

i zrozumiał, że ta rozmowa musi go sporo kosztować.

Jerzy sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. Wyciągnął z niego kartkę złożoną w mały kwadracik.

– Jakieś miesiąc, może trzy tygodnie temu dostałem tę wiadomość. Przyszła pocztą do komendy – powiedział, podając ją Marczukowi.

Kiedy naczelnik przeczytał, co było na niej napisane, przez moment wyglądał tak, jakby ktoś wypchnął mu oczy na zewnątrz. Raz po raz podnosił wzrok znad kartki i spoglądał na Jerzego. Po chwili ponownie wracał spojrzeniem, patrzył na wyrwaną z zeszytu stronę i kilka zdań zapisanych niebieskim długopisem. Litery były duże, ale charakter pisma brzydki i bardzo niedbały. Tak jakby ktoś pisał tę wiadomość w pośpiechu bądź w ukryciu. Marczuk jeszcze raz spojrzął na kartkę.

„Katarzyna, lat 24, mieszkanka Kamyka. Gwałcona od pół roku. Spotkania odbywają się w zakrystii archikatedry na Krakowskiej. Twój brat szczególnie ją lubi. Ona bardzo się boi. Zrób coś z tym. Twój brat płaci kobietom za seks. Wykorzystuje je. Zrób coś z tym”.

Nic więcej. Tylko tyle i aż tyle.

– To było adresowane do ciebie? – spytał naczelnik, jakby nie dowierzając.

– Tak. Na kopercie było moje nazwisko.

– Nie pomyślałeś, że to może być głupi żart?

– Na początku jak najbardziej. Tylko że to nie był pierwszy donos, który dostałem. Nawet odłożyłem tę kartkę na bok. Pierwszą prawie wyrzuciłem do kosza, ale coś mnie powstrzymało, jakoś nie

potrafiłem. Nie dawało mi to spokoju.

– To tych kartek jest więcej?!

– Niestety. – Jerzy wyjął dwie kolejne i pokazał je przyjacielowi.

– Wiesz, kto mógł to przysłać? – zapytał Marczuk po zapoznaniu się z treścią.

– Nie mam pojęcia. Być może jedna z tych dziewczyn.

– Tak, to pierwsze, co przyszło mi do głowy.

Po chwili przerwy Jerzy kontynuował.

– Przez wiele dni biłem się z myślami. Może niepotrzebnie włożyłem tę pierwszą kartkę do portfela. Wyjmowałem ją co chwila i patrzyłem na te słowa. Sprawdzałem, czy ciągle tam jest. Jakoś, kurwa, nie pozwalała o sobie zapomnieć. A potem przyszły kolejne. Po kilku dniach podjechałem do Staszka z taką niby przypadkową wizytą. Nawet nie wiedziałem, jak mam z nim rozmawiać. Czuję się jak idiota, wypytując, co u niego słyhać, czy się nie nudzi, czy dobrze się czuje i takie tam pierdoły. W końcu pomyślał, że przychodzę do niego po radę albo, co gorzej, po kasę. To było nedorzeczne. W pewnym momencie chciałem nawet spytać go wprost, miałem ochotę pokazać mu tę wiadomość, ale wymiękłem – dokończył, wydychając powietrze.

– Nie dziwię się – odparł Marczuk. – Ja bym pewnie w ogóle do niego nie poszedł.

– A coś byś zrobił? – zapytał Jerzy, mając nadzieję, że jego przyjaciel powie coś odkrywczego.

– Do licha, Jurek, nie wiem. Chyba próbowałbym uzyskać więcej informacji. Jakoś to potwierdzić. Sprawdzałeś odciski?

– Zleciłem to po cichu chłopakom. Nic nie wykryli. Koperta

przewinęła się przez parę rąk na komendzie i tyle. Kartka była czysta. Zachowałem ją dla siebie.

Marczuk podrapał się po głowie.

– Wejdźmy tam teraz. Chodźmy do niego – powiedział, chociaż w jego głosie nie było pewności.

– Nie, nie możemy. Poczekaj, aż powiem ci resztę. – Jerzy wziął głęboki wdech. – Dwa tygodnie później nie wytrzymałem.

– To znaczy?

– Odwiedziłem go jeszcze raz i podrzuciłem mu pluskwę w gabinecie.

– Tak myślałem. Teraz rozumiem, skąd wziął się ten podsłuch telefoniczny. Usłyszałeś o czymś, co nie powinno mieć miejsca?

– Niestety tak. Kilkakrotnie. On naprawdę to robi. Te kobiety regularnie pojawiają się w kurii. – Jerzy przerwał na moment i przypomniał sobie, jak po raz pierwszy odsłuchiwał rozmowę nagraną w gabinecie brata. Przeklął go wtedy w myślach. –

Znajduje takie domy, w których ludzie ledwo wiążą koniec z końcem. Jeździ po tych swoich parafiach i wyszukuje takie rodziny. A najbardziej lubi te, w których jest jakaś dorodna panna, albo młoda mamusia z dzieckiem, której mężulek nie bardzo się stara – ciągnął Jerzy. – I składa takim paniom propozycje nie do odrzucenia.

– Daje im kasę, a one zgadzają się dać mu dupy?

– A jak myślisz? Oczywiście. Siła autorytetu robi swoje.

– Jurek, kurwa, mówimy o twoim bracie. Mówimy o jebanym biskupie!

– Wiem, o kim mówimy, Marek! – wrzasnął Jerzy. – Żyję z tym

od miesiąca!

Marczuk spuścił wzrok.

– On sprowadza je sobie i wykorzystuje właśnie tutaj – powiedział Walter, wskazując na katedrę.

– Gdzie? W kościele?

– Tak. Prawdopodobnie w zakrystii.

Marczuk przez chwilę wyglądał na oszołomionego, jakby właśnie dostał patelnię w łeb.

– I myślisz, że z tą Drylską?... – Zawiesił głos.

– Nie wiem, do cholery. Mam, kurwa, nadzieję, że nie. Ale niczego już nie jestem pewien.

– Nie no, to jest popierdolone! – powiedział Marczuk bardziej dlatego, że musiał coś powiedzieć. Jakby chciał jeszcze raz usłyszeć własny głos.

Przerwali na chwilę i słyszać było jedynie ich oddechy, zagłuszane przez krople deszczu uderzające o karoserię.

– Jurek, ale jak to możliwe, że on gada o tym w swoim gabinecie?! – odezwał się Marczuk po dłuższym zastanowieniu. –

No chyba mi nie powiesz, że gawędzi o dupczeniu parafianek z siostrzyczkami albo z jakimś innym księżulkiem.

– Z zakonnkami nie, ale z księżulkiem owszem.

Marczuk otworzył mimowolnie usta.

– Z jednej z rozmów, którą słyszałem, wynika, że kanclerz Sławomir Maj skusił się raz na takie igraszki. Albo został przyłapany przez Staszka. No, mniejsza o to. – Jerzy machnął ręką.

– Prawdopodobnie sprawa wygląda tak, że mój brat wie o tym, co robi kanclerz, a kanclerz nie wie o tym, co robi mój brat –

powiedział Jerzy. – I zdaje się, że kanclerz Maj jest dłużnikiem mojego brata. On zna jego mroczny sekrecik. I skrzętnie to wykorzystuje.

– Ja pierdolę... To się w pale nie mieści!

– Rozmawiał również z jedną z tych kobiet. Przyszła do niego późnym wieczorem. Chyba się nie spodziewał. Był zaskoczony i mocno poirytowany. Chciała więcej szmalu. Nawet mu nie groziła, przyszła poprosić. Była bardziej przestraszona niż zdecydowana. – Jerzy spojrział na Marczuka i rozłożył ręce w bezradnym geście. – A więc jeśli pytasz, czy rozmawia o tym w swoim gabinecie, to odpowiedź brzmi, że jak najbardziej tak. I to całkiem otwarcie.

Marczuk pokiwał głową.

– No to ja się nie dziwię, czemu tak się nam leje z nieba ostatnio, skoro my tu mamy takich duchownych – powiedział naczelnik. –

Najwyższa pora zacząć budować arkę. To znaczy przepraszam, Jurek... Jezu, strasznie mi głupio... to twój brat i w ogóle – dodał, jakby nie wiedział, czy powinien to mówić.

– Nie ma sprawy. Powoli się z tym oswajam. I tak, zgadzam się, to jest popierdolone – skwitował komendant.

Jerzy pomyślał, że z zaskakującą łatwością przekazał wszystkie te informacje Marczukowi. Kiedy to zrobił, poczuł ulgę. Było to dla niego bolesne i ciężkie, ale już wcześniej podjął decyzję, że nie będzie niczego ukrywał. A jeżeli ma się dowiedzieć więcej, to dowie się o tym nie tylko on, ale i cała reszta. Jeśli jego brat robi rzeczy jeszcze gorsze niż bawienie się w sponsoring, to będzie musiał za to odpowiedzieć nie tylko przed Świętym Piotrem, ale

i przed sądem.

Przetarł dłonią czoło.

– Wiesz, Marek – zaczął ponownie. – Może załatwiłbym to inaczej, ale boję się o Drylską. Naprawdę obawiam się, że mogłem się spóźnić.

– Dlaczego tak się nią przejąłeś? Czy coś cię z nią łączy? – zapytał Marczuk.

– Wiele lat temu znałem jej matkę. Długa historia. Młoda Drylska nawet o tym nie wie.

– Jakaś dawna miłość?

– Coś w tym rodzaju – odparł Jerzy cicho.

– I co ona teraz robi?

– Nic. Nie żyje. Zginęła w wypadku wiele lat temu – odpowiedział Walter, a naczelnik przysunął palce do ust, jakby zamierzał zacząć obgryzać paznokcie. Po chwili się rozmyślił i tylko na nie spojrzał. – Ta dziewczyna nic nie wie. Nie wie, że znam jej historię. Pewnie nawet myśli, że knuję wszystko razem ze Staszkiem, w końcu jesteśmy rodzeństwem. Wiesz – brat chroni brata i takie tam. Nawet nie zadzwoniła na policję, żeby spytać o sprawę Małeńkowa.

– Rzeczywiście!

– No właśnie. Dlatego nie wzywaj jej do nas. Zresztą po tym, co przed chwilą widzieliśmy, to chyba nie miałoby sensu.

Zadzwonił telefon. Jerzy spojrzał na wyświetlacz i schował aparat z powrotem do kieszeni.

– Nie odbierasz od niego? – zapytał Marczuk i po chwili dodał. – Przepraszam... zauważyłem, kto dzwonił.

– No nie odbieram. A dziwisz się?

– Ani trochę, ale nie ciekawi cię, czego może chcieć? Może coś wyczuł.

– Dobrze wiem, czego chce i gwarantuję ci, że nie ma to nic wspólnego z tym, o czym teraz rozmawiamy.

Zamilkli na chwilę. Marczuk metodycznie wiercił się w fotelu. Dotarło do niego zbyt wiele wiadomości jak na jeden raz. Sprawiał wrażenie, jakby wszystkie rozeszły się po jego ciele i dawały o sobie znać jednocześnie w różnych miejscach. Szukał odpowiedniej pozycji, w której mógłby nad nimi zapanować.

– Jedźmy. Odwieź mnie – powiedział Jerzy do naczelnika. Marczuk odpalił silnik. – Zachowaj to wszystko jeszcze dla siebie. Informacji z podsłuchu w gabinecie Staszka i tak nie możemy wykorzystać. Czekamy, aż powie za dużo przez telefon.

– Jasna sprawa. Ja to na razie się zastanawiam, jak to zrobić, żeby dzisiaj zasnąć – odpowiedział Marczuk. – Nie zazdroszczę ci, stary. Nie zazdroszczę.

Zrobili kółko na obszernym parkingu, kierując się w stronę wyjazdu. Jerzy spojrział w lusterko i podniósł lewą dłoń.

– Zatrzymaj się – powiedział. – Jeszcze jedno, Marek. Odwróć się i zobacz, kto idzie.

Marczuk obrócił się przez prawe ramię i spojrział przez tylną szybę. Wycieraczka pracowała na tyle skutecznie, że mógł zobaczyć sylwetkę człowieka.

– To jakiś facet – odparł, przypatrując się uważnie mężczyźnie wychodzącemu z katedry. – Ach, czekaj! To ten niedorozwój, który pomaga w kurii, tak? Widziałem go z raz czy dwa, jak byłem tam

z tobą.

– Tak, to on. Ma na imię Julian. A jego obecność tutaj sprawia, że jeszcze bardziej boję się o Alicję Drylską. Tę historię też musisz poznać – powiedział Jerzy.

Marczuk pokręcił głową i mocno dodał gazu. Czarny hatchback wtopił się po chwili w szary jednostajny pejzaż miasta.

Od tej rozmowy minęły dwa dni. Nic się jednak nie zmieniło, a żadna z rozmów telefonicznych biskupa Stanisława Waltera nie zdradziła niczego podejrzanego. Deszcz jednak nie przestawał padać i Jerzy czuł, że to nie koniec.

Kiedy dwa dni po wizycie pod katedrą kładł się spać, czuł, że wszystko dopiero się zaczyna. W tym samym czasie jego brat wchodził do zakrystii na spotkanie z kolejną kobietą.

ROZDZIAŁ 18

Stanisław

Czwartek, 30 października 2014

Staął przed bramą parafii Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zastanawiając się, jak mogło wyglądać to, co zdarzyło się w tym miejscu kilka dni wcześniej. Wiedział, że wtedy było już ciemno. Dużo ciemniej niż teraz. Mimo że dochodziła dopiero pierwsza po południu, w mieście panowała szarość. Od jakiegoś czasu każdy częstochowski dzień wyglądał identycznie jak poprzedni, a każdy widok, gdziekolwiek by nie spojrzeć, wydawał się tak samo monotony. Lejący ciągle deszcz wymył kolory, sprawił że Częstochowa stała się jednobarwna. Gęsta tafla wody spowodowała, że wszystko w tym mieście było popielate.

Czarną sutannę z delikatnym obszyciem w kolorze, który wskazywał na pozycję w kościelnej hierarchii, przykrywał mu długi przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem. Stanisław jednak stał i nie zwracał uwagi na ulewę. Nie przeszkadzało mu, że moknie. Nie zwracał uwagi na swoistą monochromatyczność krajobrazu. Zdarzenie, które wizualizował właśnie w myślach, uderzało bogactwem barw. Zanim wszedł do kościoła z niezapowiedzianą

wizytą u proboszcza Ryszarda Kozery, próbował wyobrazić sobie scenę z udziałem Juliana i Maleńkowa. Atak musiał nastąpić gdzieś pośrodku placu. Tuż za niskim płotem. Stanisław wszedł na teren parafii tą samą drogą, którą wcześniej wbiegał Julian. Zatrzymał się na chwilę w miejscu, w którym Julian dopadł Wiktora. Spojrzał pod nogi, na mokrą i śliską ziemię. *Nie popełniłeś błędu, dziecino. Miałeś pecha. Ale to już nieważne. Tak naprawdę to nie ty jesteś zły. To ja stałem się okrutny. To ja kazałem ci pozbyć się innego człowieka. Tylko Bóg jeden wie, co się ze mną dzieje.*

Podniósł głowę, rozejrzał się i ruszył w stronę kościoła. Pociągnął mocno za dużą mosiężną klamkę i wszedł do środka. Ksiądz Ryszard wychodził akurat z jednego z pokojów i od razu zauważył biskupa Waltera. Stał jak wryty, właściwie się nie poruszając. Widać było, że zupełnie nie spodziewał się tej wizyty, ale z pewnością dokładnie wiedział, jaki cel ma to niespodziewane najście.

I to biskupowi bardzo się podobało. Widok napiętego jak struna, znieruchomiłego proboszcza nawet go nieco rozśmieszył. Dlatego też z nieukrywaną radością podszedł do księdza i, patrząc mu cały czas prosto w oczy, powiedział:

– Niech będzie pochwalony, księżu Ryszardzie!

Proboszcz Ryszard Kozera był bardzo wysoki, miał ponad dwa metry wzrostu i przypadał mu laur najwyższego księdza w archidiecezji częstochowskiej. Był przy tym jednak niezwykle szczupły, wręcz chudy. Garb, którego dorobił się po latach pochylania się nad wiernymi podczas podawania Ciała Chrystusa, dodawał mu nieco lat.

– Niech będzie pochwalony, księże biskupie. Nie spodziewałem się wizyty – odparł, zawieszając głos.

– Właśnie widzę, księże Ryszardzie. Proszę się nie frasować. Ja tylko na chwilę – powiedział Walter. – Może gdzieś usiądziemy?

– Ależ oczywiście, oczywiście – zreflektował się ksiądz proboszcz i wskazał na jeden z pokojów. – Zapraszam.

Po chwili usiedli, a Walter poprosił jedynie o wodę, odmawiając czegokolwiek innego. Kiedy zajęli miejsca, Stanisław pomyślał, że różnica wzrostu jest już właściwie niewidoczna, ale nawet gdy stali naprzeciw siebie, była niemal niedostrzegalna. Mimo że ksiądz proboszcz był zdecydowanie wyższy od biskupa, zdawał się w jego obecności tracić tę przewagę i kurczyć w oczach.

– Jak się ksiądz miewa? – zapytał Walter.

Proboszcz przybrał taką minę, jakby nie wiedział, czy istnieje dobra odpowiedź na to pytanie.

– Nie najlepiej – powiedział i od razu spojrzał na biskupa pytająco. Jakby chciał się upewnić, że dobrze zaczął. – Nie najlepiej, księże biskupie. To koszmarne zdarzenie...

– No właśnie widzę, że ksiądz taki jakiś strapiony. – Walter wszedł mu w słowo.

– Tak... tak... dokładnie. Wciąż nie mogę się otrząsnąć po tym, co się u nas stało – odparł cicho, patrząc w ścianę.

– Proszę się tak nie martwić! Wszystko będzie dobrze i na pewno ze wszystkim sobie poradzimy. Ja właśnie w tej sprawie do księdza przychodzę – odpowiedział o wiele głośniej Stanisław.

– W sprawie naszego biednego Wiktora? – zapytał proboszcz, jedynie się upewniając. Wiedział przecież, że w istocie nie mogło

być innego powodu tej wizyty.

– Wiktora Maleńkova, spadku, dokumentów, tego niecnego czynu, którego dopuścił się jakiś hultaj – wymieniał jakby od niechcienia Walter. – Ja właśnie w tej sprawie.

Stanisław splótł dłonie przed sobą i spojrzał na nie. Wyglądały tak, jakby należały do kogoś o wiele młodszego.

– Chciałem księdza proboszcza przede wszystkim prosić o oddzielenie dwóch rzeczy – kontynuował Walter. – Czym innym jest przyjazd Maleńkova do Polski w sprawie spadku, a czym innym napaść na niego – dokończył i mocno zacisnął dłonie. Słychać było dźwięk przeskakującej chrząstki w jednym ze stawów – jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Ksiądz Ryszard kiwnął głową, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Czyli mam rozumieć, że w tej kwestii mamy jasność? – kontrolnie zapytał biskup.

– Tak.

– Świetnie. Ja więc traktuję te dwie sprawy jako niezwiązane ze sobą. A jeśli w ogóle jakoś połączone, to jedynie przypadkowym zbiegiem okoliczności – odparł Walter. – Sprawą tego straszliwego czynu, jak rozumiem, zajmują się już odpowiednie organy i im należy pozostawić dalsze działanie. Ksiądz i tak musiał już swoje przeżyć. Cały ten wypadek był bardzo niefortunny. Proszę powiedzieć, jak się czuje ten biedaczek?

– Wiktor? – zapytał niepewnie ksiądz Ryszard.

– A któż by inny, proszę księdza?! Oczywiście, że o niego mi chodzi – odpowiedział Walter, rozkładając ręce. Wyraźnie

wyczuwał niezdecydowanie proboszcza. Czuł, że kryje się za nim niepokój o każde kolejne pytanie, jakie zada. Zamierzał sukcesywnie podsycać lęk Ryszarda aż do samego końca rozmowy.

– Jest jeszcze w szpitalu. Być może jutro dostanie wypis. Ma głęboką ranę po ostrym narzędziu. Odwiedziliśmy go. Opowiadał, że ktoś zaatakował go takim długim nożem. – Ksiądz proboszcz palcami wskazującymi pokazał w powietrzu długość ostrza. – Jest zupełnie skołowany. Nie rozumie, czemu go to spotkało.

– Nikt z nas nie rozumie, drogi Ryszardzie. To wprost niesłychane. Aż ciężko dać wiarę temu, co się stało – powiedział Walter, przybierając empatyczny ton. Ton, z którego w kolejnym zdaniu nie zostało nic. – I rozumiem, że to ksiądz proboszcz sprowadził tego nieszczęśnika do nas?

– Sprowadził? – wybąkał ksiądz Ryszard, jakby znowu nie zrozumiał pytania.

– No tak, tak. Sprowadził – stwierdził zimno Walter. – Rozumiem, że to na księdza zaproszenie zjawił się w Częstochowie?

Biskup potarł kąciki ust. Powoli zbliżał się do celu swojej rozmowy i coraz bardziej podobało mu się narastające przerażenie księdza Ryszarda.

– To był przypadek. Rozmawiałem z ojcem Nowackim z Syberii. Regularnie do siebie dzwonimy. Wspomniałem o tym niesamowitym przypadku odnalezienia testamentu w dworcu Sobińskich. W końcu leży na terenie mojej parafii, więc dowiedziałem się o tym. – Zawiesił na chwilę głos, ale ponieważ Walter milczał, zaczął mówić dalej. – Okazało się, że u niego

w Wierszynie mieszka człowiek, który jest potomkiem tamtych właścicieli. To właśnie Wiktor. Potem to wszystko stało się tak szybko. Nie zawiadomiłem księdza biskupa. Czy to... czy to problem?

Ksiądz Ryszard zakończył i usztywnił się jeszcze bardziej. Stanisław odczekał jeszcze moment, zanim się odezwał.

– I tutaj dochodzimy do tej drugiej sprawy. Świetnie, że ksiądz to tak dokładnie opisał. Muszę powiedzieć, że rzeczywiście szkoda, że ksiądz najpierw nie przyszedł z tym do mnie. Może wówczas nie byłoby potrzeby, żeby pan Maleńkow nas odwiedzał i może udałoby się uniknąć tej okropnej tragedii.

Proboszcz poprawił okulary na nosie i nagle zupełnie znieruchomiał, jak porażony.

– Chciałem w każdym razie powiedzieć, że przecież wszystkim nam na czymś zależy. Jesteśmy tylko ludźmi, choć mamy w sobie boski pierwiastek, nieprawdaż? – Stanisław przerwał na chwilę, ale proboszcz nie zareagował. Temperatura jego ciała musiała dalej wynosić minus dziesięć stopni Celsjusza, był blady jak ściana. –

Jesteśmy grzeszni. Pożądamy wielu rzeczy. Mimo wszystko liczą się dla nas rzeczy doczesne. Dla pana Maleńkova ważna jest posiadłość jego pradziadków i ja to doskonale rozumiem – kontynuował swój wywód Walter, upajając się każdym słowem. – Dla nas, dla Kościoła, dla kurii też wiele rzeczy ma duże znaczenie. Mimo wszystko poruszamy się jeszcze po naszej pięknej planecie i nie wybieramy się w objęcia Najwyższego. I tak się, proszę księdza, składa, że dla kurii ten dworek i ta cała przestrzeń ma również bardzo duże znaczenie. Ma ogromne znaczenie. Można

powiedzieć, że ma takie znaczenie, jakie dla księdza proboszcza ma obszar, który swoim zasięgiem obejmuje ta parafia. To jest, myślę, świetne porównanie. Pokazuje, jak ważny to dla kurii temat – zakończył i czekał.

A ponieważ uderzył w najczulszy punkt, nie musiał czekać długo. Proboszcz głośno wypuścił powietrze. Ta reakcja pokazywała, że jednak jeszcze żyje i może się ruszać.

Wspominając o okręgu, jakim zarządzał w swej parafii proboszcz Ryszard Kozera, Stanisław przypomniał mu równocześnie o tym, komu zawdzięcza ten rozległy teren. Komu powinien być wdzięczny, że może chodzić po kołodzie do najbogatszych okolicznych domów.

Proboszcz zrozumiał dokładnie, co biskup chce mu powiedzieć. Ale wciąż nie umiał wydobyć z siebie słowa. Walter dokładnie to przewidział. To był ten moment, kiedy wiedział już, że załatwił sprawę.

– Jak ksiądz pewnie wie, pan Maleńkow spóźnił się nieco i w tej chwili teren należy już do kurii. Odkręcić ten stan rzeczy byłoby obecnie bardzo trudno. A poza tym byłoby to bardzo nie na rękę Kościołowi – kontynuował Stanisław. – Oczywiście nie zostawimy pana Maleńkova. Zajmiemy się nim do czasu jego wyjazdu, jak najbardziej jest u nas zawsze mile widziany. Zawsze. Głęboko w to wierzę, że kolejna wizyta nie dostarczy mu tak przykrych wspomnień. A tymczasem bardzo księdza proszę o rozwiązanie tej sprawy i stosowną rozmowę z panem Maleńkowem. Trzeba zrobić coś z tą nieszczęsną sytuacją, w którą ksiądz nas wszystkich tak niefortunnie wplątał.

Widać było, że ostatnie słowa wywarły odpowiedni skutek. Proboszcz błyskawicznie zapomniał o trosce o Maleńkova i o napaści na niego. Wszystkie swoje myśli przeniósł na dbałość o samego siebie. W końcu się odezwał.

– Ja nie pomyślałem... – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

– Ale widzę, że teraz już ksiądz myśli i to intensywnie, zgadza się? – odpowiedział w ułamku sekundy Walter. Jego głos znów był radosny. – Rozumiemy się, prawda?

– Tak, jak najbardziej. Wszystko zrozumiałem.

– No to świetnie! A jak tam pozostałe sprawy parafii? Wszystko w porządku? Niczego wam nie brakuje? – zapytał Walter i potarł kąciki ust.

– Nie, wszystko jest dobrze. Jest naprawdę dobrze. Dziękuję za pieczę, którą biskup ma nad nami.

– W końcu taka moja rola! – powiedział Stanisław, wstał i skierował się w stronę wyjścia. Nie było potrzeby, by zostawał dłużej. Osiągnął już wszystko, po co tu przyszedł.

W drodze powrotnej do kurii, odebrał telefon od radnego Kuleszy i jeszcze raz potwierdzili dalsze kroki. Jak się okazało, wiadomość o uprawomocnieniu się decyzji o nabyciu spadku i przejęciu przez kurię działki wraz z dworkiem Sobińskich zdążyła już dotrzeć do Dariusza Grotta. Za dwa tygodnie przedsiębiorca miał przyjechać z kolejną wizytą. Umówili się, że wówczas uzgodnią szczegóły i sposób przekazania działki miastu oraz ułożą harmonogram inwestycji. Kulesza wspominał również o tym, że skontaktował się w tej sprawie z Jerzym, informując komendanta o szczęśliwym obrocie sprawy. Ta wiadomość lekko ubodła

Stanisława, ponieważ jego brat nie dawał znaku życia już od dłuższego czasu. Nie odbierał również telefonu. Nie rozmawiali często, ale jeśli działo się coś ważnego, zawsze mogli na siebie liczyć. Stanisław był pewny, że Jerzy w końcu oddzwoni. Przecież i tak musieli obgadać sprawę Maleńkowa. Domyślał się, że Jerzy ma dużo na głowie. Kiedy przyszedł do niego ostatni raz, sprawiał wrażenie, jakby bardzo potrzebował wakacji. Zachowywał się dziwnie, przez całą wizytę wypytywał Staszka o jakieś pierdoły.

Biskup do końca dnia miał dobry humor. Mimo komplikacji, wszystko powoli układało się po jego myśli.

I tylko wieczorem, kiedy zasypiał, znów zobaczył w myślach obrazy, które spowodowały, że cały drżał. Obrazy, które ponownie sprawiły, że poczuł się mały. Najpierw przywołał na myśl uciechy poprzedniej nocy, którą spędził z parafianką. Tym razem skrępował jej ręce i przewiązał usta kawałkiem materiału. Robił to od niedawna, spróbował i spodobało mu się to. Lubił tak dominować. Poprzedniej nocy, jak zawsze w takich chwilach, czuł w sobie siłę. Zrobił wszystko, co w jego mocy, by znów poczuć się panem sytuacji. Ale nie potrafił przekonać sam siebie, że tak jest naprawdę. Jego myśli wciąż powracały do tego, co stało się w tym samym miejscu w poniedziałkowy wieczór. Bezecny miłosny akt z parafianką został przysłonięty przez obraz tego, czego dopuścił się dwa dni wcześniej.

Kiedy zasypiał, zobaczył siebie z Alicją Drylską i zastanawiał się, czy stał się już aż tak zły. Tamtego czynu nie planował. Nie myślał o nim. Czekał wtedy przecież na środę, na spotkanie z wierną, której sownie zapłacił. Nie wiedział, co w niego wstąpiło.

Nie znał siebie z tej strony. Nawet on sam tego nie przewidział. Chciał jej jedynie dać nauczkę, zwrócić uwagę na błąd, który popełnia. A potem nagle poczuł to znajome pulsowanie. Poczł wzrastające ciśnienie. Poczł, że nie umie i nie chce się opanować.

Zobaczył takiego siebie w myślach i sam siebie przyrównał do zwierzęcia. Zobaczył, jaką bestią się stał. Jak żądza rośnie w nim i jak traci nad nią kontrolę.

I wtedy ponownie, jak co noc, zawołał Boga. Chciał uciec w Jego ramiona. Potrzebował Jego pomocy. Bóg jednak milczał i Stanisław znowu zasypiał sam, zastanawiając się nad skutkami swojego czynu. Pierwszy raz nie miał pewności, że wszystko będzie dobrze. Pomyślał, że Drylska była jego ofiarą. Przez chwilę próbował zrozumieć, jak ona musi się czuć. A przede wszystkim próbował przewidzieć, jaki może być jej następny krok i czy on będzie mógł w ogóle na niego zareagować. Czy w ogóle zdąży zareagować.

ROZDZIAŁ 19

Jakub 2001

Wtorek, 16 stycznia 2001

Jest rok dwa tysiące pierwszy. Jakub Drylski ma piętnaście lat. Jest już dużym chłopcem, właściwie młodzieńcem. Jakub jest bardzo złym młodzieńcem. To, co go trawi, znajduje swoje ujście raz na jakiś czas. Chłopak bardzo często się irytuje. Jakub nie zna stanów pośrednich, jest albo wściekły, albo spokojny. Nie ma pojęcia, jak to jest być gdzieś pomiędzy zdenerwowaniem a wyciszeniem. Zna tylko jeden lub drugi stan. Kiedy jest spokojny, tak naprawdę odpoczywa po ataku złości, albo się do niego właśnie przygotowuje.

Jest rok dwa tysiące pierwszy i Jakub wciąż jest. Istnieje, chociaż nie zna świata i nie ma pojęcia, że jest jakiś inny, prawdziwy świat. Nigdy go nie widział na własne oczy. Jego rzeczywistość jest dokładnie taka sama, jak pięć, osiem i dwanaście lat wcześniej. Jakub nie wie nic o świecie, ale świat również nie ma o nim pojęcia. Świat o nim zapomniał i pogodził się z jego stratą. Niewielu ludzi pamięta małego chłopca, który zniknął w tajemniczych okolicznościach z miejsca wypadku, właściwie

wszyscy już dawno zapomnieli, że kiedyś był ktoś taki jak Jakub. Są tylko trzy osoby, które bardzo chciałyby wiedzieć, co się z nim dzieje. Chciałyby to wiedzieć jego babcia Zosia, która wspomina go częściej, niż o tym mówi. Częściej, niż sama przed sobą jest w stanie to przyznać.

Chciałyby to wiedzieć jego siostra Alicja, która uczęszcza do IX Liceum Ogólnokształcącego im. C.K. Norwida w Częstochowie i jest już w klasie maturalnej. Jego siostra Alicja bardzo lubi historię i uczy się jej pilnie, bo chce studiować prawo, tak jak jej matka. Tak jak matka Jakuba, której chłopak już nie pamięta.

Chciałyby to wiedzieć również Jerzy Walter, naczelnik wydziału kryminalnego częstochowskiej policji i przyszyły komendant miejski. Z tych trzech osób on myśli o Jakubie stosunkowo najrzadziej, ale czasem przypomina sobie o zaginionym chłopcu. Kiedyś, jeszcze nawet do połowy lat dziewięćdziesiątych, Jerzy Walter myślał o Jakubie znacznie częściej. Zastanawiał się, co tak naprawdę się z nim stało i jak do tego doszło, że niczego nie ustalono, a trzylatek zniknął bez śladu. Jerzy kilkakrotnie na własną rękę próbował przeprowadzać śledztwo, nawet starał się, by oficjalnie je wznowiono. Nikt jednak nie wierzył w to, że Jakub jeszcze istnieje. Po pewnym czasie i Jerzy przestał wierzyć.

A Jakub jest i staje się coraz bardziej zły. Jest wściekły na Tatę, który z dnia na dzień słabnie. A Jakub jest coraz silniejszy, czuje moc rozpierającą go od środka, siłę, która wymyka się spod kontroli, potrzebuje ujścia. Czuje, ile za pomocą tej siły jest w stanie osiągnąć.

Od kilku lat Tata puszcza mu muzykę. Jakub słyszy ją bez

przerwy. Tata już jakiś czas temu opracował mechanizm w taki sposób, żeby tylko on sam mógł włączać i wyłączać muzykę. Chłopiec nie może się od niej uwolnić. Jakub słucha muzyki dzień w dzień od siedmiu lat, czyli przez prawie połowę swojego życia. Słucha w kółko tych samych utworów. Pięknych, długich utworów. Słucha dźwięku waltorni, kontrabasów, altówek, fletów i skrzypiec. Słucha dźwięku fortepianu. Tata zaczął puszczać muzykę Jakubowi, żeby go uspokoić. Uznał, że to chłopca ukoi, odpędzi złe, agresywne myśli.

Pierwszy raz Jakub usłyszał muzykę po tym, jak naruszył zasady ceremonii doznania światła. Zeskoczył z przyczepy, więc Tata ukarał Jakuba i kilka razy uderzył go w twarz. Uderzył tak mocno, że chłopiec przewrócił się na ziemię, dotkliwie zdzierając skórę na łokciach i brodzie. Jakuba bardzo bolało, ale nie płakał. Był wściekły. Był tak zły, że zaczął krzyczeć. Pierwszy raz wrzasnął jeszcze na świeżym powietrzu, jeszcze w ogrodzie, koło kurek i gąsek. Ten krzyk mógł być słyszany przez innych ludzi i gdyby tak się stało, ktoś mógłby się dowiedzieć, że Jakub istnieje, więc Tata się bardzo przestraszył. Ale nikt go nie usłyszał. A jeśli usłyszał, to uznał, że to jeden z wielu dziecięcych krzyków, które często rozlegają się w ciepły dzień na świeżym powietrzu. Tata najpierw mocno uderzył Jakuba w twarz, potem siłą zaciągnął go do domu i zamknął w jego pokoju. Wszedł tam wraz z nim i puścił mu muzykę. Jakub był bardzo zaskoczony. Nie wiedział, co to jest i co się dzieje. Tata wytłumaczył mu, że te dźwięki to muzyka i zdziwiony Jakub zaskakująco szybko się uspokoił, zajął myśli czymś zupełnie nowym. Kiedy słuchał muzyki, stawał się innym

chłopcem. Grzecznym i spokojnym chłopcem. Tata coraz rzadziej przebywał w pokoju Jakuba, więc włączał i zostawiał radio w takim miejscu, do którego chłopiec nie mógł sięgnąć. Nie przestawało grać, dopóki nie wyładowały się w nim baterie. A kiedy Jakub urósł i mógł sięgnąć do każdego miejsca w swoim pokoju, Tata znalazł inne, ukryte w suficie i położył w nim radio. Włączał je i pozostawiał, by grało. Grało cały czas. Wtedy muzyka zaczęła denerwować Jakuba, budzić w nim nieopanowaną złość. Muzyka, która miała powstrzymać go przed łamaniem zasad ceremonii doznania światła i uspokajać, coraz częściej wywoływała w Jakubie ataki wściekłości. Tata więc coraz rzadziej pozwalał mu opuszczać pokój. Chłopiec rósł, a wraz z nim rosła złość, którą od lat nosił w sobie.

Jest rok dwa tysiące pierwszy i Jakub jest smukłym młodzieńcem. Jakub jest silny, a jego Tata coraz słabszy. Jakub jest zły, a jego Tata jest już właściwie nijaki, staje się coraz bardziej obojętny. Porusza się wolniej i Jakub to widzi. Zauważa, jak dużą trudność sprawia Tacie schodzenie po schodach do jego pokoju.

Jest rok dwa tysiące pierwszy, początek stycznia. Jest wtorek i jest bardzo zimno. W pokoju Jakuba temperatura sięga zaledwie kilku stopni i Jakub marznie, mimo że ma na sobie sweterek. Słyszy muzykę, która cały czas dochodzi tuż znad sufitu. Zna każdy jej takt. Drażnią go dźwięki, jest mu zimno i jest zły. Jest wściekły tak bardzo, jak jeszcze nigdy nie był do tej pory. Czeką na Tatę. Wie, że Tata dzisiaj do niego przyjdzie. Chociaż ostatnio zagląda coraz rzadziej i na coraz krótszy czas, to Jakub wie, że przyjdzie. Musi przynieść mu jedzenie. Jakub czeka już długo i trzęsie się z zimna

i ze złości, nad którą nie jest w stanie zapanować.

Tata w końcu otwiera klapę i schodzi do niego na dół. Wcześniej wyłącza muzykę. W końcu przynosi mu jedzenie. Gotowane ziemniaki, polane tłuszczem. Tata jest bardzo słaby. Jakubowi wydaje się, że Tata się go boi. Nie myli się. Mężczyzna rzeczywiście od dobrych dwóch lat nie wie, co zrobić z silnym i agresywnym nastolatkiem. Boi się go, ale go nie wypuszcza.

Tata kładzie jedzenie na stoliku i patrzy na Jakuba. Lata temu nadał mu inne imię. Pyta młodzieńca, czy jest głodny i czy podoba mu się muzyka. Jakub wie, że Tata zaraz wyjdzie i znów ją włączy, więc kiedy słyszy to pytanie, błyskawicznie narasta w nim wściekłość, jakiej nigdy jeszcze dotąd nie czuł. W tym momencie Jakub najbardziej nienawidzi Taty i chce, żeby stało się mu coś bardzo niedobrego. Tata jest słaby, a on jest silny. I Jakub to wykorzystuje. Dopada do niego i chwytą go za szyję. I dziwi się, że mimo iż muzyka nie gra, to on ją wciąż słyszy. Słyszy ją i zaciska palce coraz mocniej. Odcina Tacie dopływ powietrza. Chce zmiażdżyć mu krtań. To jednak nie trwa długo. Zmienia zamiar i kiedy Tata słabnie, Jakub chwytą jego głowę i gwałtownym szarpnięciem łamie mu kark. Zabija go bez większego wysiłku i kiedy ciało wiotczeje, puszcza je i Tata uderza z łoskotem o podłogę. W mniej niż trzydzieści sekund Jakub kończy dwunastoletni etap swojego życia.

Muzyka przestaje grać w głowie młodzieńca. Każdej kolejnej czynności dokonuje już niepewnie. Z wahaniem wchodzi po schodach. Nieśmiało otwiera klapę. Niepewnie, ale konsekwentnie opuszcza piwnicę. Po raz pierwszy opuszcza piwnicę sam.

Wychodzi, zostawiając tam swój ukryty pokój, swoje zabawki, Tatę i gotowane ziemniaki polane tłuszczem. Zabiera jedynie misia, który będzie jedynym towarzyszem jego krótkiej wędrówki.

Wszystkie jego ruchy są niepewne. Jakub nie wie, co ma zrobić. Ale idzie przed siebie, krok za krokiem. Wychodzi na zewnątrz. Pierwszy raz robi to sam. Robi to z obawą. Nie ma śmiałości. Tak jakby ktoś miał go zaraz ukarać albo jakby zaraz musiał ukarać się sam. Wychodzi do ogródka, ale coś każe mu iść dalej. Tam, gdzie jeszcze nigdy nie był. Jakub ma na sobie podarte spodnie, cienkie tenisówki i sweterek, ale idzie dalej. Jest styczeń i jest mu bardzo zimno, ale mimo przejmującego chłodu Jakub idzie dalej.

Wychodząc z ogródka, w którym doznawał światła przez ostatnie dwanaście lat, skręca w prawo i kieruje się w stronę alei Pokoju. Dochodzi do niej, pokonując po drodze niecałe dwieście metrów. Niecałe dwieście metrów z prawie pięciu kilometrów, które pokona tego dnia. Jakub przechodzi przez aleję Pokoju, patrząc prosto przed siebie, nie rozglądając się na boki. Nie ma pojęcia, że przechodzenie przez jezdnię w taki sposób jest bardzo niebezpieczne. Przecina tory tramwajowe, nie wiedząc, że jeżdżą po nich te pojazdy, które słyszał czasem, gdy leżał w przyczepie. Żaden z nich akurat wtedy nie nadjeżdża. Jakub idzie dalej, rozglądając się, i nie wie, gdzie jest. Świat poznaje Jakuba. Świat sobie o nim przypomina. Jakub idzie ulicą Hutników i dochodzi nią aż do ulicy Olsztyńskiej. Po drodze spotyka jednego człowieka, który ogląda się za nim zdziwiony, ale idzie dalej. Jakub zatrzymuje się i nie wie, co zrobić. Wszystko, co widzi, jest dla niego czymś nowym, czymś, czego nigdy nie spotkał i czego nie rozumie. Idzie

dalej środkiem ulicy i sztywnieje ze strachu, kiedy widzi światła zbliżającego się samochodu. Nie wie, że to samochód. Nie wie, że to światła. Nie wie, że nie można iść środkiem ulicy. Nie wie, czym jest hałas, który wydaje auto, kiedy go mija. Nie wie, że to dźwięk samochodowego klaksonu. Kierowca trąbi kilka razy, uznając Jakuba za pijaka włączającego się po osiedlu.

Częstochowa już wie, że Jakub powraca i otwiera dla niego nowy rozdział w swojej historii. Częstochowa daje mu się poznać. Jakub idzie ścieżkami, o których istnieniu nie ma pojęcia, a które będzie poznawał w kolejnych latach. Jakub nie wie nic o Częstochowie i poza swoim pokojem, piwnicą i ogródkiem nie zna tu żadnych miejsc. Ale w kolejnych latach pozna je i znajdzie swoje ulubione.

Jest styczeń, ale mimo mrozu Jakub idzie dalej. Jest ciemno i prawie nikt w Częstochowie nie wychodzi już na zewnątrz. Chłopak dochodzi do rynku Narutowicza i skręca w lewo. Ma już za sobą połowę swojej podróży. Idzie cały czas przed siebie w kierunku Jasnej Góry. Kiedy mija Wartę i dochodzi do kościoła Świętego Zygmunta, zaczyna czuć strach. Ogarnia go nieopanowana trwoga, bo przestaje być sam. Jakub jeszcze nigdy nie widział tylu ludzi, ilu mija go tutaj. Przypomina sobie książki, które pokazywał mu Tata, i obrazki, i zdjęcia w tych książkach. Tam byli ludzie. Byli mężczyźni i były kobiety. Jakub nigdy wcześniej nie widział kobiety. A przynajmniej nie pamięta, że widział. Bo kobiety przecież tylko mu się śnią. Śni mu się mama i śni mu się siostra. Ale one nie są i nigdy nie były prawdziwe. A te kobiety, które mija, są prawdziwe. I Jakub się nimi brzydzi, tak jak

brzydził się nimi Tata. Jakub idzie Alejami Najświętszej Marii Panny i po raz kolejny czuje, jak bardzo mu zimno. Jest mu tak zimno, że ma ochotę zatrzymać się, ukucnąć i skulić. Ma ochotę przestać iść. Ale ponieważ nie wie, dokąd zmierza i nie potrafi zwrócić się o pomoc, wciąż idzie przed siebie. Zatrzymuje się tylko wtedy, kiedy ktoś krzyknie do niego „Uważaj!”, kiedy będzie chciał przekroczyć aleję Wolności, nie zwracając uwagi na tramwaje i samochody. Jego mózg przestanie już wówczas przyswajać jakiegokolwiek bodźce, a Jakubowi będzie wszystko jedno, kim jest, gdzie się znajduje i co się z nim stanie. Tylko cud i przeznaczenie, jakie napisała już wcześniej dla niego Częstochowa, sprawi, że przeżyje swój marsz. Cud sprawi, że dojdzie do celu swojej wędrówki. W trakcie trwającej godzinę i trzydzieści trzy minuty ucieczki z miejsca, w którym spędził poprzednie dwanaście lat, Jakub minie mnóstwo miejsc, do których mógłby wejść. Przy których mógłby się przynajmniej zatrzymać. Minie sklepy i warsztaty. Minie przedszkole. Będzie blisko komisariatu policji. Przejdzie tuż obok Szpitala Miejskiego i aresztu śledczego. Przejdzie obok wielu kościołów. Przejdzie obok tych miejsc, by w końcu zatrzymać się tam, gdzie było mu to od dawna przeznaczone.

U kresu swej ucieczki będzie już całkowicie bezsilny. Wszystkie widoki, których doświadczał w jej trakcie, zleją się w jedno i staną się niczym. Staną się niczym i wszystkim jednocześnie. Wszystkim, czego Jakub nie będzie potrafił zrozumieć i choćby trochę sobie wytłumaczyć. Na swojej drodze nie spotka nikogo innego, kto chciałby mu pomóc. Nikogo poza jedną osobą, która wyjdzie do

niego i przemówi na końcu jego wędrówki.

ROZDZIAŁ 20

Jerzy

Czwartek, 30 października 2014

Gdy tylko mieli okazję, zawsze wyskakiwali z komendy na domowy obiad do pobliskiego bistra przy ulicy Świętego Jana. Tego dnia również udało im się wygospodarować trochę czasu.

– To nie będzie łatwa rozmowa, więc zamów sobie coś dobrego dla równowagi – powiedział Jerzy do Marczuka, kiedy wchodzili do baru.

– Tutaj to akurat wszystko jest smaczne, więc tym się nie martwię – odparł naczelnik. – A przy okazji ci powiem, że mam ochotę porządnie się nażreć.

– Będzie deserek? – zapytał Jerzy, patrząc na krągłą wypukłość pomiędzy połami kurtki swojego przyjaciela.

– Ależ oczywiście, kochanieńki! – odpowiedział Marczuk, klepiąc się po brzuchu. – Ale zacznę od ogórkowej. Mają tu najlepszą na świecie! A potem wezmę te ich ziemniaczki z masełkiem – dodał i z trudem zatrzymał w ustach ślinę.

– Jak się na ciebie patrzy, to człowiek ma ochotę wziąć przykład i zjeść konia z kopytami – powiedział Walter, podchodząc bliżej do

lady. Popatrzył na surówki za przeszklonym kontuarem i zdecydował, co dobrać do dewolaja, którego zawsze tutaj zamawiał. Siwy ekspedient, który dobrze znał możliwości Marczyka, uśmiechnął się szeroko, słysząc rozmowę policjantów.

Ostatecznie ich stolik ledwo pomieścił zamówione dania. Walter poprzestał na ogórkowej i dewolaju z ziemniakami. Marczuk nie miał za to żadnych hamulców. Do ogórkowej i kotleta mielonego domówił naleśnika hiszpańskiego z szynką i serem oraz naleśnika z serem i śmietaną na deser.

– Po prostu pycha! – powiedział Marczuk, nabijając kolejnego ziemniaka na widelec. – Idealne! Ugotowane tak jak trzeba. I to maselko! W ogóle to ci powiem, że ludzie nie doceniają już ziemniaków. Żrą te kuskusy, kasze jaglane i inne dziwactwa, a zapominają o starym dobrym ziemniaku! – kontynuował już po włożeniu go do ust, więc wszystkie słowa były odtąd nieco mniej wyraźne. – A jak dobrze zrobisz ziemniaczka, to możesz go jeść na wiele sposobów. Zapiekaneczki, purée, talarki albo te z maselkiem i koperkiem jak tutaj, no mówię ci, nie można zapominać o ziemniaku!

– Dobrze, nie zapomnimy o nim. A teraz niestety muszę ci przerwać ten wywód i przejść do rzeczy – powiedział Jerzy.

– No dajesz, jestem gotowy – odparł Marczuk. Zdążył się już oswoić z rewelacjami na temat Stanisława, które trzy dni wcześniej przekazał mu Jerzy. O Julianie nie chciał jednak wtedy już słuchać. Nie miał ochoty na kolejne historie. Teraz jednak był gotowy, by przyjąć nową porcję informacji. Poza tym czuł, że komendant naprawdę chce z siebie wyrzucić to wszystko, że chce się tym

z kimś podzielić.

– Jurek, poczekaj. Zanim zaczniesz, powiedz jeszcze, jak ty się czujesz w ogóle. Jak się trzymasz? Tylko mów prawdę! – poprosił Marczuk.

– Nie jest źle. A powiedziałbym nawet, że jest zaskakująco dobrze. Pewnie, że to wszystko ssie pałę, ale co mam zrobić?! Czuję, że nawet jeśli ja to przemilczę albo zamiotę pod dywan, to i tak to kiedyś wypłynie i jeszcze mnie oskarżą, że kryłem brata.

– Masz rację, ale naprawdę ci współczuję. Beznadziejna sytuacja – przyznał naczelnik wgrzyzając się w mielonego.

Jerzy rozpoczął opowieść o Julianie.

– To było jakoś tydzień po tym, jak dostałem tę anonimową kartkę. Wszystko zbiegło się w tym samym czasie, no kumulacja, mówię ci. Wtedy jeszcze zastanawiałem się nad tym podsłuchem u Staszka. Ogólnie spędzało mi to wszystko sen z powiek, ale wciąż się wahałem, czy w ogóle coś robić. – Jerzy przerwał i upił łyk kompotu. – W liceum Sienkiewicza zorganizowali dla uczniów dzień spotkań z częstochowskimi waźniakami. Może kojarzysz?

– Kojarzę. I oczywiście poszedłeś, waźniaku.

– Zaprosili, to poszedłem. I chyba wzbudziłem największe zainteresowanie. No może tuż po siatkarzu i żuźłowcu.

– Aż dziw bierze!

– W każdym razie był tam też mój brat. Dobrze, że nie ustawili nas na tę samą godzinę, bo mogłoby być różnie. Miałem spotkać się z uczniami tuż po nim. Dzieciaki czekały na sali gimnastycznej. Wiesz, ustawione ławki, scena, mikrofon, pompa, że hej. – Jerzy zatoczył ręką koło nad głową. – Przyszedłem nieco wcześniej. Ktoś

tam mnie powitał i tak sobie drepczę w miejscu i patrzę, a ten cały Julian siedzi przed salą i czeka.

Marczuk skończył właśnie pierwszą część drugiego dania i zabrał się za naleśnika hiszpańskiego, który w tej sytuacji stanowił drugą jego część. A przynajmniej tak rozumiał to Walter, choć wydawało mu się to nieco skomplikowane.

– Niewiele myśląc, podszedłem do niego i mówię: „Cześć, młody człowieku, co sobie tak siedzisz i w ogóle?”. A on nic, milczy, żuje gumę i mlaszcze przy tym, że aż uszy bolą. To mówię do niego trochę żartem, a trochę na serio, żeby zamykał usta, bo mu ta guma zaraz wypadnie i będzie lipa. I mówię mu, że nową to wujek Jurek ma w kieszeni, bo akurat kupiłem tuż przed tym spotkaniem takie o smaku jabłkowym. Wyjąłem te gumy z kieszeni i mu tak macham przed oczami. – Marczuk słuchał Waltera nie rozumiejąc, do czego komendant zmierza. – I wtedy, jak mu tak machałem, to on się nagle uśmiechnął. Widziałem go parę razy i nigdy tego nie robił, zawsze był ponury. Ale wtedy się uśmiechnął. A ja momentalnie zdrętwiałem. Po prostu osłupiałem. I pewnie nie wiesz, dlaczego?

– No nie wiem. Okazało się, że ma złote zęby, czy co? – odezwał się Marczuk.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że znałem matkę Alicji Drylskiej?
– zapytał Jerzy.

– Pamiętam. Bzykałeś ją więc czy nie?

– Bzykałem. To było naprawdę coś poważnego. Ale to nie jest teraz istotne. Słuchaj dalej. Tylko wytrzymaj do końca i nie pomyśl, że zwariowałem.

– O kurwa. Już mi się podoba – odparł Marczuk, cały czas przeżuując naleśnika w panierce.

– Więc jak on się uśmiechnął, to ja zdębiałem, bo przypomniał mi... Jakby Ci to powiedzieć... przed oczami nagle stanęła mi Zuzanna.

– Ta twoja dupa?

– Tak! Zuzanna miała dwójkę dzieci. Alicję i takiego małego Jakuba. Jak mieli ten wypadek, w którym zginęła, to ten mały zaginął. Tak jakby ktoś go normalnie wtarł w asfalt. Kilka lat go szukali, aż w końcu stwierdzili, że wpadł do rzeki i sobie odpłynął. Ty pewnie tego nie pamiętasz, ale ja wtedy szperałem trochę na własną rękę.

– Który to był rok? – zapytał Marczuk.

– Wypadek w osiemdziesiątym dziewiątym. Śledztwo trwało chyba ze trzy lata. I nic. Mnie też nic się nie udało ustalić. Ale wracając do Juliana. On się uśmiechnął i zrobił dokładnie taką minę jak Zuzanna. A uwierz mi, że doskonale ją pamiętam. Ona śmiała się tak jakby bardziej lewą stroną niż prawą. – Jerzy podniósł rękę, gdy Marczuk chciał wejść mu w słowo. – Słuchaj dalej! Lewa strona podnosiła się jej nieco bardziej do góry. To było pewnie dostrzegalne tylko dla takiego zakochanego kundla jak ja, ale było. I dobrze to pamiętam. Dodatkowo coś dziwnego działo się z jej oczami. Świeciły tak jakoś wyjątkowo. I wyobraź sobie, że teraz ten chłopak siedzi pod tą salą, uśmiecha się, a ja widzę to samo! On się śmieje, a ja widzę Zuzannę!

– Stary, chyba źle z tobą – powiedział Marczuk, przechodząc do deseru.

– Powiem ci, że przez moment też tak pomyślałem – odparł Jerzy. – Ale potem coś mnie tknęło. Tak jakbym poczuł, że to nie może być przypadek. Z jednej strony miałem wrażenie, że robię z siebie debila, ale z drugiej nos podpowiadał mi, że muszę to sprawdzić. Mówię więc do niego, żeby się częstował tą moją gumą. Że pewnie ta jego to już straciła smak. Patrę, że on oczywiście chce to zrobić, tylko nie wie, gdzie wyrzucić starą. To ja wyjmuję chusteczkę i mówię mu, żeby kładł ją tutaj, to ja ją zaraz wyrzucę. Zrobił to i dałem mu nową gumę. Tyle że starej wcale nie wywaliłem do kosza.

Marczuk spuchł już zupełnie, więc poluzował pasek w spodniach. Chyba przecenił swoje możliwości, bo deseru wcale nie ubywało. Włożył jednak kolejny kawałek do ust.

– Wziąłem tę gumę i... tylko się nie udław... dałem ją chłopakom, żeby sprawdzili DNA i porównali je z DNA z kosmyka włosów Zuzy.

– Nie no, kompletnie cię pojebało.

– Być może tak, być może nie. Dowiem się, jak przyjdą wyniki.

Marczuk przestał na chwilę konsumować naleśnika z serem i zawiesił wzrok na Jerzym. Potem wytarł serwetką usta z resztek bitej śmietany i wybąkał:

– Ale że co? Że to jej syn? Że to ten mały Drylski? Brat tej prawniczki?!

– Nie wiem. Zobaczymy. W każdym razie to podejrzenie było dla mnie niejako dodatkowym impulsem do założenia podsłuchu u Staszka – powiedział, ścisząc nieco głos.

Rozejrzeli się dookoła. W barze było coraz więcej ludzi. Kolejka

do kasy ciągnęła się niemal do schodów wejściowych, a w całym lokalu pozostał tylko jeden wolny stolik. Jerzy pomyślał, że dobrze, że Marczuk zamówił cztery dania, bo mogli jeszcze spokojnie siedzieć. Nie miał ochoty opowiadać mu reszty historii, wracając w deszczu do komendy.

– I kiedy poszedłem podrzucić mu tę pluskwę – kontynuował Jerzy – to oczywiście spotkałem w kurii Juliana. Coś mnie podkusiło i gdy go mijalem, na odchodne, rzuciłem od niechcienia: „Trzymaj się, Jakub!”, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Wiesz, szansa jedna na milion, że będzie pamiętał, jak kiedyś miał na imię. Jeśli w ogóle był tym, kim ja myślałem, że jest.

– I co zrobił, jak go tak nazwałeś? – spytał Marczuk.

– Wyobraź sobie, że drugi raz w ciągu tamtego tygodnia Julian mnie zaskoczył, byłem w lekkim szoku! Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby nie wiedział, co się dzieje. Ale to nie było takie spojrzenie mówiące, że chyba mi się coś pomyliło. On przecież zresztą nigdy nie patrzy w oczy. Cały czas wzrok ma wbity w podłogę. A wtedy zareagował natychmiast! Jak pies, gdy go wołasz po imieniu, albo mówisz, że idziemy na spacer.

– Ja pierdolę, straciłem apetyt – powiedział Marczuk, odsuwając talerz od siebie. – Może dojesz? – dodał, wskazując na resztki naleśnika.

– Nie, dzięki. Dobrze się czujesz?

– Tak, świetnie – odparł Marczuk, chociaż było widać, że po tym, co zjadł, ledwo się rusza.

– Popatrzyłem na niego uważnie i jeszcze raz nazwałem go Jakubem. Miałem wrażenie, że zrobił się na chwilę inny. Jakbym

przeformatował mu system. To trwało moment, zanim wrócił do siebie i poprawił mnie, mówiąc, że ma na imię Julian. Ale mnie to wystarczyło.

Marczuk wsunął krzesło i nachylił się, tak żeby Jerzy słyszał jego szept. Widać było, że musi to zrobić, mimo że jego żołądek był nieco innego zdania. Mimo dyskomfortu naczelnik musiał upewnić się, czy dobrze rozumie.

– Czyli twój brat ma sługusa, który jest bratem prawniczki, którą prawdopodobnie jakoś skrzywdził, a oboje są dziećmi twojej miłości sprzed lat, która zginęła w wypadku?! – wyszeptał i od razu się wyprostował. Jerzy miał wrażenie, że zaraz wymownie popuka się w czoło.

– Wiele na to wskazuje. Jak wiesz, jeszcze nie na wszystko mamy dowody, ale coś mi mówi, że tak może być.

– Ja pierdolę! To jest bardziej zakręcone niż kaloryfer na lato! Myślisz, że Stanisław wie, kim naprawdę może być ten chłopak?

– Myślę, że nie ma pojęcia. Był przy tym, jak nazwałem tego chłopaka Jakubem. Nie zauważyłem żadnej szczególnej reakcji. Raczej pomyślał, że pomyliłem imię. Nie mogę mieć pewności w świetle tego, czego się ostatnio dowiaduję o Staszku, ale w tym wypadku chyba się nie mylę.

Zamilkli na moment, po czym Marczuk się odezwał:

– Ale jak to możliwe, że nikt nie wie, co się wtedy stało z tym chłopakiem? Skąd on się w ogóle wziął u twojego brata?

– Nie mam pojęcia. Ale jego reakcja na imię Jakub jest zastanawiająca, sam musisz przyznać. Jeszcze coś mi chodzi po głowie. Pamiętasz takie dziwne odkrycie sprzed kilkunastu lat na

Dąbiu? Znaleźli trupa w piwnicy i...

– I jakieś ukryte pomieszczenie i zabawki. A gość już się niemal cały rozłożył, bo sobie trochę w zamknięciu poleżał? Pamiętam! – dokończył Marczuk za Waltera.

– No właśnie. Myślisz o tym samym, co ja?

– No myślę. Nie no, kurwa! Przecież nawet w amerykańskich filmach nie ma takich pojebanych wątków! – powiedział nieco za głośno Marczuk, po czym przysunął się do Jerzego i zaczął powątpiewać. – Stary, to niemożliwe, takie rzeczy się nie zdarzają, nie tu, nie w Częstochowie. To musiałyby być jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności. I co? Twój brat tak po prostu go sobie przygarnął?

– Na to wygląda. Powiem ci więcej, Marek. A jeśli to nie przypadek? Nie wiem, jak się to wszystko połączyło i jak do tego doszło, ale to się składa w sensowną całość.

Marczuk skrzyżował ręce na wysokości klatki piersiowej. Było widać, że intensywnie myśli. Jerzy dopił kompot.

– Jeśli masz rację, to Julian musi być nieźle skrzywiony – powiedział naczelnik.

– Musi? Pewnie jest! I to mnie martwi. Bo jeśli połączymy to z tym, co robi Staszek, to mamy już dwóch do pary.

– I dlatego boisz się o prawniczkę... – wybąkał pod nosem Marczuk.

– Właśnie.

– Powiem ci, że do tej pory to było już wystarczająco popierdolone, ale teraz jest popierdolone do szczęścianu!

Zebrali się i wyszli, ustępując miejsca czekającym na wolny

stolik.

Deszcz padał tego dnia nieco lżej, ale wciąż bez jakiegokolwiek przerwy.

Do komendy wracali wolnym krokiem. Marczuk nie był w stanie iść zbyt szybko. W drodze Jerzy położył rękę na ramieniu przyjaciela i powiedział:

– Marek, wybacz, że pytam, ale po prostu muszę. Ostatnio zbyt wiele rzeczy mnie zaskakuje.

– Wal śmiało – odparł Marczuk.

– Pomożesz mi w tym wszystkim, prawda? Wiem, że to pojebane. Ale muszę komuś zaufać.

Marczuk zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Waltera.

– Jurek, nawet mi tu nie pierdol! Jesteśmy w tym razem i rozegramy to tak, jak będziesz chciał!

– Dzięki, stary – powiedział komendant, uśmiechając się przy tym nieznacznie.

Ruszyli dalej, a Jerzy pomyślał, że wierzy przyjacielowi i teraz będzie mu o wiele łatwiej zrobić to wszystko, co musiał. A wiedział, że czekały go decyzje i działania, jakich nie podejmował nigdy wcześniej. Jakich nie mógł przewidzieć. I wiedział, że nikt nie chciałby znaleźć się na jego miejscu.

Wszystko, co miało się wydarzyć, zależało już teraz tylko od tego, co i kiedy powie Stanisław przez telefon. Mimo że Jerzy czuł się z tym ogromnie nieswojo, to miał nadzieję, że brat zdradzi całą prawdę w którejś z rozmów. Nie miał jednak odwagi odebrać telefonu, kiedy Stanisław dzwonił do niego.

Stanęli przed drzwiami do komendy i zanim weszli, Marczuk

powiedział:

– Jurek, wybacz, ale ja też muszę cię jeszcze o to zapytać...
Naprawdę trzymasz w domu włosy tej Zuzanny?!

Jerzy spojrział na przyjaciela i obaj po chwili wybuchnęli śmiechem.

– Dała mi kiedyś mały kosmyk w prezencie. Część włosów obcięła, kilka wyrwała. Zawiązała na nim supełek i włożyła w folię. Do niedawna trzymałem go w jednej z książek – odpowiedział.

Uśmiechał się aż do momentu, kiedy został sam w swoim gabinecie. Podeszedł do biurka, oparł się o nie obiema rękami i opuścił głowę. Poczuł, że odkąd otrzymał pierwszą anonimową wiadomość, jest bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej. Że tak samotny nie czuł się nawet wtedy, kiedy rozstawał się z Zuzanną. Wtedy miał przynajmniej brata. Teraz nie miał już pewności, że w ogóle chciałby go mieć.

ROZDZIAŁ 21

Alicja

Poniedziałek, 3 listopada 2014

Alicja przetrwała kolejne dni. Przeżywała najróżniejsze stany. Były chwile, w których zdawało jej się, że stoi sama na ogromnym, pustym polu. Otaczała ją nicość. Niezależnie od tego, w którą stronę spoglądała, była sama. W promieniu wielu kilometrów nie było nikogo. Nawet jeśli chciałaby krzyknąć, nawet jeśli w ogóle byłaby w stanie wydobyć z siebie głos, nikt i tak by go nie usłyszał. Tylko ona i próżnia. Kompletna pustka, która wciąga, pochłania i szepcze. Cały czas szepcze do ucha zdania, o których Alicja chciałaby zapomnieć. Przywołuje wspomnienia, które chciałaby wyrzucić.

Jednocześnie Alicji wydawało się, że wszyscy dokładnie wiedzą, co się jej przytrafiło. Że gdyby spytać przypadkowych przechodniów na ulicy, każdy bezbłędnie powiedziałby, co się stało tamtego wieczoru. Sonda nie miałaby większego sensu, bo wszyscy ankietowani odpowiedzieliby tak samo. Bo każdy wiedział. Wystarczyło przecież na nią spojrzeć i już miało się jasność. Zgwałcona. Splugawiona. Wykorzystana. Miała to przecież

wypisane na twarzy. Każdy wiedział. Nie mogła tego ukryć.

Alicja trwała. Egzystowała i starała się ze wszystkich sił funkcjonować normalnie. Większa część dnia upływała jej na jedzeniu, spaniu, wymiotowaniu i płaczu. W dowolnej kolejności. Nie miało znaczenia, co było pierwsze, a co ostatnie. Nic nie było pierwsze i nic nie było ostatnie. Kiedy zalewała ją fala czerni, zdawało się jej, że nic nie będzie już w jej życiu pierwsze. Nic nie zdarzy się już po raz pierwszy. Nic nie nastąpi. Nigdy. Wszystko się skończyło.

Potem, kiedy czerń ustępowała, Alicja przypominała sobie, że ma przyszłość, że jest wiele rzeczy, które jeszcze w życiu zrobi. Że wiele czynności może jeszcze powtórzyć, że żadna z nich nie była jej ostatnią. Alicja przypominała sobie, że przecież nie jest pusta w środku, bo ma w sobie życie, choć o tym akurat nikt jeszcze nie wie. Właśnie to chciała wykrzyknąć całemu światu. Właśnie to, że wcale nie jest obrzydliwa. Nie jest parszywa. Jest za to piękna. Jest silna i ma cel. Chciała, żeby wszyscy dookoła wiedzieli, że żyje i da życie. Ale było jeszcze za wcześnie, żeby to ogłosić. Jeszcze trochę za wcześnie. Mimo to próbowała, robiła wszystko, by pozbyć się czarnej zasłony spowijającej jej świat.

Przede wszystkim zdecydowała, że pójdzie do lekarza. Chciała być pewna, chciała potwierdzić, że nic jej nie jest i że nic nie stanie się dziecku. Bała się, że robi to zbyt szybko, ale i tak umówiła się na prywatną wizytę do lekarza, którego nie знаła. Stwierdziła, że tak będzie najlepiej. Najbezpieczniej. I jeśli coś pójdzie nie tak, to nie będzie zbędnych pytań.

Zanim wyszła z domu, spędziła kilkanaście minut w łazience

oglądając dokładnie swoje ciało. Gdyby znalazła choćby jednego siniaka na biodrach, udach czy pośladkach, odwołałaby wizytę. Sprawdzała, czy nie ma żadnych śladów na szyi, karku i twarzy. Długo patrzyła w lustro. Patrzyła w nie wytrwale i nie odwracała wzroku. Uczyła się siebie na nowo. Niby była taka sama jak wcześniej, wiedziała jednak, że od kilku dni zrobiona jest z innego materiału. Jej twarz wyglądała tak samo. Jeśli tylko chciała, mogła zrobić tak, by jej oczy nie zdradzały niczego szczególnego. Ćwiczyła uśmiech przed lustrem i umiała uśmiechać się tak samo jak wcześniej. I co z tego, że od kilku dni zrobiona była z porcelany! Co z tego, że jedno niewłaściwe słowo, jedno wspomnienie, jeden gest mogły sprawić, że rozleci się na kawałki! To wydawało się bez znaczenia. Wyglądała przecież tak samo. Mimo że wszyscy wiedzą, co ją spotkało, nikt nie zauważy żadnych śladów. Nikt nie będzie wiedział, że to, co się stało, wywarło na niej jakiegokolwiek wrażenie.

Poszła do lekarza, zastanawiając się, czy powie jej to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć.

– Trochę się pani pośpieszyła z tym przyjściem na USG, ale mam dobre wieści. Faktycznie, wszystko wskazuje na to, że jest pani w ciąży. Gratuluję – poinformował ją ginekolog.

Odetchnęła w z ulgą, kiedy potwierdził to, co czuła, to, o czym wiedziała. Ucieszyła się. Najbardziej ucieszyła się, że niczego nie zauważył. Pomyślała, że być może wcale nie jest tak, że wszyscy już wiedzą.

W tych dniach Alicja wykonała trzy ważne kroki i to był pierwszy z nich. Kiedy opuszczała gabinet, poczuła, że jest w niej

jakaś siła, która każe jej działać dalej. Taka siła, którą miała w sobie zawsze, a o której na kilkaset godzin zapomniała. Taka, która pozwoliła jej jakoś normalnie funkcjonować. Ale ta siła dopiero nieśmiało się odradzała. Jakby nie była pewna, czy naprawdę może o sobie przypominać. Czy nie obrazi Alicji tym, że się do niej odzywa. Ale to było kilka dni temu. W sobotę Alicja poszła na grób rodziców i babci. Ten dzień dał jej ukrytej sile kolejne argumenty do tego, by nie bać się mówić o sobie.

Jeśli któremuś z częstochowian wydawało się, że wraz z nadejściem listopada zmieni się aura, która panowała w mieście, przeżył z pewnością srogi zawód. W Dniu Wszystkich Świętych nie tylko nie przestało padać, ale ulewa przybrała na sile. A na domiar złego dołączył do niej porywisty wiatr. Tak jakby wszyscy zmarli umówili się, że nie życzą sobie, by znicze w tym roku paliły się na ich grobach. Alicja stała przy nagrobku i przyglądała się ludziom naokoło. Myślała, że jeśli jedynym celem ich wizyty ma być zapalenie znicza, to jest to niezwykle błahy powód, by tu przyjść. I że bardzo współczuje tym wszystkim mężom, ojcom i synom, którzy uparcie starają się podpalić knot, próbując nie wyjść na nieudaczników. Patrzyła na frustrację wszystkich dookoła i wiedziała, że każda z tych osób wolałaby być teraz w Galerii Jurajskiej. Gdyby cały ten tłum mógł się gdzieś przenieść, z pewnością przeniósłby się właśnie tam. I bezspornie większość z tych ludzi byłaby szczęśliwsza. Co z tego, że ścisk byłby taki sam jak na cmentarzach, przynajmniej woda nie lałaby się na głowę.

Alicji jednak aura nie przeszkadzała. Nie martwiła się tym, że wszystkie znicze, które zapaliła, dawno już zgasły. Stała

nieruchomo, kryjąc się pod parasolem. Stała i była z nimi. Rozmawiała z mamą, tatą i babcią. Z wszystkimi razem i z każdym z osobna. Powoli godziła się z tym, że oni wszystko dobrze już wiedzą. Przecież musieli o tym wiedzieć, zanim w ogóle się to wydarzyło. Alicja nie miała jednak żadnych pretensji do swoich bliskich. Nie miała żalu, że jej nie ostrzegli, że nie powstrzymali jej przed wejściem do katedry. Przecież wystarczyłby jeden mały sygnał. Jeden znak. Mogłaby to być przebita opona w samochodzie. Albo studzienki kanalizacyjne, przecież mogłyby nie wytrzymać naporu takich ilości wody i odciąć jej dojazd do katedry. Albo chociaż przedłużające się spotkanie w kancelarii. Cokolwiek. Przecież to mogłoby być cokolwiek, jeszcze niedawno tak myślała. Ale teraz była blisko swojej rodziny i czuła, jak pustka w środku niej wypełnia się na nowo. Patrzyła na litery wyryte na granitowej głowicy nagrobka i czuła, że tak właśnie musiało być. Że być może w jej życiu nie ma prostych dróg. Nie ma prostych rozwiązań. Że musi doświadczyć wszystkiego. Jakkolwiek dobre i jakkolwiek złe by to nie było.

Stała i była z siebie dumna; z tego, że udało jej się zrobić drugi ważny krok w ostatnich dniach. Wyszła z domu. Udało jej się tutaj dotrzeć. Nie modliła się. Nie lamentowała. Jeśli płakała, to robiła to niedostrzegalnie, tak żeby nikt nie widział. Alicja nie szukała pomocy u nikogo. Nie szukała jej u swoich bliskich. Przyszła tu po to, by spróbować na nowo odnaleźć w sobie siłę. By dać tej sile prawo głosu. I na tyle ją w sobie ośmieliła, że ta siła kazała jej zrobić trzeci krok.

Kiedy opuściła cmentarz i przeszła przez ulicę Świętego Rocha,

tłok się nieco rozluźnił. Miała jeszcze spory kawałek do miejsca, w którym stała Kawunia, ale mogła już iść spokojniej. Nie musiała się martwić, że któryś z drutów jej parasolki wyląduje w oku jednego z przechodniów. Wyjęła telefon i zadzwoniła do swojej przyjaciółki. Ewa odebrała i Alicja zaczęła przypuszczać, że również jest w okolicy cmentarza.

– Zaparkuj tutaj! – krzyknęła Ewa, zgłaszając się.

– To chyba nie do mnie? – odparła Alicja, wiedząc już dobrze, o co chodzi.

– Sorry, Ala, to do Mariusza. Jesteśmy pod cmentarzem i matoł jak zwykle nie widzi wolnych miejsc.

– Który cmentarz?

– Kule.

– Ja właśnie wychodzę z cmentarza na Rocha i mam to wszystko z głowy.

– Szczęściara!

– Ewunia, to ja szybko przejdę do rzeczy. Idziemy na obiad i pogaduchy! Co ty na to? – zapytała Alicja, rozpoczynając właśnie stawianie swojego trzeciego kroku.

– Oj, z nieba mi spadłaś! Nawet nie wiesz, jak mi tego potrzeba – odparła entuzjastycznie. W tle słychać było głosy męża i dzieci. Wciąż szukali wolnego miejsca parkingowego w okolicy cmentarza. – Tylko dzisiaj nie mogę. Jutro, kochana! Dobrze?

– Jak najbardziej!

– Zajebicie! – wykrzyknęła Ewa, a Alicja zastanowiła się, co sądzą dzieci, kiedy słyszą mamę mówiącą w ten sposób.

– Ok, to jutro, trzynasta, Topollino. Zarezerwuję stolik.

– Genialnie!

Rozłączyły się, a Alicja wybrała kolejny numer.

– Cześć, maleńka! – Agüero zgłosił się w swoim stylu.

– Po tonie wnioskuję, że nie jesteś na cmentarzu? – zapytała.

– No co ty, u mnie wszyscy zdrowi... a tak na serio, to dziś się tam nie zapędzam. Za dużo ludzi.

– Nie ma to jak przywiązanie do tradycji.

– Oj tam, oj tam. Teraz to bardziej komercja niż tradycja.

– Kiedy się widzimy? – zmieniła temat. – Chyba już najwyższy czas trochę pogadać.

– Pragnę tego, tęsknię za twoją piękną buźką i tymi ciupeńkami piegami, ale musisz mi dać jeszcze kilka dni. Jestem zawałony robotą. Kończę projekt. Odezwę się. Obiecuję.

– Ten projekt to jakiś nowy chłopak?

– Nie tym razem. Mam małą przerwę, zresztą opowiem ci wszystko.

– Ale orientacji nie zmieniłeś? Czy jednak mam zacząć się obawiać?

– Nie no luz, jakby mi kiedyś odbiło i przerzuciłbym się na wasze damskie krągłości, dowiedziałabyś się jako pierwsza.

– No to mi ulżyło!

– Ok, kochana, muszę kończyć, tylko dla ciebie mogłem oderwać się od linijek kodu.

– Zabrzmiało co najmniej dziwnie, ale spoko. Czekam na telefon.

– Jasna sprawa!

Wsiadła do Kawuni. Poczwała, że rzeczywiście coś się powoli

zaczyna zmieniać. Naprawdę chciała się z kimś zobaczyć. Chciała wyjść i spędzić z kimś czas. To nastąpiło tak szybko. Pomyślała, że może zbyt szybko i nagle znowu się przestraszyła. Nagle przypomniała sobie tamte obrazy. Z całej siły zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Potem napięła wszystkie mięśnie, żeby czern, która przyszła tak niespodziewanie, równie szybko odeszła. Trwała w tym stanie dłuższą chwilę, z trudem się rozluźniła. Wypuściła powietrze. Dyszała ciężko. Każdy jej oddech był głośniejszy, jakby właśnie sprintem przebiegła kilkaset metrów. Z trudem łapała powietrze, charczała, jej oddech zmienił się w przeciągłe rżenie. Alicja skumulowała jeszcze raz wszystkie siły i wszystkie próby złapania oddechu zamieniła w przeciągły krzyk. Wrzeszczała, wkładając w to całą swą moc i nie zważając na to, czy ktoś to słyszy. Rękami tłukła w kierownicę, nie czując bólu. Miał pojawić się dopiero wieczorem. Ale w tym momencie nie czuła nic. Chciała tylko krzyczeć i uderzać. Tłuc pięściami i wrzeszczeć. Taki stan nie zdarzył się jej od poniedziałku. Jeszcze nigdy nie broniła się przed czernią w ten sposób. Ale teraz tego chciała. Chciała doświadczać właśnie takiej furii. Po dwóch ważnych krokach, a przed trzecim, jeszcze ważniejszym. Czuła, że tak musi być, a ona musi walczyć. Krzyczała jeszcze kilkanaście sekund, aż opadła z sił. Spojrzała na swoje przedramię i zobaczyła, że napięła mięśnie tak mocno, iż widać było płataninę purpurowych żył. Mimowolnie zerknęła w lusterko wsteczne i zobaczyła na swojej twarzy złość, jakiej dotąd nie знаła. Nie wiedząc jeszcze, dlaczego to robi, wzięła telefon i napisała do Henrika, że wszystko będzie dobrze. Po prostu, że wszystko będzie dobrze. Napisała, nie wiedząc, że zmartwi go

tymi słowami jeszcze bardziej i uruchomi ciąg zdarzeń, które skomplikują wszystkie sprawy. Ale napisała do niego, jeszcze przez moment ciężko dysząc. Napisała, przeganiając ciemność. Powoli znowu zaczynała widzieć.

Kiedy się uspokoiła, odczekała jeszcze kilka minut, zanim odpaliła silnik i pojechała do domu. Tego dnia mrok ogarnął ją jeszcze raz. Ale niczego to nie zmieniło. Wciąż była gotowa do podjęcia trzeciego kroku. Chciała zobaczyć się z Ewą i czekała na to spotkanie. Znały się od podstawówki. Dokładnie od trzeciej klasy, kiedy rodzice Ewy przeprowadzili się, a ona zmieniła szkołę na tę z numerem trzydzieści dziewięć. Przyjaciółka zawsze jej przypominała elfa i Alicja, mimo że sama nie narzekała na brak powodzenia u mężczyzn, od lat zazdrościła Ewie tej oryginalnej urody. Miała twarz w kształcie serca, drobny zadarty nosek i wielkie szare kocie oczy, które zawsze podkreślała czarną kredką.

Ewa bardzo chciała mieć dzieci i szybko znalazła partnera, który był równie zdecydowany jak ona. Mariusza poznała, kiedy Alicja jeszcze była na studiach i po niecałych dwóch latach na świat przyszła ich córka Irenka. Syn niedawno skończył trzy lata. Mariusz miał własną firmę budowlaną i właściwie sam wybudował dom w przytulnym otoczeniu szeregowej zabudowy na Wrzosowiaku. Ewa pracowała w biurze rachunkowym. Jej życie było całkowicie odmienne od życia Alicji. Dlatego zawsze lubiła słuchać historii opowiadanych przez przyjaciółkę. W ostatnich dniach potrzebowała ich o wiele bardziej niż zwykle.

Spędzili razem prawie cztery godziny. Alicja głównie słuchała. Ale to był dla niej prawdziwy cel tego spotkania. Posłuchać kogoś

innego. Posłuchać czyichś historii. Przenieść się do świata przyjaciółki. Alicja pytała o Irenkę, o małego Maksa. O to, kiedy Ewa znajduje dla siebie czas. Przyjaciółki nie zastanowiło nagłe zainteresowanie Alicji dziećmi, lubiła o nich opowiadać, było to dla niej naturalne. Nie połączyła go z faktem, że Alicja bez mrugnięcia okiem zjadła bruschettę z pomidorami, capricciosę i zakończyła czekoladowym fondantem. W połowie głównego dania Alicja poczuła mdłości i na dziesięć minut zniknęła w toalecie, ale i to uszło uwadze Ewy. Alicja nie zdradziła żadnego ze swoich sekretów. Czuła, że jeszcze nie nadszedł na to czas. Przez całe cztery godziny czuć było, że obie potrzebowały tego spotkania. Ale obie z zupełnie innych powodów.

Alicja miała dobry weekend. Najlepszy, jaki mogła mieć w obecnej sytuacji. W krótkim czasie zrobiła więcej, niż mogła przypuszczać. Każdy z kroków, które podjęła w ciągu ostatnich kilku dni, pozwolił jej poczuć się mniej kruchą. Uznała, że jeszcze nie chce wracać do pracy. Jej obowiązki w kancelarii mogły poczekać. Szef i tak z pewnością znalazł już kogoś, kto z przyjemnością przejął prowadzone przez nią sprawy. Każdy z jej życzliwych kolegów tylko czekał, by udowodnić, że można nimi zarządzać lepiej i szybciej niż Xena.

W poniedziałek rano przysłała zwolnienie na kolejny tydzień. Już ostatni. Jednak chwilę później wszystko, na co tak ciężko pracowała przez weekend, rozsypało się jak domek z kart. Kiedy weszła do łazienki i dostrzegła na bieliźnie czerwone plamy momentalnie znowu stała się krucha. Wpadła w panikę. Dyszała ciężko, jej oddech był krótki, urywany, taki sam, jak ten, który kilka

dni wcześniej w samochodzie poprzedził głośny krzyk. Tym razem również zaczęła wyc. Wrzask przerodził się w płacz. Przerazenie zamieniło się w ból. Fizyczny ból, który Alicja czuła w podbrzuszu. Ból, którego w istocie nie było. Ona jednak była pewna, że jest i że właśnie w tym momencie traci swoje największe szczęście. Te małe czerwone plamy sprawiły, że wojownicza, rozsądna Xena znalazła się w samym środku chaosu. Czerń znów przesłoniła jej wzrok, zapanowała nad myślami.

Alicja chwyciła telefon i zadzwoniła na policję. Nie miała pełnej kontroli nad tym, co robi, ale pomyślała, że musi ukarać Stanisława Waltera. Poczwała, że właśnie teraz biskup musi ponieść karę za to, co jej zrobił.

– Komenda miejska policji w Częstochowie – wybąkał znudzonym głosem operator.

Wtedy Alicji stanął przed oczami Jerzy Walter. Mogłaby przysiąc, że to właśnie on odebrał ten telefon. Czuła, że brakuje jej powietrza, że nie ma go w sobie nawet tyle, by wydobyć z siebie choćby jedno słowo.

– Halo! – operator zaczął się irytować, ale Alicja milczała. Przez chwilę panowała cisza, ale w głowie prawniczki rozległ się głośny chichot. Bracia Walterowie stali nad nią i zaśmiewali się do łez. Poczwała, że częstochowska policja jest ostatnim miejscem, w którym może szukać pomocy, że instytucja, którą rządzi brat jej oprawcy nie kiwnie przecież palcem w jej sprawie.

Rozłączyła się ułamek sekundy przed kolejnym atakiem furii. Jej wrzask odbił się echem od ścian i powrócił ze zdwojoną siłą. W zamęcie pomyślała, że tak naprawdę wszystkie trzy wcześniejsze

kroki miały tylko jeden cel. Była wręcz pewna, że wszystkie prowadziły do czwartego kroku. Kroku, o którym Alicja myślała od kilku minut coraz śmielej. Kroku, który miała podjąć i który miał wszystko rozwiązać. Zbierała w sobie siły właśnie po to, by go dokonać. Czuła, że ten czas nadchodzi. Wiedziała, że już wkrótce będzie zdolna do prawdziwego działania. Czwarty krok sprawi, że każdy dostanie to, co mu się należy. To, na co zasłużył.

Potrzebowała jeszcze tylko trochę czasu. Nic więcej. Całą resztę układała już w głowie, pozwalając gęstej czerni przejąć nad sobą kontrolę.

ROZDZIAŁ 22

Henrik

Wtorek, 4 listopada 2014

Henrik uwielbiał swój zawód. Nie wyobrażał sobie, by mógł robić coś innego. Wątpił, czy umiałby się dostosować do pracy w stałych godzinach. Wiedział, że nie sprostałby poleceniom przełożonych i że prędzej czy później rzuciłby każdą normalną robotę. Uwielbiał organizować sobie dzień pracy tak, jak było mu wygodnie. Spędzał czas ze swoimi postaciami dokładnie wtedy, kiedy czuł taką potrzebę i chęć. Nikt poza nim samym niczego mu nie narzucał.

Henrik wiązał się ze swoimi bohaterami i uwielbiał kreować nowych. Dlatego jeszcze kilkanaście dni wcześniej bardzo cieszył się na myśl o pracy nad scenariuszem dziesięcioodcinkowego serialu wspólnie z norweskim pisarzem Knutem Strandem. Jednak w ostatnim tygodniu wszystko się zmieniło.

Od niedzieli przebywał w Oslo. Praca nad scenariuszem nie szła jednak tak, jak powinna. Było to co prawda ich pierwsze spotkanie w tym projekcie i miało odbyć się jeszcze kolejne, ale sam start nie był zbyt udany. Henrik wiedział, że to głównie z jego winy.

Historia, którą mieli napisać, rozgrywała się w sierpniu na

dalekiej północy Norwegii, w Alpach Lyngeskich. Był to jedyny w miarę ciepły okres w tamtym rejonie. Na tyle ciepły, że zorganizowano tam wyścig kolarski, podczas którego nieznóważony psychicznie fanatyk miał dokonać ataku terrorystycznego. Zaplanowano, że w serialu spokojna i cicha okolica stanie się świadkiem wydarzeń, które ten spokój całkowicie zniszczą.

Dla lepszego komfortu pracy Knut zamienił poddasze swojego apartamentu w wielką pracownię. Jedną ze skośnych ścian zajmowały ogromne okna dachowe, sięgające od podłogi do samego sklepienia. Wpadało przez nie mnóstwo światła. A przynajmniej tyle, ile mogło wpaść w dniach, w których zachmurzenie było duże, a liczba godzin słonecznych zwykle nie przekraczała dwóch. Pośrodku pracowni stał duży, owalny stół. W nieładzie leżały na nim notatki, zdjęcia wydrukowane w różnych formatach i kilkanaście książek, w których zaznaczone były najbardziej istotne dla scenariusza fragmenty. Ten stół był kopalnią wiedzy dla autorów i to głównie ze znajdujących się tam treści czerpali potrzebne im informacje. W pokoju znajdował się też sześćdziesięciocalowy telewizor, zawieszony na mobilnym stojaku. Wyświetlali na nim filmy i analizowali mapy.

Mimo pozornego zaangażowania w pracę, Henrik przez cały czas myślami był zupełnie gdzie indziej. Niepokoił się coraz bardziej. Wszystko będzie dobrze – tak brzmiała wiadomość, która od dwudziestu czterech godzin nie dawała mu spokoju. Co będzie dobrze? A czy teraz jest źle? Przecież nie jest. Nigdy nie było. A jeśli nawet jest, to co takiego się stało?! Właśnie to pytanie

dreńczyło go już zbyt długo. Co się stało?

Denerwowała go myśl, że jest teraz jeszcze dalej od Alicji. Temperatura w stolicy Norwegii spadła poniżej zera już na początku listopada i Henrik prawie nie opuszczał zamkniętych pomieszczeń. Do dużej walizki spakował rzeczy, które miały mu służyć przez co najmniej dwa tygodnie. Pierwsze siedem dni miał spędzić w Oslo, a następne w Częstochowie. Nie zabrał ze sobą jednak nic ciepłego, co mogłoby mu się przydać w taką pogodę. Przygotował się raczej na częstochowski deszcz niż na norweski mróz. Dlatego też tę wizytę w Oslo miał zapamiętać jedynie z trzech miejsc: swojego pokoju hotelowego, apartamentu Knuta i wnętrza taksówki, która wozila go w tę i z powrotem.

Henrik bardzo się starał, ale czuł, że jego umysł jest całkowicie rozregulowany. Jego myśli kierowały się głównie ku Częstochowie i nie umiał skupić się na misternie tkanej fabule. Nie ukrywał jednak, co jest tego powodem, a Knut był bardzo wyrozumiały. Mimo wszystko nie pracowali przecież na czas. Liczył się efekt i jeśli miał być dobry, obaj musieli być w pełni skoncentrowani.

Dlatego też zdecydował się skrócić swój pobyt w Norwegii i polecieć do Polski wcześniej. Otworzył laptopa i sprawdził połączenia lotnicze. Byle do soboty – pomyślał, kupując bilet na lot do Katowic. Nie miał zamiaru dzielić się tą informacją z Alicją. Na pewno jeszcze nie teraz. Być może powie jej o tym dopiero, gdy dojedzie do Częstochowy.

W plątaninie informacji, jaką w ostatnich dniach przekazywała mu Alicja, właściwie nic się nie zgadzało. Nic się tam nie trzymało kupy. Henrik rozumiał, że źle się czuła i zrobiła sobie tydzień

wolnego. To mogło być przecież zupełnie naturalne. A nawet wskazane. Tylko że jeśli dopadło ją przeziębienie czy nawet grypa, to czemu spędzała aktywny weekend, wychodząc na cmentarz i spotykając się z przyjaciółką? I dlaczego następnie znowu nie poszła do pracy przez kolejne dni? Pewnie nawet nie zwróciłby uwagi na te drobne nieścisłości, gdyby nie dziwne zachowania Alicji, których nie mógł zrozumieć od ponad tygodnia. Zdecydowanie nie była w formie i Henrik nie miał pewności, czy wynika to jedynie z przeziębienia. Styl, w jakim prowadziła rozmowy, ton jej głosu, a przede wszystkim ta jedynie pozorna obecność i pozorne zainteresowanie tym, co robi Henrik, wskazywały na coś więcej. Mogło się wydawać, że ich rozmowy są normalne, takie jak przedtem i że nic się nie zmieniło. Ale dręczyło go uczucie, że to wszystko jest jedynie udawane. Alicja, mówiąc mu te same miłe rzeczy, które mówiła wcześniej, nie brzmiała już tak przekonująco. W poszukiwaniu prawdziwych powodów Henrik zdążył już przeanalizować wszystkie możliwe według niego warianty. Zaczął od siebie. Zastanawiał się, co zrobił źle. Analizował ich ostatni wspólny weekend i nie mógł doszukać się niczego, co mogłoby negatywnie wpłynąć na ich relacje.

Alicja zawsze miała najszczęśliwszy uśmiech ze wszystkich, jakie widział na świecie. Jej twarz była prawie zawsze pogodna. Nie musiała się śmiać, by pokazać radość. Wystarczyło, że leciutko podniesie kąciki ust. Alicja śmiała się często i w różnych sytuacjach. Najbardziej lubił, kiedy śmiała się podczas seksu. Nie kontrolowała tego, ale kiedy było jej naprawdę dobrze, śmiała się w głos. Tak jak wtedy, gdy widzieli się ostatni raz. Była szczęśliwa.

Henrik był pewien, że była bardzo szczęśliwa. Spędzili razem trzy dni, niemal nie wychodząc z łóżka. Kiedy się śmiała, miała cudowne dołeczki w policzkach, które nazywał migdałkami. Był uzależniony od zapachu jej skóry, nawet gdy był daleko, miał wrażenie, że ciągle go czuje.

Wygląd Alicji odzwierciedlał jej charakter. Pasował do niego idealnie. Wszystko, co pokazywała na zewnątrz, obrazowało to, jaka była w środku. Jej lekki, zmysłowy chód, jej promienna cera i ciemnokasztanowe włosy. A przede wszystkim jej piegi, które uwielbiał. Alicja miała drobniutkie plamki na twarzy, w okolicy nosa. Wszystko razem było spójne, było dla niego idealne i oddawało całe ciepło, które Alicja nosiła wewnątrz. Całe ciepło, które oddawała mu przy każdej rozmowie i każdym spotkaniu.

I właśnie tego ciepła nie czuł od tygodnia. Nie było go w żadnym słowie Alicji, ani w tym mówionym, ani w pisanym. Stało się coś, co wychłodziło każde zdanie, które wypowiadała. Niby były takie same jak wcześniej, niby dokładnie takie same, ale brzmiały i smakowały zupełnie inaczej. I dlatego Henrik zastanawiał się, co mogło się stać.

Kiedy o tym wszystkim myślał, uznał, że najdziwniejsze jest to, co powiedziała mu w jednej z rozmów. To, że tym razem to ona przyjedzie do niego. A potem dodała, żeby nie fatygował się do Częstochowy. Chciała całkowicie zmienić ich plany, a kiedy pytał o powody, nie potrafiła podać żadnego wiarygodnego. Jeśli rzeczywiście miałyby przyjechać w poniedziałek do Sztokholmu, oznaczałoby to, że w pracy nie pojawi się przez trzy kolejne tygodnie. W jej wypadku nigdy wcześniej nie było to możliwe.

Zwykle mieli problem z jej dwutygodniową nieobecnością w pracy, przez co nigdy nie zdołali wybrać się na wymarzony wspólny urlop. Wcześniej nawet z mocnym przeziębieniem pojawiała się w biurze. Co stało się teraz, że nie chce tam przychodzić przez trzy tygodnie?

Henrik był tym wszystkim zmęczony. Najbardziej dokuczliwe było poczucie bezradności. Dręczyło go również ciągłe pytanie, czy aby on nie oszalał. Czy aby wzorem wymyślonej przez siebie postaci nie ma właśnie początków choroby dwubiegunowej. Niemal wszyscy jego bohaterowie zawsze wiedzieli, co zrobić. Jeśli mieli przecucie, to szli za nim i działali bez zastanowienia. Bez chwili zwłoki. I dlatego on też postanowił działać.

Niezależnie od tego, czego chce i co planuje Alicja, on przyjedzie do niej wcześniej. Nawet jeśli mieliby w Częstochowie spędzić tylko półtora dnia i w poniedziałek polecieć do Sztokholmu. Polecą do niej nawet, jeśli miałyby się okazać, że nic złego się nie dzieje. Polecą niezależnie od wszystkiego, co powie mu Alicja w kolejnych dniach. Niezależnie od tego, jak będzie się zachowywała.

Miał nadzieję, że to, co najczęściej przychodziło mu do głowy, było jedynym powodem jej dziwnego zachowania. Wierzył, że jeśli cokolwiek mogłoby to uzasadniać, to fakt, że Alicja jest w ciąży. Jest zaskoczona, zdezorientowana, zdumiona i czeka z tą informacją, aż do ich spotkania. Bardzo chciał, żeby to właśnie było przyczyną. Cieszył się na samą myśl o tym i nie rozumiał, czemu Alicja tak bardzo nie chce, żeby przyjeżdżał do Częstochowy. Czemu chce zmienić plany?

Miał nadzieję, że to właśnie ten powód i że to jedyny powód.

Henrik wierzył, że wszystko będzie dobrze. Wierzył w te słowa. Tylko dalej kompletnie nie rozumiał, dlaczego tak naprawdę mu to napisała.

Spojrzał na Knuta, który siedział przy stole, zagłębiony w lekturze artykułu o wyścigu kolarskim. Pomyślał, że dla niego ta intryga schodzi na drugi plan. Na razie Knut będzie musiał poradzić sobie sam. Było mu trochę głupio, ale czuł, że nie może postąpić inaczej. Musiał rozwikłać tajemnicę, w której sam uczestniczył.

Musiał udać się do Częstochowy i poznać prawdę. Częstochowy, która już od wielu dni czekała na niego i wiedziała dokładnie, co go tam spotka.

ROZDZIAŁ 23

Jerzy

Wtorek, 4 listopada 2014

Jerzy kochał Częstochowę. Kochał to miasto bezwarunkowo, tak jak się kocha ojca i matkę. A nawet bardziej, bo miłość do rodziców miał niejako wpisaną w geny. Ale nienawidził tej miłości i przestał ją czuć zaraz po ich śmierci. Częstochowę kochał nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że chciał. Kochał ją naprawdę, mimo wszystko, mimo tego, co miasto mu zabrało, mimo tego, co w nim stracił.

Jerzy czuł, że to jego jedyne miejsce na ziemi. Był przekonany, że znalazł je, tak jak znajduje się miłość. Niespodziewanie. Nagle. Bez żadnego większego planu i poszukiwań. Swoje własne miejsce. Ono jest tam, gdzie pluje się pierwszy raz na ziemię. Tam, gdzie pierwszy raz przeskakuje się przez płot i rani się w dłoń. To miejsce jest tam, gdzie pierwszy raz dostaje się po mordzie. Tam, gdzie pierwszy raz wpycha się język do cudzych ust. Ono cię zapamiętuje i trwale wiąże cię ze sobą. Już zawsze chcesz do niego wracać, bo tam zostawiasz kawałek własnego bytu. Jerzy właśnie to czuł do Częstochowy. Nie chciał stąd wyjeżdżać, jeśli nie musiał. Czuł, że gdyby miał opuścić to miasto na zawsze, byłoby to dla

niego jak skok na bungee bez liny. Ten wyjazd zabiłby go, unicestwił takiego, jakim był i chciał być.

Jerzy kochał świadomie i mocno tylko dwa razy. Kochał Zuzę i właśnie to miasto. Jedną miłość stracił na zawsze. Choć odrzucił ją dawno temu, jeszcze długo kochał tragicznie, latami tęsknił do osoby, której już nie było i która miała nigdy nie wrócić. Kochał Zuzę i miał ją kochać do końca swych dni, ale został mu po niej tylko kosmyk włosów. Tylko jego mógł dotknąć. Mimo że jej ciało leżało zakopane głęboko w częstochowskiej ziemi, Zuza cały czas żyła w głowie Jerzego, nieustannie miał przed oczami jej twarz, jej promienny uśmiech. Nigdy nie stała się jedynie wspomnieniem. Raz do roku przychodził na jej grób. To był jego rytuał. W tym roku przyszedł późnym wieczorem, kiedy cmentarz całkiem już opustoszał. Chciał mieć pewność, że będą sami. Stał przy niej prawie godzinę. Rzęsisty deszcz sprawił, że pierwszego listopada po zmroku cmentarz wcale nie wyglądał tak magicznie jak zazwyczaj. Lejący deszcz nie zdołał zgasić jedynie kilku zniczy. Było ciemniej niż zwykle. Jerzy chował się w mroku. Chował się i rozmawiał z nią. Pamiętał wszystko. Na zawsze. Ale teraz chciał odpowiedzi. Chciał wskazówek. Chciał, żeby mama Alicji pomogła mu chronić swoją córkę. Ale Zuza już od dawna niczego nie mogła mu dać.

A Częstochowa dawała. Częstochowa była naprawdę. Częstochowę mógł widzieć codziennie. Mógł ocierać się o nią i wdychać jej zapach. Codziennie miała mu do zaoferowania coś nowego. Kochał ją w każdej postaci i za wszystko.

To miasto było jego przestrzenią właśnie dlatego, że to, co się tu

działo, było rzeczywiste aż do bólu. Tak namacalnie prawdziwe, że czasem aż niedorzeczne. Wszystko, co się tu działo, było dla niego przeżyciem. Kochał to miasto za to, że miało właściwie tylko jedną linię tramwajową, że położenie torów doprowadzających tramwaje na Raków było tu wielkim wydarzeniem, bo czekano na to kilkadziesiąt lat. Kochał to miejsce za zapach starego oleju, na którym smaży się frytki w budkach na Piłsudskiego. Wielbił Częstochowę za dwa McDonaldy przy trasie Warszawa–Katowice. Te, w których zatrzymywał się prawie każdy kierowca. Kochał częstochowskie ulice za ciszę. To miasto wcale nie było małe, ale było zadziwiająco spokojne. Czasem jakby bezludne. Właśnie dlatego lubił spacerować po jego ulicach. Miał takie miejsce w pierwszej alei, w którym czuł się tak, jakby cofnął się w czasie do okresu przedwojennego. Kiedy stał przy jednej z kamienic i patrzył w stronę odległej Jasnej Góry, widział ulicę z tamtych lat. Wykonał w tym miejscu kilkadziesiąt czarno-białych zdjęć. Wybrał najlepsze z nich, ustawił światło i kontrast. Potem wywołał je i powiesił na ścianie swojego gabinetu. To była jego Częstochowa. Niezmienna. Wierna. Jego jedyna partnerka. To z nią spędzał życie. W niej zasypiał i tylko jej się zwierzał.

Od dawna sądził, że Częstochowa nie ma przed nim tajemnic. Wieloletnia praca w policji pozwoliła mu poznać najmroczniejsze sekrety tego miasta. Nie było takich faktów, które jego miłość zdołała przed nim ukryć. Tak było zawsze. Tak było aż do teraz. Kiedy przeczytał anonimową wiadomość i znalazł w niej informacje o swoim bracie, okazało się, że to miasto zataiło przed nim coś, czego kompletnie się nie spodziewał, najgorszą prawdę.

Nie dostrzegł jej, mimo że wszystko miało miejsce tuż pod jego nosem. Prawdę miał właściwie na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło tylko dokładniej się przyjrzeć. Wszystko działo się w jego rodzinie, jedynej rodzinie, jaką miał. A jego odwieczna miłość, jego kochanka, milczała, ukrywając ten fakt.

Informacje, które zebrał w ostatnich tygodniach, zaczynały mu bardzo ciążyć. Poprzednie dni wypełniło tylko jedno. Czekanie. Wszystko inne zeszło na dalszy plan. Tajemnice wydarzeń w archikatedrze i na terenie parafii przy ulicy Jana Pawła II wciąż pozostawały nierozwiązane. Ani o krok nie zbliżył się do poznania prawdy.

Dochodziło południe i Jerzy czuł, że potrzebuje jakichkolwiek rezultatów. Konkretnych informacji. Tego dnia miał luźniejsze popołudnie i zdecydował, że zadziała na własną rękę.

Poprosił panią Anię, żeby wezwała Marczuka. Musiał to zrobić z ogromną werwą, bo sekretarka chwyciła za słuchawkę, zanim zdążył dokończyć zdanie. Nie spuszczała przy tym z niego wzroku. Stał jeszcze w otwartych drzwiach do swego pokoju, kiedy pani Ania wybierała numer wewnętrzny do naczelnika. Nadal wpatrywała się w niego spojrzeniem zdradzającym coś na kształt podziwu. Patrzyła trochę tak, jak panna Money Penny patrzy na Jamesa Bonda. Jerzy nie mógł konkurować ze słynnym agentem Jej Królewskiej Mości, ale miał charyzmę i podobny błysk w oku. Ponoć oczy były jego największym atutem. Był przystojny w nieoczywisty sposób. Miał co prawda sporo zmarszczek jak na swój wiek i ogorzałą twarz, jakby całe życie upłynęło mu na żeglowaniu, ale oczy ciągle miał młode. W tej na pozór wiecznie

zmęczonej twarzy lśniły niebieskie tęczęwki. Pani Ania wypaliła kiedyś, że jest podobny do amerykańskiego aktora Viggo Mortensena. Jerzy pamiętał, że gość zagrał jedną z głównych ról we Władcy Pierścieni. Pani Ania była nim zachwycona. Gdyby nie wąsy, których Jerzy pod żadnym pozorem nie chciał się pozbyć, byłby ponoć identyczny.

Marczuk stawił się u niego po kilku minutach.

– A ty już w ogóle przestałeś się golić, czy co? Brodę sobie do wąsów zapuszczasz? – spytał, patrząc na kilkundniowy zarost komendanta.

– Ponoć to teraz modne – odpowiedział Jerzy.

– No tak, ale to jeszcze musi jakoś w miarę wyglądać – zachichotał Marczuk.

– To ja mam taką propozycję, żebyś się odpierdolił od mojego zarostu i żebyśmy zmienili temat. Co ty na to? – powiedział Jerzy, kiwając przy tym twierdząco głową, jakby sam akceptował swoje słowa. Marczuk przystał na propozycję, co również potwierdził skinieniem głowy. Nie przestał się jednak uśmiechać.

Jerzy wstał z fotela i odruchowo spojrział na zegarek. Rozmowa z Marczukiem miała być krótka. Chciał ponownie ułożyć sobie w głowie wszystkie fakty dotyczące Maleńkowa.

– Marek, powiedz mi jeszcze raz, gdzie obecnie jesteśmy w sprawie ataku na terenie parafii.

– Na razie lipa. Trochę ślepy zaułek. Przesłuchaliśmy wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć. Sprawdziliśmy wszystkie ślady. Na tę chwilę wiemy tyle samo, ile wiedzieliśmy od początku.

– Maleńkow już wyszedł ze szpitala?

– Tak.

– I gdzie teraz jest?

– Pewnie u tego księdza w parafii.

– Wiemy to?

– To znaczy... nie sprawdzaliśmy. Ale gdzie indziej miałyby pójść? Zresztą na razie nie jest nam potrzebny. Jak wyjdzie coś nowego, to go wezwiemy, żeby uzupełnił zeznania.

Jerzy podrapał się po brodzie. Kilkudniowy zarost swędział niemłosiernie.

– A ten proboszcz?

– Byliśmy u niego i u tej zakonnicy, która widziała zdarzenie. Oni lepiej się modlą, niż zeznają. Nie powiedzieli nic, czego można by się było chwycić.

– I nie rozmawialiście z proboszczem o moim bracie?

– O Stanisławie? Nie, wtedy jeszcze nie. Myślisz, że on może coś wiedzieć o...

– Pojadę do niego zaraz – wszedł mu w słowo Jerzy.

– Do kogo? Do brata?!

– Nie. Do proboszcza. Chcę zobaczyć, jak zareaguje.

– Jak cię zobaczy, może nie zdążyć dobiec do kibla. Oby był jeszcze przed obiadem – odpowiedział Marczuk, wykrzywiając twarz. – Jesteś pewny, że chcesz do niego jechać sam? Chłopaki naprawdę dobrze się spisali.

– Tu nie o to chodzi. Mój brat kłamie z jakiegoś powodu. Jeśli ten ksiądz cokolwiek o tym wie, to łatwiej będę mógł to wyłapać, jeśli będę siedział naprzeciw niego – zakończył.

Jerzy wyszedł z komendy przed trzynastą. Mimo krótkiego

dystansu zdecydował, że pojedzie samochodem. Nie miał ochoty przez całą drogę przeskakiwać przez kałuże. O tej porze ulice nie były zatłoczone i po chwili zaparkował na terenie parafii. Najpierw udał się na plebanię, gdzie od młodego księdza dowiedział się, że proboszcz jest w zakrystii. Przejście pięćdziesięciu metrów po mokrym i grząskim gruncie w tych warunkach poskutkowało natychmiastowym ubrudzeniem butów i nogawek.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Usłyszał konwersację dobiegającą z jednego z pomieszczeń.

– Niech się ksiądz nie martwi, on na pewno nic nie wie – oznajmiał damski głos.

– Siostra Miriam to zawsze jest dobrej myśli, a z biskupem nigdy nic nie wiadomo. Może nie wie, ale co, jeśli się domyśla?!

– Czort z niego straszny, to prawda, ale nie przesadzałabym. A nawet jeśli się domyśla, to co z tego? Nie zrobiliśmy nic złego. Temu Maleńkowowi należała się jego własność. Bardzo dobrze, że mu pomogliśmy. Szkoda tylko, że ktoś chciał się pozbyć tego biedaka. Wolą Boga było jednak go uratować, zjawiłam się tam w samą porę.

– Siostra swoje, a ja swoje. Biskup Walter nie przyszedł tu przypadkiem, sprawdzał mnie...

Jerzy usłyszał szuranie krzesła, ktoś wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Powtarzam, pomogliśmy jedynie chłopakowi w odzyskaniu własności, niech proboszcz będzie spokojny.

Kroki zaczęły być coraz głośniejsze, Jerzy postanowił nie czekać dłużej.

– Niech będzie pochwalony! Jest tu kto?! – zawołał i jeszcze raz otworzył i zamknął drzwi.

Proboszcz pojawił się w korytarzu sekundę później. Ta sytuacja do złudzenia przypominała tę sprzed kilku dni, kiedy ksiądz Ryszarda odwiedził biskup Stanisław Walter. Tak samo jak wtedy proboszcz zatrzymał się i wyglądał tak, jakby ktoś nagle zalał mu stopy betonem. Widać było, że wizytę policjanta zalicza do tych z gatunku zaskakujących.

– Pan komendant... – wybąkał proboszcz i jeśli Jerzy miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy ksiądz kojarzy go z jakichś publicznych wystąpień, to właśnie się ich pozbył.

– Niech będzie pochwalony, księżo proboszczu. Mogę na chwilkę? – zapytał Jerzy, patrząc na swoje buty i starając się wytrzeć je jak najdokładniej w grubą ciemnobrązową wycieraczkę.

– Ależ proszę! Proszę się o to nie martwić – powiedział proboszcz, wskazując na buty policjanta. – Co chwila tutaj ktoś wchodzi i wychodzi. Sam naniósłem kilogramy błota.

Weszli do gabinetu. Jerzy rzeczywiście zauważył ślady wyschniętej ziemi na podłodze.

– Czego się pan komendant napije? Może herbaty?

– Byłbym wdzięczny – odparł Walter.

Ksiądz Ryszard Kozera wyszedł na chwilę na korytarz i poprosił siostrę o przygotowanie dwóch herbat. Był tak wysoki, że musiał uważać, żeby nie przyłożyć głowę w futrynę. Poruszał się niezwykle szybko i dość nerwowo. Jerzy nie znał go wcześniej, ale wyczuwał niepokój ukryty w tych ruchach.

– Pewnie się ksiądz domyśla, w jakiej sprawie pozwoliłem sobie

księdza odwiedzić – zaczął Jerzy, kiedy proboszcz usiadł za biurkiem.

– Przed tym atakiem nieczęsto gościłem policjantów, więc zakładam, że chodzi o napaść na terenie naszej parafii – odpowiedział.

– Nie myli się ksiądz.

– Ale czemu pan komendant osobiście się do nas fatyguje? Rozmawialiśmy już z funkcjonariuszami. Czy jest coś jeszcze, co wspólnie z siostrą Miriam moglibyśmy zrobić?

– Być może, być może. To zależy od dalszego rozwoju sprawy. Śledztwo trwa i wasza pomoc może być jeszcze nieodzowna.

– Rozumiem.

– Jak się czuje pan Maleńkow? – zapytał Jerzy, patrząc wprost na księdza.

– Och, już o wiele lepiej. Na tyle dobrze, że zdecydował się na podróż.

– Podróż?

– No tak... Wiktor wrócił do siebie. Teraz jest pewnie w drodze do Irkucka.

Jerzy pomyślał, że Marczuk jednak nie miał racji i warto było tutaj przyjść. Był zaskoczony tą informacją, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Tak szybko wyjechał?

– Tak... tak... od tamtych funkcjonariuszy usłyszał, że na razie nie będzie potrzebny. Wczoraj wyleciał do Moskwy.

– To prawda. Na razie pomógł na tyle, na ile mógł. W niedalekiej przyszłości może być jednak niezbędny. W końcu

wszyscy mamy nadzieję, że sprawca szybko się znajdzie – odparł Jerzy, wciąż świdrując wzrokiem proboszcza. – Ale wie ksiądz... zastanawia mnie co innego. Przecież ten człowiek przyjechał tutaj w konkretnym celu. Ksiądz przecież dobrze wie w jakim, prawda? – zapytał Jerzy, chcąc jedynie się upewnić. A właściwie usłyszeć ton jego głosu i sprawdzić stopień zdenerwowania.

– Tak, oczywiście – powiedział proboszcz dość cicho, ale w miarę pewnie.

– Właśnie. I tak po prostu wyjechał, zostawiając sprawę swojego spadku i nie walcząc o zwrot dokumentów? Nie sądzi ksiądz, że to trochę dziwne?

W tym momencie do pokoju weszła siostra zakonna, ostrożnie niosąc filiżanki. Postawiła je na biurku i opuściła pomieszczenie. Jerzy zanurzył torebkę z herbatą w gorącej wodzie. Ksiądz zrobił to samo, ale wciąż milczał, więc Jerzy jednoznacznym ruchem ręki zachęcił go do odpowiedzi.

– On nie wiedział, co ma robić. Ta prawniczka, z którą był umówiony, gdzieś zniknęła. To znaczy nie zniknęła, ale się ponoć nie odzywała... Nie było z nią kontaktu. Ja mu powiedziałem, żeby jechał. Chciałem zasugerować, żeby się odciął od tego, co zaszło. Wie pan, co mam na myśli... Jeśli coś się wyjaśni, to przecież będziemy w kontakcie – powiedział bardzo chaotycznie.

– I nie chciał zostać dłużej? Ksiądz nie chciał, żeby został?

– Nie no... on chciał. Ja też chciałem...

– Ale powiedział mu ksiądz, żeby wyjechał?

Ksiądz Ryszard otworzył usta, ale przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Widać było, że czuje się już zupełnie niekomfortowo.

– No... tak... – wyjąkał.

– Ale czemu? Przecież mógł zostać. Ta prawniczka pewnie by się w końcu odezwała. A może i my mielibyśmy nowe informacje i można by je skonfrontować z wiedzą pana Maleńkova. A teraz będzie z tym problem. To jak to jest? Księdzu przecież chyba nie zależało na jego szybkim wyjeździe? – dotarł do celu i czekał na reakcję proboszcza. Herbata już się zaparzyła. Jerzy wyjął torebkę i napił się.

– Nie, ależ nie... – Mówienie przychodziło z coraz większym trudem. – Ja nie miałem żadnego powodu, żeby kazać mu wyjeżdżać. Naprawdę. Uznałem, że tak będzie lepiej.

– Ksiądz tak uznał... – powiedział Jerzy i zrobił długą pauzę. – A widział się ksiądz może ostatnio z moim bratem? Z biskupem pomocniczym Stanisławem Walterem?

I wtedy proboszczowi zatrzęsły się ręce. Jerzy zauważył to natychmiast. Zresztą ten ruch był tak wyraźny, że byłoby to dostrzegalne nawet z kilkunastu metrów. Jerzy był pewny, że proboszcz też jest tego świadom. Ksiądz spojrzał na komendanta i raptownie uciekł wzrokiem. Jerzy mówił dalej, jakby nie zważając na widoczne zmieszanie duchownego. – Bo przecież ksiądz wie, że Wiktor Maleńkow był wcześniej w kurii. Pewnie ksiądz ma również świadomość, że mój brat też o tym wiedział. To jak było? Widzieliście się może w tej sprawie?

– Nie... to znaczy tak... – wydusił z siebie ksiądz Ryszard.

– Nie rozumiem. To tak czy nie?

– Nie... nie widziałem księdza biskupa po tym wypadku – odpowiedział i napił się herbaty. Wziął zbyt duży łyk i gorący płyn

musiał poparzyć mu podniebienie, bo mocno się skrzywił. Ręce wciąż mu się trzęsły tak mocno, że rozlał herbatę, z brzękiem odstawiając filiżankę na spodek.

– Nie widzieliście się i w ogóle nie rozmawialiście o tym, co tu się stało? – dopytał Walter.

– Nie... to znaczy rozmawialiśmy. Przez telefon. Tuż po wypadku. Dzień po wypadku. Bodajże w niedzielę. Ale się nie widzieliśmy – ledwo wydusił z siebie ksiądz proboszcz.

– I rozumiem, że gdybym o to samo spytał siostry zakonne, to udziela takiej samej odpowiedzi, prawda? – zapytał Jerzy tym razem siląc się na uśmiech. Chciał nieco rozładować napięcie i ułatwić księdzu odpowiedź.

– Tak. Oczywiście.

Proboszcz kłamał. Słowa podsłuchanej kilka chwil wcześniej rozmowy jedynie to potwierdzały. Jerzy napił się herbaty. Siostra podała jego ulubiony rodzaj – earl grey – i bardzo mu to odpowiadało.

– Proszę księdza, my jesteśmy zawsze dostępni. Jesteśmy zawsze po to, żeby pomóc. Ksiądz to wie, prawda?

– Tak, jak najbardziej.

– I dlatego jeśli cokolwiek się księdzu przypomni, albo jeśli będzie jeszcze cokolwiek, co powinniśmy wiedzieć, to proszę śmiało się z nami kontaktować. Może ksiądz nawet zadzwonić bezpośrednio do mnie. To ważne, żeby ksiądz powiedział wszystko, co wie w tej sprawie. Tak będzie najlepiej – dokończył jakby od niechcenia, cały czas jednak obserwując reakcję proboszcza. – Naprawdę, proszę się nie bać.

Ksiądz Ryszard jedynie skinieniem głowy potwierdził, że te słowa do niego dotarły. Nie był już w stanie wydobyć z siebie nic bardziej sensownego.

Jerzy dopił herbatę, pożegnał się i wyszedł. Odjeżdżając, pomyślał, że wcale nie cieszy się z tej rozmowy. Nie przyniosła mu satysfakcji uzyskana właśnie pewność, że proboszcz Ryszard Kozera nie mówi prawdy. Oznaczało to bowiem, że Jerzy Walter nie miał pojęcia, jaki naprawdę jest jego brat. Przyszło mu do głowy, że gdyby Stanisław Walter był dla niego kimś zupełnie obcym, nie miałby żadnych skrupułów, by podejrzewać go o wszystko, co chodziło mu po głowie. Jerzy miał świadomość, że jego brat złożył wizytę księdzu Ryszardowi. Był niemal pewny, że za szybkim zniknięciem Maleńkowa musi stać biskup. To wszystko sprawiało, że był również coraz bardziej przekonany o tym, że jego podejrzenia co do tego, co mogło spotkać Alicję Drylską, mogą być słuszne.

Jerzy wiedział już teraz, że znalazł się w sytuacji, w której czeka na coś bardzo bolesnego. Wiedział, że nadejdzie taki dzień, w którym jego brat nieświadomie ujawni całą prawdę.

Wracając do komendy, podjechał jeszcze raz na ulicę Zana. Tak samo jak dzień wcześniej. Było dopiero kilkanaście minut po drugiej, ale gęste ciemne chmury i padający deszcz sprawiały, że świat wyglądał tak, jakby właśnie zapadał zmrok. Samochód Alicji Drylskiej stał na parkingu pod blokiem, a w oknie jej kuchni paliło się światło. Nic nie wskazywało na to, by prawniczka chodziła do pracy.

To była kolejna tajemnica, jakiej jeszcze nie zdradziła mu

Częstochowa. Płakała rzewnymi łzami przez tyle dni nie dlatego, że musiała to przed nim ukryć, ale dlatego, że musiała mu to wszystko wyjawić. Dlatego, że wiedziała, jak bardzo będzie to dla niego bolesne.

ROZDZIAŁ 24

Profanum

Sobota, 25 października 2014

Zawsze byłam blisko kościoła. Odkąd sięgam pamięcią pojawiałam się tam nie tylko na mszy. Czasem chciałam pomodlić się w samotności, czasem po prostu pobyć sam na sam z panem Bogiem, idąc tam niejako w odwiedzinach. Nie jestem do końca przekonana, że wyniosłam te przyzwyczajenia z domu rodzinnego. Owszem rodzice nauczyli mnie, że niedzielne południe powinno być zarezerwowane dla Zbawiciela, jednak zawsze miałam wrażenie, że sami udawali się tam raczej z ogólnie przyjętego zwyczaju. Potem, gdy dorosłam, zrozumiałam, że rodzice wpisali się w tożsamość całej masy podobnych im ludzi i nawet do głowy im nie przyszło, żeby w jakikolwiek sposób się odróżnić. Chodzili, bo inni też szli. Klękali, bo inni dookoła też padali na kolana. Wykonywali każde polecenie padające z kazalnicy.

A ja zawsze miałam Boga w sercu i chciałam być jak najbliżej Niego. Okazało się, że jestem zbyt słaba, żeby przywdziać zakonny habit. Bałam się, że nie wytrzymam takiego życia i wszystkich ograniczeń z nim związanych. Chciałam być szczerą wobec Pana,

nigdy go świadomie nie szukać, a tym bardziej nie nadużywać ciepła i komfortu, które daje.

Ale w kościele byłam regularnie i często. Pomagałam w sprzątanii i innych pracach w parafii. Wpadałam na pogaduszki, dowiadując się przy okazji, że siostry plotkują tak samo jak każda z nas. Z tą jedynie różnicą, że czują przy tym czasem potrzebę, by się przeżegnać. Przywołują tym samym imię Boga nadaremno, ale któż z nas nie jest grzesznikiem?

Takich osób jak ja jest coraz mniej. Już prawie nikt nie zagląda bezinteresownie do kościoła. Ja należę zresztą do najmłodszych. Świat zmienia się bardzo szybko i właśnie w kościele widzę to najlepiej. Diabeł znalazł swoją drogę, żeby przemówić do ludzkich umysłów, ukrył się w pieniądzach i internecie. Dostrzegam to również w zachowaniu mojej dorosłej już córki. Kolory paznokci są dla niej ważniejsze niż kolory kwiatów i ziół w palmach wielkanocnych. Słowa amerykańskich raperów mądrzejsze niż wersy Biblii. Mam czasem wrażenie, że sprawuję swą ziemską posługę także za nią, choć ostatnio mam raczej wrażenie, że świecę za nią oczami, przed i tak wszystkowidzącym Bogiem. Już nawet nie jest mi wstyd, choć czasem jest mi przykro. Kocham ich nad życie, ale coraz częściej sędzę, że ani mąż, ani córka, nie udali mi się tak, jakbym tego chciała. Akurat tych myśli się wstydzę. Być może kiedyś zrobiłam coś złego, a być może najzwyczajniej żądam zbyt wiele.

W parafii Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa zaprzyjaźniłam się z siostrą Miriam. Spędziłyśmy razem wiele godzin, plewiąc parafialny ogródek i nieraz przystrajając kościół kwiatami. Ta

starsza, lecz wciąż silna i pełna życia kobieta potrafiła słuchać lepiej niż każda z moich, pożał się Boże, przyjaciółek. Jako jedyna ze znanych mi osób zawsze miała czas, zarówno dla mnie, jak i dla Najwyższego.

Odkąd spłonął nasz sklep zaniedbałam przyjaźń z siostrą Miriam. Uznałam, że muszę spędzać więcej czasu z mężem i trwać przy nim w trudnych chwilach, nawet jeśli to trwanie polegało jedynie na przeciągłym milczeniu i spędzaniu czasu przed telewizorem. W pracy słyszałam o wielu ludzkich tragediach, o wiele większych, niż ta, która nas (jego!) spotkała, ale ta nasza (jego!) działa się przecież codziennie i to na moich oczach.

Kiedy jednak dowiedziałam się o podejrzeniach, jakie krążą wokół Stanisława Waltera, czułam, że siostra Miriam może potwierdzić bądź zaprzeczyć tym informacjom. Z pokorą i zakłopotaniem udałam się do parafii, sama nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Nie dość, że nie rozmawiałyśmy od kilku miesięcy, to jeszcze nasze spotkanie miało skupić się na tak trudnych tematach.

– Dziecko moje, jak miło cię widzieć! – przywitała mnie i od razu wiedziałam, że mimo przerwy nic w naszych stosunkach nie uległo zmianie.

– Eliza, przepraszam... nie było mnie tak długo... – wybąkałam, zwracając się do niej po imieniu. Od lat byłyśmy na ty, a jej prawdziwe imię podobało mi się nawet bardziej, niż to zakonne.

– Oj nie żartuj, zdarza się każdemu, ważne, że teraz jesteś. Naprawdę dobrze cię widzieć! Wejdz proszę!

Weszłam do środka budynku plebanii. Usiadłyśmy przy herbacie i najlepszym cieście marchewkowym jakie w życiu jadłam.

W otoczeniu sięgających sufitu regałów z książkami czułam się swobodnie. Okrągła godzina upłynęła nam na rozmowie o moim życiu, a ja z każdą minutą czułam się coraz bardziej winna, że tak bardzo skupiamy się na mnie. Zostałam zasypana tyloma pytaniami, że tylko raz zdołałam spytać o jej zdrowie, dostając oczywiście zapewnienie, że wszystko w porządku. Widziałam, że moja obecność sprawiła jej szczerą radość. Pierwszą dłuższą chwilę milczenia wykorzystałam jednak na zmianę tematu. Zrobiłam to może zbyt gwałtownie, bo siostra o mało nie zachłysnęła się herbatą.

– Eliza, słyszałam o tym, co robi biskup Walter. Czy to prawda? Odstawiła filizankę i spojrzała na mnie ze smutkiem w oczach.

– Przepraszam. Boże, pomyślisz, że przyszłam tu na plotki – kontynuowałam. – A ja... to znaczy... wydaje mi się, że mogę pomóc. Jeśli to wszystko prawda oczywiście... chcę pomóc, chcę coś zrobić...

– Ale jak chcesz pomóc, drogie dziecko? – zapytała spokojnie.

– Czyli to jednak prawda... – Nie musiała odpowiadać twierdząco, żebym wiedziała.

– Co wiesz?

– To, co ludzie mówią. O Aldonie. O innych dziewczynach. Zamilkłyśmy na chwilę. Widziałam, że zbiera myśli.

– Tak, to prawda. Niestety.

– Ile jest tych dziewczyn?

– Tego pewnie nie wie nikt. U nas w parafii jedna. Rozmawiałam z siostrami z innych parafii. W Kiedrzynie i Blachowni są kolejne. To taki wstyd.

Opowiedziała o wszystkim, co wie.

– Proboszczowie nie chcą o tym jednak rozmawiać. W ogóle nie chcą poruszać tego tematu. Wiesz, u nas każdy się boi. A mój proboszcz, dobry z niego człowiek, ale za dużo zawdzięcza Walterowi, żeby w ogóle zajmować się plotkami.

– Ale to nie są plotki!

– Dla nich są. Zawsze będą.

– A wy nie możecie nic zrobić?

– A co my możemy?! Bunt zakonnicy? Widziałas to kiedyś? Wierzysz w to?! Prędzej wezmą nas za staruszki, które postradały zmysły i wsadzą do domu emerytek, gdzieś w głębi lasu. My jesteśmy na samym dole kościelnej hierarchii. Mamy być cicho. Młodsze z nas same muszą uciekać przed takimi jak Walter. Czasem zresztą nie uciekają... – dokończyła cicho.

– Ja pomogę – powiedziałam tak, jakbym była pewna, że mogę coś wskórać. Tylko to jednak przyszło mi do głowy.

– Dziecko drogie, ale co ty możesz...

– Mam swoje możliwości. Przecież wiesz.

– Jeszcze sama sobie zaszkodzisz – odparła ze szczerą troską w głosie.

– Mogę to robić anonimowo.

– Tutaj nic nie dzieje się anonimowo, zdajesz sobie z tego sprawę. Oni mają wiedzę o wszystkim. Władzę nad wszystkim. Aż głupio to przyznać, ale Walterowie posiadli to miasto.

– A co jeśli komendant jest inny? – spytałam.

– Inny od kogo? – to było pytanie retoryczne, ale wiedziałam, że muszę odpowiedzieć.

– Od brata. Od biskupa.

– To ta sama krew, drogie dziecko. Ta sama krew.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Właśnie wtedy wpadł mi do głowy pomysł anonimowych listów do Jerzego Waltera. W przeciwieństwie do siostry Miriam miałam dobre zdanie o komendancie. Owszem, był bratem biskupa, ale w mojej ocenie był przede wszystkim dobrym, sprawiedliwym człowiekiem. Pamiętam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Nigdy nie byłam specjalnie kochliwa, ale ten mężczyzna od razu wydał mi się lepszy od innych. W dojrzałym wieku, z mężem i dzieckiem na koncie, znalazłam sobie obiekt westchnień i marzeń. Ze swoich myśli spowiadałam się nieraz. Nigdy jednak nie zdradziłam tożsamości mojego wybranka. Robiłam, co mogłam, żeby również w rozmowie z Elizą nie zdradzić się z moimi słabościami.

Przede wszystkim bowiem Jerzy Walter wydawał mi się mężczyzną zdolnym do podejmowania trudnych decyzji i jeszcze trudniejszych działań. Moje listy miały mu w tym pomóc. Mimo iż wiedziałam, że sprawią mu przykrość, ból i skomplikują życie, zdecydowałam się na te kroki. Tym dziewczynom trzeba było jakoś pomóc. Padło na mnie. Być może Bóg tak chciał.

Teraz, kiedy listy dotarły, a ja widzę efekty swoich działań, nie mam wątpliwości, że dobrze zrobiłam. Nie mam również wątpliwości, że Jerzy Walter to odważny i silny mężczyzna. Modłę się za niego codziennie. I codziennie chciałabym mu powiedzieć, że zawsze może na mnie liczyć. Być może kiedyś mu to powiem.

ROZDZIAŁ 25

Alicja

Piątek, 7 listopada 2014

Duszno. Tego słowa użyłaby, gdyby miała opisać to, jak się czuła przez kilkanaście ostatnich dni. Dusila się w tym mieście. Nie miała czym oddychać. Nie chciała już przebywać w tym otoczeniu. Deszcz, który padał w Częstochowie, był ciepły. Bardzo ciepły jak na tę porę roku. Poczucie braku powietrza, osaczenia, niemożności złapania oddechu, wszystko to potęgowała jeszcze ta szczególnego rodzaju sauna, którą bez pytania i zawzięcie serwowała jej aura. Po tylu dniach deszczu wydawało się, że wszystko w tym mieście paruje. Powietrze w Częstochowie stało się ciężkie. Mętne. Zbyt gęste, by móc nim oddychać.

Alicja chciała opuścić to miejsce czym prędzej. Na zawsze. Pierwszy raz patrzyła na Częstochowę z obrzydzeniem. Ta myśl dojrzała w niej wyjątkowo szybko. Zawładnęła nią. Nie chciała dusić się ani chwili dłużej.

Właśnie to uczucie sprawiło, że zbyt szybko się pospieszyła. Swoją podróż wykonała dzień, może dwa dni za wcześnie. Być może powinna jeszcze troszkę poczekać. Być może powinna bardziej

zadbać o wszystkie szczegóły. Tyle że Alicja nie umiała już czekać. Nie chciała zwlekać ani chwili dłużej. Wiedziała, że wyjeżdża do Sztokholmu. Wyjeżdża i tam powie Henrikowi całą prawdę. Tam. Nie tutaj. Jeszcze tylko jeden weekend i znika. On wróci z Oslo, a ona przyjedzie do niego i już tam zostanie, na zawsze. Już w poniedziałek się zobaczą, natychmiast po przyjeździe, wszystko mu powie, ujawni prawdę. Tak, żeby każdy wiedział, co dzieje się w tym mieście. Wszystko przemyślała. Wszystko przygotowała.

Ale zadzwonić do biskupa chciała już teraz. Chciała, żeby wiedział. Chciała, żeby już zaczął się bać. Wiedziała, że nie powinna tego robić tak szybko, ale nie mogła się powstrzymać.

Zdecydowała, że zadzwoni z prywatnego numeru, którego biskup nie zna. Chciała mieć gwarancję, że odbierze, chciała usłyszeć jego strach.

Usiadła w kuchni na białym krześle barowym. Spojrzała na leżące na blacie karteczki post-it. Na każdej z nich napisała sobie kluczowe rzeczy. Napisała te zwroty, których planowała użyć. Po to, żeby się nie zastanawiać, żeby mówić i działać jak automat. Bała się, że wpadnie w panikę, ale jednocześnie zaślepiało ją pragnienie zemsty.

Chwyciła prywatny telefon i wzięła ostatni głęboki wdech. Na firmowym iPhone wyświetliła numer Stanisława Waltera. Cyfra po cyfrze wstukała ten numer na wyświetlaczu i wcisnęła zieloną słuchawkę.

Przyłożyła telefon do ucha i usłyszała pierwszy sygnał.

Biskup Walter zgłosił się po kolejnych trzech. Okno w kuchni było uchylone. Deszcz zmienił kierunek i zaczął zacinać. Pierwsze

krople wpadły do środka. Jedna z nich wylądowała na żółtej karteczce z napisem „TY GADZIE!!!”.

– Biskup Stanisław Walter przy telefonie. – Jego głos brzmiał oficjalnie. Można było wyczuć, że nie ma pojęcia, kto dzwoni.

Zawahała się przez sekundę. Jedną, jedyną sekundę. To miała być jej ostatnia chwila wahania w tej rozmowie. Potem wszystko już poszło dokładnie tak, jak zaplanowała, ale ta sekunda była jej niezbędna. W jej trakcie cofnęła się do tamtego poniedziałku. Do tamtego wieczoru w zakrystii. Nagle, w ciągu tej jednej chwili, wypełniła ją złość. Ta wściekłość miała jej pomóc przetrwać tę rozmowę.

– Nie wiesz, kto dzwoni, prawda? – powiedziała szorstko. Jej głos brzmiał obco nawet dla niej samej, jakby była inną osobą.

– Przepraszam, ale o co chodzi? – zapytał. Nie poznał jej. To dobrze.

– No właśnie... Nie wiesz. Nie poznajesz mnie, prawda? – Podobało jej się to, co robi.

Nie odpowiedział. Cisza była krótka. Biskup cały czas był po drugiej stronie, nie rozłączył się.

– Mówi Alicja Drylska. Alicja Drylska – powtórzyła, za drugim razem wypowiadając swoje nazwisko trochę wolniej.

W odpowiedzi usłyszała tylko jego oddech, biskup gwałtownie wciągnął powietrze. Był zupełnie inny niż ten, który zapamiętała. Inny niż ten, którego nie zapomni do końca życia. Miała wrażenie, że biskup nabrał powietrza i już go nie wypuścił.

– No nie mów, że nie czekałeś na mój telefon?! No przyznaj się, że czekałeś. – W jej głosie była ironia. Upajała się każdym słowem.

– Pani Alicjo, ja nie mogę... – zaczął bardzo niespokojnie. Ale od razu mu przerwała.

– A nie, nie, nie... nie uciekaj! Zostań ze mną jeszcze chwilkę. Nie ma się czego bać. Muszę ci coś powiedzieć. Nie myślisz chyba, że dzwonię tak po prostu, bez powodu. – Przerwała i spojrzała na kartkę ze słowem „WIADOMOŚĆ!”. – Mam dla ciebie wiadomość. To cię na pewno zainteresuje. Po prostu musisz to usłyszeć!

Była coraz lepsza. Rozkręcała się. W ostatnim słowie postawiła akcent w taki sposób, że prawie wyśpiewała te parę głosek.

– Proszę do rzeczy – wycedził, jakby przez zęby. Chyba dopiero teraz wypuścił powietrze.

– No to się cieszę, że się nie boisz. Bo nie boisz się, prawda? – spytała i zawiesiła głos tylko na chwilę. Odkleiła i odwróciła kartkę z napisem „CHYBA SIĘ NIE BOISZ?!”. – To dobrze. Bo to jest bardzo dobra wiadomość! Ucieszy cię!

– Do rzeczy! – powiedział o wiele głośniej. Bał się. Niecierpliwiał się. Nie chciał tej rozmowy. Wyczuwała to coraz wyraźniej.

To dobrze.

– Już, już! Już mówię! To co mi zrobiłeś, to było, to było... – nie umiała znaleźć słów, by opisać, to co czuła, mrok znów ją pochłonął w jednej sekundzie, ale szybko się z niego otrząsnęła.

– No więc wyobraź sobie, że byłam w ciąży, kiedy mnie zgwałciłeś! – pierwszy raz powiedziała to na głos. Poczowała ulgę. Powiedziała to i odwróciła kolejną kartkę.

Cisza. Milczał. Ale wciąż tam był. Bardzo dobrze.

– Zgwałciłeś kobietę w ciąży! Dasz wiarę?! – Niemal się roześmiała. Była fantastyczna. Nie była sobą. Grała siebie w tej

roli. Ale była rewelacyjna... Odkleiła i obróciła samoprzylepną karteczkę ze słowami „DZIECKO!!!”.

Oddychał coraz szybciej. Było słycać, że teraz się odezwie. Odezwie się, tylko jeszcze nie wie, co powiedzieć. Jeszcze powstrzymuje w sobie złość. Powstrzymuje ją z ledwością, ale jeszcze mu się udaje.

– Bujdy pani opowiada, pani Alicjo. Bujdy jakieś. Podobno nie chodzi pani do pracy. Coś się stało? Martwiłem się o panią – mówił bardzo stanowczo. Ale jeszcze w miarę spokojnie. Udawał. Kłamał, jakby się bał, że ktoś może go słyszeć. Bał się. To dobrze.

– Nie, gadzie! Nie chodzę do pracy. – Tym razem podniosła głos. Odwróciła karteczkę. Tę, na którą spadły wcześniej krople. –

Pamiętasz, co się stało na zakrystii?! Pamiętasz, co mi zrobiłeś?! Lubisz brać kobiety siłą?! – rozpędziła się. Nie chciała przestać, musiała dokończyć tę rozmowę. – Więc wyobraź sobie, że tym razem trochę przesadziłeś! – Przed oczami stanęły jej jaskrawoczerwone plamy krwi, które rano po raz kolejny znalazła na bieliźnie. – Będziesz musiał ponieść konsekwencje. I właśnie po to do ciebie dzwonię. Żeby ci powiedzieć, że masz pecha. Nie wiem... może trzeba było myśleć wcześniej? No, teraz to niestety już za późno. I wszyscy się dowiedzą – skończyła, ale jeszcze nie była zmęczona. Zostało jej jeszcze trochę sił. Na stole leżały jeszcze dwie nieodwrócone kartki.

Sapał. Już nie oddychał. Teraz ciężko dyszał. Alicja wiedziała, że robi wszystko, żeby się powstrzymać i nie powiedzieć za dużo.

– Słuchaj, drogie dziewczę, jeśli myślisz, że takim telefonem cokolwiek wskórasz, to jesteś w grubym błędzie! Nie mam pojęcia,

o czym mówisz! – charczał. Mówił tak, jakby jego głos był przesterowany. Dałaby głowę, że ślina kapie mu z ust. – A może się zobaczymy i wszystko sobie wyjaśnimy? Co pani na to? Może się spotkamy?

Nadal kłamał. Nie chciał powiedzieć nic więcej przez telefon, czuła to. Ale to nie było ważne. Ważne, że Alicja mówiła. Dalej mówiła to, co chciała.

– No widzisz, nie bardzo mogę się spotkać, bo wyjeżdżam. Wyjeżdżam i nigdy mnie już nie zobaczysz. – Odwróciła przedostatnią kartkę. – Ale napiszę. Napiszę do ciebie i nie tylko. Napiszę do mediów. Do twojego brata. Opowiem wszystko, w szczególach, i wiesz, nawet przedstawię odpowiednie dowody. Aha! I obyś kanalio miał chociaż tyle szczęścia, żeby nic się nie stało, bo jeśli stracę to dziecko...

– Zniszczę cię – wysyczał. Nie wytrzymał. Wyrwało mu się. Jednak powiedział coś, czego nie powinien. Świetnie.

– No patrz! Wyjąłeś mi to z ust! Dokładnie to samo chciałam ci powiedzieć na sam koniec! – odparła, odwracając ostatnią kartkę. Tę z napisem „ZNISZCZĘ CIĘ!”. Rozmowa dobiegała końca. – To ja cię, mój drogi, zniszczę. Za to, co mi zrobiłeś. I za Maleńkowa. Pamiętasz go? Dobrze wiem, jak go załatwiłeś. To koniec, gadzie. To twój koniec!

Teraz oboje oddychali głęboko. Alicja znalazła siłę, żeby wypowiedzieć ostatnie zdania.

– Fajnie się gadało, ale muszę już kończyć. A ty sprawdź jeszcze swoje wiadomości. Zaraz ci coś prześlę. Bo jakoś nie jestem do końca pewna, że mi wierzysz.

Rozłączyła się. Nie zdążył już nic powiedzieć. Po chwili przesłała mu esemesa ze zdjęciem pozytywnego wyniku testu ciążowego i treścią: „Módl się, żeby to wciąż było aktualne!”

Zakończyła ten proces. Wszystko poszło tak, jak chciała, ale była bardzo zmęczona. Z trudem doszła do siebie. Wcześniej była jak w transie. Była jak zaprogramowana.

Odłożyła telefon i zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu. Kilkakrotnie obeszła swoje sześćdziesiąt pięć metrów kwadratowych. Wchodziła do każdego z trzech pokoiów i wracała do kuchni. A potem zaczynała na nowo. Chodziła bez celu i bez kontroli. Tak naprawdę nawet nie wiedziała, że to robi. W kącie salonu stały kwiaty doniczkowe, dwie duże draceny i mniejsze aglonemy. Wszystkie z tych roślin były niemal nie do zdarcia, ale przyszło jej do głowy że kiedyś w końcu musi je podlać. To była jedyna myśl, którą zapamiętała z kolejnych dwudziestu minut. Emocje opadały powoli. A kiedy opadły, Alicja położyła się i chwilę później zasnęła. Minęła dziewiętnasta. Zostawiła włączony telewizor. Leciał akurat program informacyjny, ale dźwięk był wyciszony. Alicja spała prawie do północy. Kiedy się obudziła, w telewizji kończył się film przygodowy.

Wstała z kanapy i poszła do kuchni napić się soku pomarańczowego. Niecałe trzy minuty później pobiegła do toalety. Wymiotowała, klęcząc na podłodze. Zwróciła całą zawartość żołądka. Po wszystkim nie była w stanie się podnieść. Oparła się plecami o szafkę pod umywalką i zaczęła na przemian śmiać się i płakać. Ta reakcja rozchwianego organizmu dała jej nową nadzieję. To nie był płacz kobiety bezradnej. To był płacz kogoś,

kto wie, że musi wszystko przetrzymać. Musi, bo wciąż ma dla kogo. Kogoś, kto wie, że wytrzyma, a potem wszystko będzie dobrze.

I być może wszystko ułożyłoby się dokładnie tak, jak chciała Alicja, gdyby się nie pospieszyła. Miała przecież zadzwonić tuż przed wylotem do Sztokholmu. Albo nawet dopiero ze Szwecji. Ale zadzwoniła do biskupa Waltera wcześniej. Wtedy jeszcze tego nie wiedziała, ale miało to jeszcze bardziej skomplikować jej najbliższe dni.

Henrik nie spał tej nocy. Nie mógł doczekać się wylotu z Oslo. Następnego dnia miał być w Częstochowie. Alicja tego nie wiedziała. Była pewna, że będzie tak, jak się umówili, i spotkają się dopiero w Sztokholmie w poniedziałek. Henrik chciał jednak, żeby jego wizyta była nieoczekiwana. Nie ulegało wątpliwości, że jego przyjazd mógłby bardzo pomóc Alicji. To mogłyby być wspaniałe i kojące chwile. Byłoby tak, gdyby Alicja wiedziała o jego przybyciu. I gdyby telefon do biskupa Waltera wykonała dwa dni później. Było jej jednak zbyt duszno.

Kiedy opanowała targające nią emocje, poszła do sypialni i spała do rana. Nie podlała kwiatów. Nie zrobiła tego również w kolejnym dniu.

ROZDZIAŁ 26

Stanisław

Sobota, 8 listopada 2014

Pani Maria Wywiał z domu Śliwińska zmarła w piątek, w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat i stu jedenastu dni. Miała dwóch synów. Jeden z nich zakończył życie w wieku siedemdziesięciu jeden lat, jeszcze zanim odeszła jego matka. Dokonał żywota w Wielkiej Brytanii i pani Maria nic o tym nie wiedziała, bo od bardzo dawna nie miała dobrych kontaktów z synem. Wyjechał z kraju prawie trzydzieści lat wcześniej, zabierając żonę i córkę. Od tamtego czasu odwiedził panią Marię tylko kilka razy. Miał dwoje dzieci, ale pani Maria była dla wnucząt właściwie obcą osobą. Częstochowa nigdy nie stała się celem żadnego z ich zagranicznych wyjazdów. Drugi z synów skończył sześćdziesiąt osiem lat i Bóg jeden wie, jakim cudem w ogóle mu się to udało. Pił bowiem na umór mniej więcej od tylu lat, ile jego brat spędził na Wyspach. Nigdy nie miał dobrego życia, a obecnie właściwie w ogóle już nie chciał go mieć i czekał, aż się skończy. Los pogał go na Śląsk i właśnie tam, w Bytomiu, w mieszkaniu na siódmym piętrze bloku z wielkiej płyty, spędzał swoje ostatnie lata.

Pani Maria bardzo kochała Przenajświętszą Panienkę i od lat miała tylko ją. Oczywiście było więc, że właśnie Matce Bożej oddała wszystko, co posiadała. Testament pani Marii został sporządzony i podpisany w obecności notariusza oraz kanclerza częstochowskiej kurii Sławomira Maja.

Tym samym dopełnił się plan biskupa Stanisława Waltera i wszystkie trzy działki u styku ulic Kilińskiego i Zbierskiego przeszły we władanie Kościoła katolickiego. Kuria dysponowała już posiadłościami pani Marii Wywiał i pani Wiesławy Czeladnik, a przede wszystkim była właścicielem działki, na której stał przedwojenny dworek małżeństwa Józefa i Lidii Sobińskich. Formalnie nie było już żadnych przeszkód, by sfinalizować transakcję z miastem i czerpać korzyści z tego, że Dariusz Grott będzie mógł rozpocząć budowę kolejnej filii swojego plastikowego imperium.

Wiadomość o śmierci pani Marii, którą kanclerz Maj przekazał biskupowi tego poranka, powinna więc ucieszyć Stanisława Waltera. Biskup jednak przyjął tę wiadomość niemalże obojętnie, co nieco zaskoczyło kanclerza, ale nie wywołało jego większego zdumienia. Sławomir Maj od dawna nie był w stanie odgadnąć, co kryje się w głowie biskupa. Tym razem wydawało mu się, że myśli przełożonego zaprzatają zupełnie inne sprawy i że jest strapiony, ale nie miał na tyle śmiałości, by nawet przed samym sobą przyznać, że może tak być w istocie. Nie mógł się nawet spodziewać, jak trafne są jego przypuszczenia.

Biskup Stanisław Walter wiedział, że jego plan może nie mieć już żadnego znaczenia. Jeśli prawdą jest to, co usłyszał od Alicji

Drylskiej, wszystko, co do tej pory zrobił w życiu, przestanie mieć jakąkolwiek wagę.

Stanisław Walter tym razem również przebywał w archikatedrze Świętej Rodziny, ale nie w zakrystii. Nie w ciemnym pomieszczeniu, które tak dobrze znał. Wolno spacerował po pustym kościele. Szedł lewą nawą, kierując się w stronę prezbiterium. Mijał kolejne filary, aż doszedł do wizerunku swojego wielkiego poprzednika. Spojrzał na rycinę Stefana Bareły i umieszczone pod nim epitafium. Po chwili odwrócił wzrok. W głowie pojawiły mu się porównania i myśli, których nie mógł wytrzymać. Biskup Bareła wiele lat temu też był biskupem pomocniczym archidiecezji częstochowskiej. Tak samo jak on teraz. Ale Stanisław Walter wiedział, że jego wizerunek nigdy nie zawiśnie w tej bazylice. Co więcej, biskup Walter czuł, że jeśli cokolwiek teraz pójdzie nie tak, jego nazwisko może pojawić się niedługo na czerwonym pasku wszystkich serwisów informacyjnych. I to wcale nie ze względu na zasługi.

Próbował się skupić, ale nie potrafił. Wcześniej pomyślał, że być może właśnie w bazylice uda mu się skoncentrować. Snuł się po katedrze od ponad dwudziestu minut. Nie był sam. We wnętrzu znajdowało się kilkunastu wiernych. Większość z nich modliła się, siedząc w ławach. Byli i tacy, którzy podobnie jak Walter wędrowali po wnętrzu. Ich obecność irytowała go. Podobnie jak widok niebieskiego wiadra, które od wielu dni stało w tym samym miejscu na podłodze, dokładnie pod miejscem przecieku. Pomyślał, że ta dziura chyba już nigdy nie będzie załataną. Usiadł w pustym rzędzie i próbował zebrać myśli. Jednak to miejsce wymuszało

siedzenie przodem do prezbiterium i patrzenie na krzyż, więc czym prędzej wstał. Nie mógł się skupić, zamiast spokojnie analizować wszystkie możliwe wersje dalszych zdarzeń, ciągle myślał o tym, gdzie uciec wzrokiem.

W końcu zdecydował się opuścić świątynię. Szybkim krokiem wyszedł przez frontowe drzwi. Zaskoczyło go to, że kiedy znalazł się na zewnątrz, było już niemal zupełnie ciemno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta trzydzieści. Julian wciąż nie dawał znać.

Biskup wsiadł do samochodu. Tutaj nic go nie dekoncentrowało. Deszcz bębniący o karoserię stanowił dobry, rytmiczny podkład dla jego myśli. Przede wszystkim jeszcze raz skupił się na każdym słowie, które wypowiedział w rozmowie telefonicznej z prawniczką. Jeszcze raz analizował, czy aby na pewno nie powiedział niczego, co mogłoby zostać uznane za przyznanie się do czynów, o których mówiła Alicja. Był niemal pewien, że Drylska nagrywała tę rozmowę. Być może ktoś już ją odsłuchiwał. Być może komuś już ją puściła. „Zniszczę cię” – to były słowa, których niepotrzebnie użył. Mógł bardziej nad sobą panować. Ale w sumie to mogłoby być odebrane jedynie jako odparcie ataku, jako słowa wypowiedziane w nerwach. Poza tym przecież do niczego się nie przyznał i na pewno nikt jeszcze niczego nie wiedział. Przyznał się tylko przed samym sobą. Okazało się to dla niego trudniejsze, niż myślał.

Zastanawiał się, czy przypadkiem Drylska wszystkiego nie zmyśliła. Może kłamała albo całkiem sfiksowała po tym, co jej zrobił. Działała nieracjonalnie, zupełnie nie jak prawnik, którym

przecież była. Prawnik takie rzeczy rozgrywa na chłodno. Zbiera dowody, paragrafy. Ale nigdy nie dzwoni do oprawcy. Nie straszy. Bał się, bo Drylska okazała się kompletnie nieprzewidywalna, nie działała jak zdeorientowana i przestraszona kobieta. A co jeśli naprawdę pójdzie do prasy? Co jeśli nie kłamała? Jeśli naprawdę była w ciąży? Do czego była zdolna, żeby się na nim zemścić? Ten telefon uświadomił mu, że Drylska jest nieobliczalna, dlatego musiał ją jak najszybciej uciszyć. Czuł, że stać ją na więcej i nie mógł pozwolić sobie na jej kolejne wybryki.

Cieszył się, że miał kogoś takiego jak Julian. W tej sytuacji cenił go nawet bardziej niż zwykle. Dziecina wszystko załatwi. To była pierwsza myśl, która przeleciała mu przez głowę po rozmowie z Drylską. Dziecina to wszystko zakończy. Już wcześniej czuł, że tak właśnie będzie. Być może powinien uprzedzić jej ruch.

Jego rozmowa z Julianem była dłuższa niż zwykle. Nie sprowadziła się jedynie do wydania konkretnego polecenia. Biskup poświęcił mu więcej czasu. Tak jakby czuł, że musi go lepiej przygotować. Tym razem nie mógł pozwolić sobie na taki błąd, jak w przypadku Maleńkowa. Wiedział, że jeśli Julianowi przydarzy się kolejna wpadka, będzie musiał się go wyprzeć. Będzie musiał powiedzieć, że chłopak działał na własną rękę i że on nie miał z tym nic wspólnego.

Dlatego tłumaczył mu wszystko długo i dokładnie.

– Użyjesz pistoletu, rozumiesz, dziecino? – pytał. – Nie będziesz atakował nożem. Użyjesz pistoletu. Użyjesz go tylko, jeśli coś pójdzie nie tak. Przytaknij.

– Rozumiem – odpowiadał Julian.

– Użyjesz tłumika. Ma być cicho. Dokręcisz tłumik do lufy.

– Tak jest – odpowiadał Julian.

– Pokaż broń. Załóż tłumik przy mnie.

Julian założył. Julian pokazał broń.

– Bardzo dobrze, dziecino. Poczekasz pod jej blokiem. Poczekasz, aż wyjdzie. Wtedy ty wejdiesz do jej mieszkania i tam będziesz czekał, aż wróci. Nie podchodzisz do niej na dworze. Nie atakujesz na zewnątrz.

– Tak zrobię. Wejdę do jej mieszkania i tam poczekam – odpowiadał Julian.

– Kiedy wejdiesz, napiszesz mi wiadomość. Ma to być tylko jedno słowo. Napiszesz mi „JESTEM”. Dobrze?

– Tak jest. Rozumiem. Napiszę „JESTEM” – przytaknął Julian.

– Pistoletu używasz tylko, jeśli coś pójdzie nie tak. Pamiętaj! Masz jej nie zabijać, chyba że coś pójdzie nie tak! Masz ją porwać. Sam się z nią rozprawię później.

Choć pewnie dziecina nastraszy ją tak mocno, że nie będę musiał robić nic więcej – pomyślał.

– Tak jest – potwierdził znowu Julian.

– Masz ją odurzyć. Dałem ci chloroform. Nasączysz nim chustę. Potem wyniesiesz Drylską. Tak, żeby nikt nie zauważył. Ja będę czekać na dole.

– Rozumiem.

– Pokaż butelkę. Pokaż chustę.

Julian pokazał butelkę z chloroformem i chustę.

– Musisz zamknąć mieszkanie. Zostawić zapalone światło w kuchni. Zapalisz to światło, zamkniesz drzwi i wyjdiesz.

Wyniesiesz ją. Musisz być bardzo ostrożny.

– Wyjdę tak, żeby nikt nie widział. Zamknę drzwi. Zostawię światło w kuchni – odpowiadał Julian. Julian rozumiał. Julian już słyszał muzykę. Już wtedy grała w jego głowie.

– Będę w pobliżu. Będę obserwował. Uprzedzę cię, jeśli nie będzie wracać do domu sama, dziecino. Będziesz miał czas, żeby uciec.

– Dziękuję – powiedział Julian.

Ta rozmowa odbyła się wcześniej rano. Walter całą noc bił się z myślami, uznał jednak, że to jedyne rozwiązanie. Julian godzinę później był już w okolicy jej bloku na Zana. Obserwował.

Trwało to zdecydowanie za długo i biskupa ogarniały coraz większe wątpliwości. Powinien pojechać i być w pobliżu. Już dawno powinien tam być. Jeśli Drylska rzeczywiście przyprowadzi ze sobą kogoś do domu, Julian zostanie sam. Powinien tam być, wiedział to doskonale, ale mimo wszystko jeszcze czekał.

Każdy czyn, którego się dopuszczał, pociągał za sobą kolejny, który sprawiał, że biskup stawał się jeszcze gorszy. Każdy jego następny krok był coraz bardziej bezwzględny. Biskup wiedział, że stał się potworem. Był nie tylko przestępcą. Był zwyrodnialcem. Nędznikiem. Z wiekiem stawał się coraz gorszy, a teraz po raz drugi w życiu zlecił de facto zabójstwo człowieka.

Nie umiał jednak przestać. Nie wiedział, co innego mógłby teraz zrobić. Jedyne, co czuł poza lękiem, to nienawiść. Tak jak nienawidził za młodu, tak samo nienawidził teraz. Jedyne, czego się nauczył, to jak wykorzystać swój spryt i skutecznie wszystkich oszukiwać. Bóg był jedynie przykrywką. Wiara była jedynie drogą,

a nie celem. Swoją modlitwę znajdował w podłości i pogardzie. Tylko to naprawdę go napędzało.

Dlatego kiedy cztery minuty później przeczytał wiadomość o treści JESTEM, nie wahał się ani chwili. Czym prędzej odpalił silnik. Chwilę później był na miejscu.

ROZDZIAŁ 27

Julian

Sobota, 8 listopada 2014

Kiedy atakował Maleńkowa, miał na sobie dokładnie to samo, co teraz. Strój, który dostał od Stanisława Waltera, od razu stał się jego ulubionym. To był strój łowcy. Niewidzialnego tropiciela. Czuł, że będzie to jego stała garderoba w takich sytuacjach. Nie dopuszczał myśli, że ta akcja może być jego ostatnią. Chciał ich więcej i każdą kolejną upajał się jeszcze bardziej. Szarobrązowe moro na kurtce i spodniach wtapiało się idealnie w otaczającą go scenerię, a Julian pozostawał niewidoczny.

Minęło już sześć godzin, odkąd zjawił się w okolicy bloku przy ulicy Zana 2. Idealne miejsce do obserwacji mieszkania Alicji Drylskiej znalazł natychmiast. Narzucało się samo. Ten, kto planował aranżację przestrzeni na tym podwórku, na pewno nie wiedział, jak bardzo ułatwi Julianowi zadanie. Wszystko było ustawione w sposób symetryczny. Panowała tam równowaga i spójność.

Blok znajdował się pomiędzy ulicami Goszczyńskiego i Zana. Wejścia do klatek schodowych umiejscowione były od strony

podwórka. Dokładnie naprzeciw każdego z wejść, w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów, stały ławki. Julian siedział na jednej z nich i obserwował klatkę oznaczoną numerem dwa. Baczenie wpatrywał się okno na drugim piętrze. Cały czas paliło się tam światło. Drylska nie opuściła mieszkania od rana. Wiedział o tym dobrze, bo nikt z wchodzących i wychodzących nie umknął jego uwadze od wielu godzin. Niewiele osób zdecydowało się w ogóle wyjść na zewnątrz w tak ponurą sobotę. Wydawało się, że niebo spadło jeszcze niżej niż zwykle i szarą pięścią raz po raz okłada pękające z bólu czaszki częstochowian. Większość mieszkańców spędzała ten dzień drzemiąc, oglądając seriale albo bezsensownie scrollując Facebooka. Nie przejawiali żadnego zainteresowania tym, co dzieje się na zewnątrz, co stanowiło dla Juliana kolejne tego dnia ułatwienie.

Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi, mimo że przez większość czasu prawie nie ruszał się z ławki. Przez te kilka godzin zdążył się już nauczyć na pamięć układu czerwono-szarych wzorów, jakimi ozdobiona była elewacja czteropiętrowego bloku. W miarę upływu czasu deszcz przybrał na sile i stał się coraz gęstszy, a kolory budynku zatarły się i były ledwo dostrzegalne. On jednak pamiętał wszystkie figury. Wiedział dokładnie, że okno, które obserwuje, graniczy z szarym kwadratem namalowanym na ścianie. Julian policzył wszystkie drzewa w okolicy i stwierdził, że podoba mu się, iż zostały posadzone w równych odstępach. Wszystko w tej okolicy miało swój rytm. Tak jak swój niepowtarzalny rytm miała muzyka, którą słyszał w głowie od samego rana. Od momentu, w którym zjawił się na tym osiedlu,

towarzyszyły mu dźwięki waltorni, skrzypiec i fortepianu. Dni, w których grała muzyka, już od wielu lat były jego ulubionymi.

Dawno temu muzyka zagłuszała rosnący w nim szal. Teraz było odwrotnie. Muzyka pomagała mu podtrzymać gniew. Nauczył się ją włączać i wyłączać, wtedy kiedy trzeba.

Julian trzymał ręce w obszernych kieszeniach kurtki. Jedną mocno zaciskał na rękojeści pistoletu, drugą co chwila sprawdzał, czy fiolka z chloroformem i chustka nadal tam są. Tylko raz wyjął ręce po to, by odpakować kanapkę z serem i szynką, którą rano zabrał ze sobą z kurii. To był jego jedyny posiłek od wczesnego ranka, ale Julian nie czuł głodu. Julian miał cel i na nim się koncentrował.

Wyjdiesz. Ja wiem, że wyjdiesz. A wtedy ja wejdę i ukryję się. A kiedy wrócisz, zrobię wszystko tak, że nikt niczego nie zauważy.

Julian pamiętał cały plan, który nakreślił mu biskup Walter. Kilkadziesiąt razy powtórzył w myślach każdy ruch. Powtarzał słowo JESTEM, które miał napisać do biskupa, kiedy tylko wejdzie do mieszkania Drylskiej.

Julian wszystko pamięta. Julian wszystko rozumie. Tym razem nie zrobi żadnego błędu.

Nie przeszkadzał mu deszcz. Ubranie było nieprzemakalne i ciepłe. Pomiedzy spadającymi kroplami i tak z łatwością dostrzegął drzwi do klatki schodowej numer dwa. Jeśli Drylska stamtąd wyjdzie, on dojrzy ją bez trudu.

Nie atakować na zewnątrz. Wejść do środka.

Julian był tu już wcześniej. Kiedy Alicja Drylska pojawiła się w kurii po raz pierwszy, biskup powiedział mu, żeby ją śledził

i dokładnie zapamiętał, gdzie mieszka. Julianowi udało się wówczas wejść nawet do klatki i utrwalić w pamięci widok drzwi do mieszkania prawniczki. Znał dobrze swój cel. Znał drogę do niego.

Alicja Drylska wyszła z domu o piętnastej pięćdziesiąt siedem. Miała na sobie czarny przeciwdeszczowy płaszcz, ale kiedy otworzyła drzwi, nie założyła jeszcze kaptura i Julian wyraźnie widział jej twarz. Skręciła w prawo i szybkim krokiem szła w kierunku parkingu. Tak jak przewidział, chwilę później usłyszał dwa krótkie dźwięki i zobaczył pomarańczową poświatę migających kierunkowskazów jej samochodu. Alicja wsiadła do auta i bez zwłoki odjechała. Julian podniósł się i ruszył w kierunku wejścia.

Podszedł do domofonu i wybrał przypadkowy numer.

– Tak, słucham – odezwał się zniechęconym głosem jakiś lokator.

– Ministrant. Ulotki zostawię. Proszę mnie wpuścić – powiedział Julian.

– Echhhh... – usłyszał głos z drugiej strony, ale po chwili rozległo się bzyczenie i Julian otworzył drzwi. Podziękował, jednak rozmówca wcześniej odwiesił słuchawkę i nawet tego nie słyszał.

Mimo że wewnątrz nie paliło się światło, było tu nieco jaśniej niż na dworze. Klatkę niedawno wyremontowano, lecz i tak nie sprawiała wrażenia nowoczesnej. Grafitowe kraty zamontowane pod sufitem zmniejszały optycznie przestrzeń i czyniły ją bardzo klaustrofobiczną. Jaskrawożółty kolor ścian sprawiał jednak, że wewnątrz wydawało się przyjemnie ciepłe. Julian bez zwłoki wszedł

na górę. Wewnątrz panowała zupełna cisza. Echo jego kroków odbijało się od murów. Ten dźwięk dawał mu pewność, że jest sam. Kiedy zbliżał się do drzwi mieszkania Drylskiej, sięgnął do bocznej kieszeni swych bojówek i wyjął z niej dwa wytrychy. Otwarcie zamka zajęło mu krótką chwilę. Opanował tę sztukę jeszcze wtedy, kiedy przebywał w kościele Świętego Jakuba. Ćwiczył to głównie z nudów, ale biskup Walter go wspierał, mówiąc, że ta umiejętność jeszcze kiedyś może mu się przydać.

Biskup Walter jest mądry. Julian pomaga biskupowi.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi tylko na górny zamek. Przekręcił go dwukrotnie. Dokładnie tak jak zrobiła to Drylska, niecałe trzy minuty wcześniej. Wchodząc, nawet nie obejrzał się za siebie. Wiedział, że nikt go nie zauważył.

Mieszkanie było rozplanowane tak samo symetrycznie jak podwórko przed blokiem. Długi i wąski przedpokój dzielił je na dwie niemal równe części. Po każdej stronie znajdowały się dwa pomieszczenia, po lewej kuchnia i jeden pokój, a po prawej dwa pokoje. Na końcu przedpokoju, na wprost wejścia, były jeszcze jedne drzwi. Mała mleczna szybka wskazywała, że jest tam łazienka. W kuchni paliło się światło, które wpadało również do wąskiego holu.

Dobrze. Jest dokładnie tak, jak miałem zrobić. Jest światło w kuchni. Nie będę się musiał już o to martwić.

Julian dokładnie sprawdził każde pomieszczenie. Upewnił się, że znajdzie najlepsze miejsce dla siebie. W mieszkaniu było ciemno, ale na tle białych ścian kształty mebli odcinały się wyraźnie. Poruszał się śmiało i pewnie. Wszedł do salonu, pierwszego

pomieszczenia po prawej. Prowadziło do niego szersze od pozostałych łukowe wejście. Nie było tu żadnych drzwi. Tuż przy wyjściu na balkon w jednym z rogów stało kilka dużych kwiatów doniczkowych. Po prawej stronie salonu, przy ścianie znajdowało się niewielkie akwarium, w którym świeciła się lampka. Julian wybrał więc lewą, ciemniejszą stronę. Nie tylko mógł tu być niewidoczny, ale sam miał znakomity punkt do obserwacji drzwi wejściowych i kuchni. Stał w cieniu i wyciągnął telefon. Wybrał numer Stanisława Waltera i wysłał mu uzgodnioną wiadomość. Był w środku. Zameldował się. Teraz mógł tylko czekać. Stał w bezruchu i oddychał miarowo, spokojnie i niesłyszalnie.

Zachowywał spokój. Nasączył chustkę chloroformem i trzymał ją w lewej dłoni. Ale na wszelki wypadek wyjął też broń. Trzymał ją w prawej ręce. Stał i czekał. I wtedy w jego głowie znowu pojawiła się muzyka. Tylko że tym razem to nie była klasyka, tylko piosenka, która posiada tekst. I te słowa nagle wypełniły jego głowę, zupełnie go dekoncentrując. Julian nie wiedział, dlaczego cały czas słyszy w głowie jedno zdanie wyśpiewane smutnym, znudzonym głosem. Nie wiedział, dlaczego słowa „dziękuję mamie i tacie za opiekę” zawładnęły nim. Czuł, że to miało jakiś związek z tym miejscem, w którym się znajdował, zdawało mu się, że już tu kiedyś był. Znikąd pojawił się obraz mężczyzny, który wkłada kasetę magnetofonową do odtwarzacza w samochodzie. Julian drżał.

Alicja Drylska wróciła do mieszkania sama. Biskup Walter nie musiał więc ostrzegać Juliana. Julian nie musiał uciekać i się chować. Na parkingu pod blokiem były dwa wolne miejsca. Jedno

z nich zajął Stanisław Walter i widział, jak Drylska podjeżdża, parkuje i wysiada z samochodu. Widział, jak następnie bierze dwie duże reklamówki z zakupami z bagażnika i idzie w kierunku bloku. Była sama. Kiedy zniknęła za rogiem, mógł już tylko czekać.

Julian stał w bezruchu. Najpierw usłyszał kroki na klatce schodowej. Zbliżyły się do mieszkania, w którym był. Ucichły przed drzwiami. Słyszał odgłos stawianych na podłodze korytarza zakupów. Potem słyszał szelest płaszcza. Drylska przeklinała pod nosem. Musiała szukać klucza. W końcu go znalazła i przekręciła w zamku dwukrotnie. Ale jeszcze nie otworzyła drzwi. Do jego uszu znowu dobiegł szelest płaszcza i dźwięk butelek i puszek, które przesuwały się w podnoszonych z podłogi reklamówkach. Te dźwięki nie przegoniły jednak słów piosenki, którą wciąż słyszał Julian. Drylska pchnęła drzwi i zobaczył ją w korytarzu. Zapaliła światło na klatce i widział ją bardzo dobrze. Miała na sobie ciemnoszarą dresową tunikę i beżowe botki. Płaszcz nawet nie założyła. Przewiesiła go przez ramię. Siatki były dość ciężkie. Było widać, że chce je jak najszybciej odłożyć. Weszła i nogą lekko kopnęła drzwi. Nie zamknęły się do końca. Tylko odbiły się od framugi i zamka, zostawiając kilkumilimetrową szparę. Skierowała się do kuchni. Jednym ruchem postawiła zakupy na blacie. Następnie rzuciła płaszcza na oparcie krzesła barowego. Zanim się odwróciła i zobaczyła Juliana, zdążyła jeszcze ciężko westchnąć.

Odgarnęła włosy za ucho i obróciła się w stronę przedpokoju.

W tym samym czasie Julian przybliżył się nieco i wyciągnął prawą rękę, kierując lufę pistoletu wprost na nią. Nie spodziewał się, że jej ruchy będą tak gwałtowne. Chciał chociaż przez chwilę

rozkoszować się całą sytuacją. Do chwili, w której ich spojrzenia się spotkały, miał co najmniej trzy szanse, żeby ją odurzyć. Z żadnej nie skorzystał. Muzyka sprawiła, że zapomniał, o co prosił go biskup.

Potem wszystko potoczyło się zbyt szybko.

Alicja rzuciła się do ucieczki. Tak, jakby dobrze wiedziała, co się zaraz zdarzy. Jakby oglądała ten sam film po raz trzydziesty i podpowiadała bohaterom, co mają zrobić, żeby ująć z życiem. Rozpoczynając swój bieg w stronę wyjścia, schyliła się. Wtedy Julian strzelił pierwszy raz. Miał nie strzelać, ale strzelił.

Biskup będzie zły.

Strzelił, ale ona się schyliła. Trafił w lustro. Rozsypało się w drobny mak. Alicja wybiegła na schody. Wybiegała szybko i cicho. Nie krzyczała. Po prostu uciekała.

Julian wybiegł za nią sekundę później, przeskakując przez drobinki szkła. W jego głowie wybrzmiały bębny i kanonada wystrzałów armatnich. A potem wokalista wyśpiewał „tak strasznie leje i mokro wszędzie...”.

ROZDZIAŁ 28

Jerzy

Sobota, 8 listopada 2014

W piątek po szesnastej przyszedł ostatni mail ze stenogramami rozmów telefonicznych. Zapisy rozmów jego brata wciąż nie przyniosły niczego przełomowego, ale na kolejne Jerzy nie chciał czekać aż do poniedziałku. Zdecydował, że następną wiadomość chce otrzymać w sobotę, najpóźniej do godziny piętnastej. Czuł, że brak informacji jest w tej sprawie najgorszą informacją. Ani pluskwa podłożona w kurii, ani podsłuch telefoniczny nie potwierdziły do tej pory jego domysłów. Biskup nie poruszał żadnych drażliwych tematów w swoim gabinecie, a przez telefon odbywał jedynie oficjalne bądź mało znaczące rozmowy. Jerzy obawiał się kumulacji, która może nastąpić nagle po długim okresie oczekiwania. Dlatego cały czas chciał trzymać rękę na pulsie. Chociażby po to, by dać sobie czas na reakcję i tym razem się nie spóźnić.

Kiedy myślał o wszystkim, czego się dowiedział w ostatnim czasie, czuł, że jest skłonny chronić Drylską o wiele bardziej niż swego brata. Paradoksalnie nie stanowiło to już dla niego żadnego

dylematu. Nie przypuszczał, że będzie postawiony przed takim wyborem, ale kiedy już tak się stało, dokonał go bardzo szybko i z całkowitą pewnością.

Przez cały ranek był rozdrażniony i zmęczony czekaniem. Nie miał żadnych weekendowych planów i czytanie kolejnych stenogramów miało być dla niego najciekawszym punktem soboty. Chwilę przed drugą wybrał się do McDonalda. Wcześniej mocno się zdziwił, kiedy zajrzał do lodówki i zobaczył jedynie przeterminowany serek wiejski i opróżniony do połowy słoik musztardy. Jerzy mieszkał koło Politechniki i najbliższy McDonald znajdował się na Okulickiego. Wsiadł do swojego trzyletniego granatowego mondeo i kilka minut później był już na Parkitce. Znał tę restaurację bardzo dobrze. Jadał tu kilka razy w miesiącu. Zamówił więc swój stały zestaw, składający się z Big Maca, WieśMaca i coli. Dochodziła druga czterdzieści, kiedy zadzwonił Marczuk. Jerzy właśnie przegryzał ostatni kęs WieśMaca, którego w tym zestawie zawsze jadł w drugiej kolejności.

– Widziałeś?! – zapytał Marczuk. Słysząc było, że jest podenerwowany.

– Co miałem widzieć?

– Stenogramy. Już są. Przyszły pół godziny temu!

– Nie. Od drugiej nie ma mnie w domu.

– Jurek, kurwa! Musisz to przeczytać jak najszybciej! – Ton Marczuka nie pozostawiał wątpliwości, że nie jest dobrze. Jerzy nie musiał dopytywać, o co chodzi.

– Wracam najszybciej, jak mogę! Dzięki za telefon, Marek.

– Przeczytaj i daj znać, co robimy. To jest, kurwa, grube!

Sprawdź wczorajszą rozmowę z dziewiętnastą zero jeden.

Jerzy wybiegł z McDonalda, zostawiając tacę z opakowaniami przy stoliku. Skrzyżowania z Łódzką i Okólną przeciął na czerwonym świetle. Wpadł do mieszkania, nie zdejmując butów i kurtki. Włączył laptopa i zalogował się do policyjnego systemu.

Zapis rozmowy swojego brata z Alicją Drylską przeczytał jednym tchem, a kiedy skończył, natychmiast poczuł silny ból głowy. Zaczął się w momencie, gdy przeczytał ostatnie słowo. Jerzy przyłożył kciuki do skroni i rozmasował je. Nie pomagało. Ból narastał. Zakręciło mu się w głowie i na chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, jeszcze przez kilka sekund widział jedynie płaszące czarne pasma. Dopiero po chwili zaczął widzieć normalnie i mógł jeszcze raz przeczytać zapis rozmowy. Jego brat do niczego się nie przyznał. Niby nie powiedział nic, co potwierdzałoby zarzuty Drylskiej. Ale dwa ostatnie słowa, które skierował do prawniczki, były groźbą. Jerzy obawiał się, że zostanie ona spełniona. I to bardzo szybko. A tak bardzo nie chciał się spóźnić po raz drugi. Dlatego niezwłocznie zdecydował, co zrobi.

Zadzwoił do Marczuka.

– Muszę tam jechać – powiedział, jeszcze zanim przyjaciel zdążył się odezwać.

– Gdzie? Do Drylskiej?

– Tak, Marek. Muszę tam jechać. I mam prośbę do ciebie.

– Wal śmiało.

– Daj mi swoje auto. Moje znają.

– Oczywiście. Nie ma sprawy. Ale kto zna?

– Staszek. Staszek zna. I Julian. Twoje nie wzbudzi podejrzeń.

– Ale jak to? Myślisz, że mogą też tam być?

– Marek, ja się obawiam, że już tam są! Jadę do ciebie. –
Ostatnie słowa wypowiedział już na klatce schodowej.

Marczuk mieszkał w odległości niecałego kilometra od McDonalda, w którym kilkanaście minut wcześniej był Jerzy. Kiedy podjechał pod jego blok, naczelnik stał już na zewnątrz koło swojej skody.

– Mam jechać z tobą? – zapytał, kiedy go zobaczył.

– Nie. Pojadę sam. Jeśli ona będzie w domu, będę chciał z nią porozmawiać. We dwójkę wystraszymy ją jeszcze bardziej.

– Dobra, jak uważasz.

– Naładuj telefon. Miej radio przy sobie i słuchaj komunikatów. Nie wiem, jak to się rozwinie. Mam złe przeczucia. Być może będziemy musieli jechać do Staszka. Poza tym jeśli to dłużej potrwa, wojewódzka zaraz siądzie nam na głowie.

– Dzwon jakby co. I uważaj na siebie.

Jerzy zostawił Marczukowi swój samochód i po chwili odjechał.

Tak naprawdę nie miał konkretnego planu. Działał intuicyjnie. Czuł, że musi tam jechać. Mijając Trójkąt włączył radio i kiedy usłyszał pierwsze takty rozpoczynającego się właśnie utworu, pomyślał, że to jest dla niego podpowiedź. Ta piosenka jedynie potwierdzała, że podjął właściwą decyzję. Po prostu musiał być blisko Alicji jak najszybciej. Lou Reed śpiewał, że to będzie doskonały dzień. To była piosenka, której słuchał z Zuzą i którą wspólnie nucili, nie rozumiejąc jeszcze wtedy wszystkich słów. Ta piosenka nagrana z radia na kasecie magnetofonowej brzmiała

wówczas o wiele gorzej niż teraz w radiu, ale wtedy i tak ich to cieszyło.

A teraz Jerzy jechał do córki swojej miłości i słuchał tego samego utworu. Nucił te same słowa.

Oh, it's such a perfect day

I'm glad I spend it with you

Lou Reed śpiewał coraz mocniejszym głosem. Coraz pewniej. I Jerzy czuł, że jedzie tam, gdzie powinien. Że zmierza tam w odpowiednim momencie.

W drugiej minucie zaczął się jego ulubiony fragment. Lou śpiewał jeszcze głośniej. Śpiewał rzewnie, ale przekonująco.

Oh, such a perfect day

You just keep me hanging on

Kiedy wybrzmiał fortepian i orkiestra smyczkowa, ból głowy zupełnie minął. Jerzy się uśmiechnął. Przez kolejnych kilka taktów wszystko było w idealnej harmonii. Spadające z nieba krople, skrzypce, fortepian i jego oddech współgrały. Jechał do niej. Jechał do Alicji, ale czuł, że jedzie do Zuzy. Teraz nie było już odwrotu i nie chciał zawracać.

Był już na ulicy Goszczyńskiego, kiedy powoli kończył się jego ulubiony fragment. Ich fragment. Jego i Zuzy. Kiedy skręcał na parking pod blokiem przy Zana 2, skrzypce przestały grać i nastął krótki moment ciszy.

I zanim Lou zaczął nieśmiało śpiewać kolejne słowa, Jerzy zobaczył Alicję wybiegającą zza budynku. Była przerażona. Uciekała. Szukała schronienia. Ktoś musiał biec za nią. Ktoś, kogo Jerzy jeszcze nie widział.

Niewiele myśląc, skręcił w lewo. Wjechał na chodnik, przecinając jej drogę. Otworzył drzwi i wciągnął ją do środka.

Jerzy nie wiedział, że piętnaście metrów dalej w samochodzie siedzi jego brat. Biskup Stanisław Walter patrzył przez szybę, ale nie dostrzegł Jerzego. Nie wiedział, kto prowadzi czarną skodę octavię. Wiedział jedynie, że Julian nie zrobił tego, co tak dokładnie zaplanowali.

I tylko mokra częstochowska ziemia świadoma była tego, że wszyscy są tak blisko siebie. I tylko ona wiedziała, że niedługo znowu się to powtórzy. Mimo że teraz mieli się od siebie oddalić.

CZEŚĆ DRUGA

Teraz

ROZDZIAŁ 1

Alicja

Sobota, 8 listopada 2014

Autobus był brudny i stary. To był chyba ikarus. W tym mieście jeszcze jeździły ikarusy. Ten był tak zdezelowany, że przechylał się na bok. Amortyzatory po prawej stronie dawno już nie wytrzymały obciążenia. W środku wszystko było zniszczone.

Ten autobus jest obleśny. To siedzenie się lepi. Skóra jest podarta. Co ty, dziewczyno, robisz w tym autobusie?!

Alicja odgarnęła włosy z czoła. Czuła, jak zimno przykleja się do niej razem z zupełnie przemoczoną sukienką. Miała wodę w butach.

Ten autobus jest martwy. Jest taki stary, że chyba wyjechał tylko po mnie. To mi się śni. Ja wcale nie siedzę w tym syfie.

Przejechała na razie jeden przystanek. Chwilę wcześniej walczący o pokonanie każdego metra silnik wypchnął ikarusa z przystanku przy dworcu PKP na Stradomiu.

Co się dzieje? Co się, kurwa, stało?! Co ja mam teraz zrobić?!

Alicja jeszcze raz spojrzała na twarz kierowcy w lusterku wstecznym. Już na nią nie patrzył. Już miał ją w dupie. Pewnie

myślał, że ćpunka, albo jakaś inna pojebana.

Obejrzała się za siebie. Autobus był prawie pusty. Oprócz niej w środku była jeszcze tylko jedna osoba. Jakiś młody chłopak ze słuchawkami w uszach i z palcem w nosie. Siedział na samym tyle. Zawzięcie mocował się z prawą dziurką i chyba przegrywał tę walkę. Nie mógł dostać się tam, gdzie chciał. Alicja pomyślała, że chciałyby mieć tylko takie problemy.

A do mnie właśnie strzelano! Jak to w ogóle brzmi?! Strzelano do mnie.

Próbowała ustalić, dokąd jedzie. Wszędzie było ciemno. Za ciemno, żeby mogła się zorientować, w którym punkcie miasta dokładnie się znajduje. Była zdenerwowana i potrzebowała światła. Działającego, kurwa, należycie ulicznego oświetlenia! A nie starych lamp świecących się tak słabo, że nie zwabiłyby nawet komara.

Podeszła do metalowej tablicy z wykazem trasy. Numer dwadzieścia trzy. Idealnie. Dobry numer. Dobry jak każdy inny. Nic jej to nie mówiło. Odnalazła przystanek przy jej bloku. Literka A musiała nie wytrzymać próby czasu i w tym autobusie jej przystanek nazywał się Z NA. Spojrzała na przystanek końcowy, zastanawiając się, dokąd zmierza ten rupieć. KSSE Skorki.

Co to niby jest KSSE Skorki? Gdzie to jest, do cholery?!

Przetarła dłonią twarz, doszczętnie rozmazując makijaż, ale przynajmniej wycierając ją w końcu do sucha. Ten makijaż zrobiła dziś dla siebie, dla zabawy. Przecież nie po to, żeby wyjść do Biedronki.

Uspokój się. Myśl! Myśl, kurwa, dziewczyno!

Spojrzała na kolejne przystanki. Piastowska, Sabinowska, Szkoła

Straży Pożarnej i dalej na Dźbów. To już coś jej mówiło. Na przykład to, że zaraz będzie na zadupiu.

Chwyciła sukienkę i odkleiła ją od brzucha. Mogłaby się założyć, że gdyby silnik nie warczał tak głośno, byłoby słychać mlaśnięcie w chwili, gdy materiał odrywał się od jej skóry. To było głupie, ale pomyślała, że teraz dziecku powinno być ciepłej.

Cholera, gdzie ja mam teraz jechać!? Myśl! Czemu Henrik się nie odzywa? Henrik!

Milczał od rana. Ostatni raz kontaktowali się w piątek. Od soboty jakby zapadł się pod ziemię. Miała za swoje. Trzeba było od razu grać w otwarte karty. Trzeba mu było powiedzieć.

Mogłaś powiedzieć mu prawdę!

A teraz dostała za swoje. Pewnie się obraził, że zbywała go przez tyle dni. Pewnie wyczuł, że coś jest nie tak. Była obojętna. Inna. Wyczuł, że kłamała. Ale spokojnie. Będzie dobrze. Już w poniedziałek wszystko mu powie. Wytłumaczy.

Tylko na razie musi sobie jakoś poradzić.

Ale jak ma sobie, kurwa, teraz poradzić?!

Miłość usuwa strach. Ponoć tak właśnie jest. *Myśl o Henriku. Myśl o dziecku. Kochaj!* Miłość zawsze przewycięża strach. Nie ma co wpadać w panikę, bo to najszybsza droga do porażki. Przecież się mu nie udało.

Nic jej nie jest. Biskup z Julianem tylko zasiali w niej strach. Ale przecież teraz była bezpieczna. Nie wiedziała na jak długo, ale była bezpieczna.

Uspokoiła się na chwilę. Zdecydowała, że wysiadzie przy Centralnej Szkole Państwowej Straży Pożarnej. Tam przynajmniej

spróbuje schować się przed deszczem. Stanie pod jakimś daszkiem i pomyśli co dalej.

Wyskoczyła z autobusu dwie minuty później. Odjeżdżając, ikarus wypuścił w jej kierunku hojną dawkę śmierzących spalin. Ten smród był tak ostry, że aż widoczny. Czarniejszy niż mrok dookoła.

Alicja stanęła na schodach i oparła się o poręcz. Spróbowała wszystko uporządkować. Poukładać w głowie. Zaakceptować, że to, co się działo kilkanaście minut wcześniej, jest jak najbardziej prawdziwe. Nie spodziewała się, że biskup może posunąć się do takich kroków. Chciał ją zabić. Przecież to niemożliwe, żeby Julian działał na własną rękę. Ten półgłówek sam by tego nie wymyślił.

A może by wymyślił?! Przecież to psychopata!

I jeszcze komendant. Braciszek. Taki sam, tylko ma troszkę inny mundurek niż biskup. Starszy braciszek ma wdzianko fioletowe, a młodszy granatowe. Starszy lubi kolorek biskupi, młodszy policyjny. Starszy lubi wkładać od tyłu, młodszy pewnie też. Pewnie niewiele się różnią, w końcu to rodzina. Ale przynajmniej ma jasność. Na policję raczej z tym nie pójdzie. Przecież brat nie wystąpi przeciw bratu.

To gdzie iść?!

Rozejrzała się. Tak jakby skanowała, czy w okolicy jest ktoś, kogo zna i komu ufa. Spojrzała na ulicę Jagiellońską i wyobraziła sobie, dokąd ona prowadzi. I nagle ją olśniło.

Ewa! Ewa jest niedaleko!

Wyciągnęła telefon z kieszeni. Dopiero teraz zorientowała się, że ma tylko jeden, tylko ten firmowy. Drugi musiał zostać w domu.

W płaszczu. Tak, był w płaszczu. Pomyślała, że Henrik na pewno zadzwonił na tamten numer. Przecież zawsze używają tamtego.

Trzęsły jej się ręce, ale udało się jej trafić kciukiem w linię z napisem EWUNIA. Była wśród ostatnio wybieranych numerów. Ręce dygotały jej z nerwów. Nie ze strachu. Strach już opanowała. Pomyślała nawet, że przecież wszystko, co się stało, jest jedynie odpowiedzią na jej ruch. To on boi się bardziej niż ona. To on panikuje.

– Ewunia, muszę się z tobą spotkać. Jak najszybciej, najlepiej teraz, – powiedziała, kiedy przyjaciółka odebrała telefon. – Jesteś w domu?

– Jestem. Wpadaj. Coś się stało?

– Tak, stało się. Ale nie martw się. Wszystko ci powiem.

– Dobrze, kochana. – W głosie Ewy słychać było wyraźną konsternację. Alicji chyba nie udało się mówić wystarczająco spokojnie.

– Będę niedługo. Za dziesięć minut. Może więcej. – Zawiesiła na chwilę głos, zdając sobie sprawę, że nie bardzo wie, jak tam dojechać. Zdecydowała, że najwyżej pójdzie pieszo. Nawet w tym deszczu. Jakie to ma teraz znaczenie, że zmoknie. Żadnego przecież. – A właściwie to nie wiem kiedy. Ale niedługo będę.

– Dob... dobrze – wyjąkała coraz bardziej zaskoczona Ewa. – Na pewno wszystko dobrze?

– Tak. Wszystko dobrze. Czekał na mnie – zakończyła i rozłączyła się. Chciała uniknąć kolejnych pytań. Zaraz wszystko jej powie.

No to teraz szukaj przystanku, dziewczyno.

Przeszła na drugą stronę ulicy i skręciła w Jagiellońską. Od razu zobaczyła wiatę przystankową. Podeszła i sprawdziła połączenia. Numer trzydzieści osiem jechał w tym kierunku. Idealnie. Wsiądzie na Bukowej i w ciągu kilku minut dojdzie do domu Ewy. Kolejny autobus miał przyjechać za osiem minut. Usiadła na ławce, oparła się o przezroczystą ścianę z pleksiglasu i czekała.

Położyła obie dłonie na brzuchu i nie poruszyła nimi aż do momentu, w którym ujrzała kolejnego ikarusa. Przypomniała sobie, jak Aquero powiedział jej kiedyś, że pod rządami dyktatury każdy boi się każdego, a jeden boi się najbardziej. I pomyślała, że w Częstochowie panuje właśnie taka tyrania. Że to miasto ma swoich dyktatorów. Dwóch z tej samej krwi. Ale to właśnie oni boją się najbardziej i dlatego trzymają to miasto w szachu. Ucieszyła się, bo zdała sobie sprawę, że teraz muszą bać się jeszcze bardziej. Nie wiedzą, gdzie ona jest. Nie wiedzą, do czego jest zdolna. Co planuje. I dobrze. Wszystko jest dobrze. Wszystko będzie dobrze. Przypomniała sobie swojego esemesa do Henrika.

Zadzwońię do Henrika, jak już będę u Ewy. Zadzwońię do niego na spokojnie.

Ikarus przyjechał punktualnie. Był pomalowany tak samo jak poprzedni. Biały na górze, czerwony na dole. Ale ten przynajmniej nie był krzywy. W środku jakby nieco czystszy. Wchodząc do autobusu, Alicja zobaczyła swoje odbicie w szybie. Zastanowiła się przez moment, jaka będzie reakcja Ewy, gdy zobaczy ją w tym stanie. Alicja wyglądała jak Pani Jeziora. Atrakcyjna. Zgrabna. Ale jednocześnie nieco upiorna.

Ulice były puste i autobus przejechał bardzo szybko. Wiózł ją,

jednego żuła, kobietę w średnim wieku i dwóch starszych panów w niemal identycznych szarych kapeluszach. Przez całą drogę zgadywała, dokąd jadą te osoby. Stawiała, że kobieta jest kasjerką w pobliskim Wafelku i właśnie wraca do domu po dziesięciogodzinnej zmianie. Zdecydowała, że jeden z panów wraca od córki i wnuków, a drugi z kościoła. A żuł po prostu podróżuje. I była jeszcze ona sama. Ona akurat dzisiaj znalazła się w tym autobusie, bo uciekała przed mordercą. Trzeba przyznać, że to świetny powód, żeby skorzystać z komunikacji miejskiej. Mogłaby być twarzą reklam MPK. „Dzięki nam Alicja uniknęła śmierci. Ty też sprawdź, jak świetnie działamy! Podróżuj z nami!” Oczami wyobraźni zobaczyła siebie na reklamach przyklejonych do szyb autobusów i tramwajów.

Wysiadła na piątym przystanku i poszła w kierunku ulicy Wiśniowej. W linii prostej miała do Ewy nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Musiała jednak okrążyć małe osiedle, bo od strony Jagiellońskiej nie było przejścia. Kiedy skręciła w Wiśniową, zmokła już tak bardzo, że właściwie mogłaby pozbyć się w ogóle jakiegokolwiek garderoby. Pomyślała, że tunika oblepia jej piersi i tyłek tak dokładnie, że Mariusz na pewno bardzo się ucieszy, że pada nieustannie od tygodni.

Dom należący do Ewy i jej męża był duży i dwukondygnacyjny. Przylegał do niego magazyn, w którym Mariusz trzymał materiały i narzędzia ze swojej firmy. Alicji zawsze podobała się nowoczesna bryła budynku, ale nie mogła się przekonać do kolorystycznego połączenia ciemnooliwkowej elewacji z czerwoną dachówką. Kiedy stanęła przed bramą, poczuła w kieszeni wibrujący telefon. Wyjęła

go i spojrzała na wyświetlacz, jeszcze zanim wcisnęła przycisk dzwonka przy furtce. To była wiadomość od Henrika. „Kochanie, zaraz będę u Ciebie. Niespodzianka! PS. Czemu nie odbierasz prywatnego numeru?!”.

Pomyślała, że może to wcale nie dzieje się naprawdę. Pierwszy raz od ucieczki z mieszkania pomyślała o tym, w jakim ono jest stanie. Przecież tam są otwarte drzwi i zbite lustro. No i jej tam nie ma.

Zadzwoiła do niego. Nie odbierał. Zadzwoiła jeszcze raz. Znowu nie odebrał. Wysłała mu esemesa. „Nie wchodź tam! Oddzwoń!”.

Matko Boska! A jeśli ten potwór tam na niego czeka?!

Przeszło jej to przez myśl i kompletnie się rozkleiła. Zaczęła płakać, ale nie dałoby się odróżnić jej łez od kropel deszczu spływających po policzkach. Alicja w jednej sekundzie poczuła, że już sobie nie radzi. I że bardzo potrzebuje pomocy.

W takim stanie pchnęła furtkę i pokazała się swojej przyjaciółce.

ROZDZIAŁ 2

Julian

Sobota, 8 listopada 2014

Uciekła mu. Zdążyła wsiąść do autobusu i odjechała. Chciał strzelać dalej. Podziurawić doszczętnie ikarusa. Sprawić, żeby się zatrzymał. Gdyby miał karabin maszynowy, użyłby go, zabijając Drylską, kierowcę i wszystkich pozostałych pasażerów. Każdego, kto mógłby mu przeszkodzić lub go zapamiętać. Ale został mu tylko jeden nabój w magazynku. Jednak z tej odległości widok odjeżdżającego autobusu był tak niewyraźny, że Julian nawet by nie wiedział, gdzie dokładnie strzelić. Zostawił ten nabój na później. Jeszcze mógł się mu przydać. Julian był zły. Czuł, że zawodzi.

Julian będzie się musiał ukarać. Julian pójdzie do browaru. Ale nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Miał Drylską na muszce. Dokładnie wycelował. Ale potem ten ktoś podjechał i wciągnął ją do samochodu. Julian strzelał w opony. Trafił. Auto zatrzymało się na drzewie.

Biskup widział, że Julian strzelał. Biskup będzie zły. To wszystko przez tę muzykę. Skąd się wzięła ta piosenka? Julian nie rozumie.

Drylska uciekła z tego samochodu. Wskoczyła z niego i potem

biegła bardzo szybko. Julian nie spodziewał się, że kobiety mogą tak szybko biec. Poza tym była sprytniejsza od niego. Julian przecież strzelał do niej. Wydawało mu się, że strzelał celnie. Ale ona za każdym razem się uchylała. Tak jakby miała oczy z tyłu głowy. Jakby potrafiła zobaczyć lot pocisku w zwolnionym tempie i dać sobie czas na reakcję. Biegając, skakała na boki. To nie było naturalne. To bardzo denerwowało Juliana. Julian nie powinien chybić. Nie powinien w ogóle strzelać. Ale jeśli już zaczął, to nie powinien spudłować. Teraz jest źle. Julian wszystko zrobił źle. Popęłnił tyle błędów. To z pewnością dlatego, że tak naprawdę chciał ją zabić.

Julian chciał ją zabić. Julian może to przyznać otwarcie. To byłoby bardzo przyjemne.

Nie zdążył przebiec na drugą stronę. Goniąc Drylską, dobiegł do ulicy, ale już jej nie przeciął. Na to było już za późno. Mógł strzelać, ale miał tylko jeden nabój. Zatrzymał się więc i schował broń.

Przez moment zastanawiał się, co robić dalej. Kilka myśli krążyło mu po głowie jednocześnie. Mógł iść do biskupa Waltera. On przecież miał być gdzieś w pobliżu. Obserwować. Julian mógł go znaleźć. Ale biskup na pewno był teraz wściekły i Julian zrezygnował. Jeśli ma mu się pokazać na oczy, musi uzyskać jakikolwiek efekt. Wiedział, że musi zrobić coś, co chociaż trochę zmyje jego błędy.

Myślał też o tym, żeby sprawdzić ten czarny samochód, który zjawił się tak niespodziewanie. To auto uderzyło w drzewo. Pewnie jeszcze tam jest.

I właśnie kiedy ten pomysł krążył mu po głowie, zobaczył rozbłyskujące światła skody. Samochód znowu ruszył. I jechał w jego kierunku.

Niewiele myśląc pobiegł na podwórko za blokiem przy Zana 2. Podwórko, na którym spędził ostatnie godziny i które już dobrze znał. Zniknął za budynkiem. Auto jechało ulicą Goszczyńskiego. Było po przeciwnej stronie bloku niż on. Kierowca mógł go nawet nie zauważyć. Samochodowe reflektory nie rozświetlały drogi zbyt mocno w tym deszczu. Po pokonaniu trzydziestu metrów zatrzymał się i odwrócił się w kierunku, z którego przybiegł. Ponownie zobaczył czarnego hatchbacka. Samochód skręcił w ulicę Pułaskiego i kierował się w stronę centrum. Przedni zderzak wisiał i szurał po asfalcie. Kierowca nie zauważył Juliana. Jeśli nawet go szukał, musiał pomyśleć, że uciekł razem z Drylską.

Julian się dowie, kto prowadzi ten samochód. Julian znajdzie kierowcę. Ale jeszcze nie teraz.

Auto odjechało i Julianowi pozostała ostatnia opcja. Ta, do której najbardziej się skłaniał. Zdecydował, że wróci do mieszkania Drylskiej i sprawdzi, czy nie ma tam czegoś, co pomoże mu ją znaleźć.

Kiedy wybiegał z klatki schodowej, popchnął drzwi tak mocno, że otworzyły się na oścież. Otworzyły się chyba nieco zbyt gwałtownie. Nie wróciły do pierwotnego położenia i się nie zamknęły. Zawiasy musiały być uszkodzone.

Dla niego była to dobra wiadomość. Tym razem nie musiał dzwonić do mieszkańców i udawać ministranta.

Na schodach nie było nikogo i wciąż panowała zupełna cisza.

Tak jakby nic się tutaj nie stało. Jakby nie padły strzały, jakby nikt nikogo nie gonił. Jakby nikt nikogo nie chciał zabić. Tylko widok dwóch dziur w ścianach, w których utkwiły pociski, miał zdradzić mieszkańcom wydarzenia tego popołudnia. Kiedy następnego dnia rano niechętnie opuszczą mieszkania i udadzą się do pracy, zauważą je ze zdziwieniem. Ale wtedy już dawno nie będzie tam Juliana.

Drzwi do mieszkania Alicji były lekko uchylone. Pchnął je i wszedł do środka, omijając leżące na podłodze szkło. Stał w przedpokoju pomiędzy drzwiami do kuchni a wejściem do salonu.

Julian powinien przyłożyć jej chustę do ust, kiedy weszła do kuchni. Kiedy miała w rękach reklamówki. To był odpowiedni moment.

Pomyślał, że to, co miał tu zrobić, było bardzo proste. Miał idealną pozycję. Mógł to zrobić nawet wtedy, gdy go zobaczyła. Przecież mierzył do niej z pistoletu. Miał przewagę. A jednak mu uciekła. Nie wiedział, jak to się stało. Czuł, że jego złość rośnie.

Wszedł do kuchni i podniósł czarny płaszcz z krzesła. W jego prawej kieszeni był telefon. Kiedy spojrzał na wyświetlacz, jeszcze mocniej utwierdził się w przekonaniu, że znalazł coś, co ucieszy biskupa. Coś, czym choć trochę odkupi swe winy. Na ekranie widniały nieodebrane połączenia i wiadomości od kogoś, kto w pamięci telefonu został wpisany jako Henrik. Pierwsze słowa ostatniego esemesa można było odczytać bez klikania w wiadomość. *Kochanie, jestem już w Częstochowie.* Zdanie było napisane po polsku, choć zawierało kilka literówek. Żeby

przeczytać dalszy ciąg, musiał otworzyć całą wiadomość. Spojrzał na czas – przyszła pięć minut temu. Czyli wtedy, kiedy gonił Drylską.

Odłożył płaszcz i podniósł klucze z blatu.

Zanim wyszedł, znowu usłyszał w głowie tę piosenkę. Pomyślał, że musi się ukarać, a wtedy ta muzyka zniknie. Wyszedł z mieszkania, zamykając drzwi na górny zamek. W kuchni zostawił włączone światło, tak, jak paliło się wcześniej.

Zbiegł po schodach i pognał w kierunku parkingu. Po chwili zobaczył znajomy samochód. Tak jak się spodziewał, biskup Stanisław Walter jeszcze tu był. Jeszcze na niego czekał. Julian wsiadł i podał mu telefon. Biskup zmierzył go wzrokiem. Było to spojrzenie człowieka bardzo niezadowolonego. Człowieka, który będzie się mścił. Ale kiedy Walter zobaczył ekran iPhone'a, nieco się rozchmurzył i przetarł palcami kąciki ust.

Telefon był naładowany. I żeby móc z niego korzystać, nie trzeba było wpisywać żadnego hasła. Nie było też żadnej innej blokady.

ROZDZIAŁ 3

Stanisław

Sobota, 8 listopada 2014

Dawniej, kiedy był młodszy, chodził czasem na giełdę towarową przy stadionie. Co niedzielę na Olsztyńskiej można było znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie. W tym miejscu mieszały się nie tylko branże i towary, ale także kultury i charaktery. Właśnie tam swego czasu można było spotkać pierwszych Chińczyków i Wietnamczyków w Częstochowie. Mimo że handlowali podróbkami, to i tak wówczas robiły one na kupujących duże wrażenie. Tylko tam sprzedawano rzeczy, których nie było w sklepach. Na giełdzie można było kupić, sprzedać, zamienić dosłownie wszystko, nawet dobić targu w inny sposób.

Stanisław pojawiał się na Olsztyńskiej, bo byli tam ludzie. Na giełdzie panował ścisk i gwar i czasem nie dało się przejść pomiędzy stoiskami bez ocierania się o innych kupujących. Giełda kipiała zapachami i emocjami. Stanisław nie czuł się tam samotny. Po latach, kiedy wspominał te wizyty, stwierdził, że chodził tam właśnie po to, żeby być wśród ludzi. Być wśród prawdziwych ludzi, a nie zaślepionych wiernych, którzy mają go za półboga. Stanisław

na giełdzie nie był księdzem. Zakładał cywilne ubranie i wtapiał się w tłum. Słuchał i patrzył. Podsluchiwał i podglądał. Gawędził ze sprzedawcami. Analizował swoje emocje i swoje reakcje. Sprawdzał, czy byłby w stanie normalnie żyć w społeczeństwie. Weryfikował, czy coś jednak znaczy, gdy zrzuca z siebie kapłańskie szaty i zstępuje niżej pomiędzy zwykły lud. Giełda nie była dla niego szansą na udane zakupy, a raczej poszukiwaniem własnej wartości i własnego ja. Szukał go, żeby skonfrontować je z tym, które zbudował jako duchowny, i zdecydować, które z nich będzie silniejsze.

Stanisław pamiętał film na kasecie VHS, który wypożyczył od cwaniaka oferującego pirackie kopie zagranicznych produkcji. Kasety były ułożone w kartonowych pudełkach, tytułami do góry. Jeden z nich zwrócił jego szczególną uwagę. Na białej naklejce napisano długopisem słowo „Mnich”. Stanisław pożyczył ten film na tydzień i przez ten czas obejrzał go siedem razy. Pokusa, którą czuł bohater, była mu bliska, od dawna w nim narastała. Stanisław skrywał w sobie mnóstwo stłumionych namiętności, które coraz ciężiej mu było kontrolować. Wynikało to z trudnej rodzinnej przeszłości, ale o wiele bardziej z samotności, która doskwierała mu każdego dnia w już dorosłym życiu. Uciekając przed upiorami z dzieciństwa, ukrył się w ramionach wiary. Ale miłość, którą czuł do Boga, była słaba. Bardzo chciał, by było inaczej, ale była zbyt słaba, żeby poskromić jego żądze.

Na jednym ze stoisk z warzywami Stanisław znalazł swoją mużę. Ta dziewczyna wyróżniała się na tle ogólnego bałaganu i zamętu panującego na giełdzie. Nie pasowała do wyblakłych,

zgniłych kolorów wiat, plandek, starych żuków i jeliczy. Ona była jak z innej rzeczywistości, jedynie wrzucona w niedzielny zgiełk targowiska. Podczas każdej wizyty Stanisław przychodził do niej robić zakupy i spędzał tu najwięcej czasu. Od momentu, w którym ją zauważył, robił wszystko, by co niedzielę odprawiać mszę o szóstej i jak najwcześniej zjawiać się na Olsztyńskiej. Spacerował w tę i z powrotem przy jej stoisku, patrząc na jej radosne, błyszczące oczy i zachwycając się długimi złotymi włosami, które szczególnie w przedpołudniowym słońcu przywoływały mu na myśl anioły. W Stanisławie budziło się uczucie, którego nie znał wcześniej. Tak silne, że byłby w stanie uwierzyć, że mógłby odważyć się zaufać komuś naprawdę. Byłby w stanie zaufać samemu sobie na tyle, by wiedzieć, że nie skrzywdzi drugiej osoby. Czuł, że patrząc na nią, wypiera z myśli obrazy z przeszłości.

Okres zachwytu trwał kilkanaście tygodni. Może dziesięć, może dwanaście. Trwał do czasu, gdy Stanisław zobaczył, że dziewczyna na stoisku nie jest już sama, lecz z mężczyzną. Z mężczyzną, który łąsił się do niej i przytulał ją. Szeptał jej coś do ucha, a ona szczerze się śmiała. Był przy niej blisko, a jej to odpowiadało. Stanisław wędrował wokół kramiku z warzywami, a jego obawy się potwierdzały. Ten mężczyzna zabierał mu jego dziewczynę. A potem bardzo szybko wróciły stare przekonania i zwyciężyły. Nakazały poskromić jego miłosne zapędy. Przypomniały mu o tym, że nie warto żyć z kimś i dla kogoś, bo zawsze zostanie się albo zdradzonym, albo zranionym.

Wówczas Stanisław decyduje, że nie będzie już pojawiał się na giełdzie. Stwierdza, że nie potrzebuje towarzystwa przypadkowych

ludzi i że znalazł już odpowiedzi na swoje pytania. Postanawia, że będzie folgował swoim żądom w inny sposób. Na przekór innym osobom i często wbrew ich woli. Już nie ma wątpliwości, że wszystkie kobiety są takie jak jego matka i że nie może spodziewać się po nich niczego innego. Obiecuje sobie, że nigdy już nie pozwoli sobie na życiowy zawód. Woli czuć się opuszczony, niż mieć nadzieję, a potem rozczarować się po raz kolejny. Godzi się z tym, że miłość jest uczuciem bezwartościowym i wcale nie kryje się w błyszczących oczach i jasnych włosach tamtej dziewczyny. Ani w przebitych gwoździami dłoniach i stopach Zbawiciela. Godzi się z tym, że miłości nie ma dla niego w ogóle. Myśli wówczas o swoim bracie, który prawdziwego uczucia doświadczył i pewnie jeszcze doświadczy, bo jest młodszy od niego i nie jest księdzem. Myśli, że wcześniej mu zazdrościł, ale już się tego wyzbył. Godzi się z tym, że jedyna miłość, jaką czuł w życiu, to ta do małego Jurka, nakazująca mu roztaczać nad nim opiekę i chronić go przed złem z pokoju obok. Akceptuje fakt, że to wszystko już minęło i Jerzy radzi sobie sam, a każdy z braci ma własną drogę.

Od tamtego momentu Stanisław pozbywa się całkowicie wszystkich złudzeń. Decyduje, że wykorzysta szacunek i bojaźń, jakie wśród ludzi budzą szaty liturgiczne i pozostanie duchownym. Ale postanawia również, że będzie zerował na strachu i posłuszeństwie, jakie wyzwala wiara i będzie to wykorzystywał, żeby poczuć się lepiej. Będzie dostawał to, czego zapragnie, kiedy tylko będzie miał ochotę. W ten sposób będzie karmił popęd, który w sobie czuje, i jednocześnie tłumził przekleństwo przeszłości.

Minęło wiele lat, od kiedy Stanisław ostatni raz pojawił się na

giełdzie. Giełda wciąż istniała, choć jej rozmiar i ranga nie były już takie jak kiedyś. Żądze i gniew Stanisława Waltera rosły jednak z każdym rokiem.

Kipiał ze złości, kiedy na tle zalewanych deszczem, niewyraźnych konturów bloku zobaczył uciekającą Alicję Drylską i goniącego ją Juliana. Wszystko w ostatnich dniach stało się nagle niezwykle skomplikowane i trudne, a kolejny błąd Juliana tylko to spotęgował. Nie mieściło mu się w głowie to, co zobaczył później. Ktoś podjechał i porwał Drylską do auta. Potem szybko ruszył, a Julian nie przestawał strzelać. Ten głupek biegł ulicą i strzelał do samochodu. Stanisław wiedział, że w tej chwili nikt nie byłby w stanie opanować Juliana. Chłopakiem sterowała muzyka rozbrzmiewająca w jego głowie i w takich chwilach tylko jej był posłuszny.

Kiedy samochód odjechał, a Julian zniknął w mroku, biskup odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach. Mocno pocierał nimi policzki, czoło i kark. Próbował się uspokoić. Wiedział, że jeśli i on da się ponieść nerwom, będzie jeszcze gorzej. W aucie był niewidoczny. Nikt nie wiedział, że tam siedzi. Nikomu nawet nie przyszłoby to do głowy.

Stanisław postanowił nie ruszać się z miejsca. Myślał intensywnie. Ale jedno uczucie bardzo mu w tym myśleniu przeszkadzało. To było doznanie, które w ostatnich dniach dawało o sobie znać coraz mocniej. Nie wiedział, jak sobie z nim poradzić. Biskup Stanisław Walter bał się. I nie były to początki strachu, który nieśmiało pukał do jego umysłu. Ten strach od kilku dni się w nim zadomowił, a po tym, co biskup właśnie zobaczył, jeszcze

wzrósł.

Miał ochotę działać. Poruszyć niebo i ziemię, żeby rozwiązać tę sytuację jak najszybciej. Ale nie miał pomysłu, od czego zacząć. Nagle znów poczuł się niezwykle samotny. Tylko on wiedział, jak jest naprawdę. On i Julian, ale Julian zniknął gdzieś w szarości i nie było wiadomo, gdzie jest, ani czy w ogóle jeszcze żyje.

Przeszło mu przez myśl, żeby zadzwonić do brata, ale natychmiast stwierdził, że nie ma pojęcia, co miałby mu powiedzieć. Sens miałoby jedynie wyznanie całej prawdy. Nie dałoby się o tym wszystkim rozmawiać, pomijając cokolwiek. Każda informacja rodziłaby kolejne pytania.

Stanisław był zupełnie sam. Sam ze świadomością, czego się dopuścił. Sam ze strachem o to, co będzie dalej.

Od momentu, w którym zobaczył Drylską, spędził w samochodzie tylko kilka minut. Wydawało mu się, że minęło znacznie więcej. Chciał już odjeżdżać, kiedy z ciemności wyłoniła się sylwetka mężczyzny, idącego szybko w jego kierunku.

To był Julian. Patrząc na niego, biskup po raz kolejny doszedł do wniosku, że ten chłopak jest rzeczywiście niewidoczny i porusza się jak cień. Kaptur jego kurtki był tak obszerny, że nie dało się dostrzec twarzy. W obliczu niedawnych wydarzeń Walter pomyślał, że Julian chociaż pod tym względem jest na swój sposób dyskretny. On sam był zdecydowanie mniej zauważalny niż jego bezmyślne działania.

Julian wsiadł do auta i od razu podał mu telefon. Ich spojrzenia na moment się spotkały i biskup zauważył nadzieję w jego oczach. Zrozumiał, skąd się brała, kiedy wcisnął okrągły przycisk na dole

telefonu, a ekran się rozjaśnił, umożliwiając dostęp do całej zawartości.

Biskup otworzył nieodczytane wiadomości, z których wynikało, że partner prawniczki zaraz zjawi się tuż obok nich.

– Masz chustkę i chloroform? – zapytał, nie patrząc na Juliana.

– Tak. – Julian wyjął obie rzeczy z kieszeni.

– Dobrze.

Zanim powiedział kolejne słowa, przesunął dwukrotnie kciukiem po ekranie iPhone'a w poszukiwaniu właściwej aplikacji. Znalazł ją po kilkunastu sekundach. Kliknął w charakterystyczną zieloną ikonkę przedstawiającą radar. Otworzył aplikację i zaśmiał się. Zaśmiał się na głos i jednocześnie odetchnął. Poczuł, że być może właśnie znalazł odpowiedź na pytanie, co robić dalej.

Program, który miał pomagać w ustaleniu położenia zagubionego telefonu, pokazywał dwa numery. Oba zarejestrowane na tym samym koncju. Do jednego z nich dołączona była adnotacja „ten telefon”. Biskup wybrał ten drugi. Aplikacja rozpoczęła lokalizację służbowego aparatu Alicji Drylskiej. Tego, który miała przy sobie. Po sześciu sekundach wyświetliła się mapa i dokładny adres. Alicja była na ulicy Wiśniowej.

Biskup podał telefon Julianowi.

– Spójrz na to. Przeczytaj i dokładnie zapamiętaj.

Julian po chwili kiwnął głową.

– Pojedziesz tam teraz. Jak najszybciej – dodał biskup. – Tam jest Drylska.

Julian przytaknął.

– Masz jeszcze naboje?

– Jeden.

– Tu masz kolejne. – Biskup podał mu paczkę. – Tym razem jesteś zdany tylko na siebie. Dobrze wiesz, czego od ciebie oczekuję. To, co się tutaj stało, nie może się powtórzyć.

Julian nie miał odwagi, żeby odpowiedzieć. Wiedział, że zawiódł i kiedyś poniesie konsekwencje. Teraz nie było na nie czasu. Ponownie jedynie poruszył głową, potwierdzając, że przyjął i zrozumiał polecenia.

Biskup wziął butelkę i chustkę nasączoną chloroformem.

– Idź już. Ja tutaj zostanę i poczekam na Henrika.

Julian wysiadł i pobiegł w stronę alei Bohaterów Monte Cassino. W tym samym momencie Stanisław Walter zobaczył światła nadjeżdżającego pojazdu. Kierowca przez chwilę szukał miejsca, aż w końcu zaparkował na trawniku i wysiadł z samochodu. Kiedy wyciągnął z bagażnika dużą walizkę i zaczął iść w stronę klatki numer dwa, biskup nie wahał się ani chwili dłużej. Chwycił szmatkę i wyszedł na zewnątrz. Przechodząc obok tamtego samochodu, zwrócił uwagę na naklejkę na tylnej klapie. Auto pochodziło z wypożyczalni na lotnisku w Pyrzowicach.

Jego strach powoli mijał. Znowu odzyskiwał kontrolę.

Żeby mieć pewność, po drodze jeszcze mocniej nasączył chustkę chloroformem.

ROZDZIAŁ 4

Jerzy

Sobota, 8 listopada 2014

Zanim wszystko stało się dla niego widzialne, najpierw było jedynie wyczuwalne. Jerzy miał otwarte oczy, ale mózg jeszcze nie przyjmował ich przekazu. Niepodważalne było to, że znajduje się w samochodzie. Fizyczny kontakt jego dłoni z kierownicą to potwierdzał. Głowę musiał mieć opartą o szybę, bo czuł jej lekki chłód. Słyszał jakąś muzykę i stwierdził, że radio jest włączone. To był jakiś lipny pop-rock, którego nie znosił. Od uderzenia w drzewo minęło kilkadziesiąt sekund, zanim przejrzał na oczy i dotarło do niego, co mu się przytrafiło. Zdawało mu się, że w tym czasie mówił coś do kogoś, ale na początku nie wiedział do kogo.

Potem miały miejsce dwie rzeczy, które pomogły mu powoli ustalić, w jakiej znajduje się sytuacji i co mniej więcej stało się wcześniej. Najpierw odbiło mu się i poczuł smak niestrawionego jeszcze WieśMaca. Przypomniawszy sobie, że niedawno wybiegł z restauracji i pruł do domu, nie zważając na zmianę świateł na skrzyżowaniach. Potem mózg złapał na moment azymut i przypomniały mu się ostatnie takty kawałka Lou Reeda, którego

słuchał jeszcze dosłownie cztery minuty temu. Zdawało mu się, że miało to miejsce o wiele wcześniej, ale już pamiętał, że go słuchał.

Te dwa wspomnienia w jego głowie stały się nagle częścią większej całości, która zaczynała nabierać kształtów. Już wiedział, że jechał do Alicji, bo odczytał zapis rozmowy prawniczki z jego bratem. Jechał, bo miał złe przeczucia i wiedział, że musi działać. Jechał samochodem Marczuka i być może dlatego nie poznawał zapachu tego samochodu. To zdecydowanie nie był zapach jego auta.

W kremowym kolorze śmietany, który dotąd miał przed oczami, pojawiły się po chwili ciemniejsze otwory, a przez nie do jego świadomości zaczął docierać prawdziwy krajobraz. Jako pierwszy Jerzy dostrzegł pień. Właściwie można powiedzieć, że wszystko, co miał przed oczami, ograniczało się do drzewa. Bo właśnie ono stanowiło najważniejszy punkt tego widoku, a jednocześnie pozwoliło mu przypomnieć sobie w szczegółach dalszy przebieg zdarzeń.

Już wiedział, że przyjechał tu w samą porę. Właściwie w ostatnim momencie. Zobaczył ją. Być może nawet uratował ją na chwilę. Ale potem przyładował w drzewo.

Drzwi od strony pasażera były otwarte. Alicja uciekła. Wokół nie było nikogo i panowała zupełna cisza. Auto wbiło się w pień, przód był uszkodzony, ale Jerzy nie wiedział jak bardzo. Pomyślał, że dał dupy po całości i dawno nie czuł się aż taką fujarą. Musiał uderzyć głową w boczną szybę, bo czuł, że boli go z lewej strony. Dotknął tego miejsca ręką i wyczuł rosnącego guza. Pomyślał, że taką pipą nie był od czasu, gdy przeskakując przez ogrodzenie,

zahaczył o wystający pręt. Wtedy nie dość, że przeciął rękę, to jeszcze zawisł na podkoszulku. To jednak miało miejsce ponad trzydzieści lat temu.

Przetarł oczy dłońmi, jakby dzięki temu mógł widzieć nieco lepiej. Zamiast tego znowu zobaczył przez chwilę mroczki przed oczami. Kiedy zniknęły, mocno potrząsnął głową, jakby chciał pogrupować swoje myśli i wsadzić je do właściwych szufladek. Zrobił to chyba jednak zbyt gwałtownie, bo natychmiast poczuł ból głowy. Pierwsze ukłucie było tak dotkliwe, że aż jęknął.

Spróbował się skoncentrować i zdecydować, co dalej. Nie wiedział, że doznał wstrząśnienia mózgu i jeszcze nie do końca kontroluje swoje poczynania. Wstrząśnienie było słabe, ale mocno go oszołomiło. Ból głowy miał minąć dopiero kolejnego dnia wieczorem.

Spróbował odpalić silnik. O dziwo, udało mu się za pierwszym razem. Stwierdził, że uderzenie nie mogło być aż tak silne, by zaszkodzić skodzie i poczuł jeszcze większe zażenowanie z powodu swojego stanu.

Wychylił się najdalej, jak mógł i zamknął drzwi od strony pasażera, zagarniając nimi kilkadziesiąt kropli deszczu do wnętrza. Kilka z nich poczuł na twarzy i stwierdził, że ta pieprzona ulewa pierwszy raz może mu się do czegoś przydać. Opuścił szybę po swojej stronie i wystawił głowę na zewnątrz. Lało jak z cebra. Ale tego właśnie potrzebował. Gdyby miał czas, mógłby z tego lania urządzić sobie własną uroczystość. To było takie przyjemne. Pomyślał, że tak właśnie musiała się czuć Joan Collins podczas pozowania w wannie do najseksowniejszych fotek tygodnia.

Zamknął okno i przetarł dłońmi całą głowę, strzepując z niej krople na siedzenie pasażera.

Wrzucił wsteczny bieg i ruszył. Było słychać, jak plastikowy zderzak i stalowe elementy karoserii układają się w nowej dla siebie i zdecydowanie mniej atrakcyjnej pozycji. Pomyślał, że to wszystko można będzie wyklepać. Wiedział, że zwróci Marczukowi koszty naprawy, ale że on i tak go zabije, jak to zobaczy. Wycofał do przeciwległego krawężnika, wrzucił pierwszy bieg i ruszył. Było tak pusto, że mógłby ten manewr powtórzyć wiele razy i nie przeszkodziłby żadnemu innemu kierowcy. Przyszło mu do głowy, że gdyby zginał, uderzając w to drzewo, zdążyłby rozmięknąć i przykleić się do szyby, zanim ktokolwiek znalazłby go w rozbitym aucie.

Dopiero kiedy ruszył z miejsca, zauważył, że coś jest nie tak. Wyglądało na to, że nie miał powietrza w tylnym kole. Nie zanosilo się więc na to, że będzie to całkiem normalna podróż. Jednak, o dziwo, poza tym skoda jechała zupełnie dobrze. Być może nie wyglądała już tak samo, ale jechała przyzwoicie.

Jerzy ruszył w kierunku, w którym uciekała Alicja, ale nikogo już tam nie było. Może gdyby był bardziej świadomy tego, co robi, i na krótki czas nie stracił swojego policyjnego nosa, wpadłby na to, że Julian nadal jest po drugiej stronie bloku. Domyśliłby się, że ten ruch w oddali nie był zwidem jego poobijanego rozumu, lecz sylwetką biegnącego napastnika. Tego samego, który strzelał do Drylskiej i przebił tylną oponę w skodzie. Ale jeszcze przez kilkanaście minut takie analityczne myślenie było dla niego zbyt trudne.

Na wysokości Przemysłówki, wyjął telefon z kieszeni i zadzwonił do Marczuka. Ten musiał trzymać aparat w ręce i czekać, aż Jerzy się odezwie, bo odebrał w połowie pierwszego sygnału.

– Jestem, jestem – zgłosił się naczelnik.

– Marek, jest nieciekawie – zaczął Jerzy i odkrył, że mówi mu się wyjątkowo ciężko.

– Co się stało?

– Jest chujowo na maksa. – Teraz jeszcze bardziej zdziwiły go jego własne słowa.

– Co ci jest?

– Mnie nic, ale jest niezły rozpierdol – mówił tak, jakby nie mógł przestać przeklinać i niczego nie umiał już opisać w inny sposób.

– Gdzie jesteś?

– Spotkajmy się na komendzie. U mnie. Za króciutką, kurwa, chwileczkę, rozumiesz?! – dokończył i stwierdził, że zdecydowanie coś przestawiało mu się w głowie.

Jechał wolno, nie przekraczając czterdziestki. Chciał dojechać do komendy jak najszybciej, ale przede wszystkim w ogóle chciał tam dotrzeć. Prowadzenie samochodu w tym stanie nie było łatwe. Na wysokości dawnego hotelu Patria droga zaczęła minimalnie opadać i do samej komendy prowadziła już cały czas w dół, co jeszcze bardziej utrudniało panowanie nad pojazdem. Na szczęście Jerzy minął zaledwie siedem samochodów. Kiedy przejeżdżał obok Trzeciej Alei, tylko tam latarnie dawały jaśniejsze światło i można było dostrzec, jak mocno uszkodzonym samochodem Jerzy się

porusza.

Wjechał na teren Trójkąta główną bramą, wysiadł z auta i szybko wszedł do środka. Młodszy aspirant, który miał akurat dyżur w biurze przepustek, mocno zdziwił się na widok zmokniętego komendanta z wielkim guzem na głowie. Już otwierał usta, żeby jakoś zagaić, ale widząc spojrzenie Jerzego, powstrzymał się od zadawania pytań. Walter musiał mieć wypisaną na twarzy listę wszystkich kar, które mogłyby spotkać młodego funkcjonariusza za niepotrzebną ciekawość.

Zanim przyjechał Marczuk, Jerzy zdążył jeszcze wejść do łazienki i doprowadzić się do stanu jako takiej używalności. Pękała mu głowa, ale przynajmniej zdawało mu się, że ma stuprocentową kontrolę nad tym, gdzie jest i co widzi.

– Ja pierdołę, co się stało!?! – zdołał wybąkać Marczuk, kiedy wszedł do pokoju Waltera.

– Ten siniak to nic. Poczekaj, aż dowiesz się całej reszty – odparł Jerzy, dotykając guza na głowie.

– Jurek, ja nie o tej twojej bulwie mówię, tylko o moim samochodzie, który właśnie widziałem na parkingu. Przywidziało mi się czy przemodelowałaś mu nieco maskę?

Jerzy zmienił ton na dużo bardziej poważny.

– Usiądź i posłuchaj! Auto to pikuś. To wszystko jest bardziej popierdolone, niż myślałem.

Marczuk usiadł i przeczesał włosy dłonią, sprawdzając uważnie ułożenie przedziałka.

– Tak sądziłem. Przez telefon brzmiałeś dziwnie – odparł, odnosząc się do krótkiej rozmowy sprzed kilku minut.

– Ktoś do niej strzelał. Gonił ją i strzelał – zaczął Jerzy, a Marczuk od razu lekko osunął się w fotelu. – Przyjechałem tam w momencie, w którym uciekała. Zgarnąłem ją do auta, ale ktoś przestrzelił oponę. Nie zapanowałem nad samochodem i skończyłem na drzewie. Dlatego twoje auto i moja głowa tak teraz wyglądają.

– Ktoś strzelał do ciebie?! Na ulicy?

– Dokładnie tak.

– Kto?

– Nie widziałem. Było ciemno, a zresztą wszystko i tak działo się za szybko.

– Julian?

– Idę o zakład, że tak.

– A gdzie Drylska?

– Uciekła. Nie wiem, gdzie jest. Dlatego się tu spotykamy. Musimy ją odnaleźć jak najszybciej. Jeśli jeszcze w ogóle żyje. Po uderzeniu odleciałem na chwilę. Nie wiem, co tam się dalej stało.

– Zbieram zespół, tu, kurwa, nie ma na co czekać!

– Jeszcze nie! – powiedział Jerzy tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Najpierw namierzemy jej komórkę i sprawdzimy, gdzie jest. Pojadę tam. Chcę mieć ją po swojej stronie. Będzie potem o wiele łatwiej.

– Ale, Jurek, wydział wewnętrzny nas rozpiardoli, jak wyjdzie, że robimy coś sami!

– Teraz zrobię jeszcze tylko ten jeden krok. Wewnętrznym się nie martw.

Marczuk odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Dobra, namierzmy ją. Dzwonię do operatora.

Na wynik czekali wyjątkowo krótko. Lokalizacja iPhone'a Drylskiej przysłała już po dwudziestu pięciu minutach. Marczuk tymczasem zadzwonił do jednego ze swoich oficerów i w trybie pilnym ściągnął go na komendę. Ten stawił się w tej samej chwili, w której dostali wiadomość od operatora.

– Chłopak tutaj poczeka i będzie dawał znać, gdzie jest Drylska, jak się znowu przemieści – powiedział Marczuk, kiedy Jerzy zbierał się do wyjścia. – Ja jadę z tobą.

– Marek, nie ma potrzeby, poradzę sobie. I tak już zbyt mocno cię narażam.

– Jadę z tobą i koniec. Pieprzałeś się w łeb, rozwaliłeś mi furę, więc nie wiadomo, na co cię jeszcze stać. A kto mi odda kasę za klepanie maski? Nie ma opcji, żebym puścił cię samego. Poza tym lepiej, żeby było nas dwóch, jak zjawi się tam nasz kochany Juluś.

– Ok, dzięki – odpowiedział Jerzy i po chwili dodał: – Naprawdę, zwrócę ci kasę za naprawę auta.

– Co do tego, kochany, to ja nie mam wątpliwości! I będziesz musiał jeszcze sprawić dwadzieścia bukietów mojej żonie za straty moralne. Załamie się, gdy zobaczy ten samochód.

– Masz to jak w banku.

Zanim wyszli, Jerzy połknął trzy tabletki przeciwbólowe. Chwilę później pojechali jego samochodem na ulicę Wiśniową. Tym razem prowadził Marczuk. Jerzy siedział w milczeniu i dochodził do siebie. Powoli, ale ostatecznie oswajał się z myślą, że nie tylko próbuje ratować Drylską, ale przede wszystkim... dopaść swojego brata.

ROZDZIAŁ 5

Henrik

Sobota, 8 listopada 2014

Powoli zapadał już zmrok, ale niebo wciąż pozostawało bezchmurne. Henrik wylądował w Pyrzowicach, kiedy było jeszcze zupełnie widno i świeciło lekkie słońce. Nijak miało się to do relacji o częstochowskiej aurze, jakie zdawała mu Alicja w ostatnich tygodniach. A przecież lotnisko w linii prostej leżało nie dalej niż pięćdziesiąt kilometrów od granic miasta Świętej Wieży.

Kiedy dojechał do Koziegłów, pogoda zmieniła się. Na wysokości wsi Wanaty, którą przecinała krajowa jedyńka, zrobiło się ciemno, Henrik dostrzegł pierwsze krople na przedniej szybie samochodu. Po kolejnych dwóch kilometrach musiał już zwiększyć częstotliwość pracy wycieraczek wynajętego clio. Im bliżej był Częstochowy, w tym większej ulewie jechał. Niebo było już niemal zupełnie czarne, a kiedy przejeżdżał obok estakady przy centrum handlowym Jagiellończycy, zauważył, że płynie nią strumień wody. Patrząc na gęste, smoliste chmury i słabe światło ulicznych latarni doświetlających jedynie skrawki przestrzeni, pomyślał, że panuje tu

złowrogi klimat rodem z horrorów.

Wcześniej, kiedy mijał tablicę z nazwą miasta, wysłał Alicji pierwszego esemesa. Już uprzednio postanowił, że zrobi to dopiero w tym momencie. Nie miał ochoty na żadne tłumaczenia i rozmowy. Chciał zrobić jej niespodziankę i nie pozostawić czasu na żadne zbędne ruchy.

Nie odpisała. Na tę, ani na kolejną wiadomość. Co więcej, kiedy stojąc na światłach, Henrik sprawdził wiadomości, zauważył, że każda z nich jest dostarczona, ale nie została jeszcze odczytana. Stwierdził, że Alicja musiała uciąć sobie poobiednią drzemkę. Nie zdziwiło go to, bo sam, przebywając tak długo w takiej aurze, nie marzyłby o niczym innym. Był zresztą zmęczony podróżą i dość niespokojnym lotem. A przede wszystkim był zmęczony czekaniem na spotkanie z Alicją i rosnącym z każdym dniem niepokojem o jej formę.

Kiedy zbliżał się do celu, postanowił jeszcze kontrolnie wysłać jej wiadomość na drugi numer. Tym razem również nie doczekał się odpowiedzi.

Kiedy podjeżdżał pod blok przy Zana, od razu zauważył zapalone światło w kuchni i ucieszył się, że zastanie ją w domu. Jak zwykle na tym parkingu nie mógł znaleźć żadnego wolnego miejsca i w końcu zdecydował, że zostawi auto po prostu na trawniku. Czepialskimi będzie się martwił później.

Wysiadł i wyjął walizkę z bagażnika. Padał rześisty deszcz. Spacer po dziurawym, mokrym chodniku był walką o to, by postawić kolejny krok w jak najpłytszej kałuży.

Kiedy dotarł do klatki schodowej, zdziwiły go otwarte na oścież

drzwi. Wyglądały jak wyrwane z zawiasów, bo z jednej strony lekko opadały.

Henrik wszedł do środka i zapalił światło. W końcu było w miarę jasno, pierwszy raz odkąd minął Koziągłowy.

Gdy wchodził na górę, usłyszał za sobą ciche kroki. Odwrócił się i zobaczył równie wysokiego jak on mężczyznę w długim czarnym płaszczu. Facet musiał być o jakieś dwadzieścia lat starszy od niego i sprawiał wrażenie bardzo silnego. Henrik skinął głową, chcąc nawet powiedzieć po polsku „dobry wieczór”, ale mężczyzna nawet na niego nie spojrział. Szedł powoli, w odległości kilku metrów, a na pierwszym piętrze jego kroki ucichły.

Henrik dotarł do drzwi mieszkania Alicji i postawił walizkę na podłodze. Zanim zadzwonił, odruchowo poprawił jeszcze włosy i przetarł palcami usta i zęby. Z kieszeni wyjął pluszowego łosia w norweskim sweterku i trzymał go przed sobą. W walizce miał jeszcze ciepłą czapkę, którą zamierzał wręczyć Alicji później.

Wcisnął przycisk i rozległ się charakterystyczny dźwięk dzwonka. Minęło dziesięć sekund i nikt nie otwierał. Zadzwonił jeszcze raz, ale wciąż nie słyszał żadnego ruchu wewnątrz mieszkania.

Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon. Na ekranie zobaczył dwa nieodebrane połączenia i jednego nieodczytanego esemesa od Alicji. Musiała go przysłać, kiedy był już na miejscu. Z pewnością wtedy, kiedy wyciągał walizkę z bagażnika albo szedł przez podwórko. Szum deszczu był tak intensywny, że Henrik nie słyszał żadnych innych dźwięków.

Wiadomość była krótka i cała jej treść wyświetliła się na

głównym ekranie. „Nie wchodź tam! Oddzwoń!”

Kiedy jednak dotarło do niego znaczenie tych słów, było już za późno. Henrik był tak zaskoczony wiadomością, którą wysłała mu Alicja, że nie zwrócił uwagi na kroki za plecami.

Biskup Stanisław Walter dopadł go i przyłożył mu do ust i nosa chustkę nasączoną chloroformem. Henrik nawet nie zdążył się odwrócić. Chwilę później osunął się na posadzkę. Pluszowa maskotka wypadła mu z ręki.

Stanisław Walter otworzył drzwi i wszedł do środka, wciągając za sobą nieprzytomnego Henrika. Nie musiał szukać kluczy w jego kurtce. Miał przecież te należące do Alicji.

Drzwi się zamknęły i na klatce zgasło światło. Nikt niczego nie zauważył. Biskup po chwili wychylił się z mieszkania, by zabrać maskotkę i walizkę.

Na korytarzu znowu zrobiło się zupełnie cicho.

ROZDZIAŁ 6

Alicja

Sobota, 8 listopada 2014

Pierwszy podbiegł do niej Ferdek. Tylko jego nie zdziwił strój i wygląd Alicji. Ferdek był średniej wielkości psem, mieszańcem nie wiadomo czego z czym. Właściwie, gdyby powiedzieć, że miał coś z pudła, można by go obrazić. Był za duży i zbyt dobrze zbudowany jak na tę rasę. Jednak czarna kręcona karakułowa sierść sprawiała, że był do tej rasy bardzo podobny. Ferdek znał i lubił Alicję, dlatego kiedy Ewa otworzyła drzwi, wybiegł do niej, nie zważając na deszcz. Zaskoczony, zatrzymał się na moment, gdy Alicja obojętnie przeszła obok niego. Jednak po chwili zaczął biegać dookoła niej i merdać ogonem.

Ewa natomiast stała nieruchomo. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Alicja wyglądała upiornie. Przez moment pomyślała, że to muszą być jakieś jaja i że jest świadkiem idiotycznego numeru, który właśnie odstawia jej przyjaciółka.

Ale kiedy Alicja dotarła do drzwi wejściowych i pokazała się jej w świetle lamp, Ewa zrozumiała, że to nie żarty.

– Pomóż mi – powiedziała Alicja, łkając.

Ewa zaniemówiła. Gula stanęła jej w gardle i nie chciała ruszyć się ani o milimetr.

– Pomóż mi – powtórzyła Alicja, bardziej do siebie niż do Ewy.
– Bo... bo Henrik... – zaczęła, ale nie udało jej się dokończyć, gdyż wstrząsnęły nią takie dreszcze, jakby właśnie dostała ataku febry.

– Jesteś cała mokra. Pewnie przemarzłaś. Trzeba cię ogrzać – powiedziała, ale Alicja wrzasnęła, zanim jeszcze Ewa zdołała dokończyć.

– Nie jest mi zimno! Chcieli mnie zabić! Chcieli mnie zabić, kurwa... – Siła jej głosu słabła z każdym wypowiedzianym słowem. Ostatnie z nich stłumił narastający szloch.

Ewa zamknęła drzwi. Ferdek otrzepał się z wody.

Alicja najpierw schyliła się, a potem ciężko opadła na niską szafkę z butami. Oparła się plecami o ścianę, wciskając dłonie między kolana. Podniosła głowę i spojrzała na zupełnie zdezorientowaną przyjaciółkę.

– Nie wiem, co mam robić Ewa... nie wiem... – powiedziała przeproszającym tonem.

Wydawało się, że znowu wybuchnie płaczem, ale się powstrzymała. Zacisnęła zęby, nie pozwalając swojej rozpaczynie wydostać się na zewnątrz.

W środku było bardzo jasno. Paliły się prawie wszystkie światła. Wnętrze, przywodzące na myśl pałac, zawsze robiło na Alicji wrażenie. Na parterze znajdowała się urządzone w bieli i turkusach kuchnia, a z lewej przestronny sześćdziesięciometrowy salon. Oba pomieszczenia łączył rozległy hol. Ale najważniejsze były tu

schody znajdujące się w jego centralnej części, naprzeciw wejścia. Właśnie ze względu na nie Alicja nazywała ten dom rezydencją. Były szerokie, a u szczytu rozszerzały się jeszcze bardziej. Drewniane poręcze po obu stronach wygięte były w łuk zakręcający mocniej na samej górze. Gdyby na stopniach rozłożyć grubą karminową wykładzinę i na każdym położyć ozdobne, złote drążki całość wyglądałaby jak żywcem wyjęta z baśni. Ewa często opowiadała, że wyobraża sobie jak jej siedmioletnia córka Irenka staje na ich szczycie, wystrojona na pierwszy bal.

– Ala, błagam, mów, co się dzieje – powiedziała Ewa po chwili ciszy.

– Nie wiem... nie wiem, od czego zacząć. – Alicja lekko się zaśmiała. To był śmiech podszyty płaczem. Bardziej jękliwy i desperacki niż wesoły.

– Ktoś chciał się zabić? Co ty mówisz? – Ewa zmobilizowała się i starała się zadawać konkretne pytania. Początkowy szok już minął, teraz musiała myśleć logicznie.

– Julian. A właściwie nie on, tylko Walter. Ten pierdolony dewiant.

W tym momencie z salonu wyłonił się Maks, który dotoczył się na swoim trzykołowym fioletowym rowerku. Jedną dłoń zdjął z kierownicy i włożył sobie do buzi. Wyglądał na nie mniej zaskoczonego niż jego mama. Raz po raz przenosił spojrzenie z Ewy na Alicję, jakby chciał spytać, kim jest ta dziwna pani, która siedzi na szafce.

Alicja oderwała się od ściany i pochyliła w kierunku chłopca. Nie wiedziała jednak, co ma powiedzieć. Cała sytuacja zrobiła się

jeszcze bardziej niezręczna.

– Mariusz! Zejdź na dół! – krzyknęła Ewa i po chwili zwróciła się do Alicji. – Walter? Jaki Walter? Jaki Julian? Chodź, usiądziemy i wszystko mi opowiesz.

Alicja wstała i zdjęła buty. Rajstopy, które miała na sobie, nasiąkły wodą i, gdy szła, zostawiała mokre ślady. Ferdek podszedł do nich i dokładnie je obwąchał.

Ewa przyniosła koc z kanapy i podała go Alicji.

– Okryj się tym. Nie przejmuj się. Wyschnie.

Alicja usiadła na kanapie. Ewa pobiegła do kuchni i włączyła czajnik elektryczny. Przyniosła ze sobą butelkę wody gazowanej i małą miskę z precelkami.

Kanapa była bardzo duża, mogłaby pomieścić dziesięć osób. Wszędzie dookoła leżały rozrzucone zabawki Maksa. Drewniane auto wciśnięte było pomiędzy dwie poduszki. W drugiej części salonu drogę do drzwi balkonowych tarasowała budowla z kolorowych klocków. Ewa postawiła wodę i precelki na stole, odsuwając dwa piloty do telewizora i kilka szklanek z niedopitą herbatą i colą.

Mimo pozornego bałaganu wszystko tutaj było dokładnie na swoim miejscu. Ten dom tętnił życiem i w każdym jego kącie można było dostrzec ślady domowników. Przez moment zrobiło jej się głupio, że wkroczyła w ten świat ze swoimi problemami.

– Przepraszam cię, Ewa. Nie wiedziałam, gdzie mam pójść i co zrobić – powiedziała już nieco pewniej Alicja.

– Przestań! W ogóle nie ma tematu! Ale musisz mi w końcu powiedzieć, co się dzieje.

– Jestem w ciąży. – Alicja zaczęła od czegoś, co zaskoczyło nawet ją samą. Nie miała zamiaru mówić na początku o dziecku. Przecież teraz najważniejsze było to, co stało się w jej mieszkaniu, to, co zrobił jej Stanisław Walter, to, co dzieje się z Henrikiem. Jednak nowe życie, które nosiła w sobie, w tej chwili przebiło się przez wszystkie tamte problemy. To właśnie dziecko było najważniejsze i to od niego tak naprawdę wszystko się zaczęło. To dzięki niemu Alicja miała jeszcze siłę do walki. – Będziemy mieli z Henrikiem dziecko.

Ewa chciała wydać okrzyk radości, ale widok przemoczonej i przerażonej przyjaciółki sprawił, że stłumiła go w sobie.

– Ala, tak bardzo się cieszę – zdążyła powiedzieć, zanim Alicja zaczęła mówić dalej.

– Ja też. Bardzo. Henrik jeszcze nic nie wie. Muszę... musimy do niego jechać. On jest teraz u mnie. Chyba. Chyba tam jest – jąkała się. Niemal przed każdym słowem brała kolejny oddech, ale kontynuowała. Chciała właśnie teraz powiedzieć wszystko do końca. – Ale ja stamtąd uciekłam. Bo tam był ten potwór, Julian. I on chciał mnie zabić. Strzelał do mnie. On jest od biskupa Waltera. I był tam też jego brat, komendant.

Alicja pomyślała, że nie może sobie teraz pozwolić na bezradność. Jeśli da sobie na nią przyzwolenie, to bezradność ją zje. Połknie ją w całości. Najpierw będzie chodzić wokół niej i ślinić się. Dokładnie tak jak od kilku minut, odkąd zaczęła pokazywać Alicji próbkę swoich możliwości. Obwąchiwała ją jak dzikie zwierzę, które za chwilę przystąpi do konsumpcji. Zjawiła się nagle i podstępnie. Od dawna czaiła się gdzieś w pobliżu. Wcześniej

jednak Alicja nie dopuszczała jej do siebie. I nagle jakby otworzyła jej szeroko drzwi. A kiedy to zrobiła, nie mogła jej już przepędzić, bo bezradność położyła na niej swoje ciężkie łapska i mocno docisnęła. Zgniotła, zabrała dech i przygotowywała się do pożarcia.

Odrzuć bezradność!

Ewa przełknęła ślinę. Nie wierzyła w to, co słyszała. Nie rozumiała zupełnie nic.

– Mariusz! Zejdź na dół! Słyszysz?! – krzyknęła tym razem bardzo głośno. Maksio wdrapał się na fotel do mamy i usiadł obok niej. Patrzył na nią pytająco. Dotąd jeszcze się nie odezwał. Ewa pogłaskała go po głowie.

– Już schodzę! – Tym razem Mariusz dał znak życia.

– Ale dlaczego ktoś chciał cię zabić?! – zapytała Ewa i poczuła, jak abstrakcyjne jest dla niej pytanie, które zadała. Czowała się, jakby pytała, dlaczego jej przyjaciółka chce sobie uciąć głowę.

– Bo ja mu groziłam. Biskupowi Walterowi. Bo wcześniej on mnie... – Głos utkwiał jej w gardle. Nie umiała dokończyć. – On zrobił mi coś bardzo złego. On jest potworem, Ewa...

W tym momencie Alicja się poderwała. Niemal podskoczyła, jakby sobie o czymś przypomniała. Ewa przestraszyła się, widząc amok w oczach przyjaciółki. Alicja wyjęła telefon z kieszeni i zadzwoniła do Henrika. Nie zgłaszał się.

– Bo Henrik. Henrik tam jest... I nie odbiera. Boże, a jeśli coś mu się stało... To przeze mnie. Przeze mnie! – Alicja znowu mówiła przez łyzy. Znowu wyglądała tak, jakby miała małe wewnętrzne elektrody poruszające jej ciałem. Jakby ktoś okładał ją pięściami po brzuchu i żebrach.

– Chryste Panie, co się dzieje?! – Mariusz właśnie zszedł na dół i był świadkiem całej sceny od momentu, w którym Alicja wyjęła telefon z kieszeni. Stał na granicy salonu i holu i patrzył pytająco na żonę.

Mariusz był postawnym mężczyzną. Przed laty grał w koszykówkę i ciągle poruszał się tak, jakby nigdy nie schodził z parkietu. Nawet jak stał, sprawiał wrażenie, że jest nie do ruszenia. Ale teraz wyglądał, jakby kompletnie osłupiał i można go było przewrócić jednym pstryknięciem.

Prawniczka opadła z powrotem na kanapę.

– Chodź tu i słuchaj – odezwała się Ewa do męża. – Alicja została napadnięta!

– Byłaś na policji?! – zapytał Mariusz bez chwili zwłoki.

– Nie – odparła Alicja.

– To trzeba iść na policję. Dzwonię do nich – powiedział i ruszył w kierunku komórki leżącej na komodzie.

– Nie idę na żadną policję!!! – wrzasnęła Alicja. Leżący pod stołem Ferdek podniósł łeb i spojrzał na nią pytająco.

– Ale dlaczego?! – zapytał szybko Mariusz, jakby miał już wcześniej wgrane to pytanie.

Odgarnęła włosy za ucho. Zdążyły już trochę wyschnąć. Zdała sobie sprawę, że nie może się tak zachowywać. Bała się, że zaraz wezmą ją za wariatkę.

– Mariusz, przepraszam – powiedziała dużo spokojniej. – Nie mogę iść na policję. Groził mi biskup Walter. Jego brat jest komendantem policji, tu w Częstochowie. Ma wszystko pod kontrolą. Przed chwilą właśnie próbował mnie porwać. Był pod

moim blokiem. Ale udało mi się uciec, bo... bo... – chciała mówić dalej, ale zdała sobie sprawę, ile szczegółów jeszcze musi zdradzić i jak nieprawdopodobne będzie to dla jej przyjaciół. – Nie, no... to wszystko jest strasznie popieprzone...

Przez moment panowała zupełna cisza. Wszyscy trwali w bezruchu. Brakowało tylko Irenki, która bawiła się na górze w swoim pokoju. Alicja w końcu przerwała milczenie.

– Musimy jechać do Henrika. Przyjechał właśnie do Częstochowy, chcąc mi chyba zrobić niespodziankę. Przeczytałam esemesa, jak byłam już pod waszym domem. Nie mogę się do niego dodzwonić. Muszę sprawdzić, co się z nim dzieje. Możesz pojechać ze mną? – zapytała, patrząc na Mariusza.

– Jedź! – bez namysłu powiedziała Ewa, zanim Mariusz zdążył wykonać jakikolwiek gest.

– Dobrze. Chodźmy. Domyślam się, że nie ma na co czekać? – odparł, choć wciąż niewiele rozumiał.

Alicja i Ewa jednocześnie kiwnęły głowami.

– Dobrze. Idę po auto do garażu. Widzimy się pod bramą.

Mariusz wyszedł, a one wstały i poszły do przedpokoju. Maks wraz z Ferdkiem szli za nimi. Widać było, że obaj nie są do końca pewni, czy im wypada.

– Jesteś cała mokra. Musisz się przebrać. Czekał, dam ci coś na zmianę! Patrz, ja to mam refleks.

– Nie, Ewunia, nie teraz. To już trochę wyschło. Teraz nie ma czasu.

Ewa westchnęła, podeszła do przyjaciółki i pogładziła ją po policzku.

– Masz rację. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale pamiętaj, teraz najważniejsze jest dziecko. Dziecko i Henrik. Bardzo się cieszę, Ala. Ze wszystkim innym sobie poradzimy. Będzie dobrze, zobaczysz.

– Dziękuję. I przepraszam. Kiedyś ci to wszystko dokładnie wyjaśnię i opowiem – powiedziała Alicja, przytulając się do przyjaciółki.

– Nie przepraszaj, głupia! Będzie dobrze!

Trwały tak przez chwilę, gdy nagle z podwórka dobiegły do nich krzyki. Najpierw usłyszały, jak Mariusz mówi coś głośno, następnie serię nieartykułowanych dźwięków, jakby się z kimś przepychał. Jakby się siłował i ten pojedynek przegrywał. Brzęk tłuczonego szkła i stłumiony odgłos wystrzału wyrwał je z odrętwienia. Alicja знаła już ten dźwięk. Słyszała go niedawno i nie mogła go pomylić z niczym innym. Potem rozległ się ryk Mariusza. Przeklinał i wył z bólu jednocześnie.

Alicja spojrzała na Ewę. Jej przyjaciółka zdębiała. Była jak półprzytomna. Też wiedziała, że to, co właśnie usłyszała, to był strzał z pistoletu. Ale ten odgłos jakby ją zablokował. Stała, nie mając pojęcia, co robić.

– Zostań tu – powiedziała Alicja i wybiegła na zewnątrz.

Przed domem zobaczyła czarnego SUV-a volvo stojącego w połowie dojazdu do otwartej bramy. Drzwi samochodu po stronie kierowcy również były uchylone, a Mariusz leżał obok i trzymał się za nogę.

– Skurwysyn mnie postrzelił! – krzyknął, kiedy zobaczył Alicję.

– Uciekaj! On gdzieś tu jest.

Mariusz klęknął. Następnie, chwytając się samochodu, spróbował wstać. Jęknął z bólu, z trudem, ale się podniósł. Podskakując na jednej nodze, pokuśtykał do garażu. Alicja na chwilę została sama. Podeszła bliżej do samochodu i zajrzała do środka. Silnik był włączony. Odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach Ewę.

– Schowaj się! – krzyknęła. – Wszystko jest dobrze. Mariusz jest w garażu. Schowaj się, rozumiesz?!

Ewa bez słowa zamknęła drzwi. Zamknęła je w tym samym momencie, w którym zza samochodu wyłonił się Julian i może właśnie to uratowało jej życie. Julian strzelił. Celował do Alicji, ale trafił w mur tuż przy wejściu do domu. Alicja stała w odległości pięciu metrów od niego, ale otwarte drzwi samochodu lekko ją zasłaniały.

Poczula nagły atak furii. Popchnęła drzwi i rzuciła się w kierunku napastnika. To był ruch bezsensowny i zaskakujący. Alicja biegła wprost na wycelowaną lufę pistoletu. Ale zrobiła to tak szybko, że Julian nawet nie zdążył zareagować. Dopadła do niego i popchnęła go na ziemię. Upadł, ale oddał kolejny strzał, już leżąc. Strzelał na oślep, miała jednak duże szczęście. Uciekła do samochodu i zamknęła drzwi. Wrzuciła wsteczny bieg.

Wtedy usłyszała kolejne wystrzały. Brzmiały inaczej. To musiał być inny pistolet. Spojrzała przed siebie i zobaczyła Mariusza z bronią w ręku. Strzelał w powietrze. Ostrzegawczo. Dawał znać, że nie tylko Julian ma w tym towarzystwie spluwę. Mariusz podszedł do volvo. Alicja opuściła szybę.

– Jedź. Jedź do Henrika – powiedział i ruchem głowy wskazał

w kierunku otwartej bramy.

Sekundę później w lusterku wstecznym zobaczyła Juliana. Musiał na moment ukryć się za drzewem, które rosło tuż za bramą, ale teraz podjął kolejną próbę ataku. Podniósł broń i chciał wystrzelić. Ale Mariusz był szybszy. Tym razem nie celował w nicość, lecz wprost w Juliana. Trafił go w okolice obojczyka. Julian wrzasnął, zatoczył się i schował za bramą.

– Jedź! – krzyknął Mariusz do Alicji.

Dodała gazu i wyjechała na ulicę. Minęła Juliana, który opierał się o ogrodzenie, ściskając się za lewe ramię. W ręce wciąż trzymał pistolet.

Wykręciła i ruszyła do przodu. W lusterku wstecznym widziała, jak Mariusz wybiega przez bramę i znów strzela do napastnika. Słyszała, że wypalił jeszcze dwa razy. Julian uciekał jak spłoszone zwierzę. Jedna z kul musiała trafić go nogę, bo wyraźnie utykał.

Alicja skierowała się w stronę alei Niepodległości. Julian został po drugiej stronie osiedla.

To się, kurwa, nie dzieje!

Kiedy skręcała w prawo na skrzyżowaniu Lipowej i Źródlanej, minęła granatowego forda mondeo. Jerzy z Marczukiem właśnie dojeżdżali do celu, ale żaden z nich nie zauważył, kto siedzi za kierownicą SUV-a. Oficer w komendzie nie zarejestrował jeszcze na tyle dużego ruchu na aparaturze monitorującej telefon Alicji, by o tym zameldować.

Alicja jechała, nie zważając na przepisy. Skupiła się tylko na tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do swojego mieszkania. Czuła, że jeśli zacznie analizować i rozpamiętywać wszystko, co właśnie

stało się u Ewy, znowu się rozsypie.

Przecież to są niewinni ludzie!

W okolicy swojego bloku dojechała cztery minuty później. Wjeżdżając na parking, spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się tak szybko.

Jadąc wzdłuż bloku, zauważyła, że ktoś zgasił światło w kuchni. Pamiętała, że kiedy wybiegała, lampa na pewno była zapalona. Zawahała się. Zatrzymała samochód na środku parkingu, nie wyłączając silnika.

Wyjęła telefon i jeszcze raz zadzwoniła do Henrika. Nie odbierał.

A co, jeśli go tam wcale nie ma? A co, jeśli tam jest ktoś inny?

Zaczęła zastanawiać się, czy dobrze robi, chcąc wejść do środka. Może nie powinna być sama. Może również powinna mieć broń.

Myśl, dziewczyno!

Usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości.

Henrik! To pewnie Henrik!

Spojrzała na wyświetlacz w nadziei, że w końcu dał znak życia. Ale w mgnieniu oka ją straciła, widząc treść esemesa. Wiadomość pochodziła z jej numeru prywatnego. Przypomniała sobie, że zostawiła ten telefon w płaszczu.

„Henrik ma się dobrze. Ale wspólnie uważamy, że powinniśmy się w końcu spotkać. Nie sądzisz? Tylko że nie ma nas w domu. Poszliśmy na spacer.”

Alicja poczuła tak silne ukłucie w sercu, że przez moment nie mogła oddychać. W jednej chwili wszystko zrozumiała i znowu poczuła się zupełnie bezsilna. Wszystko, co przez ostatnie dni

udawało jej się skutecznie pokonywać, właśnie powoli wracało. Zrobiło jej się czarno przed oczami. Znowu drżała. Ogarnęła ją niemoc większa niż kiedykolwiek wcześniej. Nie kontrolowała tego, ale siedziała w samochodzie jak sparaliżowana.

Po kilku minutach udało się jej otrząsnąć i skoncentrować. Chwilę później zadzwoniła do Agüero. Wiedziała, że pomocy może już teraz szukać tylko u niego.

– No siema maleńka! Wiem, wiem, miałem się odezwać – usłyszała głos przyjaciela.

– Musimy się spotkać. Teraz, zaraz...

– Aluś zawsze, tylko nie dziś.

– Dziś! Teraz! Masz mieć czas tylko dla mnie! – krzyknęła. – Musisz!

– Ok... – odparł wyraźnie zdezorientowany. – Ala, coś się stało?!

– Zaraz wszystko ci opowiem.

– Zaraz?

– Tak, będę u ciebie za minutę – powiedziała i wcisnęła pedał gazu. Rozłączyła się, nie czekając na jego odpowiedź.

Kamil Adamus vel Agüero mieszkał siedemset metrów od niej i w tym momencie był dla niej niezastąpiony. Miał w sobie optymizm. A przede wszystkim Kamil Adamus na pewno miał w domu broń.

ROZDZIAŁ 7

Jerzy

Sobota, 8 listopada 2014

Odnalezienie właściwego domu przy ulicy Wiśniowej nie byłoby dla nich problemem, nawet gdyby nie mieli informacji o dokładnym adresie. Kiedy tylko skręcili w wąską, ułożoną z betonowych płyt uliczkę, zobaczyli scenę, na widok której jednocześnie spojrzeli na siebie. Obaj mieli wypisane na twarzach to samo. Jerzy Walter i Marek Marczuk w jednej chwili zorientowali się, że najprawdopodobniej trafili w oko cyklonu i instynktownie chwycili za broń. Marczuk złapał krótkofalówkę, chcąc wezwać radiowóz, ale Jerzy go powstrzymał.

Mniej więcej w połowie odległości od auta zobaczyli mężczyznę, który właśnie opuścił pistolet, po czym odwrócił się i podskakując na jednej nodze, ruszył w stronę bramy jednej z posesji. Zatrzymali się trzy metry od niego, jeszcze zanim zdołał ją zamknąć. Mężczyzna był ranny w prawą łydkę. Miał podziurawione dżinsy kilkanaście centymetrów poniżej kolana. Światło jednej z latarni pozwalało to dostrzec nawet w strugach deszczu.

Jerzy opuścił szybę i krzyknął:

– Jerzy Walter, komenda miejska policji, proszę się zatrzymać!

Mężczyzna zrobił to i z spojrzał w ich stronę z wyraźnym grymasem na twarzy. Walter z Marczukiem wysiedli z samochodu. Padało obficie, ale dla Jerzego te krople były zbawienne. Wychładzały jego bolącą czaszkę, niemal jak okłady z ręcznika namoczonego w zimnej wodzie.

Brama była wciąż otwarta, więc podeszli i stanęli w jej świetle.

– Proszę powiedzieć, co się tutaj dzieje – rzekł Jerzy. Kątem oka zauważył, że Marczuk wyjął już broń i, podobnie jak tamten mężczyzna, trzyma ją w dłoni.

– Panowie są z policji? – zapytał mężczyzna widząc, że żaden z przybyszy nie ma na sobie munduru.

Wyjęli legitymacje i wyciągnęli je przed siebie.

– Jerzy Walter, komendant miejski Policji. A to Marek Marczuk, Naczelnik Wydziału Kryminalnego.

– Jerzy Walter? – zapytał mężczyzna, patrząc wprost na komendanta. Było widać, że jest mocno zaskoczony.

– Tak jest. Dostaliśmy wiadomość, że padły tu strzały – powiedział Jerzy. – Jest pan ranny. Proszę schować broń. Musimy porozmawiać.

Mężczyzna opuścił głowę i spojrzał na pistolet, lekko poruszając ręką i podnosząc go, jakby się dziwił, że jeszcze ma go w dłoni.

– Skąd... skąd panowie wiedzieli, co się tu dzieje? – zapytał.

– Wiedza operacyjna – odezwał się Marczuk. Mówił dużo bardziej stanowczo niż Jerzy. – Jak się pan nazywa?

Mężczyzna ponownie się skrzywił. Widocznie adrenalina

musiała powoli opadać i zaczynał czuć mocny ból w ranie postrzałowej.

– Gil. Mariusz Gil – odparł po chwili.

W tym samym momencie drzwi wejściowe do domu się otworzyły i ukazała się w nich przerażona, roztrzęsiona kobieta

– Panie Gil, wejdźmy do środka. Nie będziemy rozmawiać w takich warunkach – powiedział Marczuk i ruchem ręki wskazał na lecące z nieba strugi deszczu.

– Mariusz! – zawołała kobieta.

– Kochanie, panowie są z policji, już idę! – krzyknął Mariusz Gil. Następnie zwrócił się do Jerzego. – Walter? Mówi pan, że nazywa się Walter?

– Tak jest – odpowiedział nieco zdziwiony Jerzy.

– I pewnie szuka pan Alicji Drylskiej?

Jerzy nie odpowiedział. Marczuk odchrząknął i od razu przeklął się w myślach za swoją reakcję. To było zupełnie nie na miejscu.

– Jeśli tak, to spóźnił się pan. Już jej tu nie ma – dodał Mariusz.

– Może lepiej będzie, jak pogonicie za tym łajdakiem, który nas zaatakował.

– Wyślemy radiowozy. Ale jeśli to ta osoba, o której myślę, to znajdziemy go w inny sposób. Gdzie jest Drylska? – spytał Jerzy bez zbędnych tłumaczeń.

– Zapraszam do środka. Rzeczywiście musimy porozmawiać – odparł i skierował się do wejścia. W przedpokoju spojrzął jeszcze raz na Jerzego i dodał: – Pan też musi nam coś wyjaśnić, panie komendancie Walter.

– Walter? Pan się nazywa Jerzy Walter? – zapytała oszołomiona

kobieta. – Proszę stąd wyjść! – zaczęła krzyczeć. – Proszę stąd natychmiast wyjść i nie wracać!

– Spokojnie, kochanie – powiedział Mariusz. – Porozmawiajmy z nimi. Widziałaś, co się tu działo przed chwilą!

– Ale że co, Mariusz? Nie wierzysz Alicji? Przecież ten facet przed chwilą chciał ją porwać. Ktoś cię, do cholery, właśnie postrzelił! Dzwonię na pogotowie! – Kobieta była w panice. Kiedy skończyła mówić, złapała się za głowę, jakby kompletnie nie wiedziała, co się dzieje i co ma robić dalej. Widać było, że ich wizyta zasiała w niej jeszcze większy popłoch.

Jerzy z Marczukiem spojrzeli na siebie.

– Nie chciałem jej porwać. Chciałem ją uratować – powiedział Jerzy wprost, licząc, że choć na chwilę ich uspokoi.

Zamilkli. Ferdek podszedł bliżej i z odległości metra od wszystkich zaczął nieśmiało obwąchiwać stojących. Do tej pory trzymał się z daleka, wyczuwając strach swoich właścicieli.

– Jesteśmy tu, bo wiemy, że grozi jej niebezpieczeństwo. Wiemy, że znajduje się tutaj. Sądzimy również, że wiemy, przed kim ucieka – powiedział Marczuk.

– Mówiłem już, że tutaj jej nie ma. Wyjechała chwilę przed wami.

– Czy ten, kto pana postrzelił, był mężczyzną w wieku około trzydziestu lat, miał kręcone włosy, zielone oczy, około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, szczupłą budowę ciała i sprawiał wrażenie nieco upośledzonego?

Mariusz Gil wyglądał teraz na tak mocno zaskoczonego, że musiał na moment zapomnieć o bólu.

– Jest ciemno. Nie wiem, jakie miał oczy, ale reszta by się zgadzała.

– Drodzy państwo, musicie powiedzieć nam wszystko, co wiecie. Alicja Drylska jest w niebezpieczeństwie. A teraz być może również i wy.

– Ewa, dzwoń na pogotowie. Idź do Irenki i dopilnuj, żeby nie schodziła na dół. Panowie, proszę wejść. Trzeba to wszystko wyjaśnić, bo mnie zaraz cholera strzeli. Proszę nie zdejmować butów – powiedział stanowczo Mariusz i, opierając się o ściany, poszedł do salonu.

Po chwili wszyscy usiedli. Mariusz wyciągnął prawą nogę, chwycił spodnie i lekko nimi poruszył, jakby chciał zajrzeć przez dziurę i dokładnie obejrzeć ranę. – Jasny gwint! – szepnął pod nosem. Kula nie utkwiała w nodze, przeszła na wylot.

– Dobra, do rzeczy. Panowie, o co, kurwa, tutaj chodzi?! Nie będę się bawił z wami w kotka i myszkę. Alicja tu była i opowiedziała nam co nieco. Między innymi o tym, co działo się w jej mieszkaniu. O pańskim bracie również, panie Walter! – Tutaj Mariusz na moment przerwał. Jerzy tylko kiwnął głową. – Potem zjawia się jakiś popapraniec i urządza sobie u nas strzelaninę. I nagle znikąd zjawiacie się wy. Możecie mi to jakoś wytłumaczyć?

Ewa zeszła na dół i poinformowała, że karetka jest już w drodze.

– Rzeczywiście byłem pod blokiem Alicji Drylskiej, próbując ją ratować. Jesteśmy pewni, że strzelał do niej ten sam mężczyzna co do pana. On dzisiaj również zaatakował mnie, panie Gil. – Jerzy wziął głęboki oddech, zanim dokończył zdanie: – I tak, drodzy państwo, obawiam się, że niestety to wszystko ma wiele wspólnego

z moim bratem. Ale dokładne informacje są na razie objęte tajemnicą śledztwa.

– Czcze gadanie! – oburzyła się Ewa Gil. – Nagle zasłaniacie się tajemnicą śledztwa! Chroni pan brata po prostu, ale...

– Chronić to, proszę pani, trzeba Alicję Drylską! – przerwał jej Marczuk. – Jeśli państwo nam nie pomożecie, to ona może nie przeżyć kolejnej nocy!

Ewa zastygła z otwartymi ustami.

– Mama! – zawołał układający klocki w głębi pokoju Maks. Ewa podeszła do niego i wzięła go na ręce. Usiadła z powrotem na fotelu i posadziła malca na kolanach.

– Wszystko dobrze, synku. Panowie zaraz wychodzą – powiedziała.

Marczuk odebrał dzwoniący telefon. Oficer z Trójkąta dawał znać, że Drylska się przemieszcza.

– Tak, tak, już wiemy, że jej tu nie ma – mówił do aparatu. – Daj znać, gdzie się zatrzyma.

Przez kolejne dziesięć minut Jerzy powiedział im tyle, ile mógł. Opowiedział o swoich podejrzeniach, o przebiegu całej akcji pod blokiem Alicji i o śledzeniu jej iPhone'a. Pogotowie przyjechało akurat w momencie, kiedy dotarł do końca wypowiedzi.

– Mariusz, już są – powiedziała Ewa, kiedy usłyszeli syreny.

– Ty zostań. Dokończ rozmowę z panami. Najwyżej później do mnie dojedziesz. Irenka niczego nie wie, prawda?

– Nie.

– I świetnie. Jak będzie pytać, to coś wymyślisz – powiedział i od razu przeniósł wzrok na małego Maksa. A ty, brzdącu,

trzymasz język za zębami. – Uśmiechnął się do niego i pogładził go po głowie. Pocałował żonę i pokuśtykał do drzwi. Marczuk wyszedł razem z nim, żeby ustalić, do którego szpitala zostanie zabrany.

Jerzy i Ewa siedzieli naprzeciw siebie. Komendant przerwał ciszę już po kilku sekundach.

– Pani Ewo, ja wiem, że chce pani chronić przyjaciółkę. Rozumiem to. Ale proszę uwierzyć, że mnie zależy dokładnie na tym samym.

Ewa przytaknęła. Widać było, że mięknie i że argumenty Jerzego zaczynają do niej przemawiać. Jerzy pogładził palcami skronie. Ból głowy raz się nasilał, to znów ustawał.

– Proszę do niej zadzwonić. Od pani na pewno odbierze. Proszę dowiedzieć się, gdzie jest. I niech jej pani koniecznie powie, żeby pozbyła się telefonu i żeby najlepiej nie ruszała się z miejsca. Koniecznie.

Ewa potrzebowała chwili na podjęcie decyzji. Widać było, że sytuacja zdecydowanie ją przerasta i nie może skupić myśli.

– Panie komendancie, mój mąż właśnie pojechał do szpitala z raną postrzałową. Moja przyjaciółka była tu jeszcze dwadzieścia minut temu i mówiła, że groził jej pan wspólnie z bratem. Pan mówi zupełnie co innego. A ja powiem panu, że chciałabym, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Więc niech mi pan jasno powie, w czym tak naprawdę mój telefon do Alicji miałby pomóc?

Ferdek podszedł do Jerzego i położył mu głowę na udzie. Jerzy uśmiechnął się po raz pierwszy od długiego czasu. Zanurzył rękę w bujnej sierści kundla i go pogłaskał. Podniósł głowę i spojrzał prosto w szare oczy Ewy. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, kiedy

wypowiadał bardzo bolesne dla siebie słowa. Słowa, które musiały paść, jeśli wszystko miało odnieść jakikolwiek skutek.

– W złapaniu mojego brata, pani Ewo. I w udowodnieniu mu winy. Przede wszystkim właśnie w tym.

Dźwięk zamykanych drzwi i tupot kroków wracającego Marczuka stłumił odgłos wypuszczanego z płuc powietrza. Jerzy i Ewa odetchnęli głośno w tej samej chwili. Jerzy poczuł ulgę, że ma te słowa już za sobą. Ewa zauważyła, że te zdania musiały go dużo kosztować, i spojrzała na niego z uznaniem.

– Dobrze. Zadzwoń do niej – powiedziała, kiedy Marczuk usiadł z powrotem na kanapie.

Nie czekała ani chwili dłużej. Wzięła do ręki leżący na stole telefon i wybrała numer Alicji. Drylska odebrała bardzo szybko.

– Tak, z Mariuszem wszystko ok. Nie martw się – powiedziała Ewa do aparatu, najwyraźniej odpowiadając na pytanie. – A ty? Znalazłaś Henrika? – zapytała, a potem kilkakrotnie kiwnęła głową, słuchając przyjaciółki. Trzy razy powiedziała „aha”, przytakując i zachęcając Drylską do dalszego mówienia. Za każdym razem wypowiadała to słowo z inną intonacją.

– Czyli jesteś teraz u Agüero? – zapytała i znowu kiwnęła głową. – Posłuchaj mnie. Najważniejsza rzecz. Wyrzuć telefon! Pozbądź się go. Właśnie tak cię namierzają, dopiero teraz to sobie uświadomiłam. Wyrzuć go gdzieś. Albo poproś Kamila.

Przez moment milczała. Wydawało się, że po drugiej stronie też nikt nic nie mówi. Po chwili Drylska odezwała się, a Ewa próbowała ją uspokoić, pomagając sobie przy tym szerokimi ruchami ręki tuż nad głową Maksa.

– Tak, wiem, Alicja, że szkolny błąd. Ale nie skupiaj się na tym. Pozbądź się go teraz, rozumiesz? Wszystko będzie dobrze. Nie przepraszaaj!

Rozłączyły się. Odłożyła telefon i spojrzała na policjantów. Przenosiła wzrok z jednego na drugiego. Oni w milczeniu czekali na to, co powie.

– Kamil Adamus, Ogińskiego cztery przez osiem, mieszkanie numer pięćdziesiąt jeden. Jest tam teraz – odezwała się tępym głosem. – Ale macie kolejny problem. Pański brat chyba ma Henrika.

– Dziękujemy, pani Gil – powiedział Marczuk i klepnął Jerzego w plecy, widząc, że ten na moment jakby zeszywniał. – Na nas już czas.

Jerzy się otrząsnął. Marczuk pokazał mu esemesa od oficera z komendy. Podany przez niego adres zgadzał się z tym, który dostali od Ewy. Jeszcze zanim wyszli, usłyszeli jej głos za plecami.

– Właśnie ukryłam prawdę przed moją przyjaciółką. Chcę wierzyć, że dobrze zrobiłam. Niech pan tego nie spieprzy!

Wychodząc na zewnątrz i czując ponownie dobroczynne krople deszczu na czole, Jerzy pomyślał, że Ewa Gil ma całkowitą rację. Przysięgał sobie, że będzie właśnie to robić. Miał chronić Alicję Drylską, tymczasem na razie osiągnął niezwykle mizerne efekty. I nic z tej jego ochrony nie wychodziło, a wszędzie był o kilka kroków za późno. Jeśli więc chciał załatwić tę sprawę na swoich zasadach, musiał być jeszcze bardziej zdecydowany. Czas uciekał. Jerzy nie miał już czasu na błędy. Czuł, że jeśli teraz znowu się spóźni, Alicja zginie.

– Ja poprowadzę – powiedział do Marczuka i wyciągnął rękę po kluczyki.

Zanim wsiedli do samochodu poczuł wibrację telefonu. Odczytał esemesa, w momencie kiedy naczelnik podawał mu klucze. Przeklął pod nosem.

– Co znowu?! – zapytał Marczuk.

– Potem ci powiem, teraz nie ma na to czasu.

Chwilę później ruszyli z piskiem opon. Zauważył, że w oknach okolicznych szeregówek pojawili się pierwsi gapie. Sprawa zaczęła budzić zbyt duże zainteresowanie, a on chciał zdusić ją w zarodku. Nie mógł pozwolić, by nabrała rozgłosu.

Ponownie poczuł, że może być za późno, dlatego wciąż przyspieszał. Tak szybko po częstochowskich ulicach jeszcze dotąd nie jechał.

ROZDZIAŁ 8

Julian

Sobota, 8 listopada 2014

Julian uciekł w stronę ulicy Jagiellońskiej. Przestrzelone ramię bolało go tak dotkliwie, że niemal tracił przytomność. Kula poważnie naruszyła ścięgna i pogruchotała kości. Ręka była bezwładna, a każdy ruch tylko potęgował cierpienie chłopaka. Mimo to Julian musiał przeskoczyć przez ogrodzenie, żeby wydostać się z osiedla. Zawył z bólu, kiedy wdrapywał się na płot. Wspiął się i momentalnie runął na ziemię po drugiej stronie. Rosły tam pozostałości wysokich traw i niedokładnie usuniętego żywopłotu. Leżąc w tym mokrym i drapiącym gąszczu, poczuł, że nie może się już ruszyć.

Wtedy zrobiło mu się wszystko jedno. Był niecałe trzydzieści metrów od Mariusza Gila, który strzelał do niego jeszcze chwilę wcześniej. Nie wiedział o tym, ale znajdował się w tej samej odległości od komendanta Jerzego Waltera i naczelnika Marka Marczyka, którzy właśnie przyjechali na ulicę Wiśniową. Nie miał pojęcia o tym, bo uciekając nie odwrócił się i nie zobaczył jak nadjechali. Ale nawet gdyby wówczas miał taką świadomość, to

i tak byłoby mu wszystko jedno.

Julian zawiódł. Julian znowu nie wypełnił zadania.

Leżał bez ruchu i otepiałym wzrokiem patrzył w czarne niebo. Okrągłe krople uderzały w jego twarz, a on prawie nie mrugał. Przymknął jedynie lekko oczy i patrzył w odległą nicość. Czuł, że potwornie boli go ramię i udo, które również drasnęła jedna z kul.

Pomyślał, że popełnia błędy, bo tak bardzo brakuje mu światła. Tak dawno nie widział prawdziwego, jasnego światła i tak bardzo go potrzebował. Pamiętał dni, w których go doznawał. Wtedy też leżał i patrzył w niebo. Prawie zawsze było jasnoniebieskie i czyste, tylko w takie dni mógł opuszczać piwnicę. Na tym tle Julian widział białe chmury i złociste światło słońca. Kiedy jaskrawe promienie docierały do jego źrenic, Julian mrużył oczy tak samo jak teraz. Ale tamto uczucie było przyjemne. Było lekkie. Swobodne. Ciepłe. Tata nie pozwalał, by Julian doznawał światła w trakcie deszczu i śniegu. Tata dbał o komfort Juliana.

Biskup też dba o Juliana. Biskup też dba.

Julian znajdował się w zasięgu wzroku osób, które chciały go pojmać. Mieli go na wyciągnięcie ręki. Ale nikt już nie spojrział w jego kierunku, uznając, że uciekł dużo dalej. A on leżał w tym miejscu bardzo długo. Leżał tam także wtedy, gdy podjechał ambulans i zabrał Mariusza Gila do szpitala. Pomyślał, że ta karetka mogłaby pomóc i jemu. Ale nawet nie drgnął. Nie ruszył się, bo sądził, że zaraz i tak go znajdą. Karetka oświetliła okolicę na białło i niebiesko. Julian czuł, że jest widoczny, był przekonany, że jest łatwym celem dla wszystkich.

I mimo że tak w istocie było, nikt się nim nie interesował.

Mariusz Gil zawrócił, jeszcze zanim Julian wdrapał się na ogrodzenie, Marek Marczuk nie wezwał posiłków i nie wysłał radiowozów, by jeździły po okolicy w poszukiwaniu Juliana. Wyglądający przez okno mieszkańcy okolicznych domów nie spojrzeli w jego stronę.

Julian jest zmęczony. Julian jest już bardzo zmęczony.

A on leżał do momentu, w którym zrobiło się zupełnie cicho i tylko deszcz szumiał jednostajnie. Ostatnie, co usłyszał, to pisk opon odjeżdżającego forda mondeo i zamykającej się bramy, przez którą niedawno uciekał. Potem przez wiele minut nie przejechał już żaden samochód i żaden tramwaj. Julian czuł, że odpływa i że to, co jest dookoła niego, przestaje go interesować. Nie umiał pojąć, dlaczego pierwszy raz od lat wcale nie chce być czujny i nie chce się starać. Nie potrafił tego zrozumieć, bo jeszcze nigdy się tak nie czuł. Pierwszy raz nie czuł potrzeby karania się za popełnione błędy. Zamknął oczy.

Julian już nie chce się karać. Nie chce teraz tego robić. Chciałby nie musieć się teraz karać.

Dopiero odgłos elektrycznego silnika zbliżającego się tramwaju linii numer trzy sprawił, że znowu podniósł powieki. Było to jedenaście minut później. Jedenaście minut, w których właściwie nie było już Juliana.

Tramwaj przejechał, a ziemia lekko zadrżała, ulegając jego naciskowi. Julian czuł to bardzo wyraźnie. Ruszył głową i powiódł wzrokiem za odjeżdżającym pojazdem, gubiąc światło, które za sobą zostawił. Po chwili znowu zrobiło się ciemno i cicho. Znow tylko deszcz odgrywał swoje monotonne solo.

Julian musi iść. Julian musi się ruszyć. Julian musi do domu.

Coś jednak kazało mu się poruszyć. Poczuł, że nie chce być sam. W jego głowie nie grała żadna muzyka i nie czuł żadnej złości. Czuł jedynie, że nie chce być sam.

Mimo bólu udało mu się usiąść. Plecami oparł się o płot. Ból w nodze był do zniesienia, ale ramię paliło tak, jakby ktoś polał mu je lawą. Oparł się na zdrowej ręce i udało mu się kucnąć. Wyprostował się. Lewa ręka była już zupełnie bezwładna. Nie mógł nawet zgiąć jej w łokciu.

Juliana boli. Juliana tak bardzo boli.

Zdecydował, że pójdzie do domu katedralnego. Tak jak wtedy. Przypomniawszy sobie, jak wiele lat temu, kompletnie wyczerpany, uklęknął na schodach prowadzących do wejścia do kościoła pod wezwaniem Świętego Jakuba przy ulicy Kilińskiego. Kościoła stojącego w samym sercu miasta.

Wtedy stanął przy nim Stanisław Walter i spytał go, jak ma na imię, a on odezwał się po raz pierwszy od wyjścia ze swojego pokoju, ukrytego głębiej niż ciemna piwnica.

– Julian. Mam na imię Julian – powiedział, trzęsąc się z zimna. Odpowiedział zgodnie z tym, czego został nauczony. Podał imię, które nadał mu Tata. Podał jedyne imię, jakie pamiętał. Powiedział, że ma na imię Julian, bo w istocie nim był. Wówczas od dwunastu lat nie było już Jakuba.

Od chwili, w której Tata przyniósł go do domu, pokazał mu jego pokój i powiedział do niego: „Julian, będziesz miał na imię Julian. Zawsze chciałem, żebyś miał na imię Julian”, Jakub Drylski znał tylko to imię i tylko na to imię reagował.

Bał się przez niemal całe swoje życie. Ale kiedy stanął naprzeciw Stanisława Waltera, nie czuł lęku.

Teraz wiedział, że znów będzie musiał przed nim uklęknąć. Wiedział, że popełnił szereg błędów, ale mimo wszystko postanowił, że pójdzie i poczeka na biskupa. Biskup też musi przecież kiedyś wrócić.

Szedł wolno i niezdarnie. Zataczał się. Jego wędrówka przypominała tę sprzed lat. Julian był tak samo zmęczony, jak wtedy, kiedy przemierzał Częstochowę po ucieczce z niewoli. Teraz w dodatku był ranny, a każdemu ruchowi towarzyszył przeszywający ból. Ta wędrówka była jeszcze trudniejsza, mimo że na zewnątrz było nieco cieplej niż kilkanaście lat temu, a Julian miał na sobie coś więcej niż cienki sweterek. Przypomniwał sobie, że godzinę wcześniej jeszcze biegł. Biegł na miejsce, które wskazał mu biskup na wyświetlaczu telefonu Alicji Drylskiej. A teraz wraca stamtąd i nie ma już nawet siły, żeby normalnie iść.

Boli. Bardzo boli.

Tylko trzy lata jego życia nie były okupione cierpieniem. Każdy następny rok był karą. Gdyby w Częstochowie był ktoś, kto znałby losy Juliana, z pewnością by mu współczuł. Być może nawet pomógłby mu. Ale nie było w tym mieście takiej osoby. Nikomu nigdy tak naprawdę Juliana nie było żal. Julian nie wiedział nawet, co to znaczy, że ludzie mogą sobie współczuć. Znał tylko świat, który mu przedstawiono. Znał cudzą wersję tego świata. Świata, w którym wcześniej chciał go widzieć Tata. Świata, w którym teraz chciał go widzieć biskup. Julian był narzędziem w ich rękach. Ich figurką. Ich pacynką. Poruszał się tylko tak, jak oni chcieli.

Zatrzymał się, gdy dotarł do ulicy Bór w otoczeniu strzelistych topoli. Nie miał siły już iść dalej. Zanim ukrył się za drzewami, zdołał jeszcze wyjąć telefon i napisać do jedynej bliskiej mu osoby, do biskupa Stanisława Waltera. Napisał, gdzie jest, i że czeka. Liczył, że biskup przyjedzie po niego, bo będzie go jeszcze potrzebował. Przyjedzie, mimo że Julian popełnił tyle błędów.

Usiadł i ukrył głowę między kolanami. Jedyne, na czym był w stanie się skupić, to regularne i mocne wystrzały bólu, przesywające całe jego ciało. Krew spływała mu z ran coraz szerszymi strużkami.

Juliana boli. Juliana tak bardzo boli.

ROZDZIAŁ 9

Stanisław

Sobota, 8 listopada 2014

Stanisław Walter najpierw próbował posadzić nieprzytomnego Henrika na krzesło w kuchni. Jego bezwładne ciało momentalnie zaczęło się osuwać i biskup musiał ułożyć go w odpowiedniej pozycji, opierając o blat. W przeciwnym razie Henrik gruchnąłby z hukiem na podłogę.

Biskup spojrział na Henrika i pomyślał, że wygląda jak napełniana powietrzem figurka reklamowa, którą widywał na stadionach podczas meczów. Podmuchy wtłaczane do wnętrza takiego ludka były nieregularne, co sprawiało, że wyginał się niezgrabnie, imitując falującą publiczność. Henrik wyglądał teraz tak, jakby powietrze z jego środka zostało wypompowane. Miał na sobie zieloną puchówkę z pomarańczową podszewką, dzinsy i wysokie, nieco za ciepłe jak na tę porę roku buty. Kurtka była tak gruba, że wyglądał w niej, jak nienaturalnie rozdęty. W rzeczywistości Henrik był jednak zupełnie sflaczały i bezbronny.

Stanisław zostawił go i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby go związać. Przeszukał szuflady w kuchni,

ale niczego takiego nie znalazł. Poszedł do sypialni. Z dużej szafy z przesuwными drzwiami zabrał dwie sukienki i T-shirt. Ze wszystkiego, co zobaczył, te rzeczy wydały się mu najbardziej odpowiednie.

Na jednym z ruchomych frontów zamontowane było lustro i Stanisław w pewnym momencie napotkał swój własny wzrok. Wytrzymał to spojrzenie tylko przez kilka sekund. Czym prędzej przesunął drzwi i wyjął to, czego potrzebował.

Wrócił do kuchni i przy użyciu jednej z sukienek związał Henrikowi nogi. Zdecydował, że musi przenieść go do salonu i tam dokończyć. W kuchni było zbyt mało miejsca. Wsunął mu ręce pod ramiona i z całej siły dźwignął z krzesła. Ciało Henrika poddało się bez większego oporu. Idąc tyłem, Walter przeciągnął go do salonu, a następnie rzucił na kanapę stojącą po lewej stronie od wejścia. W pokoju było ciemno, ale nie na tyle, by uniemożliwić biskupowi dalsze działanie. Wrócił na moment do kuchni i przyniósł resztę rzeczy i nożyczki, które znalazł w jednej z szuflad.

Drugiej sukienki użył do związania Henrikowi rąk za plecami. Bawełniane skąpe kiecki były wytrzymałe i elastyczne, co pozwoliło mu bardzo mocno zacisnąć węzły. Nożyczkami odciął rękawy podkoszulka. Zrolował je i wepchnął Henrikowi do ust. Pozostałą częścią przewiązał mu oczy. Henrik był całkowicie obezwładniony i bezbronny. Po przebudzeniu mógł jedynie wydawać stłumione, niegroźne krzyki.

Biskup obszedł całe mieszkanie i otaksował je dokładnie wzrokiem. Przeklął w myślach Juliana, przyglądając się kawałkom szkła leżącym na podłodze w przedpokoju. Aż dziw bierze, że nikt

tego nie usłyszał. Wydało mu się to niemożliwe, że jego podopieczny mógł być aż tak bezmyślny. Być może zbyt mocno mu zaufał. Być może Julian miał słabości, których biskup nie dostrzegł przez te wszystkie lata. Nigdy nie miał go jednak za aż takiego głupca.

Walter rozejrzał się i próbował sobie wyobrazić, co dokładnie mogło się tu wydarzyć. Pomyślał, że jeśli Julian rzeczywiście wszedł do środka i czekał na Drylską, to taki obrót spraw mógł świadczyć albo o jego bezkresnej głupocie, albo o sprycie i czujności prawniczki. Cokolwiek to było, wiedział, że nie może liczyć, iż Julian dokończy zadanie. Zresztą tym razem chłopak nie miał przecież żadnego planu. Miał dużą swobodę działania i biskup wiedział, że jeśli Julian znowu zawiedzie, będzie musiał się od niego odciąć.

W salonie zadzwonił telefon. Walter wyjął go z kurtki Henrika. Dzwoniła Alicja. Biskup trzymał komórkę w dłoni, póki nie ucichł ostatni sygnał. Jeśli to ona dzwoniła, znaczyło, że Julian jeszcze jej nie dopadł. Wątpił, by to on wykonał połączenie z jej telefonu. Spojrzał ponownie na lokalizację, którą wskazywał jej iPhone. Drylska była wciąż w tym samym miejscu. Julian jeszcze raczej tam nie dotarł. Albo czekał na dogodny moment.

Stanisław zdecydował, że również poczeka. Henrik leżał nieruchomo. Walter usiadł w fotelu i obserwował go w ciszy. Po kilku minutach spojrzął na wyświetlacz iPhone'a. Drylska się przemieszczała. Robiła to bardzo szybko i wydawało się, że zmierza z powrotem w kierunku swojego mieszkania. To mogło oznaczać, że Julian znów nic nie wskórał. Znowu nie dał rady.

Chwilę później Henrik się poruszył. Najpierw niemrawo. Widocznie musiał otworzyć oczy i zobaczyć ciemność. Po chwili zaczął się szarpać. Chyba poczuł i rozumiał, że jest skrupowany. Próbował wydobyć z siebie głos. Brzmiało to jak zdziwiony krzyk. Każdy następny wydany przez niego dźwięk był taki sam. Jakby chciał mówić i dziwił się, że mu nie wychodzi. Jakby krzyczał i jednocześnie był w szoku, że robi to tak cicho. Zaczął rzucać się na kanapie, próbując wyswobodzić się z więzów. Nie miał jednak na to szans.

Stanisław spojrział na telefon Drylskiej. Wszystko wskazywało na to, że jechała do domu. Była już bardzo blisko. Biskup podniósł wzrok i spojrział na Henrika. Opaska zsunęła mu się z jednej strony. Widocznie musiał trzeć twarzą o kanapę, kiedy Stanisław patrzył na telefon. Henrik nie ruszał się i jednym okiem łypał na niego. Biskup syknął. Potem, nie wahając się ani chwili, chwycił chustkę nasączoną chloroformem i jeszcze raz przyłożył ją Henrikowi do nosa. Henrik ponownie zmiękł i opadł, jakby odcięto mu prąd.

Walter pobiegł do kuchni i zgasił światło. W mieszkaniu było już całkiem ciemno. Stał przy oknie. Niezbyt blisko, ale tak, żeby widzieć ulicę. Było zupełnie pusto. Drylska dotarła już do Pułaskiego i jeśli rzeczywiście tutaj jechała, to biskup wiedział, że dojrzy ją bez problemu. Po chwili rzeczywiście pod blokiem pojawiło się auto. Czarny SUV. To nie był samochód prawniczki. Ale jego pozycja zgadzała się z tą widoczną na wyświetlaczu iPhone'a. Biskup starał się dojrzeć, kto znajduje się w środku samochodu, ale na zewnątrz było zbyt ciemno i zbyt mgliście.

Auto zatrzymało się na drodze dojazdowej do parkingu.

W miejscu, które mógł zobaczyć z okna. Biskup myślał intensywnie. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli ona wejdzie do środka z kimś jeszcze albo jeśli wejdzie zupełnie ktoś inny. Przecież mogła przekazać swój telefon komuś innemu.

Nagle usłyszał kolejne połączenie. Telefon Henrika znów dzwonił. Pobiegł do salonu i zobaczył, że to ona. Wrócił do kuchni i ponownie spojrzął na samochód. Miał wciąż włączone światła. Być może się zastanawiała. Może się bała. Może trzeba było jej pomóc podjąć odpowiednie kroki.

Zdecydował, że spróbuje odwieść ją od zamiaru wejścia do środka. Wysłał wiadomość z jej telefonu. Pomyślał, że taka treść jeszcze bardziej ją wystraszy, a jemu da trochę czasu. Zanim kliknął „wyślij”, jeszcze raz przeczytał to, co napisał, upewniając się, że nie ma tam niczego, co mogło świadczyć przeciwko niemu. Nic nie było napisane wprost.

„Henrik ma się dobrze. Ale wspólnie uważamy, że powinniśmy się w końcu spotkać. Nie sądzisz? Tylko że nie ma nas w domu. Poszliśmy na spacer”.

Zobaczył, że wiadomość została dostarczona. Czekał. Auto się nie poruszało. Nikt z niego nie wysiadał.

Po kilku minutach samochód zawrócił i odjechał. Stanisław wypuścił powietrze. Wydawało się, że jego wiadomość odniosła skutek.

Wrócił do salonu i ponownie przystawił Henrikowi do nosa chustkę nasączoną chloroformem. Przytrzymał kilka sekund, żeby mieć pewność, że nie odzyska świadomości w ciągu najbliższych minut.

Potem rozwiązał mu ręce i nogi. Zdjął opaskę z oczu. Zostawił mu w ustach jedynie pomięte i poślinione rękawki. Zapiął Henrikowi kurtkę i nałożył kaptur na głowę, naciągając sznurki tak, by przylegał mu do głowy i na pewno się nie zsunął. Na półce w kuchni znalazł dwie pary okularów przeciwsłonecznych. Obie kobiece. Henrikowi założył jasnoróżowe, dla siebie zostawił te w panterkę. Jeśli to miało się udać, musiał być wiarygodny.

Dźwignął Henrika i przerzucił jego prawe ramię przez swój bark. Henrik wisiał na nim niczym pijak. I właśnie o to Stanisławowi chodziło.

Objął go jedną ręką, a drugą chwycił za dyndającą dłoń na wysokości klatki piersiowej. Powlókł go za sobą i wyszedł na klatkę schodową. Odwrócił się i zamknął drzwi.

Stanisławowi wydawało się, że bezwładny Henrik waży trzykrotnie więcej, niż wskazywałaby na to jego postura. Przez chwilę pomyślał, że najłatwiej byłoby zrzucić go po prostu ze schodów.

Ruszył jednak przed siebie, ostrożnie, krok po kroku, zaczął schodzić po schodach. Zatrzymał się na pierwszym piętrze i poprawił chwyt. Pozwolił sobie na moment odetchnąć. Na razie wszystko szło gładko, ale czuł, że powoli traci siły.

Kiedy byli już na parterze i zostały im tylko cztery małe schodki prowadzące do drzwi wyjściowych, zobaczył, że do środka wchodzi jakaś kobieta. To był ten moment, w którym okulary miały przydać się najbardziej.

– Ubzdryngolił się i muszę teraz targać go ze sobą, szanowna pani – powiedział przechodząc obok niej. Starł się zachowywać

i mówić, jakby sam był lekko podпиты. Kobieta musiała mieć prawie osiemdziesiąt lat, albo i więcej. Kiedy ją mijali, przytuliła się do ściany, próbując nie patrzeć. Widać było, że czuje do nich odrazę. Wszystko szło tak, jak zaplanował.

Wyszli na zewnątrz i Stanisław doprowadził Henrika do samochodu. Chciał skorzystać z wynajętego przez niego clio, ale było zbyt małe. Podszedł więc do swojego passata i otworzył bagażnik. Zanim zrobił ostatni ruch, rozejrzał się dokładnie po okolicy. Był sam. Nikogo w zasięgu wzroku. Spojrzał w górę, w stronę okolicznych okien. Również niczego nie dostrzegł.

Chwilę później wepchnął Henrika do bagażnika sedana. Ułożył go na boku. Ponownie związał mu nogi i ręce i zakrył oczy. Zamknął klapę, ukrywając swoją ofiarę.

Kiedy usiadł za kierownicą, usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości.

„Ulica Bor blisko Niepodległości. Proszę pomoc. Czeka sam”.

Biskup z całej siły uderzył dłonią w kierownicę. Przeklął pod nosem, ale odpalił silnik i ruszył po Juliana. Był bliski podjęcia decyzji, żeby go zostawić i się nie przejmować, ale potem stwierdził, że ten dureń jeszcze jednak mu się przyda.

ROZDZIAŁ 10

Alicja

Sobota, 8 listopada 2014

W wieku trzydziestu jeden lat Kamil Adamus miał więcej pieniędzy niż większość mieszkańców tego miasta byłaby w stanie sobie w ogóle wyobrazić. Posiadał właściwie wszystko, na czym zwykle ludziom zależy. Był bogaty, inteligentny i nawet przystojny. A przede wszystkim miał całkowitą swobodę wyboru.

Dwa lata wcześniej podjął decyzję o powrocie do rodzinnej Częstochowy. Ze Szwajcarii wrócił z kilkoma milionami złotych na koncie, pozycją jednego z najlepszych programistów na świecie i frustracją spowodowaną brakiem wolnego czasu. Spędził w Lozannie prawie dziesięć lat i na palcach jednej ręki mógł policzyć swoje wypady nad Jezioro Genewskie. Czekoladę i ser, z których słynęło jego miasto, jadł tylko przy komputerze i zawsze w pośpiechu. Właściwie bez świadomości, że w ogóle je kultowe przysmaki.

Pewnego dnia zalogował się do swoich czterech kont, otworzył je w oddzielnych oknach przeglądarki, zminimalizował tak, by zmieściły się na jednym ekranie, żeby jednocześnie widzieć saldo

każdego z nich. Zsumował kwoty i podzielił je przez orientacyjną liczbę lat, które zostały mu do końca życia. A potem uwzględnił jeszcze czas, który marnował na robienie czegoś dla innych, a nie dla samego siebie. Decyzję podjął bez wahania. Zadzwoił do szefa i powiedział, że jeśli nadal chcą go zatrudniać, to owszem, będą go mieli, ale na jego własnych warunkach. Trzy miesiące później pozamykał wszystkie projekty, odebrał ostatnie stałe wynagrodzenie i został freelancerem. Od tej pory pracował, kiedy chciał i dla kogo chciał. Jeśli zarabiał mniej, to tylko dlatego, że pracował mniej. Ku radości rodziców wrócił w rodzinne strony i wprowadził się do siedemdziesięciometrowego mieszkania po babci. Pół roku później zmarła sąsiadka, a Kamil złożył jej spadkobiercom ofertę nie do odrzucenia i od tej pory całe trzecie piętro należało do niego. W spółdzielni załatwił możliwość przebicia się przez jedną ze ścian i połączył oba mieszkania. W ten sposób stworzył swoją blisko stuczterdziestometrową świątynię. Jeśli nawet na początku jego bogactwo kłuło w oczy sąsiadów, to fakt, że był przemyły, cichy i prawie w każdą sobotę roznosił im paczki, skutecznie zamykał im usta.

Kamil Adamus kochał piłkę nożną i ligę angielską, a najbardziej na świecie kochał Manchester City. Był fanem tej drużyny, jeszcze zanim zainwestowali w nią arabscy szejkwowie. Niemal zawsze w domu miał na sobie koszulkę tego klubu, z nazwiskiem tego samego piłkarza. Dwa lata wcześniej Sergio Aguero w końcówce ostatniego meczu sezonu zdobył gola na wagę mistrzostwa Anglii. Od tego momentu Kamil Adamus wielbił go tak, jak fani wielbią Elvisa Presleya. Każdy z jego znajomych wiedział, kiedy piłka

wpadła wówczas do bramki i że nastąpiło to dokładnie w dziewięćdziesiątej trzeciej minucie i dwudziestej pierwszej sekundzie. Alicja mogła to bezbłędnie wyrecytować nawet obudzona w środku nocy.

Od tamtej pory nikt już nie mówił do niego po imieniu. Kamil został Agüero i pod tą ksywką był powszechnie znany.

Agüero był gejem. Mówił, że już w podstawówce wiedział, że nim jest. Śmiał się, że zobaczył taką dupę jak Ala i nie miał na nią ochoty, więc coś musiało być na rzeczy. Chodzili razem do tej samej szkoły numer trzydzieści dziewięć, a w piątej klasie siedzieli nawet w jednej ławce. Następnie wybrali to samo liceum im. C.K. Norwida. A potem się okazało, że Agüero rozumie mowę komputerów, tak jak Harry Potter rozumie mowę węży. I wyjechał do Szwajcarii, znikając właściwie na lata.

Kiedy Alicja stanęła pod jego drzwiami, po raz kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo się cieszy, że wrócił. Czowała, że w tej chwili jest najlepszą osobą, do której mogła się udać. Żałowała, że od razu nie zwróciła się do niego, zamiast narażać Ewę i jej rodzinę. Ale gdy otworzył jej drzwi, zobaczyła przerażenie i troskę na jego twarzy, i zrobiło się jej głupio. Uśmiech, którym ją przywitał, zniknął w ułamku sekundy. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, powiedział:

– Wydaje mi się, że nie przyszłaś tu na zaległą kolację przy świecach. – Wyglądał na szczerze przejętego. – Coś tu jest nie tak i musisz mi powiedzieć co, Aluś!

Alicja zapomniała już, jak się prezentuje, a tak naprawdę przestało to mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Wciąż wyglądała,

jakby ktoś właśnie wrzucił ją do pralki i włączył krótki program ze słabym odwirowywaniem. Ten widok mógł przyprawić o ciarki kogoś, kto się go kompletnie nie spodziewał.

– Przepraszam, Aguero... Potrzebuję twojej pomocy – odpowiedziała, wchodząc do środka.

Zdjęła buty i kiedy znów poczuła wilgoć pod stopami, uniosła tunikę i zsunęła rajstopy, zostając na bosaka. Widać było, że Aguero ma kompletny zamęt w głowie i zdecydowanie potrzebuje wyjaśnień.

Usiedli przy niewielkim stole w kuchni, na którym w kilku miseczkach leżały hiszpańskie tapas.

– Zanim mi powiesz, o co chodzi, to raz-dwa chwytaj krokietki i *chorizo*! Nie będę owijał w bawełnę, ale dziś wyglądasz na trochę niedożywioną. Doskonale się składa, akurat robiłem coś do żarcia, gdy zadzwoniłaś.

Aguero stanął do niej tyłem i zamieszał paellę dochodzącą na słabym ogniu. Miał na sobie nieodłączną koszulkę z numerem szesnaście i krótkie spodenki. Alicja rozejrzała się dookoła, w poszukiwaniu nowych proporczyków albo zdjęć, które w ostatnim czasie jej przyjaciel powiesił na ścianach. Znajdowała je podczas każdej wizyty, ale teraz nie dostrzegła żadnego świeżego nabytku. Być może tym razem przyozdobił jakieś inne pomieszczenia. Nie licząc dwóch łazienek, było ich tu w sumie siedem.

Aguero podzielił swoje mieszkanie na dwie części. Jedna stanowiła część bardziej oficjalną, a druga była jego prywatnym królestwem, do którego wpuszczał nielicznych.

Stworzył w niej między innymi wytłumioną siłownię ze sztangami, rowerem stacjonarnym, pionowymi lustrami i sprzętem hi-fi zdolnym obudzić umarlaka. Miał pracownię, której ściany pomalowane były na czarno, a w oknach wisiały czarne zasłony. Małe lampki dawały jedynie lekkie, punktowe światło. Agüero mówił, że tak mu się najlepiej pracuje i kiedy musi się naprawdę skupić, to lubi, kiedy jest ciemno. W sypialni stało łóżko z baldachimem, którym chwalił się swoim kolejnym partnerom. Ostatni z nich pracował w branży modowej, ale Alicja czuła, że ten związek nie potrwa długo i jej przyjaciel wkrótce przedstawi jej kogoś nowego.

Agüero zmniejszył ogień pod patelnią, podszedł do stołu, usiadł obok Alicji i chwycił ją za rękę.

– To się będzie tam spokojnie pichcić, a ty mów, o co biega – powiedział, wciąż uważnie się jej przyglądając.

– Nie uwierzysz, ale on do mnie strzelał – odparła i buchnęła śmiechem. Takim śmiechem, za którym nie kryje się nic śmiesznego i Agüero wyraźnie to widział. Ten chichot nie maskował żadnego dowcipu. Alicja śmiała się, patrząc mu prosto w oczy, a tak naprawdę jej spojrzenie wołało o pomoc.

Agüero skoncentrował się jakby miał stworzyć kolejny algorytm. Włączył tryb zadaniowy. Analityczny. Tryb prowadzący do celu. Do rozwiązań.

– Kto? – zapytał najkrócej, jak mógł.

– Policja... kuria... sama już nie wiem kto.

– Kto z policji? Jaka kuria?

– Komendant. Jerzy Walter – odpowiadała po żołniersku. Od

razu udzieliło się jej nastawienie Kamila.

– Ktoś jeszcze?

– Biskup. Jego brat. Stanisław.

– Kurwa mać! Jesteś pewna? To nie żart? Nie odjechało ci przypadkiem? Mówisz prawdę?

Alicja uśmiechnęła się. Tym razem naprawdę ją rozśmieszył.

– Mówię prawdę.

Mrugnął kilkakrotnie nieco zbyt szybko, ale kontynuował.

– Coś jeszcze się dzieje?

– Mają Henrika. Tak mi się wydaje.

– Ja pierdolę. A czemu, za przeproszeniem, strzelają do ciebie?

– Jestem w ciąży. Z Henrikiem – powiedziała.

– I dlatego spróbują cię zastrzelić? – Aquero uśmiechnął się.

Widać było, że bardzo się ucieszył. Miał wypisane na twarzy to samo, co Ewa nieco wcześniej. To była mieszanka radości, niedowierzania i obawy.

– Cieszę się jak cholera. Będę jego ulubionym wujkiem. Bo to będzie chłopiec, prawda? Chcę być chrzestnym. Ale chyba mi nie powiesz, że strzelali do ciebie dlatego, że jesteś w ciąży? – zapytał ponownie i od razu dodał w swoim stylu: – Widzisz, ja mam blond włosy i niebieskie oczy i, kurwa, nijak nie mogę powiedzieć, że jestem podobny do Sergio Agüero, chociaż bardzo bym chciał. I jakbym mówił, że jestem, to zabrzmiałoby to mniej więcej tak jak to, co właśnie od ciebie usłyszałem.

– Próbują mnie zabić, bo zagroziłam biskupowi. Kurwa, on mnie zgwałcił i zagroziłam mu, że to wyjawię, rozumiesz?!

Agüero pobladł. Przez moment wyglądał, jakby postarzał się

o przynajmniej dziesięć lat. Alicja opuściła głowę i zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę to powiedziała. A jeśli tak, to czemu.

– Zgwałcił cię? Biskup cię zgwałcił? Ala?!

– Tak, Aguero. – Było jej już zupełnie wszystko jedno. Podniosła głowę i spojrzała na niego. Jeśli można sobie wyobrazić kogoś, kto śmieje się przez łzy, to Alicja była teraz idealną ilustracją takiej osoby. – Zgwałcił mnie. W katedrze. I boję się, że jest zdolny do czegoś jeszcze gorszego.

Aguero nie wytrzymał. Wstał i poszedł do salonu. Kręcił się bezsensownie po nim od kilku minut, gdy zadzwonił telefon Alicji.

– Ewa? Co z Mariuszem?! – zgłosiła się. Potem wypuściła powietrze i kiwnęła głową. – Nie, nie wiem, gdzie jest Henrik. Chyba go porwali go. Dostałam esemesa.

– Jestem u Kamila. Tak, wiem, że dobrze... Ok, zostanę tutaj.

Kolejne słowa przyjaciółki sprawiły, że nagle zamarła. Oderwała telefon od ucha i spojrzała na Aguero tępym wzrokiem. Przeniosła na niego wzrok i bezgłośnie powiedziała „przepraszam”. Skrzywił się, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Tak, pozbędę się go zaraz – wypowiedziała ostatnie zdanie i rozłączyła się.

Odłożyła telefon na stół.

– Kamilku, bardzo cię przepraszam. Jestem głupia jak but z lewej nogi.

– Co jest?

– Namierzają mnie po telefonie. Pewnie wiedzą już, że tu jestem. Postrzelili Mariusza... Boże, nie chcę, żeby stało ci się coś złego...

– Znowu się rozplakała. Po raz kolejny w ciągu ostatniej godziny.

Aguero podszedł do kuchenki i wyłączył palnik.

– Poczekaj chwilę – powiedział, wybiegając do któregoś z pokoiów. Po chwili wrócił w dżinsach i bluzie z kapturem. W ręku trzymał dres. – Dobrze, teraz po kolei. Przebierz się w to i daj mi ten telefon.

Podawała mu go.

– Ja pojedę, ty zostaniesz tutaj. Zamkniesz mieszkanie i będziesz spokojnie na mnie czekać. Wróć za dziesięć minut. Zjedz coś.

– Ale gdzie ty chcesz jechać? – zapytała.

– Ktoś musi się pozbyć telefonu. Jeśli rzeczywiście cię śledzą, to nie możesz się stąd ruszyć na krok. Ja pojedę i wyrzucę go. Zmylę ich i wrócę. A potem cię stąd zabiorę i pojedziemy do hotelu czy gdzieś. Nie wiem, coś wymyślę. I nie mów nic, bo już podjąłem decyzję.

Poszedł na moment do salonu i otworzył jedną z szafek. Kiedy wrócił, w obu dłoniach trzymał pistolety.

– To jest walther P99, a to jest glock 19 – powiedział, podnosząc je kolejno. Alicja nie była zaskoczona. Bardziej się zdziwiła, gdy Aguero podał jej glocka i powiedział, że ma go trzymać w dłoni do czasu jego powrotu. Próbowała sobie przypomnieć, kiedy miała broń w ręku. Jej pamięć zarejestrowała jedynie wizytę na strzelnicy u znajomego Aguero z agencji ochrony. To było rok wcześniej. Alicja oddała wówczas kilkanaście strzałów, każdym z nich coraz bardziej upokarzając chcących zabłysnąć facetów. Wtedy pomyślała, że ze wszystkich talentów, jakie w sobie odkryła, ten akurat był najbardziej nieprzydatny. Teraz, kiedy trzymała w dłoni glocka, nie była już tego taka pewna.

– Czekaj grzecznie i nikomu nie otwieraj. Chyba nie muszę ci tego mówić, co nie?

– Nie musisz. Dziękuję, Agüero.

– Wracam niedługo. Potem będziemy szukać twojego Henia. I opowiesz mi resztę, ze szczegółami – odpowiedział i wyszedł, nie czekając ani chwili dłużej.

– Idź. Idź i wróć – szepnęła. Uśmiechnął się. Rozśmieszyła go tym dziwnym sformułowaniem.

Alicja podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwę. O drugie drzwi, które kiedyś służyły jako wejście do oddzielnego mieszkania się nie martwiła. Wiedziała, że Agüero używał ich tylko w celach awaryjnych. Nie dość, że zawsze były zamknięte, to jeszcze drogę do nich zagradały ciężkie stalowe kraty od wewnętrznej strony. Alicja była jedną z niewielu osób, które dostały zaszczytu zwiedzenia każdego zakątka tego mieszkania i znała jego tajniki dość dokładnie.

Wróciła do kuchni i szybko się przebrała. Ugryzła kawałek ciepłego ziemniaczanego kromki.

Początkowo, gdy ktoś zapukał do drzwi, uznała, że jej się wydawało. Kiedy jednak ponownie usłyszała trzy głuchoe uderzenia, stwierdziła, że ktoś rzeczywiście pukał. Stała przy wejściu i starała się wyłapać jakieś dźwięki z klatki schodowej, ale niczego nie słyszała.

Kiedy ponownie ktoś trzy razy lekko zastukał, aż podskoczyła ze strachu.

– Ala, otwórz, to ja – powiedział Agüero zza drzwi.

Kamil? Jak to, kurwa, Kamil? Przecież on ma klucze. Przecież

może normalnie wejść. A w ogóle to czemu nie używa dzwonka?

Wyjrzała przez wizjer i momentalnie zrozumiała, czemu Aguero nie może sobie sam otworzyć.

Pomyślała, że to, co widzi, jest kolejną sceną z filmu, która rozgrywa się w jej życiu. Że normalnym ludziom takie rzeczy się nie przydarzają. Zanim otworzyła drzwi, upewniła się, że dobrze trzyma broń.

Po drugiej stronie z rękami uniesionymi do góry stał Jerzy Walter. Tuż za nim był jakiś człowiek, któremu Aguero przystawiał pistolet do skroni.

ROZDZIAŁ 11

Jerzy

Sobota, 8 listopada 2014

Alicja otworzyła drzwi. Wtedy po raz pierwszy Jerzy uświadomił sobie, jak bardzo jest podobna do swojej matki. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, tak naprawdę nigdy dokładnie się jej nie przyjrzał. A może było wręcz odwrotnie. Być może tylko wtedy, kiedy jej oblicze zdradzało lęk, tak bardzo przypominała Zużę.

Stała w odległości dwóch metrów od niego i trzymała w dłoni broń. On za to miał ręce w górze. Jego pistolet czekał schowany w kaburze i Jerzy wcale nie miał zamiaru po niego sięgać. Najbardziej zależało mu na tym, by stanąć oko w oko z Alicją i wszystko jej wytłumaczyć. Kiedy ją zobaczył, przestało się dla niego liczyć to, że jako policjanci zostali właśnie upokorzeni przez jej przyjaciela. Aguero stał za jego plecami i trzymał pistolet tuż przy głowie Marczuka. Jerzy wiedział, że naczelnik musi być wściekły. Z pewnością planował, jak zetrzeć tego gościa na miazgę. Ale Jerzemu nawet podobał się taki rozwój wydarzeń. Przynajmniej był pewny, że bez problemu wejdzie do mieszkania i będzie miał okazję, żeby powiedzieć prawdę.

– Włazić! – syknął Aguero i lekko popchnął Marczuka.

Alicja cofnęła się o kilka kroków i zrobiła im miejsce. Aguero zamknął drzwi i oparł się o nie, wciąż mierząc do nich ze swojego walthera. Tymczasem ona również podniosła broń. Jerzy pomyślał, że pewnie robi to pierwszy raz w życiu i jeśli miałyby wystrzelić, najprawdopodobniej zrobiłaby to z zamkniętymi oczami. Widział, że się bała, dosłownie trzęsała ze strachu. To było bardziej niebezpieczne niż stanie naprzeciw zawodowego zabójcy. Wiadomo było, że tamten przynajmniej nie wystrzeliłby przypadkowo.

– Ręce za głowę! – rozkazał Aguero. Obaj posłuchali i skrzyżowali dłonie za potylicą. Jerzy czuł, że długo tak nie pociągną. Marczuk zaraz eksploduje. Nie mogli sobie pozwolić na podporządkowanie się temu facetowi, nawet dla dobrej sprawy.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Marczuk miał złość wypisaną na twarzy.

– Szukamy tego samego gościa, co wy. Chcemy wam pomóc – powiedział Jerzy, patrząc na Alicję.

– Zamknij się! – warknął Aguero, a Marczuk niemal zabił go samym spojrzeniem. Jerzemu wydawało się, że widzi na twarzy przyjaciela wszystkie jego zamiary. Marczuk upajał się perspektywą bicia Kamila Adamusa do nieprzytomności.

Alicja trzęsała się coraz bardziej. Aguero to zauważył i poczuł, że musi działać. Podeszedł do Marczuka i zabrał mu broń. Potem stanął przy Jerzym i zrobił to samo. Komendant kątem oka zauważył, że Marczuk miał ochotę zamachnąć się na Aguero, ale nieznacznym ruchem głowy dał mu znać, by się powstrzymał.

– Wiem, co zrobił ci mój brat – powiedział Jerzy, znów patrząc na Alicję.

Jej oddech stał się głębszy. Stał się słyszalny. Kilka razy nabrała powietrza przez otwarte usta. Każdemu z tych wdechów towarzyszył gardłowy dźwięk.

– Powiedz koledze, żeby się uspokoił – odezwał się Marczuk, nie spuszczać oka z Agüero. – Chyba nie wie, na co się porywa.

Agüero przygryzł wargę. Jemu emocje też się udzielały. Jednak nie był takim zawodowcem, za jakiego się uważał.

– Czego... czego ode mnie chcecie? – spytała Alicja rozchwianym, ledwie słyszalnym szeptem. Wciąż do nich celowała, ale miękła z każdą sekundą. Opuściła nieco rękę. Gdyby wypaliła w tej chwili, trafiłaby jednego z nich w brzuch.

Jerzy poczuł żal. Żal, że to wszystko musi tak wyglądać. Popatrzył na nią i zobaczył kogoś, kto naprawdę nie wie, co robić. Kogoś, kto każdym centymetrem swego ciała woła o pomoc.

Agüero przenosił wzrok kolejno na każdego z nich. Widział, że Alicja słabnie. Czuł, że zaraz zostanie na placu boju zupełnie sam.

– Jesteśmy po twojej stronie. Chcemy cię chronić – powiedział Jerzy, wciąż patrząc na nią.

– Gówno prawda! Chcesz chronić swojego braciszka! – Agüero przy każdym słowie machał pistoletem, jakby miało mu to w czymś pomóc.

– Wiem, co ci zrobił. Wiem, co stało się w katedrze. Wiem o wczorajszej rozmowie telefonicznej. Byliśmy u Ewy Gil. Wiem, że szuka cię Julian. Wiem o Henriku. Porozmawiajmy. – Jerzy nie dał sobie przerwać, choć widział, że Agüero już otwiera usta, żeby

go uciszyć. Tych kilka krótkich zdań odniosło jednak skutek. Alicja opuściła broń. Lewą rękę przyłożyła do ust, jakby chciała zatrzymać w nich płacz, który chciał wydobyć się z jej wnętrza.

– Nie mam siły... – powiedziała cicho po chwili.

Marczuk opuścił ręce. Agüero chciał coś powiedzieć, ale się pohamował. Marczuk patrzył na niego z wyrazem twarzy mówiącym, że role chyba powoli się odwracają.

Przez moment zrobiło się niemal zupełnie cicho. Przez uchylone w salonie drzwi dochodził jedynie odgłos kropel odbijających się od parapetu. Jerzy również opuścił ręce.

– Panie Kamilu, wiemy, że ma pan dobre zamiary. Wiemy, że chce pan strzec przyjaciółki. Proszę jednak dać nam szansę. – Jerzy zwrócił się wprost do Agüero. Brzmiał przekonująco. W każdym słowie dało się wyczuć jego pewność. Miał przewagę. Nie musiał mówić wprost, by upewnić Agüero, że najlepiej będzie, jeśli również odłoży broń.

Teraz ręka Kamila Adamusa zaczęła drżeć. Patrzył na Alicję, która przytaknęła, dając mu znak, żeby opuścił pistolet. Czują, że teraz będzie to najlepszy wybór.

– Kurwa! – zdołał wypowiedzieć jedyne słowo, jakie cisnęło mu się na usta. Chwilę później wszystko połączyło się w jedną sekwencję. Agüero w jednej sekundzie wypuścił powietrze, przeklął, opuścił broń i na moment schylił głowę. Z każdego ruchu wynikał kolejny. Niczym po wciśnięciu odpowiedniej kombinacji przycisków w grze komputerowej.

– No, to może sobie usiądziemy? – odezwał się Marczuk. Powiedział to takim tonem, jakby pytał, kto teraz jest szefem.

Alicja bez słowa poszła do kuchni. Przechodząc obok Agüero, oddała mu glocka, a ten spojrzał na nią pytająco. Jakby chciał ostatecznego potwierdzenia, że ona naprawdę tego chce. Marczuk ruszył za nią. Jerzy mógłby postawić duże pieniądze, że naczelnik zaraz sprawdzi włosy i poprawi przedziałek. Chwilę później rzeczywiście to zrobił. Dokładnie wtedy, kiedy mijał Kamila Adamusa.

Jerzy ruszył się ostatni. Agüero wciąż trzymał ich pistolety. Razem ze swoimi miał teraz w sumie cztery. Jerzy tylko na nie popatrzył, dając mu wzrokiem znak, że za moment przyjdzie czas, kiedy się o nie upomni.

Przedpokój, salon i kuchnia były w istocie jednym dużym pomieszczeniem. Ta ostatnia ukryta była za rogiem, a od reszty oddzielał ją drewniany blat. Kiedy Jerzy go minął, zobaczył, że Alicja stoi w głębi, oparta o rząd szafek, a Marczuk siedzi przy stole. Naczelnik położył jedną dłoń na blacie i uderzał palcami, wystukując rytm, który przypominał melodię *We Will Rock You*. Agüero stanął w przejściu między salonem i kuchnią, na wszelki wypadek zagrządzając im drogę. Jerzy pomyślał, że to najgłupsze rozwiązanie ze wszystkich możliwych, ale i tak podziwiał wytrwałość tego faceta.

– Dzisiaj pod twoim blokiem chciałem cię uratować. I z tego, co mi się wydaje, po części mi się to udało. Gdybym wtedy nie podjechał i siłą nie zaciągnął cię do środka, Julian by cię dopadł – powiedział Jerzy, ponownie zwracając się wprost do Alicji. – Prawda?

Kiwnęła głową.

– Wiem, że ciężko w to uwierzyć, ale naprawdę prowadzimy czynności przeciw mojemu bratu. Podsluchujemy jego rozmowy od jakiegoś czasu. To, co ci zrobił, nie jest odosobnionym przypadkiem.

– Czemu wcześniej nic nie zrobiliście? – zapytała.

– Nie mogliśmy. Dopiero wasza wczorajsza rozmowa stanowi realny dowód, na którym możemy się oprzeć. – Jerzy poruszał głową. – Pospieszyłaś się z tym telefonem. Myślę, że wiesz, że przez to ściągnęłaś na siebie to całe gówno. Ale w sumie gdybyś wtedy do niego nie zadzwoniła, nie byłoby nas tutaj.

– Czemu mówi pan do mnie na ty? – zapytała bardziej ze strachu niż z ciekawości. – Zna mnie pan? Bo on... on mówił, że mnie zna... – Zacisnęła na moment zęby i zmrużyła oczy. Walczyła ze sobą. Walczyła z płaczem, który kolejny raz chciał ją zdominować. – On mówił, że chciał, żebym dla niego pracowała, bo wie o mnie wszystko...

Jerzy sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. Rozłożył go na stole i rozpiął jedną z kieszonek. Zanim wyjął to, czego szukał, powiedział:

– Znałem twoją mamę. Była mi bardzo bliska.

Wsunął palce do wąskiej przegródki i wyciągnął fotografię sprzed lat. Przedstawiała Zuzannę Drylską w jednej ze swoich zwiewnych sukienek. Jerzy pamiętał dokładnie, kiedy i gdzie zrobił to zdjęcie. Pamiętał, że tych zdjęć było więcej, jego Zuza udawała modelkę na sesji i chichotała przy tym radośnie. Fotografia, którą przez te wszystkie lata nosił w portfelu, przedstawiała ją taką, jaką chciał ją pamiętać. Szczęśliwą, z promiennym uśmiechem

i słońcem w oczach.

Podał Drylskiej zdjęcie.

– Rozstaliśmy się, kiedy twoja mama była na studiach. Potem poznała twojego ojca. Później miała miejsce ta straszna tragedia. Chyba... – przerwał na moment i zastanowił się, czy na pewno chce tutaj przy wszystkich dokończyć to zdanie. – Chyba nigdy sobie nie darowałem, że pozwoliłem jej odejść.

Uśmiechnął się wstydliwie, nawet nie patrząc na Marczuka. Naczelnik musiał mieć teraz niezły ubaw. Jerzy liczył się z tym, że przyjaciel i tak będzie się z niego później naśmiewał.

Alicja zaniemówiła. Patrzyła na fotografię i nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Jerzy widział, że to może potrwać nieco dłużej, dlatego kontynuował:

– Mój brat też ją znał, ale nigdy nie spędziliśmy wiele czasu we troje. Nie wiem, co miał na myśli, mówiąc, że chciał, żebyś dla niego pracowała. Obawiam się, że nie panuje już nad sobą. Wiem tylko, że bardzo mi zależy, żeby nic ci się nie stało. Jestem jej to winny – dokończył i kiwnął głową, wskazując na zdjęcie, które Alicja wciąż trzymała w dłoni.

– Nie, no... to się w pale nie mieści – odezwał się w końcu Agüero.

– No widzisz, młody człowieku, jak to życie czasem potrafi zaskoczyć – odparował momentalnie Marczuk tym samym tonem, którym wcześniej proponował, żeby wszyscy usiedli.

Obaj spojrzeli na siebie wzrokiem samców alfa. Była w tych spojrzeniach groźba, ale Jerzy dostrzegł również, że z tej relacji jeszcze może urodzić się coś dobrego. Pomyślał nawet, że w innych

realiach panowie mogliby nawet zostać kumplami. No, chyba że Marczuk miałby obiekcje co do tego, że Agüero woli mężczyzn.

Alicja zwróciła Jerzemu zdjęcie i poprosiła Kamila, żeby oddał jej telefon. Przytrzymał pistolety jedną ręką, przyciskając je do ciała, sięgnął do kieszeni, po czym podszedł i podał go jej bez słowa.

– Dostałam od niego esemesa. Chyba dwadzieścia minut temu. Porwał Henrika. – Wyciągnęła telefon w stronę Jerzego. Podszedł bliżej i przeczytał. Wziął go na moment z jej ręki i pokazał Marczukowi.

– Może jednak trzeba skorzystać z radia i wezwać chłopaków – powiedział Marczuk bez chwili zwłoki.

– Poczekaj – odparł Jerzy. – Oni są tylko we dwójkę. Z tego, co wiemy, Julian jest ranny.

Odwrócił się do niej i oddał jej iPhone'a.

– Wiesz, że dzięki niemu cię namierzyli?

– Wiem – odpowiedziała smutno. – Agüero wyszedł, żeby się go pozbyć, ale chyba spotkał was na klatce.

– W istocie! To było bardzo miłe spotkanie – walnął bez zastanowienia Marczuk.

– Nie ma tego złego. Przynajmniej teraz możesz jeszcze skorzystać z tego telefonu – ciągnął swą myśl Jerzy. – Oddzwoń do niego. Oddzwoń i powiedz, że się z nim spotkasz.

– Ale jak to? – odparła zaskoczona.

– Zadzwoń i powiedz, że chcesz wymienić siebie na Henrika. Powiedz, że niczego nie ujawnisz i nie będziesz wysuwała już żadnych roszczeń. Zgadzasz się?

– Tak... ale ja mam tak po prostu do niego pójść? Przecież oni chcą się mnie pozbyć. Julian...

– Ja pójdę za ciebie – przerwał jej. – Ty zostaniesz w bezpiecznym miejscu. Ja pójdę się z nim spotkać.

– Taka niespodziewana zamiana miejsc, pani Alicjo. Brat stęsknił się za bratem i postanowił się z nim zobaczyć – powiedział Marczuk.

Alicja przeniosła wzrok na Agüero. Jej przyjaciel kiwnął głową.

– To brzmi sensownie – powiedział.

– No niesłychane, panie Kamilu! – Marczuk nie odpuszczał. Agüero skrzywił się, patrząc na niego. Policjant tylko się uśmiechnął. Widać było, że mimo okoliczności całkiem dobrze się bawi.

– Jeszcze jedno. Wspomniałaś o Julianie – powiedział Jerzy i poczuł jak wraca mu silny ból głowy. Czuł, że to, co chciał powiedzieć, musiało wybrzmieć właśnie tutaj. Wiedział, że ta informacja może ją już zupełnie załamać, ale uznał, że powinna o tym wiedzieć. Nabrał powietrza i kontynuował: – Jest coś, co musisz wiedzieć o Julianie.

Marczuk oparł się na krzesło i skrzyżował ręce na piersiach. Jerzy podał mu swój telefon, pokazując wiadomość, którą dostał jeszcze pod domem Ewy i Mariusza. Treść potwierdzała zgodność DNA obu próbek. Komendant ocenił reakcję przyjaciela i upewnił się, czy dobrze robi. Marczuk kiwnął głową, potwierdzając, że Jerzy powinien powiedzieć Alicji prawdę, której już wcześniej się domyślił.

Jerzy jeszcze raz wyciągnął do niej zdjęcie i wskazał na

pomarańczowe promyki w oczach Zuzanny, zanim wypowiedział kolejne słowa.

ROZDZIAŁ 12

Stanisław

Sobota, 8 listopada 2014

Jadąc, Stanisław pomyślał, że cel uświęca środki. Zawsze. Cel był dla niego teraz najważniejszy, a wszystko inne podporządkowane jego osiągnięciu. Równie dobrze mógłby wieźć teraz w bagażniku Henrika i jeszcze dziesięciu innych mężczyzn. Wszystko jedno, byleby dostać to, czego chciał.

Jeszcze nigdy nie był w takiej sytuacji. Owszem, robił już bardzo złe rzeczy. Oszukiwał. Wykorzystywał kobiety. Bawił się ich kosztem. Uprzedmiatawał je. Na każdym kroku korzystał z władzy, którą miał. Powiększał ją. Uwielbiał czuć, że rośnie w siłę. Uwielbiał ukrywać swoje intrygi pod płaszczem wiary i Kościoła. Był to idealny kamuflaż. Być może na początku niezamierzony. Bóg miał przecież być wybawieniem od zła, które spotkało go za młodu. I w istocie nim się stał, ale w innej formie, niż można się było spodziewać. Być może i sam Bóg był zaskoczony tym, na co pozwolił Stanisławowi.

Niezależnie od tego, skąd brało się zło w nim ukryte, to właśnie Bóg powinien je ograniczać. A jednak nie robił tego. Stanisław nie

czuł żadnych oporów, nie poniósł jak do tej pory żadnych konsekwencji. Nie został ukarany za swoje czyny. Płacz, który dopadał go przed zaśnięciem, był stały i przewidywalny. Nie powstrzymywał go przed niczym.

Rzeczywiście, sytuacja z Drylską była dla niego trudniejsza od poprzednich, ale nie była nierozwiązywalna. Co więcej, zbliżał się do zakończenia całej afery.

Podobał mu się obraz samego siebie. Choć wiedział, że robi rzeczy ohydne, zaczynał znajdować w nich szczególny rodzaj satysfakcji. I wcale nie brała się ona z samych czynów, a raczej ze sposobu, w jaki ich dokonywał. Wszystko robił z zimną krwią. Wtedy, kiedy inni tracili głowę i kontrolę nad sytuacją, on był najspokojniejszy. Właśnie wtedy, kiedy ciśnienie dookoła rosło, on czuł, jak w jego wnętrzu wszystko cichnie. Wychładza się i uspokaja. I to wszystko razem pozwalało mu myśleć jaśniej niż innym. Pozwalało mu zdobywać nad nimi przewagę. Był wtedy lisem i lwem jednocześnie. Był przebiegły i silny. Chciwy. Tak wyrachowany, że zdolny do wszystkiego, by osiągnąć swój cel.

I nawet jeśli z Drylską stracił na moment głowę i posunął się za daleko, to i tak czuł, że wyjdzie z tego bez szwanku.

Kiedy zjeżdżał z wiaduktu w ulicę Bór, spojrzał w dół i pomyślał, że to będzie idealne miejsce na spotkanie. Było prawie zupełnie ciemno. O tej porze teren między torami a zakładem wulkanizacyjnym wyglądał na opuszczony. To było właśnie takie obskurne, bezludne i bezpieczne miejsce, którego teraz potrzebował.

Minął je i skierował się dalej, w stronę alei Niepodległości.

Z bagażnika nie dochodziły żadne odgłosy. Henrik musiał być wciąż nieprzytomny.

Zbliżając się do celu, jeszcze raz przeklął w myślach Juliana. Wiedział, że popełnił błąd. Powinien sam się wszystkim zająć i nie zlecać temu głupcowi żadnych zadań. Sam poradziłby sobie o wiele lepiej. Powinien zaufać odwadze, która rosła w nim z każdą chwilą i z każdym dokonanym czynem. Niepotrzebnie zdecydował się na aż taką ostrożność.

Kiedy znalazł się w połowie długości ulicy, nieco zwolnił. W okolicznych budynkach prawie nigdzie nie paliło się światło. Nie było widać żadnego ruchu. Tylko w odległości kilkuset metrów od czasu do czasu samochody ruszały ze świateł przy alei Niepodległości.

Rozglądał się po okolicy, szukając Juliana. Miał nadzieję, że ten obserwuje drogę i sam zauważy przejeżdżający samochód.

Kiedy był już blisko skrzyżowania, po prawej stronie, między drzewami dostrzegł ruch. Jedyny, jaki w ogóle dało się odnotować na tej ulicy. Zatrzymał się i dokładniej przyjrzał człowiekowi, który z wielkim trudem próbował wstać. Mimo że w mroku zdołał dojrzeć jedynie zarysy sylwetki, mógł bez wątpienia stwierdzić, że nie są to ruchy osoby pijanej. Ten człowiek poruszał się, jakby był ciężko chory albo mocno osłabiony. Biskup odczekał chwilę.

Julian zdołał się podnieść i powoli kroczył w jego kierunku. Kiedy nieco się zbliżył, Stanisław go poznał. Kiedy zobaczył, w jakim jest stanie, poczuł ucisk w żołądku.

Jego lewa ręka dyndała bezwładnie, jakby była przyczepiona do reszty ciała na rzepy. Julian kulał, a twarz wykrzywiał mu grymas

bólu, jakiego biskup nigdy wcześniej u niego nie widział.

Stanisław wysiadł z samochodu i otworzył mu drzwi po stronie pasażera.

– Coś ty narobił, dziecino – powiedział, podchodząc do niego.

Julian patrzył na Stanisława błagalnym wzrokiem. Biskup wiedział, że chłopak boi się jego reakcji i prosi o wyrozumiałość. Z drugiej jednak strony dostrzegł w wyrazie twarzy Juliana coś, czego nie widział nigdy wcześniej. Wydawało się, że malowała się tam rezygnacja. Zupełna, wszechogarniająca obojętność.

Julian z trudem wgramolił się do środka. Jęknął kilkakrotnie, kiedy schylił się, żeby usiąść na fotelu. Lewą ręką uderzył o środkową konsolę, a następnie o gałkę zmiany biegów. Wyglądało to tak, jakby nie miał nad nią żadnej kontroli. Zdrową ręką chwycił lewe przedramię i położył je sobie na udach.

Biskup usiadł za kierownicą i spojrzał na niego.

– Co się stało?

– Nie udało mi się. Tam był mężczyzna i miał broń. Uciekłem – odpowiedział Julian z jeszcze większą nieśmiałością niż zwykle.

W tym momencie zadzwonił telefon Alicji Drylskiej. Oddzwaniała z drugiego numeru. Biskup pomyślał, że jego wcześniejszy esemes odnosił skutek.

– Słucham – zgłosił się.

– Nie rób mu krzywdy. Spotkam się z tobą. Odwołam wszystko. Masz moje słowo. Tylko nie rób mu krzywdy – powiedziała Alicja.

– Nie wiem, o czym dokładnie mówisz, moja droga, ale z przyjemnością się z tobą spotkam – odparł. Grał. Do końca grał.

– Powiedz mi, że nic mu nie jest.

– Komu, Henrikowi? Moja droga, on ma się świetnie! Właśnie się zastanawiamy, gdzie jesteście.

– Spotkamy się tam, gdzie będziesz chciał.

– Doskonale! Umówmy się wobec tego przy torach kolejowych przy ulicy Bór. Pod wiaduktem. To bardzo fajne miejsce na miłe spotkanie.

– Dobrze. Będę tam. Kiedy?

– Och, może być choćby za piętnaście minut.

– Zgoda.

– Halo, halo, pani Alicjo! Jeszcze jedna bardzo ważna informacja! Mam nadzieję, że przyjedzie pani zupełnie sama, prawda?

– Oczywiście.

– Byłoby to wskazane, bo Henrik mówi, że nie chce się spotykać z nikim innym. Mówi, że gdyby tak było, to może wyjechać i trudno go będzie znaleźć, rozumie pani?

– Rozumiem. Będę sama. Wszystko odwołam, napiszę oświadczenie. I nigdzie się nie wybieram. W poniedziałek normalnie przychodzę do pracy.

– Bardzo mnie cieszy to, co pani mówi. Oczywiście to nie wystarczy, ale o reszcie porozmawiamy podczas naszego spotkania, dobrze?

– Tak jest.

– To do zobaczenia już za chwilę.

Jeszcze zanim się rozłączył, usłyszał łomot dobiegający z bagażnika. Samochód lekko kołysał się na boki. Henrik musiał się wybudzić.

Julian spojrział na biskupa pytająco.

– Wszystko nam się bardzo fajnie składa w czasie, dziecino – powiedział biskup, patrząc na niego. – Chodź, zamkniemy tę sprawę, a potem zajmiemy się twoimi ranami.

Biskup zawrócił i pojechał w stronę wiaduktu przy torach kolejowych.

Częstochowa wciąż łkała, wiedząc, że nadchodzi moment, w którym wszyscy jeszcze niedawno znajdujący się tak blisko siebie, wkrótce znowu będą w podobnym położeniu. Tylko że teraz wszystko będzie miało zupełnie inny przebieg.

ROZDZIAŁ 13

Alicja

Sobota, 8 listopada 2014

– Ma pan jakieś dowody na potwierdzenie tych słów? – zapytała Alicja Jerzego Waltera.

– Tak. Mam wyniki badań porównawczych DNA. Są zgodne – odpowiedział.

– A skąd pan miał DNA mojej mamy?!

– Kiedyś dała mi kosmyk włosów. To był taki prezent. Porównałem DNA z gumy do żucia, którą wyrzucił Julian. Wiem, że brzmi to nieco szaleńczo. Ale tak właśnie było.

Alicja pokręciła głową.

– Zaraz, zaraz... czyli chce pan powiedzieć, że ten cały Julian, czy jak mu tam... w każdym razie ten gość, który na nią poluje, jest w rzeczywistości jej bratem?! – zapytał kompletnie zdezorientowany Agüero.

– Wszystko wskazuje na to, że niestety tak jest. To Jakub Drylski.

Alicja poczuła, że już zupełnie nie ogarnia tego, co się dzieje. Właściwie to miała ochotę całkowicie się poddać i dać się ponieść

nurtowi zdarzeń, który i tak przecież ostatnio decydował za nią o wszystkim. A może nawet nie tylko ostatnio, lecz od zawsze. Wiadomość o tym, że Julian najprawdopodobniej jest jej bratem, była dla niej zbyt ciężka, by mogła ją tak po prostu przyjąć. Właściwie to odbiła ją od siebie tak, jakby w jednej sekundzie zaślepiła każdy otwór w ciele i uszczelniła wszystkie pory w skórze. Nie pozwoliła przedostać się jej do środka.

– Ja pierdołę, to nieprawdopodobne! Myślałem, że o takich rzeczach to tylko w WikiLeaks można poczytać! – powiedział Agüero nieco zbyt entuzjastycznie. Wszyscy w tym samym momencie zmierzili go wzrokiem. Z drugiej strony każde z nich w duchu przyznało mu rację.

– Panie Kamilu, a nie ma pan przy sobie przypadkiem zbyt dużo broni? – zapytał Marczuk łypiąc na pistolety, które Agüero wciąż trzymał w rękach. – Wydaje mi się, że przynajmniej dwie sztuki muszą wrócić do właścicieli.

Agüero podszedł i oddał broń policjantom.

– A na te pozostałe dwa ma pan pozwolenie, ma się rozumieć? – dopytał naczelnik.

– Mam.

– Ale do policjantów strzelać pan nie lubi, co nie? – Marczuk ciągnął swój wątek. – To, co stało się tu przed chwilą, to była zupełnie inna sytuacja, prawda? – Wstał i stanął tuż przy Agüero.

– Sądziłem, że panowie są... jak by to powiedzieć... nieco inaczej do nas nastawieni.

– Ale przekonał się pan, że wcale tak nie jest. – Marczuk złożył dłoń w pięść i kilkakrotnie szturchnął nią Kamila Adamusa

w ramię. Chociaż w ten sposób lekko rozładował potrzebę dania nauzki przyjacielowi Alicji. Jerzy zauważył, że to i tak w zupełności wystarczyło. Aguero wyglądał, jakby właśnie błyskawicznie się spocił.

Jerzy spojrział na Alicję i jeszcze na chwilę wrócił do tematu Juliana.

– Poszukiwania Jakuba zamknięto po dwóch latach od waszego wypadku. Ja szukałem go jeszcze przez jakiś czas na własną rękę. Bez skutku. Ale teraz wydaje nam się, że chyba wiemy, co działo się z nim przez te wszystkie lata – powiedział, wskazując na Marczuka. – Kiedy to wszystko się skończy, pojedziemy i pokażemy ci jeden dom na Dąbiu. Kilkanaście lat temu znaleziono tam zwłoki mężczyzny i dziwne pomieszczenie pod piwnicą.

– To znaczy, że Julian już kiedyś kogoś zabił? – zapytał Aguero.

– Mogło tak być – odparł Jerzy.

– Nieźle...

– Panie Kamilu, niech pan się zastanowi, jak by się pan czuł, gdyby jakiś przyjemniaczek więził pana przez lata w piwnicy. – Skorzystał z okazji Marczuk. – A poza tym chcę panu jeszcze raz przypomnieć, że przed chwilą sam się pan bawił pistoletami.

Aguero po raz kolejny nie wiedział, co odpowiedzieć. Marczuk był w swoim żywiole. Puścił do niego oczko i cyknął znacząco.

– Dzwonię – odezwała się po chwili Alicja. Odgarnęła włosy za ucho i spojrzała na telefon, próbując się skupić. Mimo tego wszystkiego, co spotkało ją w ostatnich dniach, wciąż była silną kobietą. Wciąż miała wolę do walki. Wciąż były dwa życia, które chciała chronić.

Dziecko i Henrik. Tylko to miało dla niej znaczenie. Wiedziała, że jeśli ich obroni, zbuduje sobie życie na nowo. I może kiedyś o wszystkim zapomni. Może będzie umiała żyć z czernią, która wtargnęła w jej świat.

Nie straciła swej siły, nawet kiedy usłyszała jego głos. Stanisław Walter kłamał jak zawsze. Kluczył, nie używając konkretów. Alicja czuła, że biskup sądzi, że ma przewagę.

W trakcie rozmowy co jakiś czas patrzyła na każdego z obecnych w kuchni facetów. Wpatrywali się w nią z uwagą. Wydawało się, że bali się nawet mrugnąć, żeby nie stracić niczego z tej rozmowy. O dziwo, czuła się przy nich bezpiecznie.

Ani razu się nie zająknęła. Nie zadrżał jej głos nawet wtedy, gdy opowiadała zmyśloną historyjkę o piśmie potwierdzającym zrzeczenie się roszczeń wobec biskupa.

– Za piętnaście minut pod wiaduktem przy ulicy Bór. Przy torach kolejowych – powiedziała do Jerzego, kiedy się rozłączyła. – Będzie z Henrikiem.

– Świetnie się spisałaś. Naprawdę – odparł, a ona pomyślała, że podziwia tego faceta. Komendant znajdował się w niemal tak samo popieprzonej sytuacji jak ona. Ale wydawało się, że nie ma żadnych wątpliwości, co należy zrobić. A nawet jeśli je miał, to nie dawał tego po sobie poznać.

Sama nie wiedziała, czemu tak szybko mu uwierzyła. W rzeczywistości zabrakło jej chwili na zastanowienie się. Wszystko działo się zbyt gwałtownie. Ale czuła, że gdyby nawet miała więcej czasu, nie chciałaby żadnych dodatkowych potwierdzeń. Wystarczyło jej to, co usłyszała. A przede wszystkim

to, jakie wrażenie robił na niej komendant. Wiedziała, że nie mówił jej tego, co chciała usłyszeć. Czowała, że mówił prawdę.

Chwilę później Jerzy całkowicie przejął stery.

– Marek, wezwij jeden wóz na wszelki wypadek. Niech będą w pobliżu. Tylko żeby nie pojawili się tam przed nami. Drugi samochód przyślij tutaj. Niech pilnują wejścia.

Marczuk włączył radio i wyszedł na moment do salonu, by nadać komunikat.

– Panie Kamilu, chciałbym, żeby został pan tu z Alicją.

– Nie ma mowy! Ja muszę jechać. Przecież tam jest Henrik! – sprzeciwiła się.

– Jak będzie po wszystkim, od razu do ciebie zadzwonię. Nawet sam go tutaj przywiozę – odparł Jerzy. – Nie mogę zagwarantować, że tam będzie bezpiecznie. Szczególnie dla ciebie.

– Ale...

– Nie ma mowy! Zostajecie! – stanowczo odparł Jerzy.

– Ala, zostajemy. On ma rację – potwierdził Agüero, czym zaimponował Marcukowi, który akurat wrócił do kuchni.

– Wszystko gotowe. Chłopaki zaraz będą na miejscu – poinformował naczelnik Jerzego.

– Świetnie. Jedziemy. – Jerzy ruszył do drzwi. Marczuk poszedł za nim. Gdy stali już na korytarzu, Jerzy odwrócił się i spojrzał na Alicję.

– Widziałem, jak wychodziłaś wtedy z zakrystii. Byliśmy tam. Już wtedy coś przeczuwałem, ale nie mogłem nic zrobić. – Przerwał na chwilę. – Wtedy się spóźniłem. Przepraszam. Nie pozwolę już więcej, żeby stało ci się coś złego.

Zbiegli na dół, a Aguero zamknął drzwi. Zdjął kurtkę wiszącą w przedpokoju i podał jej.

– Załóż to na siebie – powiedział, podając jej czarny softshell, który dostała wcześniej od Ewy.

Alicja spojrzała na niego, przypominając sobie, że wyjechała w nim od przyjaciółki. Miała wrażenie, że było to wieki temu.

– Ale po co?

– No chyba nie chcesz tutaj beczynn timer czekać. Przecież musimy tam jechać.

– No... nie chcę... – powiedziała, nie wiedząc, czy naprawdę dobrze rozumie, co oznaczają jego słowa.

– Szybko! Musimy zdążyć, zanim na klatce pojawi się patrol od tego kretyna z przedziałkiem!

Aguero otworzył drzwi i zapalił światło na korytarzu. Podeszedł do poręczy i wychylił się, patrząc w dół, czy nikogo tam nie ma.

Alicja włożyła buty na bosc stopy. Poczwała, że jeszcze nie wyschły. Miała wrażenie, jakby stanęła na dwóch mokrych gąbkach.

Chwilę później zbiegli na dół, tak jak Jerzy z Marczukiem kilkadziesiąt sekund wcześniej. Zauważyła, że Aguero wziął ze sobą jeden z pistoletów. Drugi został w kuchni.

Wsiedli do auta. Kiedy ruszyli spod bloku, przypomniało jej się, że jeszcze niecałe dwie godziny wcześniej czekała tylko na poniedziałek. Przecież w poniedziałek miała być w Sztokholmie.

Zaledwie dwie godziny wcześniej była na zakupach. Tylko po to, by kupić coś do jedzenia na dwa dni. Jeszcze dwie godziny temu martwiła się, że kupiła za dużo. Martwiła się, że wiele rzeczy się

zmarnuje, kiedy wyjedzie.

Dwie godziny wcześniej czekała tylko na wyjazd. A potem, w ciągu niecałych stu dwudziestu minut, jej świat co chwila rozlatywał się i scalał na nowo. Rozpadał się i łączył ponownie.

Dlatego kiedy spojrzała na broń leżącą w środkowej konsoli, pomyślała, że dobrze, iż jej przyjaciel zabrał ją ze sobą. Te kilka nabojów mogło jeszcze się przydać.

Kiedy zbliżali się do celu, zrobiła to samo, co w autobusie, gdy zdołała uciec przed Julianem. Położyła prawą dłoń na brzuchu, tuż pod pępkiem i delikatnie pogładziła kciukiem to miejsce. Pomyślała, że teraz nie ma już nic ważniejszego. Skupiła się na tej myśli i mocno się jej trzymała. To było ważniejsze niż zemsta.

Mimo wszystko wiedziała, że jeśli tam, gdzie jadą, zdarzy się coś, co będzie wymagało jej interwencji, to nie zawaha się ani przez chwilę.

ROZDZIAŁ 14

Jerzy

Sobota, 8 listopada 2014

Tym razem nie jechali szybko. Nie gnali. Spokojnie zbliżali się do celu, w jednostajnym tempie. W połowie drogi usłyszeli w radiu piosenkę i już od jej pierwszych taktów obaj umilkli. Każde słowo było idealną ilustracją tego, co działo się w Częstochowie. Marczuk w bezruchu patrzył przez szybę po swojej prawej stronie. Widać było, że myślami jest właśnie w świecie stworzonym przez Nicka Cave'a.

Silnik samochodu pracował cicho i miarowo. Jerzy miał wrażenie, że krople odbijające się od szyb wystukują rytm zgodny z perkusją w tym utworze.

Przez te cztery minuty wszystko było w idealnej symbiozie. Podobnie jak wtedy, gdy jechał do mieszkania Alicji. Wtedy też czuł, że tamten utwór ma znaczenie.

Teraz wszystko do siebie pasowało. Melodia i klimat piosenki idealnie odzwierciedlały atmosferę tej chwili. Słuchając jej słów, Jerzy czuł, że w Częstochowie dzieje się w tych dniach dokładnie tak jak w tej piosence. Kobiety łkają przez mężczyzn, a ci płaczą,

żeby zrobić im na złość. Prawie tak samo jak w całym jego życiu.

Miał wrażenie, że artysta napisał ten utwór specjalnie dla tego miasta. Częstochowa łkała rzewnie od tygodni. Chciała, by każdy mieszkaniec usłyszał ten płacz i się w nim zatracił. By poczuł go mocno i zrozumiał jego sens. Od tygodni to miasto tkwiło w bezruchu, rozmywane deszczem.

Jerzy miał wrażenie, że właśnie następuje kulminacja wszystkiego, co złe. Wszystkiego, co trawiło Częstochowę i sprawiało, że łkała. To łkanie zamieniało się właśnie w przeciągły, głośny płacz.

Wszystko w tym mieście odpowiadało klimatowi melodii, której słuchali. Wszechobecna, całodniowa szarość. Drobinki wody ukryte w każdej kropli, które wspólnie w swej masie sprawiały, że Warta występowała z brzegów. Sprawiały, że z jezdni i chodników od wielu dni nie znikają kałuże. Ludzie włączyli się bez celu po ulicach, a każdy był jedynie cieniem swojego cienia. Jedynie bezkształtną sylwetką wyłaniającą się od czasu do czasu z mroku. Sylwetką, za którą z rzadka pojawiała się kolejna, prawie identyczna. Wyglądająca jak cień cienia. A jednak żywa. Oddychająca. Egzystująca. Co dzień czekająca na koniec potężnego szlochu.

Jerzy wsłuchał się w rytmiczne uderzenia dłoni o dłoń, stanowiące tło całego utworu. Pomyślał, że być może to regularne klaskanie to rodzaj aprobaty, wskazówka, że postępuje słusznie. Ostatnie potwierdzenie. Zachęta do pozbycia się resztek wątpliwości. W końcowych słowach Nick Cave kilkakrotnie powtarzał, że nie będzie już długo łkał. Że to będzie już ostatni raz.

Jerzy nucił te słowa razem z nim.

But I won't be weeping long

No. I won't be weeping long

Kiedy zatrzymali samochód pod wiaduktem, obaj spojrzeli na siebie znacząco.

– Miejmy nadzieję, że to nie potrwa długo – powiedział Marczuk, otwierając drzwi.

Kiedy zgasły światła samochodu, dookoła zrobiło się całkowicie ciemno. Jeżeli w okolicy jechało jakieś auto, przemieszczało się górą, przecinając tory kolejowe wiaduktem na ulicy Jagiellońskiej. Okoliczne zakłady i przedsiębiorstwa o tej porze były już nieczynne i tylko w odległej, małej stróżówce przy zakładzie wulkanizacyjnym paliła się słaba lampka. Znaleźli się na odludziu. Masywne filary, które podtrzymywały biegnącą nad nimi szosę, wyglądały w tym mroku jak milczący strażnicy tego miejsca. Jerzy spojrzał w stronę wysokich traw rosnących przy torach. Przed nimi w nieładzie stało kilka biało-czerwonych barierek ostrzegawczych. Sprawiały wrażenie niepotrzebnych, ustawionych przypadkowo i zapomnianych. Tuż przy nich stał volkswagen passat, którego Jerzy tak dobrze znał. Chociaż z odległości, w której się znajdował, nie był w stanie tego zobaczyć, wiedział, że za kierownicą siedzi jego brat.

– Też mam nadzieję, że pójdzie szybko – odpowiedział Marczukowi po dłuższej chwili. – Zostań tutaj i ogarnij chłopaków, jak już przyjadą.

Na pewno chcesz iść sam?

– Na razie tak.

Marczuk kiwnął głową. Nie musiał już nic dodawać, choć Jerzy zauważył, że przyjaciel chciał powiedzieć mu coś krzepiącego.

Kiedy wyszedł spod wiaduktu, poczuł spadające z nieba krople. Nie założył kaptura. Ta wilgoć wciąż przynosiła mu ulgę. Zatrzymał się w odległości czterech metrów od samochodu brata. Trzymał ręce w kieszeniach. W głowie nadal powtarzał słowa piosenki Nicka Cave'a.

Ten płacz nie potrwa już długo. To musiało się właśnie tu i teraz skończyć. Jerzy był spokojny. Wiedział, że przetrzyma także ten ból. Niezależnie od tego, co za moment się wydarzy. Stanisław otworzył drzwi. To była najdłuższa minuta w życiu Jerzego.

Biskup wysiadł z auta, podszedł i stanął naprzeciw niego. Milczeli. Przez kilkadziesiąt sekund żaden z nich nie odezwał się nawet słowem. Żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć, jak zacząć tę rozmowę.

– Dawno cię nie widziałem – odezwał się w końcu Stanisław. To było stwierdzenie. Ale w tonie tej wypowiedzi wyczuwalne były dziesiątki pytań, które biskup musiał mieć w głowie.

– To prawda, Staszek. Minęło trochę czasu.

– Unikałeś mnie. Dzwoniłem parę razy.

– Miałem swoje powody. – Jerzy wypowiedział te słowa, miarowo kiwając głową, jakby dawał bratu do zrozumienia, że unikał go świadomie. – Wiele powodów.

Biskup rozejrzał się dookoła i rozłożył ręce, wskazując na pustkę dookoła.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

– Jestem tu dlatego, że ty tu jesteś, Staszek. Jestem tu z twojego

powodu. – Jerzy mówił pewnie.

Biskup opuścił ręce. Przez chwilę nie wiedział, co z nimi zrobić. Jeśli do tej pory jeszcze nie wierzył, że brat coś wie, to właśnie zaczął tracić wątpliwości. Po serii nieskoordynowanych ruchów wsunął dłonie do kieszeni.

– Z mojego? – zapytał, udając zdziwienie.

– Tak, Staszek. Wiem o wszystkim.

– Wiesz o wszystkim? – Teraz w głosie biskupa słyhać było oburzenie. Udawane, ale bardzo wiarygodne. – O wszystkim? To znaczy o czym wiesz, Jurek?

– Dlaczego?! Dlaczego, Staszek?! – wykrzyknął Jerzy, nie dając mu dokończyć. W tym krzyku było wszystko, co czuł. Były smutek, niezrozumienie i żal. Była wściekłość.

Stanisław nie odpowiedział. Spojrzał w dół i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę.

– Dlaczego, Staszek? Dlaczego to wszystko zrobiłeś? – kontynuował Jerzy już nieco spokojniej. – Dla władzy? Dla satysfakcji? Dla własnej pierdolonej satysfakcji?! Naprawdę?! Czy może dla pieprzonego plastiku, co? Aż tak ci na tym zależało? Aż tak bardzo? – Czuł, że wściekłość w nim narasta. – No powiedz, kurwa! Aż tak bardzo?!

Stanisław wciąż milczał. Byli coraz bardziej mokrzy, ale żaden z nich nie zwracał uwagi na lejący deszcz. Z daleka wyglądali jak nieco ciemniejsze masy powietrza, które jedynie przypadkowo przybrały ludzki kształt.

Jerzy otarł czoło z kropel, które spływały mu do oczu.

– Staszek, ja wiem o wszystkim, rozumiesz? Wiem o twoich

kobietach. Wiem, o Maleńkowie. Wiem o Alicji. O Alicji Drylskiej! Musiałeś?! Musiałeś, do cholery?!

Jerzy oddychał coraz ciężiej. Stanisław wciąż nerwowo dreptał w miejscu.

– Wy tłumacz mi to! – krzyknął Jerzy.

– Co mam ci wytłumaczyć?

– Wszystko!

– A może ty mi się najpierw wytłumaczysz braciszku? Gdzie byłeś, kochany?! – Stanisław w końcu nie wytrzymał i wrzasnął o wiele głośniej. Gdyby nie deszcz, ten dźwięk z pewnością odbiłby się od betonowych ścian i powędrował jeszcze dalej.

Jerzy spojrzał na brata, nic nie rozumiejąc.

– Jak to? Jak to, gdzie byłem? – zapytał.

Stanisław nabrał powietrza i zastygł w bezruchu. Po chwili odezwał się mocnym, ale spokojnym głosem:

– Pamiętasz, kiedy byliśmy mali? Pamiętasz nasz rodzinny dom? Jak ci w nim było? Źle ci było, Jurek. Było ci tam bardzo źle. Pamiętasz mamusię i tatusia? Pamiętasz naszych kochanych rodziców? Chyba nie byli zbyt fajni, co?! I gdzie był wtedy twój Staszek? No?! Gdzie był? No może teraz ty mi odpowiesz?! Tak, tak! Twój starszy brat był przy tobie. Cały czas przy tobie, Jureczku. Zasłaniałem ci oczy. Przykładałem dłonie do uszu, żebyś nie słyszał. Ale przez to sam słyszałem. Słyszałem wszystko. Ale chciałem cię chronić. Bo byłeś moim młodszym bratem, rozumiesz? Byłeś jeszcze bardziej bezbronny niż ja. – W tym momencie przerwał na chwilę. Jerzy nie był w stanie się poruszyć. Nie mrugał już nawet wtedy, kiedy krople zalewały mu twarz. –

A potem, Jureczku, zacząłeś sobie jakoś radzić, prawda? Jakoś z tego wszystkiego wyszedłeś. Nawet nauczyłeś się coś czuć. Zniknąłeś. Jakoś poukładałeś sobie życie. Zakochałeś się. Widywałem was przecież nieraz. Ty byłeś jeszcze tutaj, w naszym mieście. A ja wracałem od czasu do czasu z seminarium. I gdzie ty wtedy byłeś, co?! Byłeś ze swoją Zuzą, a dla mnie nie miałeś czasu. A potem Zuzy już nie było i znowu miałeś problem, prawda? I przypomnij sobie, kto wtedy był blisko ciebie? Czyżby to nie był przypadkiem twój starszy brat, Staszek?! Dokładnie tak było. – Biskup mówił już resztkami sił. – A kiedy ty spytałeś, jak ja się czuję?! Kiedy ostatni raz chciałeś wiedzieć, co tak naprawdę u mnie słychać?! Kiedy spytałeś, jak ja się trzymam?

– Uciekłeś do Boga, Staszek! – Jerzy nie wytrzymał. – Uciekłeś do Boga. Miałeś Boga przy sobie!

– Gówno prawda, Jurek! Do licha z Bogiem! Myślałeś, że mi to wystarczy?! To nigdy nie starczało! Człowiek potrzebuje człowieka. Człowiek potrzebuje drugiego człowieka, rozumiesz?!

Zamilkli. Ciśnienie, jakie narastało pomiędzy nimi mogłoby rozsadzić od środka wszystkie okoliczne budynki.

– Zawsze byłem sam, Jurek. Sam! Masz rację, chciałem uciec do Boga. Chciałem być taki jak On. Nieomylny, wszechwiedzący, dobry. Oczekiwałem, że tak jak on znajdę właściwą odpowiedź w każdej sytuacji. Ale wiesz co, Jurek? – Spojrzał Jerzemu prosto w oczy. – Człowiek to nie Bóg, bracie. Człowiek nigdy nie będzie taki jak on. Ja nigdy nie będę inny. Nigdy nie byłem inny.

– Skąd mogłem wiedzieć, Staszek! Nigdy nic nie mówiłeś, o nic mnie nie poprosiłeś!

– Masz rację! Bo może zawsze miałem zakodowane, że muszę cię chronić. Nawet przed samym sobą. Że o pewnych rzeczach wcale nie musisz wiedzieć! Z drugiej strony zastanów się, ilu telefonów nie odebrałeś ode mnie w ostatnim czasie. Nie w ostatnich tygodniach. Tylko jeszcze wcześniej. No ilu?! A ile razy sam do mnie zadzwoniłeś? Raz? Dwa? Ani razu? No, zastanów się!

– Staszek, ale czemu Drylska? Czemu akurat ona? Chciałeś mi coś udowodnić? Chciałeś, żeby mnie zabolalo?!

– Zapomniałeś o mnie! Odsunąłeś się ode mnie zupełnie! Stanisław wrzasnął ponownie, tym razem jeszcze głośniej niż poprzednio. – Pomyślałem, że jak ją zatrudnię, to będziemy się chociaż częściej widywać. Dobrze wiem, że nigdy nie zapomniałeś o Zuzie. Dobrze wiem, że śledziłeś losy Alicji. Dlatego tak bardzo zależało mi na tym, żeby pracowała dla kurii. Pomyślałem, że będziesz wpadał co jakiś czas. Że dam ci pretekst. Ale ty wolałeś krążyć wokół jej domu. Wolałeś jeździć za nią po ulicach. Moje starania nie przyniosły żadnego skutku. Nie zbliżyłeś się ani trochę. Przydaję ci się tylko wtedy, gdy pakujesz się w jakieś kłopoty. Tak było z Zuzą i wiele razy później. Dobrze o tym wiesz!

Jerzy poczuł, że to nie była odpowiedź na jego pytanie. Mógł przyznać bratu rację. Wiedział, że mówi prawdę. Ale to był temat na zupełnie inną rozmowę. Na rozmowę, na którą teraz być może było już za późno.

– Staszek, nie musiałeś tego robić. Wiem, co się stało w katedrze. Nie musiałeś opłacać tych wszystkich kobiet. Mogłeś przecież odejść z Kościoła. Mogłeś to zrobić dawno temu. Ale tak

mi się wydaje, że wcale nie chciałeś. Ty lubisz swoją pozycję. To jest odrażające, Staszek.

– Człowiek to nie Bóg. Jestem tylko człowiekiem. – Biskup wzruszył ramionami.

Jerzy nabrał powietrza. Czuł, że musi doprowadzić tę rozmowę do końca. Marczuk stał przy samochodzie. Obserwował ich uważnie. W samochodzie biskupa siedziała jeszcze jedna osoba.

– Teraz to nie ma już znaczenia. Mamy dowody, Staszek. To nie jest tak, że tylko ja o tym wszystkim wiem – powiedział, odwracając się na moment w stronę Marczuka. – Alicja tutaj nie przyjedzie. Ale wiem, że jest tu gdzieś jej partner. Henrik Lund. Dla własnego dobra powiedz, gdzie on jest. Dla własnego dobra, Staszek.

Stanisław podniósł rękę i machnął nią, nawet się nie odwracając. Z samochodu trudem wysiadł Julian, podszedł do bagażnika i otworzył go. Trzymał w ręku broń i mierzył do próbującego wydostać się na zewnątrz mężczyzny. Po chwili obaj stanęli przy aucie, ale nie podeszli bliżej. Julian cały czas miał Henrika na muszce.

– Nie musimy tego tak załatwiać – odezwał się biskup. – Weź Henrika, odwieź go do Drylskiej i zapomnijmy o całej sprawie. Przecież dobrze wiesz, że zamieciemy to wszystko pod dywan. Wiesz, że w tym mieście nie będzie to stanowiło żadnego problemu.

– Nie w tym przypadku, Staszek. Tym razem to się nie uda. Zbyt dużo ludzi wie. Jest już za późno.

– I co? Wystąpisz przeciw bratu? Tak po prostu mnie aresztujesz

braciszku?

– Po to tu jestem. Po to tu przyjechałem.

Stanisław zaśmiał się w głos.

– Swoją drogą muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę. Świetny zabieg. Musiałeś być przekonujący, skoro Drylska tak szybko ci uwierzyła.

Jerzy nie odpowiedział. Wciąż starał się skupić na celu i nie pozwolić sobie na rozkojarzenie. Ból głowy narastał. Nawet chłodny deszcz już go nie łagodził.

– Powiedz Julianowi, żeby puścił Henrika.

– Być może to zrobi, a być może nie. Nie wiem, czy mam na niego aż taki wpływ – odparł biskup. – Ale jedno wiem na pewno. Jeśli zobaczy, że mnie zabieracie, może zrobić coś głupiego. Nie ręczę za niego. Ostatnio jest w bardzo złej formie.

– Zaryzykujemy – odpowiedział Jerzy. Odwrócił się i skinął w kierunku Marczuka. Za jego plecami akurat wyhamował nadjeżdżający radiowóz, z którego wysiedli funkcjonariusze. Momentalnie ruszyli w ich kierunku. – Chłopaki zabiorą cię do nas na komendę. Tam dokończymy rozmowę.

Stanisław nie zdążył odpowiedzieć. Policjanci podeszli do niego i z obu stron chwycili go za ramiona.

– To wcale nie musi tak być, Jurek. Zapominasz o wszystkim, co zrobiłem dla ciebie wcześniej. O wszystkim, braciszku – wysyczał Stanisław, kiedy przechodził obok Jerzego. Jerzy dostrzegł furję w jego oczach. Kryło się w nich takie zło, którego nawet on się przestraszył. Pomyślał, że gdyby był tutaj sam, jego brat nie powstrzymałby się przed wyrządzeniem mu krzywdy.

W Stanisławie zrodziła się i rosła jakaś piekielna siła. Jakieś mroczne pragnienie, które całkowicie nim zawładnęło.

Jerzy patrzył na nich aż do momentu, w którym wsiedli do samochodu. Marczuk nakazał im, by jak najszybciej odjechali. Jerzy widział jak naczelnik gestykułuje i tłumaczy coś jednemu z funkcjonariuszy. Radiowóz zniknął chwilę później. Marczuk zbliżył się do niego na odległość kilkunastu kroków i wyjął broń, dając znak, że jest w pogotowiu. Jerzy pomyślał, że z nim samym czuje się bezpieczniej niż w otoczeniu tamtych żółtodziobów. Gdyby naczelnik nie kazał im się zmywać, komendant sam by o to zadbał. Odwrócił się i spojrzął w stronę passata. Julian i Henrik wciąż stali w tym samym miejscu. Jerzy wyjął broń i ruszył w ich kierunku. Podchodząc bliżej, zauważył, że Julian jest ranny. Miał na twarzy grymas bólu. Widać było, że jest zmęczony, ale wcale nie zamierza ustąpić. Ból na jego twarzy mieszał się ze złością, z autentycznym gniewem.

– Nie podchodzić, bo go zastrzelę – odezwał się, kiedy Jerzy się zbliżył.

– Ja nic od ciebie nie chcę, synu – powiedział Jerzy spokojnym głosem. Trzymał pistolet w dłoni, ale go nie podnosił. – To wszystko się już skończyło. Już nie musisz się bać.

Henrik drżał. Oddychał najciężej z nich wszystkich. Błagalnym wzrokiem patrzył na Jerzego. Widać było, że jest u kresu wytrzymałości. Jerzy obawiał się, że jeżeli to potrwa chwilę dłużej, Henrik może zrobić coś głupiego.

– Julian, już nie musisz nic dla niego robić. Nie musisz być posłuszny biskupowi. Odłóż broń – kontynuował Jerzy spokojnym

głosem. Raz po raz przenosił wzrok na Henrika, próbując dać mu znać, by jeszcze trochę wytrzymał. – Julian, to nie jest twoja walka. Opuść broń.

Julian nie reagował.

– Opuść broń. Pozwolę ci odejść. Będziesz wolny. Nic ci się nie stanie. Nie będzie żadnej kary. Ja wiem, że to nie twoja wina. – Jerzy czuł, że tak naprawdę nie mówi do Juliana. Tak naprawdę patrzył na Jakuba Drylskiego. Na brata Alicji.

Patrzył na niego i widział te wszystkie lata, które chłopak przeżył w domowym więzieniu. Julian miał dwadzieścia osiem lat, ale wyglądał na o wiele młodszego. Jerzy wiedział, że Jakub Drylski nigdy nie dokonał w życiu własnego świadomego wyboru. O wszystkim decydował za niego ktoś inny. Gdyby nie wypadek sprzed dwudziestu pięciu lat, Jakub Drylski mógłby być teraz normalnym człowiekiem. Mógłby mieć pracę, żonę i dzieci. Mógłby być bratem Alicji Drylskiej. Ale nigdy nie miał na to szans. Został uformowany przez potwora, a z jego rąk trafił do kolejnego kata. Stanisław miał szansę, by go uratować. Mógł rozwinąć w nim najlepsze cechy, ale zrobił coś zupełnie innego. Kierował go dalej ku złu.

– Opuść broń – ponownie powiedział Jerzy, ale wtedy Henrik nie wytrzymał. Dziwnym, niezgrabnym ruchem trącił rękę Juliana, zanim Jerzy zdołał podnieść broń. Julian zadziałał jeszcze szybciej i w odpowiedzi mocno uderzył Henrika w głowę rękojęścią pistoletu. Henrik padł na ziemię, tracąc przytomność.

Julian i Jerzy mierzyli do siebie. Dzieliły ich dwa metry, ale lufy pistoletów były znacznie bliżej. Jerzy kłął w myślach. Naprawdę

nie chciał robić Julianowi żadnej krzywdy, ale z każdą chwilą tracił pewność, że to się uda. Zdecydował, że jeszcze raz spróbuje go przekonać. To miał być już ostatni raz. Kiedy wypowiadał to zdanie, słyszał, jak Marczuk biegnie i krzyczy za nim do Juliana.

– Opuść broń. To koniec – powiedział Jerzy.

– Policja! Odłóż broń! – krzyczał Marczuk, zmierzając ku niemu.

I wtedy usłyszeli huk wystrzału, a Julian upadł tuż obok nieprzytomnego Henrika. Kula trafiła go w głowę tuż nad uchem i roztrzaskała czaszkę.

Jerzy opuścił rękę. Marczuk dobiegł i stanął tuż obok niego. Obaj mieli wrażenie, że to wszystko trwało za długo. Za długo, by zapobiec temu, co nieuniknione.

Śmierć Juliana zakończyła rolę, jaką odgrywał w tej historii. Nie była jednak końcem całości. Ale od tej chwili w Częstochowie nastąpiła bardzo istotna zmiana. Od tej chwili miało się w Częstochowie rozpogodzić.

ROZDZIAŁ 15

Alicja

Sobota, 8 listopada 2014

Kiedy pociągnęła za spust, nie poczuła nic. Nie było w niej wątpliwości, nie było wahania ani żalu. Nie było myśli o konsekwencjach. Nie było samooceny. Nie było też żadnej presji, ani poczucia bezwzględnej konieczności. Tak naprawdę Alicja nawet nie pamiętała chwil, które nastąpiły po tym, gdy chwyciła do ręki pistolet leżący w środkowej konsoli samochodu i wyskoczyła na zewnątrz. Pamiętała za to, co czuła wcześniej. Co czuła, gdy zobaczyła jak Henrik upada na ziemię i leży bez ruchu. Co czuła, gdy widziała, jak Julian mierzy do Jerzego Waltera. A potem zadziałała tak szybko, że siedzący obok Agüero nie zdążył zareagować.

Teraz, kiedy stała w bezruchu z wciąż wyciągniętą do przodu bronią, świadomość powoli wracała. Jednak gdzieś pomiędzy była zupełna próżnia. Pustka trwająca kilkanaście sekund, w trakcie których Alicja wycelowała w swojego brata i pociągnęła za spust. Nie wiedziała, jakim cudem udało jej się strzelić tak precyzyjnie.

Świadomość wracała, a do Alicji zaczęło docierać, co się

właśnie stało. Zaczynała to rozumieć i akceptować. To było nowe uczucie, ale nie było w nim ani krztyny wstydu i smutku. Nie było goryczy ani cierpienia. Jedyne co czuła, to żal.

Wpatrywała się w pistolet, który wciąż trzymała w wyciągniętej ręce. Jego obraz był kilka sekund wcześniej zupełnie rozmyty, ale teraz jej widzenie znowu nabierało ostrości. Opuściła rękę i kilka metrów dalej zobaczyła martwego brata. Brata, którego od dawna nie знаła i nie wiedziała nawet, że on jeszcze w ogóle istnieje. Brata, za którym latami tęskniła, ale którego już nie kochała. Kochała jedynie pamięć o nim. Człowiek, który leżał na ziemi, był dla niej kimś zupełnie obcym. Był mordercą. Był kimś, kto stanął na drodze do jej szczęścia.

Jeśli czegoś w tej chwili żałowała, to tylko tego, że los dotknął tego człowieka w tak okrutny sposób. I że nigdy nie było mu dane być wolnym. Czuła, że jej strzał kończy jego tragiczne i beznadziejne życie.

Kilka chwil po wystrzale zauważyła zmianę. Zmianę, która spowodowała, że wszyscy dookoła spojrzeli w górę. Ona także podniosła głowę i popatrzyła na niebo. Krople spadające na ziemię stawały się coraz rzadsze. Z czasem deszcz zupełnie ustał. Wszystko stało się bardzo szybko. Choć nie było prawie wiatru, wydawało się, że jakiś silny podmuch przepędził nagle wszystkie chmury.

I kiedy spadła już ostatnia kropla, w Częstochowie zrobiło się w końcu zupełnie cicho. To nie była cisza, do której Alicja przywykła przez kilka ostatnich tygodni. W tym okresie nie było w mieście ani chwili bez dźwięku. Każdą sekundę wypełniał

monotonny szum. Był niczym szmer lodówki, do którego nietrudno się przyzwyczaić. Niczym wiatrak mający chłodzić włączonego laptopa. Dźwięk niby niezauważalny, niby łatwo przyswajalny, jednak zawsze obecny. Burzący ciszę.

Ale kiedy przestało padać, ten szum zniknął i dopiero wtedy Alicja zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej ciszy. Ciszy prawdziwej i tak gęstej, że można było ciąć ją nożem i jeść w kawałkach. Podgryzać ją i delektować się jej smakiem.

Opuściła głowę i zobaczyła naczelnika Marczuka, który zmierzał ku niej. Podszedł i chwycił ją za rękę, w której wciąż trzymała walthera P99. Ostrożnie wyciągnął go z jej dłoni.

– Zajmiemy się tym. Niczym się nie przejmuj. Już po wszystkim – powiedział, ale w tym momencie jeszcze nie zrozumiała, o co tak naprawdę mu chodzi.

Spojrzała przed siebie i zobaczyła, że Jerzy Walter lekko klepie Henrika po twarzy. Po chwili ten odzyskuje świadomość i łapie się za głowę. Widać było, że nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje. Ale trwało to krótko. Do momentu, w którym dostrzegł Alicję.

Deszcz nie zacierał już obrazu i mogła bez problemu dojrzeć jego twarz. Uśmiechnął się. Potem szybkimi ruchami potarł dłońmi głowę. Jakby chciał się zupełnie ocucić. Jakby nie wierzył, że widok, który ma przed sobą, jest realny.

Wstał i zaczął iść w jej kierunku. Ona ruszyła ku niemu i po chwili padli sobie w ramiona.

– Wszystko będzie dobrze, Henrik. Wszystko będzie dobrze – szeptała mu do ucha.

Pomyślała, że jest jeszcze tyle rzeczy, które musi mu

powiedzieć. Jest tyle spraw, o których on nawet nie ma pojęcia. Wiedziała, że przyjechał tu, bo martwił się o nią. Przyjechał, bo ostatnio zachowywała się dziwnie. Kłamała. Oszukiwała go. Przyjechał, bo czuł, że ona go potrzebuje.

Wtuliła się jeszcze mocniej i pomyślała, że teraz już naprawdę wszystko będzie dobrze. Nawet jeśli czern powróci, to ona sobie z nią jakoś poradzi. Pomyślała, że najbardziej na świecie chce opuścić to miasto. I że zrobi to w poniedziałek, dokładnie tak, jak planowała.

Pomyślała, że nie może się doczekać, aż powie mu o tym, że jest w ciąży. Powie mu, że będą mieli dziecko, że dali początek temu życiu wtedy, kiedy przyjechał do niej ostatni raz. Kiedy śmiali się, że z tego może się coś urodzić. Wtedy, kiedy tak naprawdę tego chcieli. Powie mu, że im się udało i uda im się już wszystko, co sobie wymarzą.

Pomyślała, że właśnie tak chce żyć. Z dala od wszystkiego, co spotkało ją tutaj. Chce wyjechać. Chce żyć gdzie indziej i tam po prostu wychodzić na długie spacery. Nawet jeśli na północy będzie zimno. Chce pić piwo z nowo poznanymi ludźmi i odrzucić wszystkich, których spotkała do tej pory. Chce jeździć na wakacje gdzieś bardzo daleko i cieszyć się każdym promieniem słońca. Słońca, którego tak bardzo jej tutaj ostatnio brakowało. Chce patrzeć na Henrika wtedy, kiedy pracuje. Chce go obserwować, kiedy pisze. Chce widzieć, jak powstają wszystkie jego historie. Chce być jego codzienną inspiracją.

Wiedziała, że jeśli przetrwała wszystko, co stało się przez ostatnie dwa tygodnie, niczego się już nie przestraszy. W tym

momencie czuła się najsilniejsza w życiu. Tak jakby wszystko, czego doświadczyła wcześniej, miało czekać właśnie na tę chwilę i pozwolić jej zacząć naprawdę na nowo. Zobaczyła mamę, tatę i babcię. Zobaczyła małego Jakuba, na kolanach mamy, tuż obok niej na tylnym siedzeniu dacji. Zobaczyła siebie wśród nich wszystkich i pomyślała, że ona musi iść dalej w ich imieniu. Musi kontynuować to, co im wszystkim los tak gwałtownie odebrał. Musi żyć i będzie żyć. I że właśnie w tej chwili, na skrawku metra kwadratowego, znajdują się przy niej dwie dusze, które kocha najbardziej. Mogłaby przysiąc, że słyszy bijące serca Henrika i ich dziecka.

Pomyślała, że tuż obok, z ciała obcego dla niej człowieka, uleciała jeszcze jedna dusza, tak kiedyś jej bliska. Czuła, że jej brat w końcu zaznał spokoju.

Kilka metrów dalej Jerzy Walter odetchnął z ulgą. Chociaż zdawał sobie sprawę, że jego życie w najbliższych tygodniach mocno się skomplikuje, był spokojny. Wiedział, że zrobił właśnie coś, co musiał uczynić. Był to winny Zuzie. Winny swojej miłości. A przede wszystkim winny samemu sobie.

Następnego dnia w Częstochowie zrobiło się tłoczniej. Wszyscy, którzy kryli się dotychczas we wnętrzach swych mieszkań i domów, wyszli na zewnątrz, by zobaczyć, czy coś się zmieniło. Chcieli sprawdzić, jak wygląda to miasto, kiedy znowu nabiera kolorów.

Następnego dnia była niedziela. Ale większość mieszkańców wolała ją spędzić w Częstochowie, niż iść w odwiedzinę do Czarnej Madonny.

ROZDZIAŁ 16

Profanum

Wtorek, 18 listopada 2014

– Jeszcze do niedawna byłam przekonana, że dożyłam już tego wieku, w którym nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. A tobie, drogie dziecko, się udało! – siostra Miriam klasnęła w dłonie. – Przyznam, że nie wierzyłam w twój plan. Nie wierzyłam, że twoje listy coś dadzą. Bałam się nawet, że biedy sobie jeszcze tym wszystkim napytasz. Ale się udało!

Eliza była szczerze zadowolona, choć jednocześnie cały czas powtarzała, że nie powinna się tak czuć. Aresztowanie biskupa pomocniczego archidiecezji częstochowskiej uderzało przecież w cały Kościół. Wydaje mi się, że miała poczucie, że godzi także w nią samą.

– Ludzie teraz będą gadać, pytać będą... taki wstyd – kręciła głową z zakłopotaniem. – No nic... ważne, że pomogłaś tym dziewczynom, że komendant zrobił to, co trzeba. I to przeciwko własnemu bratu! Nie do wiary, nie do wiary...

Ona mówiła, a ja zaczęłam myśleć, że rzeczywiście coś mi się w końcu w życiu udało. Od bardzo dawna nie miałam w sobie tego

rozpierającego piersi uczucia, które sprawia, że staję się jakby nieco wyższa i mam ochotę się uśmiechać. To się chyba nazywa duma, tak sędzę. Nie wiem, być może po prostu udowodniłam sobie, że nadaję się do czegoś więcej niż odbieranie telefonów i przewalanie sterty papierzysk. Odzyskałam pewność siebie, którą straciłam dawno temu. Czuję radość z życia, mimo że niewiele się w nim przecież zmieniło.

Musi być coś zaraźliwego w tej radości, bo nawet mój mąż zaczął zachowywać się inaczej. Przede wszystkim zauważył moje pozytywne nastawienie.

– Jesteś taka pogodna ostatnio – powiedział kilka dni temu. Niewiele, ale jak na niego to i tak dużo. Nawet się uśmiechnął. Zawiesił na mnie wzrok, kiedy wychodził z kuchni. Dojrzałam to kątem oka. Przez kilka sekund stał w drzwiach i mierzył mnie od góry do dołu. Sądził, że nie widzę, a przecież kobiety to czują. Dobrze wiedzą, kiedy mężczyźni tak na nie patrzą. To było miłe, nie pamiętam kiedy coś takiego ostatnio mi się przydarzyło. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że on jeszcze tak potrafi. Moja radość musiała oddziaływać mocniej niż myślałam, bo dzień później nie zastałam go w domu po powrocie z pracy. Okazało się, że poszedł do kolegi, od którego kiedyś kupował medaliki. Wrócił z uśmiechem na twarzy. Nie mogłam uwierzyć, że mój mąż wyłączył telewizor, ubrał się i wyszedł do ludzi. Spotkanie nie przyniosło niczego konkretnego, ale ważne, że w ogóle się na nie zdecydował. Może kiedyś coś z tego będzie.

Napisałam ostatni list do Jerzego Waltera. Trzymam go teraz w ręku i nie dbam już o to, że będą na nim odciski moich palców.

Czytam go ostatni raz, sprawdzam, czy jest taki, jak chciałam. Przez moment miałam ochotę się podpisać, choćby inicjałami, żeby się dowiedział, żeby poznał całą prawdę. Pomyślałam jednak, że prawdziwi bohaterowie nigdy nie zrzucają swojego przebrania, kamuflaż pozwala im pomagać dalej. A ja czuję, że jeszcze kiedyś mogę się przydać.

„Dziękuję Ci w imieniu Aldony, Katarzyny, Mileny i Klaudii. Zrobiłeś dla nich więcej, niż myślisz. Takich dziewczyn z pewnością jest jeszcze dużo, tylko pozostałe są wciąż bezimienne. Im też jednak pomogłeś. One teraz cieszą się tak samo. Być może kiedyś się ujawnią.

Bardzo ci współczuję. Wiem, jak mocno to wszystko przeżywasz. Wiem jednak również, że to przetrwasz.

Jesteś dobrym człowiekiem. Niewielu już takich chodzi po świecie.

Każdy jest kowalem swojego losu. Twój brat sam sobie na to zasłużył. Ty zrobiłeś to, co musiałeś.

Bóg jest sprawiedliwy. Bóg Cię wynagrodzi.

Dziękuję.”

Składałam list na pół i wkładałam do rozerwanej koperty z jego nazwiskiem. Umieszczam ją w pliku dokumentów, które przygotowałam mu do podpisu. Obok zostawiam kilka nieotwartych jeszcze kopert. Zajmę się nimi, jak wrócę. Wstaję od biurka i pukam do drzwi jego gabinetu. Cicho je otwieram.

– Śmiało – mówi, widząc mnie w progu. Uśmiecha się do mnie, a ja myślę, że mógłby to robić przez całą wieczność i nigdy by mi się nie znudziło.

Podchodzę bliżej i kładę dokumenty na biurku.

– Zostawię to i wrócę za godzinę, jak zwykle, dobrze? – pytam.

– Oczywiście, oczywiście. Widzę, że dziś trochę tego jest – odpowiada.

– Tak – mówię i od razu dodaję. – Jest jeden list... nieopatrznie go otworzyłam, przepraszam. To chyba pańska prywatna korespondencja. Nie wiem, nie czytałam, tylko wyjęłam. Jak zobaczyłam, co to jest, to od razu włożyłam z powrotem do koperty.

– Nie ma sprawy, pani Aniu, zaraz to sprawdzę – nie pozwala mi dokończyć. – Proszę się nie przejmować. Nic się nie stało.

Wszyscy tutaj mówią mi po imieniu, a on wciąż nazywa mnie „panią Anią”. Nawet pod tym względem jest wyjątkowy.

Nie mówię już nic. Wychodząc, widzę, jak otwiera moją ostatnią wiadomość i zaczyna czytać. Uśmiecham się w duchu.

Siadam przy biurku i po chwili zabieram się do pozostałej korespondencji. Chwytam list z komendy wojewódzkiej i wtedy widzę, że pod nim leży biała koperta z nazwiskiem komendanta. Nie ma na niej żadnej pieczęci, żadnego znaczka. Nie ma nadawcy. Przez moment zamieram, bo wygląda dokładnie tak samo, jak jedna z moich. Tylko pismo jest inne, o wiele bardziej niedbałe.

Podnoszę ją i przez chwilę zastanawiam się, czy ją otworzyć. Czuję, że nie powinnam, ale robię to.

„Nie tak miało być, Jurek.

Zapomniałeś?

Boisz się, przyjacielu?

Ja o wszystkim pamiętam. E.”.

Zamieram. Sama nie wiem, czemu decyduję, że nie wręczę tego listu komendantowi. Na pewno nie teraz. Ta wiadomość jest pełna złych emocji, czuję to. A on teraz potrzebuje spokoju. Być może dam mu go za jakiś czas, być może w ogóle.

Wkładam list z powrotem do koperty i chowam w torebce.

EPILOG

Poniedziałek, 24 listopada 2014

– Dobry wieczór, panie Wiktorze! – powiedziała Alicja do słuchawki – Alicja Drylska z tej strony.

– Dobry wieczór, pani Alicjo – odpowiedział Wiktor Maleńkow. Wyczuła, że naprawdę się cieszy, że ją słyszy.

W Sztokholmie dochodziło południe. W okolicy Irkucka wieczór był mroźny i pewnie było już zupełnie ciemno.

– Panie Wiktorze, jak się pan czuje? Jak ramię?

– Już lepiej. Ramię dobrze. Spasiba!

– Bardzo się cieszę.

Mimo wszystko czuła się w jakiś sposób współwinna tego, co go spotkało w Częstochowie.

– Panie Wiktorze, czy ksiądz Nowacki przekazał już panu dobre informacje?

– Nie, jeszcze nie. Nic mienia nie skazał. Ja przyszedłem, bo mówił, że pani będzie dzwonić.

– To nawet lepiej, że ja będę miała tę przyjemność. Panie Wiktorze, odzyskaliśmy pańskie dokumenty. Będziemy na nowo otwierać postępowanie spadkowe. To trochę potrwa, ale jest duża szansa, że dworek i działka pańskich pradziadków będą należeć do pana!

– Naprawdę? – zapytał zupełnie zaskoczony.

– Naprawdę, naprawdę! Właśnie po to dzwonię. Ja już nie będę się bezpośrednio zajmować tą sprawą, ale przekażę panu wszelkie informacje od moich kolegów.

– Ale szto z biskupem Walterem?

– Nim proszę się nie przejmować. On nie będzie już problemem.

– Jak to możliwe? On bardzo chciał tę działkę – nie dowierzał Maleńkow.

– Panie Wiktorze, on ma teraz mnóstwo innych zmartwień. Myślę, że wkrótce odezwie się do pana ktoś jeszcze i zaprosi z powrotem do Polski w celu złożenia zeznań w sprawie napaści, której pan doświadczył.

Wiktor zamilkł. Po krótkiej chwili Alicja zdecydowała, że jeszcze raz zapewni go, że to nie żart.

– Panie Wiktorze, wiem, że może ciężko panu w tej chwili w to wszystko uwierzyć, ale to prawda. Bardzo zależało mi na tym, by osobiście przekazać panu te informacje. Wszystko będzie tak, jak powinno. Po prostu.

Ostatnie dwa tygodnie Alicja spędziła w Szwecji z Henrikiem. Wyjechali z Częstochowy, tak jak zaplanowała. W poniedziałek.

Przez ten czas podjęła kilka ważnych decyzji. Zdecydowała między innymi, że ani chwili dłużej nie ma ochoty pracować dla kancelarii Waryński i Partnerzy, więc przesłała pocztą podpisane wypowiedzenie. Większość zawodowych spraw udało się jej zamknąć telefonicznie, ale wiedziała, że czeka ją jeszcze osobiste dopełnienie kilku formalności. Poprosiła kolegów tylko o to, by przekazywali jej informacje o postępach w sprawie Maleńkowa. Na razie jednak nie spieszyła się z powrotem do Częstochowy. Czuła,

że musi minąć jeszcze trochę czasu. Być może jeszcze tydzień, może dwa. Być może o wiele więcej. W krótkim czasie z miasta rodzinnego Częstochowa stała się dla niej miastem prawie zupełnie obcym, ukrywającym okrutne fakty. Wszystkie jej ulubione miejsca, wszystkie dobre wspomnienia zostały wyparte przez świeże i bolesne doświadczenia. To miasto zabrało jej brata i zwróciło go pod postacią obcego człowieka. To miasto kazało jej dokonać wyboru, z którym już zawsze będzie musiała żyć. Nikt tak naprawdę nie znał Juliana. Chłopak nie miał tożsamości. Nie figurował w żadnym rejestrze. Nawet dla niej samej był właściwie szaleńczym wytworem wyobraźni. Nikt nie zauważył jego ponownego zaginięcia. Nikt za nim nie tęsknił. Nikt go nie szukał. Ciało Juliana pozbyto się jeszcze tego samego wieczoru, kiedy odszedł z tego świata. Jeszcze tego dnia Julian i Jakub Drylski zniknęli na zawsze i bezpowrotnie. Jakub Drylski przepadł bez śladu już drugi raz w swoim krótkim życiu. Tym razem jednak miał nie pojawić się już nigdy więcej. O tym, co stało się pod wiaduktem, wiedziało kilka osób. Ale żadna z nich nie miała interesu w nagłaśnianiu sprawy. Julian do końca pozostał niewidzialny. A jeśli widoczny, to tylko w myślach Alicji. Ale jeśli się tam czasem pojawiał, to zawsze jako Jakub, jej prawdziwy brat.

Alicja była zbyt wycieńczona, by wracać do tego, co spotkało ją w zakrystii. Czowała, że każdy powrót do tamtego wieczoru, każda kolejna konfrontacja twarzą w twarz z biskupem Walterem będzie dla niej zbyt bolesna. Jeśli miała sobie z tym wszystkim poradzić, musiała po prostu od tego uciec. Odciąć się całkowicie. Nawet gdyby miało to oznaczać, że akurat ten czyn ujdzie Stanisławowi

Walterowi na sucho. Zbyt heroicznie walczyła z czernią, która regularnie próbowała ją nawiedzać, by w jakikolwiek sposób ułatwić jej zadanie.

Powiedziała o wszystkim Henrikowi. Był zdruzgotany. Jednak nie sugerował niczego. Dał jej czas. Alicja wiedziała, że chciał, by wniosła oskarżenie. Ale decyzję pozostawiał jej samej. Przede wszystkim był blisko niej. Niczego innego bardziej nie pragnęła.

Jerzy Walter był za to bardziej bezpośredni. Kilkakrotnie dał jej jasno do zrozumienia, że niepotrzebnie czeka z wniesieniem zarzutów. Mimo że sprawa dotyczyła jego brata, był przekonany, że Alicja tak właśnie powinna postąpić. Lecz sam nie uczynił żadnego kroku bez jej zgody.

Ona jednak zwlekała. Chociaż tak naprawdę bała się, że kiedy pojawi się znowu w Częstochowie, może bardzo szybko zmienić zdanie i w jednej chwili podjąć decyzję. Przeczuwała, że klimat tego miasta sprawi, że pozbędzie się wszelkich obaw. Czuła, że w tym mieście jej złość znowu dojdzie do głosu.

Dwa tygodnie później w Częstochowie zrobiło się zimno. Jesień bardzo szybko zamieniała się w zimę, a prognozy zapowiadały wczesne opady śniegu. Jednak przez cały ten czas w mieście świeciło słońce i nie spadła nawet jedna kropla deszczu. Ziemia zupełnie już wyschła, a poziom wody w Warcie opadł i wrócił do normalnego stanu. Mieszkańcy wychodzili z domów chętniej i częściej. Jeśli chowali się przed chłodem, to raczej w kawiarniach i butikach Galerii Jurajskiej niż w zaciszu swoich czterech ścian.

Biskup Stanisław Walter natomiast ani razu nie wyszedł na zewnątrz. Wszystkie te dni spędził w zamknięciu i pod baczną

obserwacją. Pierwsze dwa na komendzie, kolejne w areszcie śledczym przy ulicy Mirowskiej. Informacja o aresztowaniu biskupa pomocniczego archidiecezji częstochowskiej szybko dotarła do mediów. Trafiała na pierwsze strony lokalnych gazet. Pojawiła się w ogólnopolskich serwisach informacyjnych. Każdy Polak dowiedział się, że prokuratura zbiera dowody przeciwko Stanisławowi Walterowi. Prowadzono czynności w sprawach usiłowania zabójstwa oraz nadużycia stosunku zależności w celu czerpania korzyści seksualnej. Do prokuratury zgłaszały się kolejne kobiety, z których każda miała do opowiedzenia swą własną historię z zakrystii na tyłach bazyliki Świętej Rodziny.

Rozpaczał Dariusz Grott, który wiedział już, że nie rozszerzy swojego plastikowego imperium i nie otworzy zakładu w Częstochowie. Wraz z nim rozpaczali Robert Kulesza i Zdzisław Franczak, którym nie wypalił interes życia.

Jerzy Walter przechodził ciężki czas. Nie pozwolił jednak, by cała uwaga w tej sprawie skupiła się na nim. Udzielił tylko jednego krótkiego wywiadu lokalnym mediom. Resztę załatwiał przez rzeczniczkę. Wszyscy dookoła zapewniali, że bardzo mu współczują i zawsze może liczyć na ich pomoc. Mimo to wiedział, że tak naprawdę chcieliby, żeby finalnie okazało się, że to on ukrywał czyny brata. A jeszcze lepiej by było, gdyby w nich uczestniczył. Właśnie na taką pożywkę czekali. Jerzy mógł liczyć tylko na Marczuka. W tej kwestii nic nie uległo zmianie. A po odstawieniu pod blok naprawionej i odmalowanej skody octavii z ogromnym bukietem kwiatów w środku Jerzy poczuł, że ich stosunki jeszcze bardziej się zacieśniły.

W dwa tygodnie po tym, jak Alicja Drylska dodzwoniła się do Wiktora Maleńkowa, Jerzy wchodził do aresztu śledczego, żeby po raz pierwszy odwiedzić brata.

Usiedli w sali spotkań, a Jerzy dał znać pilnującemu ich strażnikowi, że nie ma potrzeby, by im towarzyszył. Ten jednak nie ruszył się z miejsca i pozostał w pomieszczeniu, podpierając ścianę koło drzwi.

Kiedy tego samego wieczoru Jerzy wracał myślami do rozmowy z bratem, koncentrował się tylko na zdaniach, które Stanisław wypowiedział na samym jej końcu. Zanim padły tamte słowa, spotkanie było nijakie, a Jerzy nie wiedział, jak ma się zachować. Czuł się w obecności Staszka niezręcznie i miał wrażenie, że rozmawia z zupełnie obcym człowiekiem. Ale pod koniec wypowiedzi brata Jerzy poczuł się tak, jakby Stanisław właśnie wyssał mu całą krew, upajając się jej smakiem.

– Wiesz, Jurek, mamy w katedrze taki mały problem – zaczął biskup. – Wszystko wskazuje na to, że w dachu jest mała nieszczelność. Tak malutka, maciupieńka. Ale strasznie irytująca. Kiedy tak długo padało, w środku bazyliki cały czas na podłodze stało takie duże, niebieskie wiadro. Do niego kapąły krople. Wyobrażasz to sobie, prawda? W jednej z naw stoi wiadro, do którego kapie woda. Kropla za kroplą. Co jakiś czas trzeba to wiadro opróżniać, bo się zapełnia. Teraz, kiedy nie pada, problem zniknął, ale to nie znaczy, że przestał istnieć. Na pewno będzie powracać. To taka sprawa, która nie da o sobie zapomnieć, dopóki nie zostanie rozwiązana. Jeśli nie masz nic przeciwko, to określiłbym ją mianem upierdliwej. Bo tak jest w istocie – mówił

spokojnie. Dwukrotnie w trakcie swej wypowiedzi otarł palcami kąciki ust. – I wiesz, że do dziś nie naprawiliśmy tego dachu? Bardzo ciężko to zrobić. Poza tym człowiek sobie myśli, że jakoś to będzie. Albo że ktoś inny się tym zajmie. A przecież to się samo nie robi. Ta nieszczęsność jeszcze da o sobie znać. Nie wątpię w to. –

Przerwał na chwilę, ale tylko po to, by głębiej zajrzeć w oczy Jerzego. Na razie dostrzegł w nich zaciekawienie. Niezrozumienie. Ale chciał w nich zobaczyć strach. Dlatego kontynuował. –

I wiesz... sytuacja z tym przeciekiem w dachu przypomina mi zupełnie inny, ale jakże podobny problem. Taki, który dotyczy ciebie, braciszku. Taki już nieco zapomniany, ale uwierz mi, on niedługo powróci i będzie się go bardzo ciężko pozbyć. Wiesz, o czym mówię, prawda? Pamiętasz, z kim chodziliśmy na żużel? Mieliśmy przyjaciela, o którym bardzo chciałbyś zapomnieć. A on pewnie myśli o tobie codziennie. – Jerzy zastygł. Przestraszył się. Stanisław od razu to zauważył. – No właśnie... Bo widzisz... coś mi się wydaje, że już niedługo ta uciążliwa i ostra szpilka znowu zacznie kłuć. Ten problem znowu da o sobie znać i wtedy trzeba będzie coś z nim zrobić. Wkrótce minie czas, kiedy mogłeś być w miarę spokojny. I jak sobie wtedy z tym poradzisz, braciszku?

Jerzy dokładnie wiedział, co brat ma na myśli. I musiał przyznać mu rację. Niedługo jego życie mogło się jeszcze bardziej skomplikować. I wszystko, na co pracował przez lata, mogło stanąć pod znakiem zapytania.

Wyszedł z tego spotkania, nie wypowiadając już żadnego słowa. Na zewnątrz zauważył, że z nieba spadają pierwsze płatki śniegu. Panował przenikliwy chłód. Mimo że było słonecznie, Aleje

Najświętszej Marii Panny znowu świeciły pustkami.

Warszawa–Częstochowa
grudzień 2014, styczeń–marzec 2018

PODZIĘKOWANIA

Najpierw pisarzowi wydaje się, że ze wszystkim poradzi sobie sam. Ma przecież pomysł, inspiracje, chęci i czas. Bardzo szybko okazuje się jednak, że niemal na każdym kroku potrzebuje pomocy, wielu rzeczy po prostu nie wie, jeszcze więcej musi z kimś skonsultować.

Ta książka nie powstałaby bez wsparcia kilku wspaniałych osób, którym nigdy nie będę w stanie całkowicie się odwdziżyć. Ich nazwiska powinny zostać uwiecznione tak samo jak nazwiska moich bohaterów.

Przede wszystkim dziękuję Magdzie Urbańskiej – bez Ciebie ta historia nigdy by się nie narodziła, co więcej, być może nigdy nie zacząłbym pisać. To Ty uwierzyłaś w moje pisanie, jeszcze zanim ja sam odważyłem się powiedzieć, że chciałbym spróbować. Dziękuję Ci za ten grudniowy wieczór w dwa tysiące czternastym roku, kiedy to burza mózgów pochłonęła nas tak bardzo, że zaowocowała konspektem opowieści w deszczowej (choć nie burzowej) Częstochowie. Także za to, że od tamtego czasu regularnie słyszę od Ciebie „pisz!”, „co dziś napisałeś?”, i za entuzjazm w Twoich oczach, kiedy wypowiadasz te słowa. Poza tamtym grudniem dziękuję Ci za wszystkie inne wspólne grudnie i wszystkie pozostałe miesiące i lata.

Ta książka nie miałaby takiego kształtu, gdyby nie Ania

Dzięciołowicz. Aniu, dobrze wiesz, że na tych stronach odnajdziesz wiele swoich pomysłów, rad, a nawet słów. Nie potrafię ocenić, czy bardziej imponuje mi twoja wiedza, wyobraźnia, czy życzliwość i nieustająca gotowość do pomocy. Z całych sił ściskam kciuki za to, żeby udało nam się kiedyś przelać na papier kilka wspólnych pomysłów. Tymczasem po prostu przyjmijmy, że to także twoja książka, choćby zważywszy na ilość pytań, które Ci w związku z nią zadałem.

Robertowi Dzięciołowiczowi dziękuję za pomoc w zawiązaniu jednego z głównych wątków powieści oraz za to, że pierwotny tekst pochłonął w jeden dzień, narzekając, że ktoś śmie do niego dzwonić i przeszkadzać. Recenzję, którą wówczas dostałem, trzymam do dziś. To jest dopiero literatura!

Częstochowa, to moje rodzinne miasto, ale tego, jakie jest naprawdę i czym obecnie żyje, dowiedziałem się od nieocenionego Juliusza Sętowskiego. Dziękuję za pomoc w odnalezieniu kilku lokacji dla tej fabuły. Rozmowy w entourage'u książek, wysokich sufitów i trzeszczących parkietów Ośrodka Dokumentacji Dziejów Częstochowy były magiczne. Za podzielenie się swoją wiedzą o mieście dziękuję również Jarosławowi Kapsie. Mam nadzieję, że moja wizja Częstochowy, przedstawiona w książce, choć trochę obu Panom odpowiada.

Z zapartym tchem słuchałem opowieści o życiu i pracy policjantów. Grzegorzowi Styczyńskiemu i Grzegorzowi Kostrzewie dziękuję za podzielenie się tymi informacjami. Mam nieodparte wrażenie, że te rozmowy również Wam sprawiły trochę frajdy, nigdy bowiem nie kończyły się jedynie na odpowiedzi na

moje pytania. Przeradzały się podawane branzowym językiem i bez owijania w bawełnę relacje z tego, jak jest naprawdę. Walter z Marczukiem na pewno siedzieli gdzieś obok i z uznaniem kiwali głowami. Panowie – dziękuję!

Annie Rozenberg dziękuję za to, że zupełnie bezinteresownie wyczyściła tekst z błędów oczywistych i za ostre, ale trafne uwagi. Swoją drogą, to niesamowite, że zupełnym przypadkiem wstępnej redakcji podjęła się częstochowianka!

Na wydanie tej książki pewnie jeszcze bym poczekał, gdybym na swej drodze nie natrafił na Annę Brzezińską. Jestem naprawdę dumny, że uwierzyła Pani w potencjał tej historii.

Dziękuję pierwszym czytelnikom, a wśród nich przede wszystkim Katarzynie, Markowi i Adamowi. Wasze uwagi były bardzo istotne dla tego tekstu.

Jestem przekonany, że Marta Banaszek i Bartłomiej Nawrocki znają tę książkę lepiej ode mnie. Praca z debiutującym autorem, który do tego ma tak mocne „własne zdanie” na pewno nie była łatwa. Dziękuję Wam za cierpliwość, rzetelność, a przede wszystkim za to, że dzięki Wam ta książka stała się po prostu lepsza.

Księża, od których bardzo wiele się dowiedziałem, nie wyrazili zgody na publikowanie swych nazwisk. Chciałbym jednak, żeby wiedzieli, że ten utwór powstał także dzięki nim.

Bez mojej Mamy nie byłoby żadnego mojego słowa. To wielkie szczęście czuć Twoją miłość i akceptację.

PS. Walterowie powrócą.

Marcin Dudziński